

ROZDZIAŁ

I

Powoli i bezgłośnie „Chimaera”, niszczyciel klasy Imperial, przesuwiał się przez pustkę i ciemność przestrzeni o wiele lat świetlnych od najbliższego systemu planetarnego. Jedyne jego światła pokładowe rozjaśniały mroki obszaru stanowiącego granicę między Zewnętrznymi Odległymi Rubieżami a Niepoznaną Przestrzenią. Inaczej mówiąc, niszczyciel znajdował się na samym skraju terenów Imperium.

Albo raczej na samym skraju resztek terenów, które niegdyś tworzyły Imperium.

Głównodowodzący Sił Zbrojnych Imperium, admirał Pellaeon, stał przy jednym z bocznych okien na mostku niszczyciela i przyglądał się tej pustce, czując przygniatający go ciężar zbyt wielu lat, bitew i porażek. Pełniący służbę na mostku też musieli być przygnębieni albo pod wrażeniem miejsca, w którym okręt się znajdował, ponieważ zachowywali się znacznie ciszej niż zwykle. A przebywali naprawdę daleko od czegokolwiek.

Załogę wybrano z najlepszego personelu, jakim dysponowała imperialna flota, która jeszcze się nie poddała. A teoria głosiła, że Imperium nie podda się nigdy.

Dalsze rozmyślania przerwały admirałowi ciche kroki i głos kapitana Ardiffa:

– Jesteśmy gotowi, sir.

Przez moment Pellaeon miał nieodparte wrażenie, że czas cofnął się o dziesięć lat. Wtedy na tym samym mostku wielki admirał Thrawn i on obserwowali ostateczny test prototypu urządzenia za-

pewniającego niewidzialność, które to urządzenie znaleziono w prywatnym magazynie Imperatora pod górą Tantiss. Doskonale pamiętał swoje podniecenie i poirytowanie wywołane zachowaniem szalonego kłona Mistrza Jedi Joruusa C'baotha. Było to wówczas, gdy praktycznie Thrawn w pojedynkę dowodził Imperium. Szkoda, że nie do końca...

Cóż, magazyn Imperatora już nie istniał, podobnie jak większość góry – zniszczyło je szaleństwo Joruusa i ekspedycja Nowej Republiki. A wielki admirał Thrawn zakończył życie.

Co więcej: umierało Imperium.

Pellaeon z wyraźnym wysiłkiem otrząsnął się z ponurych wspomnień: był oficerem Imperium, a to zobowiązywało.

– Dziękuję, kapitanie – powiedział spokojnie. – Proszę zacząć według własnego uznania.

– Tak, sir! – Ardifff dał znak kontrolerowi myśliwców i polecił: – Rozpocząć atak!

Oficer pochylił się nad umieszczoną przy lewej burcie konsolą i wydał odpowiednie rozkazy, a Pellaeon ponownie wpatrzył się w mrok za oknem.

Osiem myśliwców SoroSuub typu Preybird wypadło z za niszcyciela, przemknęło w ciasnej formacji koło nadbudówki, ostrzelało śródkręcie i rozprysnęło się na wszystkie strony w unikach. Dopóki nie minęły całej długości kadłuba, prowadziły ostrzał z różnych kierunków, po czym zgrabnym manewrem oderwały się i przegrupowały.

– Sir? – spytał Ardifff.

– Niech przelecą jeszcze raz – zdecydował Pellaeon. – Im więcej danych otrzyma Predictor, tym skuteczniejszy powinien się okazać. Jakie straty?

– Jeden zestaw sensorów obsługujący pięć baterii turbolaserów, sir.

– Doskonale.

Były to naturalnie zniszczenia teoretyczne, czyli takie, jakie wywołałyby atak, gdyby myśliwce prowadziły ostrzał z broni pokładowej, a nie ze specjalnie zamontowanych laserów celowniczych. Pellaeon zawsze lubił ćwiczenia pozorujące walkę, w których mógł się przekonać, ile naprawdę jest wart nowy sprzęt bez ryzyka związanego z prawdziwą walką. Tylko przez te wszystkie lata zniknęła gdzieś radość, którą odczuwał w takich chwilach jako młody oficer.

– Ster, dwadzieścia stopni na prawą burzę – polecił. – Przy następnym przelocie prawoburtowe turbolasy postawią zapórę ogniową. Wykonać!

Myśliwce nadleciały ponownie, utrzymując zwarty szyk umożliwiający częściowe zachodzenie na siebie tarcz dziobowych, co znacznie zwiększało ich wspólną wytrzymałość. Przez kilkanaście sekund myśliwce i lasery celownicze zamontowane na wieżach baterii turbolaserowych ostrzeliwały się nawzajem, po czym myśliwce rozprysnęły się niczym palce energicznie otwartej dłoni i w gwałtownych unikach przemknęły nad i pod niszczycielem, niknąc w oddali.

– Jakie uszkodzenia? – zainteresował się Pellaeon.

– Trzy prawoburtowe baterie turbolaserów, dwa działa jono-we i emiter promienia ściągniętego zniszczone, sir – zameldował oficer dyżurny.

– Przeciwnik?

– Jeden myśliwiec stracił tarcze, dwa mają uszkodzone uzbrojenie, sir.

– Czyli właściwie wyszły bez szwanku – skonstatował Ardiff. – Naturalnie to jedynie teoria i w dodatku o nieuczciwych założeniach: w praktyce tak małe jednostki nie mogłyby dysponować równie potężnym uzbrojeniem czy generatorami pól, w jakie teoretycznie je wyposażyliśmy.

– Uczciwość i wojna wzajemnie się wykluczają – oznajmił kwaśno Pellaeon. – Jeśli chce pan uczciwej rozgrywki, kapitanie, radzę zająć się zawodami sportowymi!

– Przepraszam, sir.

Pellaeon westchnął – najlepsze załogi imperialnej floty, ech...

– Kapitanie, proszę przygotować znikacz – polecił, krzywiąc się w duchu: określenie było upiorne, ale nikt, jak dotąd, nie wy-myślił lepszego. – Uruchomienie na mój rozkaz.

– Tak, sir!

Myśliwce ponownie sformowały szyk zwarty i nagły blask, jaki się za nimi pojawił, świadczył, iż włączyły dopalacze. Pellaeon obserwował je spokojnie, a gdy pojedynczy punkt przekształcał się w osiem, polecił:

– Przełączyć sterowanie ogniem na Predictor a i przygotować generator niewidzialności.

– Predictor w sieci, generator gotów, sir – potwierdził Ardiff.

Pellaeon skinął głową, nie spuszczać wzroku z nadlatujących myśliwców: Preybirdy prawie osiągnęły odległość, z której poprzednio rozpoczęły atak...

– Włączyć znikacz!

Światła na mostku mrugnęły, a na zewnątrz gwiazdy, myśliwce i w ogóle wszystko zniknęło – pozostała jedynie totalna ciemność.

– Generator niewidzialności włączony, pole znikające stabilne, sir – zameldował Ardifff.

– Ster lewo na burt, kurs trzydzieści na osiem, prędkość pierwsza – polecił admirał. – Turbolasery ognia!

– Jest, turbolasery ognia! – potwierdził oficer ogniowy.

Pellaeon podszedł do okna i spojrzał w dół, na klinowaty kadłub niszczyciela – z obu burt widać było słabe migotanie laserów celowniczych. Efektów ostrzału naturalnie nie dało się zobaczyć, gdyż pole otaczające okręt, które z zewnątrz zapewniało mu niewidzialność, a od wewnątrz niwelowało wszelkie odczyty zarówno sensorów, jak i wzroku, dawało efekt równy oślepieniu. Działa strzelały w zasadzie na oślep, a raczej nie tyle na oślep, ile według wskazań Predictorów. Jeśli test dowiedzie, że jego konstruktorzy mieli rację, to Imperium zyska jeszcze szansę w tej wojnie.

Turbolasery, a właściwie udające je urządzenia, zamilkły po znacznie dłuższym czasie, niż się spodziewał, więc na wszelki wypadek spytał kapitana:

– Próba skończona?

– Tak, sir. Pięćset strzałów, tak jak zaprogramowaliśmy – potwierdził Ardifff.

– Wyłączyć generator niewidzialności. Zobaczymy, co nam się udało osiągnąć.

Światelka mrugnęły i na zewnątrz znów było widać gwiazdy. I przez chwilę nic więcej. A po tej chwili siedem przesuwających się powoli poświat przesłoniętych ciemnymi kształtami.

– Meldunek od dowódcy eskadry, sir – odezwał się oficer łącznościowy. – Cel numer trzy został trafiony i ma wyłączone silniki, reszta doznała jedynie drobnych uszkodzeń. Oczekują dalszych rozkazów.

Pellaeon tylko się skrzywił – jedno trafienie przy ośmiu celach i pięćset strzałach z ciężkiej artylerii. To załatwiało sprawę. Definitywnie i negatywnie. Cud techniki zwany Komputerowym

Systemem Przewidującym opracowanym specjalnie do wykorzystania w warunkach bojowych przy użyciu generatora niewidzialności, a w skrócie zwany Predictorem, właśnie dowiódł swej bezużyteczności. Fakt, spisał się lepiej, niż gdyby działa strzelały zupełnie na oślep, ale nie wystarczająco dobrze, by miało to jakiegokolwiek znaczenie praktyczne.

– Proszę poinformować dowódcę eskadry o zakończeniu ćwiczeń – polecił Pellaeon. – I uruchomić napęd celu numer trzy. Niech wszystkie maszyny wracają na „Chimaerę”, a za dwie godziny oczekują pełnych raportów od pilotów.

– Rozkaz, sir!

– Panie admirale, jestem pewien, że można usprawnić Predictor – odezwał się cicho Ardifff. – To przecież pierwszy test w warunkach polowych. Na pewno można go poprawić...

– Jak?! Ratuje nas wyłącznie urządzenie nieomyślne albo potrafiące czytać w myślach przeciwnika. Inaczej, jak widać, jego skuteczność jest zerowa.

– Zezwolił pan na zaledwie dwa przeloty przed uruchomieniem. To za mało, żeby skutecznie przewidzieć manewry tak małych i zwrotnych celów jak myśliwce, sir.

– Miła teoria, która w pewnych ściśle określonych warunkach mogłaby się okazać skuteczna – parsknął Pellaeon. – Tylko że walka rzadko bywa sytuacją o ściśle określonych warunkach, a zazwyczaj wręcz przeciwnie. Tutaj mieliśmy do czynienia z jednym typem myśliwców i pilotowanymi tylko przez ludzi, co znacznie ułatwia rozpoznanie charakterystyki pilotażu. Nowa Rebelia ma na wyposażeniu wiele typów myśliwców, a piloci rekrutują się z setek ras inteligentnych. Daje to nieobliczalną ilość kombinacji, szkół pilotażu, przyzwyczajień i stylów walki, z którymi możemy się spotkać. Od początku nie wierzyłem, że komputer zdołałby sobie poradzić z podobnym problemem, ale musieliśmy spróbować.

– Zatem wróciliśmy do punktu wyjścia – ocenił Ardifff. – Trzeba wymyślić coś innego. Muszą istnieć jakieś praktyczne zastosowania dla urządzenia zapewniającego niewidzialność!

– Wiadomo, że są: wielki admirał Thrawn sam znalazł trzy. Tylko że w całym Imperium nie pozostał nikt, kto mógłby się z nim równać znajomością strategii czy taktyki – westchnął ciężko Pellaeon. – Nie, kapitanie, to koniec. Walka się skończyła, a my przegraliśmy.

Przez długą chwilę na mostku panowała cisza, zakłócona jedynie przez odgłosy pracy dyżurnej wachty. Milczenie przerwał wreszcie Ardiff.

– Przepraszam, panie admirale, ale głównodowodzący Sił Zbrojnych Imperium nie powinien mówić takich rzeczy.

– A niby dlaczego? Przecież to oczywiste dla wszystkich.

– Z pewnością nie, sir. Nadal zajmujemy osiem sektorów, czyli ponad tysiąc zamieszkałych układów planetarnych – przypomniał Ardiff. – Mamy prawie dwieście niszczycieli, głównie klasy Imperial. W dalszym ciągu stanowimy siłę, z którą należy się liczyć.

– Doprawdy?

– Oczywiście! Jakże inaczej moglibyśmy dotąd skutecznie bronić się przed siłami Nowej Republiki?

– Bo od dłuższego czasu mają ważniejsze zmartwienia niż poważny atak na nasze sektory, a ostatnio całą ich uwagę pochłaniają tarcia i konflikty wewnętrzne.

– Co działa na naszą korzyść, sir. Daje nam czas na reorganizację i dozbrojenie.

– W co? – Pellaeon nawet nie próbował ukryć niesmaku. – Nie zauważył pan, na czym zmuszeni są latać nasi piloci myśliwscy? To niech pan się przyjrzy: to Preybirdy SoroSuub!

– A co złego jest w Preybirdach? – zdziwił się Ardiff. – To całkiem dobre myśliwce średniego zasięgu, sir.

– Problem nie w tym, jakie mają osiągi, tylko jakiej są produkcji. Nie buduje ich Imperium, są „załatwiane” nie wiadomo skąd, pewnie od piratów czy innego najemnego śmiecia. A powód jest prosty: pozostała nam jedna stocznia, która nie może nadażyć z budową jednostek liniowych, toteż o drobnicy takiej jak myśliwce nawet nie ma co mówić. Proszę mi więc powiedzieć, jak pan sobie wyobraża to dozbrojenie.

– Mimo wszystko wojna się jeszcze nie skończyła, sir – powiedział Ardiff z uporem.

Pellaeon wiedział, że się skończyła i był pewien, iż Ardiff także to wie. Tysiąc systemów z Imperium obejmującego niegdyś milion. Dwieście niszczycieli z floty liczącej dwadzieścia pięć tysięcy takich okrętów. Ale najdobitniej przekonywały, że to koniec, setki układów planetarnych, które dotychczas starannie kultywowały przynajmniej teoretyczną neutralność, a ostatnio masowo zaczęły występować z petycjami o przyjęcie w poczet członków Nowej Republiki. Nie mogli się oszukiwać: wszyscy

znali ostateczny wynik tego starcia i wiedzieli, że długo już ono nie potrwa.

Ktoś taki jak wielki admirał Thrawn mógłby może jeszcze zmienić wynik konfliktu i obrócić klęskę w zwycięstwo, ale Thrawn był martwy, a nikt podobny do niego się nie pojawił.

– Proszę wziąć kurs na system Bastion i przesłać wiadomość do wszystkich moffów, żeby zjawili się niezwłocznie w pałacu moffa Disry. Ruszamy, gdy tylko myśliwce znajdą się na pokładzie – polecił, zdecydowany już, co musi zrobić.

– Tak jest, sir! Mogę znać powód spotkania? Moffowie na pewno będą o to pytać.

– Proszę im powiedzieć, że chodzi o wysłanie emisariusza do Nowej Republiki – powiedział cicho Pellaeon, spoglądając na gwiazdy, które jakoś przeciekły Imperium między palcami. – Uda się on tam, by przedyskutować warunki naszej kapitulacji.

ROZDZIAŁ

2

Dźwięk alarmu popiskującego na konsoli „Sokoła Millenium” wyrwał Hana Solo z drzemki.

– Obudź się, Chewie – ziewnął Han, przeciągając się, i trącił drzemiącego obok kudłacza. – Prawie jesteśmy na miejscu.

Chewbacca wymamrotał krótkie pytanie i przetarł oczy.

– Nic się nie stało, tylko dolecieliśmy – oznajmił Han. Ujął dźwignię hipernapedu i obserwował odliczający ostatnie sekundy zegar. – O właśnie!

Gdy na zegarze pojawiło się zero, przesunął dźwignię i smugi na zewnątrz zmieniły się w gwiazdy, a przed dziobem frachtowca zobaczyli błękitno-czerwony dysk planety.

Chewbacca warknął pytająco.

– Koło Iphiginu zawsze jest tłoczno – wyjaśnił Han, przyglądając się dobrej setce błyszczących punktów, z których każdy oznaczał napęd podświetlony jakiejś jednostki: wszystkie kręciły się wokół planety niby rój zwariowanych światełek. – To główny punkt transferowy dla całego sektora i co najmniej dwóch sąsiednich. Pewnie dlatego Purchawa tu ustalił miejsce spotkania: raczej nie strzela się na oślep, gdy wokoło kręcą się własne statki.

Chewbacca warknął zwięźle i z irytacją.

– A, to przepraszam uprzejmie. Nie wiedziałem, że jesteś jego gorącym zwolennikiem. Niech będzie prezydent Gavrisom.

Dalszą wymianę złośliwości przerwał brzęczyk modułu łączności. Chewie trzasnął dłonią w przełącznik i ryknął potwierdzająco.

– Witaj, Chewie – usłyszeli głos Luke’a Skywalkera. – Jesteście niesamowicie wręcz punktualni. Tym razem nic się w „Sokole” nie zepsuło?

– Nie licząc przełącznika łączności – warknął Han. – Chewie właśnie go wcisnął w tablicę. Gdzie jesteś?

– Po ciemnej stronie, zaraz mnie zobaczycie. Co się stało Chewiemu?

– Mała różnica zdań w ocenie polityków – wyjaśnił niechętnie Han.

– Aha, znowu nazwałeś Gavrisoma Purchawą?

– Tylko teraz ty nie zaczynaj! – zirytował się Han.

Chewbacca, już spokojniej, ryknął pytająco.

– Koniecznie musisz wiedzieć? Sam chciałeś! Przede wszystkim jest taki ważny, że aż się niedobrze robi, a poza tym, zamiast działać, wyłącznie gada.

– Calibopowie właśnie w tym są najlepsi – przypomniał Luke. – A po drugie, ostatnio słowa stały się bronią groźniejszą od miotaczy.

– Wiem – skrzywił się Han. – Leia stale mi to powtarza: „Już nie jesteśmy Rebelią, gdzie kilka osób kierowało całym ruchem. Teraz staliśmy się negocjatorami i arbitrami, i mamy pomagać rządowi planetarnym czy władzom sektorów, żeby były wobec siebie miłe i uprzejme”.

Ostatnie zdanie wygłosił tonem wcale udatnie naśladowującym żonę.

– Naprawdę tak to ujęła? – zaciekawiał się Luke.

– Może trochę uprościłem, trudno zapamiętać wszystkie ozdobniki – Han spojrzał na ekran. – Ten myśliwiec typu X to ty?

– Ja – potwierdził Luke. – Bo co? Uważasz, że zapomniałem, jak się nim lata?

– Nie, tylko ostatnio rozbijałeś się jakimś promem należącym do akademii. Zdaje się Lambdą.

– Bo przeważnie miałem pasażerów, i to w większych ilościach. Tym razem udało mi się uniknąć towarzystwa, więc kiedy odebrałem twoją wiadomość, zapakowaliśmy się z Artoo do myśliwca i jesteśmy. O co chodzi?

– A o co zawsze chodzi w tych okolicach? – spytał Han. – Ishorri i Diamalanie znowu się kłócą. Tylko tym razem poważniej.

– Niech zgadnę – w głosie Luke’a słychać było rezygnację. – Handel i podział surowców?

– Prawie. Chodzi o ochronę przewozów: Diamalanie nie chcą polegać na wewnątrzsystemowych patrolowcach, dostarczając towary do ishoriańskich portów, a Ishori odmawiają zgody na to, by uzbrojone jednostki diamalańskie wlatywały do ich systemów.

– Typowe – ocenił Luke. – Gavisom ma już konkretny pomysł, jak to rozwiązać?

– Jeśli ma, to się nie pochwalił. Skontaktował się ze mną na Wayland i kazał zjawić się tu piorunem. Mam coś zrobić, żeby znowu byli dla siebie mili, jak sądzę.

– Gavisom poprosił cię o arbitraż? – upewnił się Luke.

– No... niedokładnie. Wydaje mu się, że jest z nami Leia.

– Aha.

– Chwileczkę, stary, jestem przecież oficjalnym przedstawicielem Stowarzyszenia Niezależnych Przewoźników – przypomniał nieco urażony Han. – I robiłem już takie rzeczy, gdybyś przypadkiem zapomniał. A Leia od dawna nie miała prawdziwych wakacji. Jej i dzieciakom przyda się wypoczynek. Oficjalnie jest na urlopie i nie pozwolę, żeby jakaś głupia, dyplomatyczna duperela przerwała jej ten urlop. Zasłużyła na chwilę spokoju.

– Nie da się ukryć, zwłaszcza że ostatnio wakacje, i to kilka razy z rzędu, raczej nie były ani długie, ani relaksujące – przyznał Luke. – Chociaż, prawdę mówiąc, nie sądziłem, by ktokolwiek uznał Wayland za ośrodek wypoczynkowy.

– Zdziwiłbyś się, widząc teraz tę planetę. Odkąd osiedlili się na niej Noghri, zrobiło się tam znacznie spokojniej. Nie przypomina już miejsca, w którym przedzieraliśmy się na górę Tantiss.

– W to akurat mogę uwierzyć. A wracając do rzeczy, w czym mogę pomóc?

– Wszystko sobie przemyślałem – Han nieco poweselał. – Wiesz, jacy są Diamalanie, kiedy myślą: logiczni, chłodni i opanowani, tak jak Jedi, więc dobrze by było, gdybyś ty porozmawiał z ich delegacją. Ishori zachowują się dokładnie odwrotnie: każda dyskusja z nimi kończy się obustronnym wrzaskiem.

– Co nic nie znaczy – wtrącił Luke. – To kwestia hormonów określana, zdaje się, mianem „walczyć albo myśleć”.

– Wiem – burknął nieco zde gustowany Han. Luke mógł sobie być Mistrzem Jedi, ale nie miał nawet dziesiątej części jego doświadczeń z innymi rasami zamieszkującymi galaktykę. – Chodzi o to, że mogą sobie wrzeszczeć, ile chcą, a Chewiego i tak nic nie

wzruszy, więc on z nimi pogada. Potem spotkamy się we trzech, wymyślimy coś i po kłopotcie.

– Przyznaję, że to raczej nowatorskie podejście – odezwał się po chwili Luke. – Osobiście wolałbym, żeby tu była Leia. Ma dar doradzania.

– Ale jej nie ma – zauważył zgryźliwie Han. – A jeśli nie opanujemy sytuacji, Gavrisom i Rada będą mieli dość zajęć do końca życia, tyle się ostatnio namnożyło lokalnych problemików.

– Fakt, tego akurat Nowej Republice nie brakuje. Może to normalne w okresie przejściowym, czyli podczas adaptacji po upadku Imperium.

– Albo resztki Imperium zaczęły energiczniej dolewać oliwy do ognia – dodał Han bez śladów wesołości. – Koniec gadania, zabieramy się do roboty. Im szybciej zaczniemy, tym wcześniej będziemy mogli wrócić do domu.

Wylądowali na podwójnym stanowisku, specjalnie przygotowanym przez kontrolę lotów. Wyznaczono je w północnym kompleksie portu kosmicznego leżącego na obrzeżach stolicy planety. Zanim Luke, który nieco stracił wprawę, wylądował, Han i Chewbacca wyszli już z „Sokoła” i rozmawiali z trójką siwych Diamalan. I jeszcze nim wyłączył napęd, wyczuł, że są kłopoty.

– Artoo, zostań tutaj i uważaj, żeby nikt nie majstrował przy myśliwcu – polecił Luke, otwierając kabinę i zdejmując hełm.

Artoo pisnął potwierdzająco. Luke zostawił hełm i rękawice, wyskoczył lekko z kabiny i podszedł do grupy skupionej obok „Sokoła Millennium”. Diamalanie obserwowali uważnie, a miny mieli przy tym niezbyt przyjazne.

– Witam – odezwał się, schylając lekko głowę. – Jestem Luke Skywalker.

– Witamy cię, Mistrzu Skywalkerze – odpowiedział stojący najbliżej Hana pozbawionym jakichkolwiek emocji głosem. – Ale nie witamy cię na tej konferencji.

Luke zamrugał zaskoczony, spojrzał na Hana i widząc jego ściągnięte rysy, przeniósł wzrok na oblicze Diamalanina, które wyglądało niczym wytłoczona ze skóry maska.

– Nie rozumiem – przyznał.

– W takim razie wyrażę się jaśniej – Diamalanin zastrzygł lewym uchem. – Nie chcemy, żebyś brał udział w negocjacjach. Nie zamierzamy dyskutować z tobą ani przy tobie żadnych istot-

nych spraw. Prawdę mówiąc, wolelibyśmy, żebyś opuścił nasz system.

– Zaraz, momencik! – Han miał dość. – To mój przyjaciel i ja go tu zaprosiłem. Przeleciał kawał drogi, chcąc wam pomóc.

– Nie życzymy sobie jego pomocy.

– Może. Ale ja sobie życzę – warknął Han. – I nikt nie będzie stąd odlatywał, jasne?

Zapadła ciężka cisza. Luke obserwował Diamalanina, zastanawiając się, czy odlot nie byłby najlepszym rozwiązaniem. Jeżeli naprawdę go tu nie chcieli...

Ten sam rozmówca ponownie zastrzygł uchem i oznajmił:

– Dobrze, Mistrz Jedi może zostać, ale wyłącznie jako twój doradca. Nie będzie uczestniczył w zebraniach negocjacyjnych albo my nie podejmiemy negocjacji w jego obecności.

Han skrzywił się, ale odparł:

– Skoro się upieracie, niech tak będzie. Pokażcie nam kwatery i możemy zaczynać.

Jeden z obcych wręczył Chewiemu datakartę z planem.

– Macie apartament w hotelu na terenie portu kosmicznego – wyjaśnił. – Tu jest plan. Ishori przygotowali już sale spotkań. Zaczniemy, kiedy będziecie gotowi.

Jak na komendę cała trójka odwróciła się i odeszła, albo raczej odmaszerowała, ku najbliższemu wyjściu.

– Ciekawe – powiedział cicho Luke, patrząc w ślad za nimi. – Ktoś wie, o co im chodzi?

– W pewnym sensie – mruknął Han.

– A w jakim sensie? – spytał Luke.

Han spojrział na niego dziwnie i zaproponował:

– Może dajmy temu spokój. Po prostu cię nie lubią i już.

Spoglądając za odchodzącymi, Luke nie odezwał się, ale bez wątpienia nie zamierzał tak tego zostawić. Mógł naturalnie natychmiast użyć Mocy i wyciągnąć z umysłu obcego potrzebne wiadomości. Nie wiedząc, o co chodzi, nie był w stanie nic zrobić, więc powinien wykorzystać Moc.

Ale...

Spojrzał na Hana, który przyglądał mu się uważnie, jakby zastanawiając się, co też on, Luke, zrobi. To przeważyło: Han prosił, żeby chwilowo zostawić temat. Więc zostawi. Chwilowo.

– Dobrze – powiedział spokojnie. – Chyba potrzebujemy nowego planu.

– Już mamy – oświadczył Han z wyraźną ulgą. – Chewie i ja włączymy się do rozmów, a z tobą naradzimy się, gdy będziemy wiedzieli, o co im chodzi. Jeśli nie masz nic przeciwko beczynnemu czekaniu, nim skończymy.

– Pewnie, że nie mam. Zgodzili się, żebym został twoim doradcą, więc będę doradzał – Luke odwrócił się od wejścia, w którym zniknęli Diamalanie, i stwierdził, że Han nadal przygląda mu się badawczo.

– Nie podoba ci się to wszystko? – spytał domyślnie Solo.

– Miewałem już bardziej udane dni w życiu, jeśli o to ci chodzi – przyznał Luke, wzruszając ramionami. – Głupio jest proponować komuś pomoc i usłyszeć tak stanowczą odmowę, ale nie stanowi to powodu do głębokiej rozpaczy. No i nikomu nie wyrządza krzywdy.

– Fakt. Czasami nawet pomaga – zgodził się Han.

Uwaga wydała się Luke'owi dość dziwna, zanim jednak zdążył w jakikolwiek sposób zareagować, Han podszedł do Chewiego i spytał:

– Zorientowałaś się, gdzie mamy iść?

Wookie warknął potakująco, pokazując coś na ekranie planu.

– Aha. No to prowadź – polecił Han i dodał z półuśmiechem. – Wookie jest niezastąpiony w tłoku, zwłaszcza jeśli idzie przodem.

– Wiesz, że wszystko, co powiedzieli, może być kłamstwem? – spytał cicho Luke. – Mogą próbować nas rozdzielić, by ułatwić sobie atak.

– Wiem, ale nie sądzę, żeby mieli taki zamiar.

– Wolałbym przyjrzeć się temu spotkaniu – nie ustępował Luke. – Bez trudu mogę iść za wami przez nikogo nie zauważony. W ten sposób byłbym pod ręką, gdybyście mnie potrzebowali. Wyczuję twoją obecność nawet w największym tłumie i ze sporej odległości.

– Ale tylko obecność, zgoda?

– To chyba jasne. Nie próbowałbym czytać w twoich myślach bez wyraźnej zgody. Przecież wiesz.

– Ano – mruknął Han. – Pewnie.

Okazało się, że Luke nie musiał ani używać Mocy, ani ruszać się z apartamentu, żeby śledzić przebieg negocjacji – gospodarze dowiedzieli się o restrykcjach wymyślonych przez Diamalan i, nim

rozpoczęły się rozmowy, zorganizowali jednostronną łączność wizyjną pozwalającą mu obserwować naradę bez wychodzenia z pokoju.

Dwie godziny zajęło mu uzyskanie pewności, że rozmowy do niczego nie doprowadzą. Han zmarnował o jedną godzinę więcej albo też dopiero po trzech gotów był przyznać to głośno i rozmowy przerwano.

– Powariowali! – oznajmił po powrocie, rzucając na niski stolik plik datakart z informacjami i notatkami. – Wszyscy co do jednego! Pogłupieli do reszty!

– Nie powiedziałbym, że powariowali. Że się zaparli, owszem, ale nie pogłupieli – sprzeciwił się Luke.

– Dzięki. To się nazywa prawdziwa pomoc!

Chewbacca warknął ostrzegawczo.

– Nie bój się, nie tracę samokontroli – upewnił go Han. – Jestem idealnie wręcz spokojny.

Luke starannie ukrył uśmiech – Han bardziej niż kiedykolwiek przypominał teraz owego pewnego siebie przemytnika, którego pierwszy raz spotkał w knajpie w Mos Eisley, gdy wraz z Benem Kenobim szukali transportu z Tatooine. Podobnie jak wtedy, radośnie władował się w nieznaną i wylądował po szyję w kłopotach. To miłe, że generał, ojciec dzieciom i mąż szanowanej osobistości Nowej Republiki, nie stracił cech, które ogłupiały Imperium, a jego przyjaciół niekiedy doprowadzały do granic obłędu. Po szyję w kłopotach Han funkcjonował najskuteczniej – dowodziła tego praktyka. I może z wieloletniego przyzwyczajenia w takich właśnie sytuacjach czuł się najlepiej.

– Dobra – westchnął obiekt jego rozmyślań, opadając na fotel. – Przemyślmy to: musi być jakieś wyjście z sytuacji.

– A gdyby ktoś trzeci wziął udział w negocjacjach? – zaproponował Luke. – Może Nowa Republika byłaby w stanie ochraniać diamalańskie frachtowce w systemach ishoriańskich?

Chewbacca miał na ten temat nieco inne zdanie.

– Wiem, że brakuje nam okrętów – zgodził się Luke, gdy Wookie skończył. – Ale Rada jakoś powinna znaleźć kilka patrolowców.

– To nie wystarczy – potrząsnął głową Han. – Diamalanie mają dużo statków, a ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo rozciągnięte są nasze siły. Mamy za mało okrętów, a za dużo przetrzeni do pilnowania.

– To i tak tańsze rozwiązanie niż rozdzielenie obu ras, gdy już zaczną do siebie strzelać – zauważył Luke. – Zwłaszcza że będą to robić nie pierwszy raz.

– Fakt – przyznał Han. – Problem w tym, że wątpię, by Diabłanie przyjęli tę propozycję, nawet gdybyśmy mieli nadmiar okrętów. Myślę, że nikomu nie zaufają w kwestii ochrony swoich statków.

– Nawet Nowej Republice? – zdziwił się Luke.

Han spojrział nań dziwnie i szybko odwrócił wzrok.

– Nawet.

Luke zmarszczył brwi – przez moment wychwycił ten sam rodzaj problemów, co na lądowisku.

– Rozumiem – mruknął.

– Aha – Han wyraźnie się ucieszył. – Są jakieś inne pomysły?

Luke spojrział na Chewbacę, szukając dyplomatycznego sposobu przedstawienia swojej sugestii, ale nie znalazł pomocy.

– Wiesz, jeszcze nie jest za późno na ściągnięcie Leii – zaproponował z westchnieniem. – Możemy poprosić Noghri, żeby ją tu przywieźli.

– Nie – odparł krótko Han.

Chewbacca warknął, zgadzając się z Lukiem.

– Powiedziałem, że nie! Sami potrafimy to załatwić – Han spojrział na Wookiego średnio uprzejmie.

Wbudowana w stolik konsola łączności rozświetlała się nagle, a ponieważ Han i Chewie nadal byli zajęci wymianą wymownych spojrzeń, Luke, używając Mocy, włączył urządzenie.

– Skywalker – przedstawił się, gdy sygnał ucichł.

Na płycie holoprojekcyjnej umieszczonej na środku stołu pojawił się obraz młodego Iphiginianina z zaplecionym w warkoczyki wąsem i emblematem kontroli lotów na kołnierzu.

– Przepraszam, że przeszkadzam w naradzie – odezwał się zaskakująco melodyjnym głosem – ale otrzymaliśmy informację od kontroli transportu Nowej Republiki, że leci tu sarkański frachtowiec w stanie Czerwonego Alarmu Celnego.

Luke spojrział na Hana – Czerwony Alarm Celny oznaczał, iż na pokładzie statku znajduje się naprawdę niebezpieczny ładunek.

– Czy kontrola transportu zidentyfikowała kapitana lub załogę? – spytał.

– Nie. Obiecano transmisję z dalszymi informacjami, lecz jak dotąd nie nadeszła. Ponieważ frachtowiec zbliża się już do Iphi-

gin, wysłaliśmy na jego spotkanie większość patrolowców celnych z zadaniem przechwycenia go. Jako przedstawiciele Nowej Republiki może chcielibyście obserwować tę akcję, dlatego was informuję.

Luke zarejestrował nagłą zmianę w uczuciach Hana – gdy na niego spojrzął, tamten wpatrywał się zamyślony w ścianę.

– Doceniamy zaproszenie – powiedział na wszelki wypadek. – Ale chwilowo...

– Skąd nadlatuje ten Sarkanianin? – przerwał mu Han.

– Z sektora Besh – zamiast rozmówcy pojawiła się holomapa okolic planety z czerwonym pulsującym punktem położonym o kilka stopni od linii łączącej Iphigin ze słońcem oraz prawie dwudziestoma okrążającymi go powoli zielonymi punktami. – Jak widzicie, wysłaliśmy siły wystarczające do zlikwidowania każdej próby oporu.

– Fakt – mruknął Han. – I jesteście pewni, że to statek sarkański?

– Sprawdziliśmy informacje z jego transpondera. To corelliański Action-Keyne Mark XII zarejestrowany w Sarkanie.

Luke gwizdnął bezgłośnie – miał kiedyś okazję zwiedzić jednostkę tego typu i zapamiętał ją jako niezwykle luksusową, a przy tym potężnie uzbrojoną. W tych okolicach pojawiały się rzadko, ponieważ zaprojektowano i wykorzystywano je do przewozu niezwykle cennych ładunków, i to bez eskorty. Siłą ognia dorównywały niemal słabszym okrętom liniowym, nic dziwnego zatem, że Ishori wysłali tyle jednostek, by go przechwycić. Jeśli kapitan nie zechce współpracować, może się to przekształcić w regularną bitwę.

– Wygląda faktycznie na sarkański frachtowiec – oświadczył Han dziwnie beztroskim tonem. – Przechwytujcie, a my się przyjrzymy.

– Dziękuję, kapitanie Solo. Uprzedziliśmy dowódcę, że do niego dołączycie. Żegnam.

Hologram zniknął.

– Z tym, że nie na pewno – mruknął Han, przeglądając datakarty. – Chewie, sprawdź, czy zdołasz stąd uzyskać pełen obraz ruchu wokół planety i wykaz wszystkich jednostek znajdujących się aktualnie w przestrzeni.

– Co się dzieje? – spytał zaskoczony Luke. Teraz wyczuwał u Hana jedynie podniecenie, wszystkie dotychczasowe frustracje zniknęły. – Wiesz, kim jest ten przemysłnik?

– To nie przemytnik – Han znalazł kartę, której szukał, i wsunął ją do czytnika. – I co, Chewie?... Masz? Pięknie. Przełącz na stół.

Nad stołem pojawił się znacznie dokładniejszy schemat systemu, w którym roilo się od rozmaitych symboli. Han przyjrzał mu się i zerknął na czytnik.

– Ślicznie – ocenił. – Chewie, mógłbyś mi pomóc?

– Co tam masz? – zainteresował się Luke.

– Pozycje stacji bojowych typu Golan I. Zobaczmy...

Przez dobrą minutę obaj z Chewbaccą porównywali holomapę z ekranem, porozumiewając się mruknięciami i półsłówkami. Luke przyglądał się jej również, niewiele rozumiejąc.

– Jasne! – odezwał się w końcu Han. – Nadleć stąd, więc wystarczy poczekać gdzieś w tym rejonie... Idź i przygotuj „Sokoła” do startu, zaraz tam będę.

Chewbacca chrząknął potwierdzająco i prawie pobiegł do drzwi.

– Mógłbym się dowiedzieć, o co chodzi? – spytał uprzejmie Luke.

– Pewnie – Han zebrał pozostałe datakarty. – Nadlatują piraci.

– Piraci?! Tutaj?!

– Miejsce równie dobre, jak każde inne.

– Nie sądziłem, że piraci operują tak blisko Jądra Galaktyki – przyznał Luke. – Ten frachtowiec to kant?

– Nie do końca. To może być autentyczny Sarkanianin, który nic nie wie o alarmie. Sposób jest stary i skuteczny: alarmuje się władze o niebezpieczeństwie zbliżającym się od strony dziennej półkuli, a gdy patrolowce są nim zajęte, atakuje się cel leżący na lub przy nocnej półkuli. Zanim obrona zdąży oblecieć planetę, po napastnikach nie ma śladu – Han wstał. – Jedyne problem stanowią stacje bojowe i obrona planetarna, dlatego trzeba tak wybrać moment, żeby ich nie było w pobliżu. No i znaleźć wiarygodny powód alarmu. Chodź, czas na nas.

– Nie powinniśmy najpierw zawiadomić władz? – spytał Luke, wstając.

– A po co? Ty, ja i Chewie wystarczymy w zupełności.

– Co?! Na całą bandę piratów?

– Dlaczego nie? W tych rejonach mogą operować tylko małe bandy, ze dwa-trzy statki. Inaczej zbyt rzucaliby się w oczy – Han skrzywił się lekko. – Na dobrą sprawę sam bym sobie z nimi poradził.

– Serdeczne dzięki... Ja tam wolałbym nie musieć sam sobie z nimi radzić.

– Spokojnie, nie chciałem cię urazić – Han uniósł przeprasza-
jąco dłonie.

– Nie uraziłeś, ale nadal uważam, że powinniśmy zawiado-
mić władze.

– Nie możemy – Han spoważniał. – Piraci mają tu co najmniej
jednego obserwatora i jeśli zobaczy on cokolwiek odbiegającego
od przewidywań, to zrezygnują z ataku. My wyjdziemy na durni,
a Diamalanie będą mieli jeszcze gorszą opinię o Nowej Republice.
Jeżeli to nastąpi, Wysoka Rada zażąda głowy.

– Zaczynam tęsknić za Rebelią – westchnął Luke – wtedy przy-
najmniej polityka i walka nie kłóciły się ze sobą.

– Nie musisz mi tego mówić. Idziesz czy nie, czas się nam
zaczyna kończyć?

– Oczywiście, że idę – Luke sięgnął po komling. – Artoo?

R2-D2 był niezadowolony i wcale tego nie ukrywał – swoje
uwagi wyświetlał na ekranie komputera pokładowego i z przekazu
jasno wynikało, że cała sytuacja bardzo, ale to bardzo mu się
podoba.

– Uspokój się, Artoo. Przeżyliśmy całą wojnę z najpotężniej-
szym przeciwnikiem, jakiego znała galaktyka, więc nie próbuj mi
wzmówić, że boisz się paru starych, zdezelowanych jednostek pi-
rackich – uśmiechnął się Luke.

Artoo pisał urażony.

– Tak już lepiej. Uważaj na to, co się wokół dzieje, a nic nam
się nie stanie.

Droid ćwierknął, najwyraźniej nadal nie przekonany, ale prze-
stał protestować. Luke rozejrzał się, próbując sam dojść do ładu
z trapiącymi go wątpliwościami. Wokół myśliwca panowała cisza
i spokój, toteż mógł się oddać rozmyśleniom. Od kilku tygodni czuł
narastające wokół dziwne emocje, jak choćby osobliwe zachowa-
nia Hana czy niechęć Diamalan do jego obecności. Wszystko to
wywoływało niejasne, narastające zdenerwowanie, którego nawet
dwie rozmowy z Leia nie zdołały uspokoić. Wydedukowali jedy-
nie, że najprawdopodobniej jest to podświadoma reakcja na jakieś
zjawisko zachodzące w Mocy, z którym wiązała się jedna z dwóch
możliwości: albo Luke powinien zrobić coś konkretnego, albo zro-
bienia właśnie tego unikać jak ognia. Zgodnie z jej radą spędzał

ostatnio wiele czasu na medytacjach, próbując lepiej zrozumieć Moc, ale jak dotąd bez rezultatu.

– Luke? Gdzie jesteś? – pytanie Hana wyrwało go z zamyślenia.

– Nad tobą i trochę z lewej. Na razie nie zauważyłem niczego, co przypominałoby pirata. A ty?

– Jeszcze nie, ale nie bój: przylecą. Wiesz o tym.

– Wiem – przyznał Luke, rozglądając się uważnie wśród chmary rozmaitej wielkości frachtowców.

Po chwili nie musiał się już rozglądać.

Tylko że to nie były dwa-trzy statki – z nadprzestrzeni wyszło osiem jednostek w zwartej formacji, bez żadnych identyfikacji oznaczeń na burtach, ale za to najeżonych turbolaserami.

Artoo pisnął przeraźliwie.

– Spokojnie! Przestań się irtować i daj mi odczyt sensorów – polecił Luke.

Droid bipnął niepewnie i na ekranie wyświetliły się ciekawe rzeczy. Wynikało z nich, że dwie jednostki to nieco zużyte i niekonwencjonalnie połatane corelliańskie kanonierki, pięć to myśliwce szturmowe typu Corsair, a ostatni to stary, ale nadal robiący wrażenie krążownik liniowy klasy Kaloth z przymocowanym do dziobu działem jonowym KDY a-4. Też starym i również robiącym wrażenie. Cała grupa zmieniła szyk na otwartą półstrefę i skierowała się ku parze dużych frachtowców znajdujących się przed nimi o kilka kilometrów poniżej.

Statki nosiły oznaczenia Nowej Republiki.

– Han? – spytał na wszelki wypadek.

– Widzę ich. Co chcesz zrobić?

Możliwości miał dużo. Używając Mocy, mógł uszkodzić nadlatujące jednostki tak, by nie były w stanie walczyć. Mógł je także zniszczyć czy unieruchomić. Albo mniej widowiskowo, ale równie skutecznie zmienić załogi w bezwolnych obserwatorów lub skłonić je do poddania się. Dla Mistrza Jedi sprzymierzonego z Mocą nie istniały granice możliwości. Żadne.

I nagle Luke stężał, nie mogąc ani się poruszyć, ani odetchnąć – przed sobą, wyraźnie widoczne na tle czerni kosmosu, dostrzegł postacie Imperatora i Exar Kuna – dwóch najgroźniejszych adeptów Ciemnej Strony, z jakimi kiedykolwiek musiał się zmierzyć. Obaj stali i przyglądali mu się.

I śmieli się.

– Luke?

Głos Hana przepędził widma, ale lodowaty strach pozostał. Coś, czego za nic nie powinien był robić...

– Luke? Żyjesz?!

– Żyję – wychrypiał, stwierdzając nagle, że ma dziwnie zaschnięte gardło. – Ja... lepiej przejmij dowództwo, Han.

– Co ci się stało? Możesz latać?

– Nic... Mogę.

– Jasne. – Z tonu Hana wywnioskował, że tamten nie dał się oszukać. – Lepiej zostań i dojdź do siebie. Poradzimy sobie z Che-wiem.

– Lecę z wami, tylko powiedz mi, co chcesz, żebym zrobił.

– Skoro się upierasz, to daj mi osłonę. Na początek trzeba skasować działo jonowe.

Luke odetchnął głęboko, próbując się uspokoić – dwa statki przeciw ośmiu: zupełnie jak za dawnych lat, kiedy Rebelia walczyła z Imperium. Był wtedy młody i niedoświadczony, zwłaszcza w używaniu Mocy, lecz wspomnienia tamtych dni zachowały się w jego pamięci czysto i wyraźnie. Czyściej, niż przypuszczał, prawdę mówiąc...

– Dobra – powiedział głośno. – Zaczynaj, Han. Jestem tuż za tobą!

W pierwszej chwili piraci, skoncentrowani na podwójnym łupie, po prostu zignorowali stary frachtowiec serii YT-1300 i lecący obok niego myśliwiec typu X. Atak był ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewali, a zwłaszcza atak z zewnątrz – spoza prawie zamkniętej sfery, w którą wzięli oba frachtowce ze znakami Nowej Republiki. „Sokół Millenium” przemknął między parą myśliwców, które zaczęły strzelać, gdy dawno już znalazł się poza ich zasięgiem. W międzyczasie Luke spokojnie zajął idealną pozycję za myśliwcami i, nie zwracając niczyjej uwagi, umieścił w silniku każdego po torpedzie protonowej. Dopiero podwójny wybuch spowodował, iż zaczęły się ku niemu zwracać wieżyczki artyleryjskie krążownika.

Artoo gwizdnął alarmująco i Luke położył maszynę w ostry skręt i spiralę równocześnie – obok przemknęły dwa z trzech pozostałych Corsairów. Wyrównując, dostrzegł solidną eksplozję na dziobie krążownika.

– Han, żyjesz?

– Żyję. Działo jonowego już nie ma, ale zdążyli trafić jeden frachtowiec. Nie wiem, na ile poważnie jest uszkodzony. Co z tobą?

– Na razie w porządku – odparł Luke i równocześnie wyczuł nieustające zagrożenie, więc czym prędzej zmienił gwałtownie kurs.

Ogień laserowy przemknął za X-wingiem, który kończąc pętlę znalazł się z kolei za jednym z Corsairów. Luke co prawda dawno nie brał udziału w prawdziwej walce myśliwskiej, ale musiał przyznać, że szło mu lepiej, niż się spodziewał. Pewne ułatwienie stanowił fakt, że Corsairy były co prawda lepiej opancerzone, ale za to mniej zwrotne od imperialnych myśliwców TIE. Chociaż nie zawsze – ten, którego właśnie ostrzelał, wymknął mu się spod ognia niespodziewaną, rozpaczliwą świecą na prawą burtę i bezczelnie spróbował wejść mu na ogon. Luke powtórzył niekonwencjonalny manewr i przez chwilę obie maszyny goniły się po kręgu, próbując się wzajemnie trafić.

Luke zrobił to pierwszy i Corsair zamienił się w kulę ognia.

W słuchawkach rozległo się zaniepokojone warczenie.

– Jestem cały, Chewie – zapewnił go Luke. – Ten był dobry...
Co z wami?

– Na razie cali i zdrowi – odparł Han. – Oo... teraz chyba się wścieknął!

Luke uśmiechnął się lekko i rozejrzał się – ostatnie dwa myśliwce gnały prosto ku niemu, ale były za daleko, by mogły jeszcze coś zrobić. W pobliżu krążownik liniowy strzelał z całej posiadanej broni do zwijającego się w dzikich unikach „Sokoła”, który leciał wzdłuż jego burty, eliminując punktowymi trafieniami kolejne wieżyczki i stanowiska artyleryjskie. Wyglądał niczym ważka atakująca słonia, tylko że ta ważka była przeciwpancerna. W oddali obie corelliańskie kanonierki wymieniały salwy z frachtowcami, które okazały się lepiej uzbrojone, niż na to wyglądały. Poza tym w okolicy robiło się coraz bardziej pusto, jako że każdy, kto tylko mógł, odlatywał byle szybciej i byle dalej.

Luke przyjrzał się podejrzliwie krążownikowi – wraz z decyzją nieużywania Mocy większość podenerwowania i otumanienia, jakie ostatnio odczuwał, zdawała się zanikać, a raczej zamilkła. W ciszy, która zapanowała w jego umyśle, wyczuł coś dziwnego, co znajdowało się na pokładzie tego krążownika liniowego. Coś dziwnego, czego nie czuł przez wiele lat...

Artoo ćwierknął ostrzegawczo, przywołując go do rzeczywistości – Corsairy były już niedaleko. Skrzydłowy trzymał się z lewej, ale na tyle blisko, by dało się poznać dobrego pilota.

– Słyszę, Artoo. Plan jest następujący: na mój sygnał dasz pełen ciąg na prawy górnny silnik i obie lewoburtowe dysze hamują-

ce. Po czterech sekundach wyłączysz dysze i dasz pół mocy na wszystkie silniki. Jasne?

Z tyłu rozległo się potwierdzające gwizdnięcie. Luke ustawił przełącznik broni na wyrzutnie torped i, lekko wykorzystując Moc, dotknął umysłów obu pilotów. Nie po to, by cokolwiek z nimi zrobić, lecz by móc obserwować ich myśli. I czekał.

– Teraz, Artoo!

Gwizd zniknął w nagłym ryku silnika i ułamek sekundy później myśliwiec kręcił się jak oszalały w manewrze nie do przewidzenia i nie do powtórzenia bez przygotowania. Luke zamknął oczy i używając Mocy wyczekał odpowiedniego momentu do strzału.

I znów przeciążenie wcisnęło go w fotel, gdy maszyna wyprysnęła nagle z ganderskiego korkociągu, wyrównując niechętnie lot. Piloci obu Corsairów byli tak zajęci przewidywaniem, w którą stronę polecą, kończąc ten rzadki manewr, że nie dostrzegli nadlatujących torped.

– Luke? – słuchawki rozbrzmiały głosem Hana. – Wygląda, że mają dość.

Nadal usiłując dojść do ładu z wewnętrznym uchem wykazującym niespotykaną samodzielność, Luke położył maszynę w ciasny skręt – rzeczywiście, krążownik i obie kanonierki wycofywały się, biorąc kurs na przestrzeń pozaukładową. Jedna znaczyła drogę skryształowanym powietrzem i jakimiś śmieciami – musiała solidnie oberwać.

– Jakie uszkodzenia, Artoo? – spytał Luke, przestawiając pokrętło na oficjalną częstotliwość Nowej Republiki. – Niezidentyfikowane frachtowce, tu myśliwiec typu X sił Nowej Republiki, numer AA-589. Jaka jest wasza sytuacja?

– Znacznie lepsza niż przed dwiema minutami. Dzięki za pomoc. Czy ty albo twój przyjaciel nie potrzebujecie asysty?

Artoo wyświetlił na ekranie krótką listę drobnych usterek.

– Ja dziękuję – odparł Luke. – Han?

– Też nie. Jeśli chcecie, odeskortujemy was do lądowiska – zaproponował Han.

– Cała przyjemność po naszej stronie. Jeszcze raz dziękujemy.

Wszystkie cztery jednostki zawróciły ku planecie, a Luke przełączył łączność na prywatną częstotliwość.

– Zupełnie jak za dawnych czasów, co Han?

– Ano. Zauważyłeś jakieś oznaczenia czy napisy na którejkolwiek jednostce?

– Na Corsairach nie było absolutnie nic, a do pozostałych miałem za daleko. Dlaczego pytasz? Myślisz, że to nie piraci?

– Piraci owszem, bez dwóch zdań. Problem w tym, że piraci z zasady malują statki, aż oczy bołą patrzeć: jak nie płomienie, to zębate pyski albo inne pazury. Ponoć na ofiarach wywiera to niezły efekt psychologiczny i niektóre poddają się bez walki. Zamalowują te arcydzieła, jedynie jeśli nie pracują na własny rachunek, tylko są przez kogoś wynajęci.

Luke w zamyśleniu rozejrzał się po kilkudziesięciu frachtowcach powoli wracających na orbity i kursy lądowania. Prawie setka różnych ładunków ze stu rozmaitych planet, a piraci wybrali sobie za cel akurat dwa frachtowce Nowej Republiki.

– Corsairy – stwierdził, pojmując nagle, z kim mieli do czynienia. – Wynajęci przez Imperium.

– Ciekawe, z której bandy – dodał Han.

– Albo skąd Imperium wzięło fundusze na ich opłacenie – dokończył powoli Luke, używając Mocy do przypomnienia sobie ze szczegółami tego dziwnego odczucia męczącego go podczas bitwy. – Pamiętam, ile nas kosztowało wynajmowanie korsarzy w czasach Rebelii. Na pewno nie potanieli, a już wtedy byli drodzy.

– Dobrzy z pewnością nie są tani. Ci akurat niczym się specjalnie nie wyróżniali.

– Nie jestem pewien... – mruknął Luke, wyostrzając wspomnienia... i nagle wszystko znalazło się na swoim miejscu. – Mogę się mylić, Han, ale sądzę, że na tym krążowniku liniowym znajdowała się spora grupa klonów.

Przez długą chwilę w słuchawkach panowała cisza.

– Jesteś pewien?

– Miałem to samo wrażenie, co wtedy, gdy walczyliśmy ze sklonowanymi szturmowcami Thrawna na pokładzie „Katany”.

– Pięknie! – parsknął Han. – Co jakiś czas zastanawiałem się w ciągu ostatnich dziesięciu lat, gdzie Imperium ukrywa klony. W końcu przekonałem sam siebie, że wszystkie zużyło.

– Też tak sądziłem. Może znaleźli nową linię klonującą.

– A to byłoby wręcz wspaniale! Czekaj, zajmijmy się problemami po kolei: skończymy tu, a potem napuścimy na nich wywiad – zaproponował Han.

– Coś mi się wydaje, że wywiad nie ma specjalnych osiągnięć, jeśli chodzi o piratów.

– Bo nie ma – przyznał Han. – Moje kontakty wśród Niezależnych Przewoźników również.

– W takim razie potrzebujemy kogoś z lepszymi kontaktami. Jak na przykład Talon Karrde.

– Mam dziwne wrażenie, że coś ci się w tym pomysśle nie podoba – zauważył Han po chwili ciszy.

– Nie... – Luke zaczął żałować, że w ogóle się odezwał. – Tylko... nie, nic.

– Pozwól, że zgadnę. Mara?

– Mówiłem, że nic. Dajmy temu spokój.

– Jasne. Jak tylko tu skończymy, wracaj na Yavina i zapomnij o wszystkim. Chewie i ja znajdziemy Karrde'a. Zgoda?

– Zgoda. Dziękuję.

– Żaden problem. Problem to Diamalanie. Zobaczmy, czy im zmieniliśmy ich zdania w sprawie ochrony zapewnianej przez siły Nowej Republiki.

– Zobaczmy – Luke zawahał się. – Słuchaj, co im się właściwie we mnie nie podoba? Naprawdę chciałbym wiedzieć.

Tym razem cisza była krótsza.

– Ujmując rzecz najprościej, oni ci po prostu nie ufają – poinformował go Han.

– Dlaczego?

– Bo jesteś zbyt potężny. Przynajmniej według nich. Twierdzą, że Jedi mający taką władzę nad Mocą jak ty, zawsze kończą po Ciemnej Stronie.

Luke poczuł dziwne mrowienie w żołądku.

– Myślisz, że mają rację? – spytał.

– Przecież ja się na tym nie znam! – zaprotestował Han. – Przyznaję, że widziałem, jak robisz różne cuda i nieraz mnie to martwiło, ale skoro mówisz, że wszystko masz pod kontrolą, nie ma sprawy. Fakt, że przed chwilą nie popisywałeś się swoimi możliwościami.

– Fakt, nie popisywałem się – przyznał Luke niechętnie, ponieważ musiał także przyznać, iż Han miał rację: w przeszłości wielokrotnie robił różne dziwne i widowiskowe rzeczy.

Co prawda jedynie wtedy, gdy było to konieczne – by uratować czyjeś życie albo osiągnąć jakiś godny cel. Umiejętność władania Mocą wielokrotnie uratowała mu życie, podobnie jak Hanoi i innym, a używał jej tylko jeżeli nie miał innego wyjścia.

A mimo to...

A mimo to Obi Wan Kenobi, potężny Mistrz Jedi, pozwolił się zabić Vaderowi zamiast zniszczyć jednym gestem całą Gwiazdę Śmierci. A Yoda, znający i rozumiejący Moc lepiej niż ktokolwiek inny spośród żyjących, mógł bez niczyjej pomocy pokonać Imperatora. Tego ostatniego Luke był pewien na podstawie własnej wiedzy i doświadczeń. A przecież zamieszkał na bagnie i pozostawił to zadanie jemu i Rebelii.

I jeszcze Calista. Kobieta, którą kochał... i która od niego uciekła, gdyż jego możliwości w jakiś sposób ją przerażały...

– Nie przejmuj się tym, Luke – rozległ się głos Hana, przerywając mu nie najweselsze rozmyślenia. – Wiesz, jak dziwaczna i pokręcona potrafi być logika obcych.

– Wiem – przyznał Luke, zdając sobie równocześnie sprawę, że kwestia jest zbyt poważna, żeby ją zlekceważyć.

Kryło się tu coś, co wymagało dokładnego przemyślenia, medytacji i przedyskutowania z najbliższymi. Wstrząsnął się odruchowo na wspomnienie wcześniejszej wizji Imperatora i Exar Kuna – zdecydowanie musiał się tym szybko zająć.

Ale jak słusznie zauważył Han, problemami należało zajmować się pojedynczo i po kolei, toteż poprawił nieco pozycję i skupił się na bezpiecznym eskortowaniu frachtowców na Iphigin.

ROZDZIAŁ

3

Leia Organa Solo przez długą chwilę stała, pozwalając, by wiatr wiejący w waylandzkim lesie rozwiewał jej włosy, i wpatrywała się w niemym osłupieniu w złocistego droida protokolarnego przestępującego nerwowo z nogi na nogę. Sądziła, że nie ma już w galaktyce niczego, co zdołałoby odebrać jej mowę na dłużej – nie wzięła poprawki na własnego męża i ojca swoich dzieci.

– On zrobił co?! – wykrztusiła, odzyskując mowę.

Pytanie było niegrammatyczne i retoryczne, lecz upewniło ją, że nadal potrafi wydawać artykułowane dźwięki. Threepio albo tego nie zrozumiał, albo wolał nie ryzykować, więc powtórzył nie-szcześnie tonem:

– Razem z Chewbaccą polecieli na Iphigin, Wasza Wysokość. Przed kilkoma godzinami. Próbowałem ich powstrzymać, ale nie chcieli słuchać. Proszę mnie nie deaktywować.

Leia odetchnęła, powoli i ostrożnie używając Mocy, by się uspokoić i spróbować myśleć. Han albo już był na Iphiginie, albo tam dolatywał. Mogła kazać swojej straży honorowej zawieźć się tam, a wcześniej wysłać wiadomość pozbawiającą Hana jakichkolwiek praw arbitrażowych do czasu swego przybycia. Dzieci zostałyby bezpieczne – przy tej ilości Noghri nic nie miało prawa im się stać. Mogła też skontaktować się z Gavrisomem i zlecić mu wysłanie kogoś kompetentnego na negocjacje między Diamalanami a Ishori.

Każda z tych możliwości robiła z Hana durnia i nie poprawiała i tak nie najlepszej opinii, jaką Diamalanie mieli o możliwościach

Nowej Republiki. Prawdę mówiąc, istniała spora szansa, że mogło się to skończyć gorzej niż zostawienie mu wolnej ręki. Poza tym Han był bohaterem Rebelii, a obie rasy ceniły to, no i od lat obserwował, jak ona negocjuje, więc czegoś się przecież musiał nauczyć: aż taki tępy nie był.

– I jeszcze jedno – odezwał się niepewnie Threepio. – Kapitan Solo przed odlotem wysłał wiadomość do Pana Luke’a.

Leia uśmiechnęła się, po raz pierwszy odkąd usłyszała rewelacje Threepia – powinna się domyślić, że Han nie poleciał sam, tylko wciągnął we wszystko Luke’a.

– W porządku, Threepio – zapewniła nadal zdenerwowanego droida. – Kiedy Han coś postanowi, trudno go powstrzymać, a obaj z Lukiem powinni dać sobie radę.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – odsapnął z ulgą droid.

Leia odwróciła się powoli i popatrzyła na drugi kraniec polany. Anakin kucnął przy jednym z wysmukłych airspeederów i nawet z tej odległości słyszała, jak zawzięcie dyskutuje z pilotem. Ośmiolatek rozprawiający o wadach i zaletach konstrukcji airspeedera! Nieco z boku, przy speeder bike’ach, na których latała eskorta, Jacen i Jaina obserwowali młodszego brata z głęboką rezygnacją – byli o półtora roku starsi, ale doskonale wiedzieli z paroletnich doświadczeń, że Anakina nie da się zmusić do niczego. Dzieci i pojazdy otaczał pierścień niewysokich, szarych postaci zwróconych twarzami na zewnątrz. Nawet tu, na skraju swej osady, Noghri pozostawali czujni i gotowi do odparcia ataku. Poza nimi i ponad lasem rysował się poszarpany szczyt góry Tantiss.

– Witamy z powrotem, lady Vader – rozległ się obok poważny, nieco miaukliwy głos.

– O, rany! – Threepio aż podskoczył z wrażenia.

Leia nie podskoczyła tylko dzięki wieloletniemu doświadczeniu i uspokajającemu wpływowi Mocy.

Noghri, nawet gdy nie starali się poruszać szczególnie cicho, robili to bezszelestnie. Był to zresztą jeden z wielu powodów, dla których Darth Vader, a po nim wielki admirał Thrawn używali ich jako Komandosów Śmierci do specjalnych zadań, kiedy zawodziły inne, elitarne oddziały. Ich służba okazała się tak niezbędna, że celowo powoli zniszczono ich rodzinną planetę Honoghr, utrzymując na niej stan ciągłej klęski żywiołowej, by w zamian za niezbędną do przeżycia pomoc utrzymać ich wiecznie na służbie.

Leia pomogła im odkryć prawdę, co wprawdzie raz na zawsze przeciągnęło Noghri na stronę Nowej Republiki, ale poza tym okazało się pustym zyciństwem, bowiem, pomimo wielu wysiłków, przez ostatnie dziesięć lat nie tylko nie dało się poprawić, lecz nawet utrzymać stanu zniszczenia planety. Honoghr najprawdopodobniej nigdy nie będzie się nadawał do zasiedlenia i nigdy nie stanie się samodzielną, umożliwiającą życie planetą. Noghri pogodzili się z koniecznością zamieszkania gdzie indziej, wybrali planetę Wayland, ale ilekroć mówili o domu, Leia słyszała żal w ich głosach. Rozumiała ich doskonale – pomimo wielu lat, które minęły od zniszczenia jej Alderaan, wspomnienia nadal były bolesne. A przecież nie tylko te dwie planety zostały zniszczone lub przestały nadawać się do zamieszkania w wyniku walki z Imperium. Niektóre potrzebowały lat, by zaleczyć rany, inne nie zależą ich nigdy.

– Witam cię, Cakhmaimie z klanu Eikh'mir – powiedziała spokojnie. – Ufam, że wszystko jest w porządku.

– Wszystko jest w porządku i w spokoju – Cakhmaim skłonił się z szacunkiem, zwyczajem swej rasy. – Może z jednym, małym wyjątkiem.

– Wiem. Han i Chewie wystartowali, gdy nas nie było.

– A nie powinni? – głos Cakhmaima stał się nagle poważniejszy niż zwykle. – Powiedział nam, że zostali wezwani.

– Nic się nie stało – zapewniła go pospiesznie: stosunki między Hanem i Noghri nigdy nie należały do przyjaznych i nie miała ochoty ich zaostriąć. – Powinien najpierw ze mną porozmawiać, ale teraz to i tak bez znaczenia. Pewnie nie chciał, żebym znów się denerwowała polityką Nowej Republiki.

Cakhmaim podniósł głowę i przyjrzał się jej uważnie.

– W tej kwestii muszę przyznać rację Hanowi z klanu Solo, lady Vader. Meldunki twojej straży honorowej wykazują jednoznacznie, że zbyt mało czasu pozostaje ci, pani, na wypoczynek.

– Trudno się z tym nie zgodzić – przyznała Leia. – Tak się kończy połączenie zbyt absorbującej pracy i takiej samej rodziny. Po prostu doba jest dla mnie za krótka... Może teraz, gdy Ponc Gavrisom został prezydentem, zyskam więcej czasu dla siebie.

– Może – ton głosu wyraźnie wskazywał, iż Noghri, podobnie jak i Leia, w to nie wierzy. – Pamiętaj, że dopóki żyjemy, zawsze znajdziesz wśród nas schronienie. Ty, twoje dzieci, pani, i ich dzieci. Zawsze.

– Doceniam to, Cakhmaim – powiedziała poważnie Leia i faktycznie tak było: niewiele istniało w galaktyce miejsc, w których czułaby się tak bezpieczna jak wśród Noghri. – Wspomniałeś o jakimś problemie.

– Waham się, czy cię, pani, weń wciągać. Przybyłaś tu, by odpocząć, a nie rozstrzygać spory. Co więcej, nie chciałbym odrywać cię od twego pierworodnego i pierworodnej.

– Dzieci same doskonale znajdują sobie zajęcie – zapewniła go Leia, wskazując na drugi kraniec polany.

Istotnie – spod airspeedera wystawały dwie pary nóg: Anakina i pilota. Bliźnięta rozmawiały o czymś półgłosem, nadal z męczeńskimi minami, ale widać było, że mają już jakiś pomysł.

– Anakin uwielbia łamigłówki, a pozostała parka wcale nie jest tak znudzona, jak próbuje zasugerować – wyjaśniła. – Opowiedz mi o tym sporze.

– Jak sobie życzysz, pani. Najprościej będzie, jeśli udasz się ze mną.

– Threepio, nie będziesz mi potrzebny – oznajmiła Leia, odchodząc.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – ucieszył się droid, którego niechęć do jakichkolwiek sporów była powszechnie znana.

Przez niewielki zagajnik doszli do drugiej, znacznie większej polany, stanowiącej część osady, u podnóża góry Tantiss. Znajdowało się na niej około trzydziestu budowli takich jak te, które pamiętała z Honoghr. Jedyne różnice wynikały z odmienności tutejszych materiałów budowlanych. W centrum stała dłuższa niż zazwyczaj dukha.

Inne osady na Wayland sprowadziły swoje siedziby klanów z Honoghr, natomiast ta miała do spełnienia specyficzną misję, więc mieszkańcy wybudowali nieco odmienną dukhę jako stałe przypomnienie tego, co stracili. Noghri mieszkający u stóp Tantiss mieli pilnować, by pamięć o tym, co zabrało im Imperium i Imperator, nie zaginęła i aby coś podobnego nie zdarzyło się nigdy więcej.

Po obu stronach drzwi budynku stali wyprostowani chłopcy, jak najpoważniej traktujący obowiązki wartownika, zgodnie z tradycją pokoleń. Jeden z nich otworzył drzwi i Leia wraz z Cakhmaimem weszli do wnętrza, składającego się z jednego dużego pomieszczenia o wysokim sklepieniu z bali i ścianach, na których wyrzeźbiono dotychczasową historię i genealogię osady. W dwóch

trzech długości od wejścia znajdował się tron – jedyne siedzisko w całym pomieszczeniu.

A przed nim siedział na podłodze Devaronianin w upapranym ziemią kombinezonie.

– O, mój miły gospodarz – powitał Cakhmaima, wstając. – Mam nadzieję, że przyniosłeś coś do jedzenia: zaczynam być naprawdę głodny. A ty, jak sądzę, jesteś wędrownym szefem, o którym słyszałem. Lub raczej szefową.

– To członkini Wysokiej Rady Nowej Republiki, Leia Organa Solo – ton Cakhmaima był ostry niczym nóż. – Będziesz się do niej zwracał z należytych szacunkiem.

– Naturalnie – zgodził się Devaronianin, dotykając swego prawego rogu opuszkami palców prawej dłoni. – Nie zwracałbym się inaczej do oficjalnej przedstawicielki Nowej Republiki.

– Naturalnie, że nie – odparła Leia tym samym tonem, próbując równocześnie wyczuć jego emocje przy użyciu Mocy, jako że choć przedstawiciele tej rasy często pojawiali się w portach całej galaktyki, sama nie rozmawiała dotąd dłużej z żadnym z nich, ponieważ w siłach Rebelii było ich niewielu. – Jak się nazywasz?

– Lak Jit, prosty poszukiwacz wiedzy i prawdy.

– Aha, prosty – uśmiechnęła się lekko, mocniej się koncentrując: kłamstwa nie wyczuwała, ale zbyt słabo znała Devaronian, by to cokolwiek znaczyło.

Wiedziała, że niepełnej prawdy czy też z lekka pokoloryzowanej wersji wydarzeń nie zdołałaby w stanie wyczuć – Luke to potrafił, ona nie.

– Na czym polega istota sporu, Cakhmaim? – spytała po chwili.

– Jeden z patroli spotkał go w pobliżu góry Tantiss. Kopał w pobliżu uskoku i znalazł sześć datakart. Gdy spróbowano mu je odebrać, oznajmił, że ma do nich prawo na mocy Uzgodnienia Debble’a.

– Doprawdy? – Leia przyjrzała się rogowemu z nowym zainteresowaniem.

Uzgodnienie Debble’a stanowiło rezultat kompromisu, który zmuszona była narzucić w sporze między oczyszczającymi okolicę wybuchu zespołami Noghri a archeologiem Nowej Republiki Gavvem Debble’em. Noghri stanowczo chcieli zniszczyć wszelkie ślady obecności Imperatora na planecie, podczas gdy Debble nalegał, by okazy zrabowane z innych planet zostały tam zwróco-

ne, jeśli ktoś je odnajdzie. Uzgodnienie było nieformalne i raczej prywatne, więc wydawało się co najmniej dziwne, że wiedział o nim zwykły poszukiwacz skarbów.

– A skąd wiesz o Uzgodnieniu Debble’a? – spytała.

– Ponieważ współpracuję z człowiekiem, który o ile mi wiadomo, niejednokrotnie współdziałał z Nową Republiką. Nazywa się Talon Karrde.

– Rozumiem – głos i mina Leii pozostały obojętne, lecz sporo ją to kosztowało.

Talon Karrde był szefem rozległej organizacji przemysłowo-wywiadowczej obejmującej prawie całą znaną galaktykę. Niechętnie, bo niechętnie, ale wystąpił w końcu po stronie Nowej Republiki podczas kontrofensywy przeprowadzonej przez wielkiego admirała Thrawna. Zanim to zrobił, stworzył koalicję przemysłowców, i to ich jednostki okazały się decydującą siłą w ostatecznej bitwie. Po latach koalicja rozpadła się, ale Leia i Karrde pozostawali w kontakcie i wielokrotnie udowodnił on, czyje interesy leżą mu na sercu.

Dalsze przemyślenia przerwała jej znajoma obecność za plecami. Odwróciła się, gdy w drzwiach stanął Jacen.

– Mamo, kiedy zobaczymy wreszcie tę górę? – spytał, przyglądając się obojętnie Lak Jitowi. – Powiedziałaś, że dzisiaj tam pójdziemy.

– I pójdziemy, jak tylko załatwię tę drobną sprawę – zapewniła go.

– Myślałem, że tu nie będziesz miała żadnych spraw – zdziwił się chłopak.

– Ja też tak myślałam. To nie potrwa długo.

– Ale mnie się nudzi! – Jacen przyjrzał się ponownie Devaronianinowi i Leia wyczuła, że spróbował go wysondować, używając Mocy. – To ty jesteś tą sprawą?

– Owszem – uśmiechnął się nieznacznie zapytany. – I twoja matka ma rację: to nie potrwa długo. Senator Leia Organa zdaje sobie sprawę, iż historyczne zapisy są dokładnie tym, co chroni Uzgodnienie Debble’a i dlatego...

– Mamy tylko twoje oświadczenie, że to historyczne zapisy – przerwał mu Cakhmain. – Musimy to sprawdzić.

– Zgoda – wtrąciła Leia, zanim Lak Jit zdążył się odezwać. – Co prawda trochę to potrwa, ale nie będzie to dla ciebie czas stracony. Dasz mi te datakarty w zamian za pięćset kredytów. Po

sprawdzeniu zaproponuję ci cenę zgodnie z ich faktyczną wartością.

– A kto zdecyduje, ile są warte?

– Ja, albo jeśli wolisz, zabiorę je na Coruscant i wyceny dokonają senator Sien Siev lub inny historyk, którego wskażesz.

– A jeśli odmówię?

– Wtedy cenę ustalą Noghri.

Lak Jit skrzywił się, co niezbyt różniło się od dotychczas prezentowanego uśmiechu.

– Wydaje mi się, że nie mam wyboru – oznajmił, podając jej wyjęte z kieszeni datakarty. – Proszę je więc ocenić, a skoro gospodarz nie dostarczył mi nic do jedzenia, może sam sobie czegoś poszukam w czasie, kiedy będziecie je sprawdzać?

– To miało być niedługo – przypomniał Jacen.

– Cicho – poleciła mu Leia, biorąc podany plik i sprawdzając, czy jest ich faktycznie sześć.

Było. Były też zabłocone, podobnie jak kombinezon znalazcy. Musiały zostać wyrzucone przez eksplozję, gdy Chewbacca i Lando wysadzali reaktor bazy, i przez te wszystkie lata leżały zagrzebane w ziemi.

Lak Jit odchrząknął:

– To mogę...?

– Tak – przerwała mu Leia, do której dopiero teraz dotarło, że Devaronianie są drapieżnikami. Szczegółów poszukiwania posiłku wołała nie znać, mając w perspektywie własny obiad. – A ty Jacen trenuj cierpliwość: powiedziałam, że to nie potrwa długo i nie potrwa.

– Też nalegam na pośpiech – dodał Lak Jit, wychodząc.

– Mamo...

– Jeśli tak się nudzisz, poproś Cakhmaima, żeby ci pokazał historię wyrytą na ścianach – zaproponowała Leia, delikatnie ścieraając brud z wierzchniej datakarty. – Albo przyłącz się do młodych na zajęciach walki wręcz. O ile dobrze pamiętam, Mobvekhar ma ich dzisiaj uczyć stosowania dźwigni.

– Nie potrzebuję dźwigni – oburzył się Jacen. – Mam Moc.

– Ale daleko ci do zostania Jedi – Leii też nie podobały się przymusowe zajęcia, lecz nie miała najmniejszego zamiaru ustępować marudzaczemu synowi. – Gdybyś był, wiedziałbyś, że Moc nie zastępuje tężyzny fizycznej i wszystkich umiejętności. Szkoła walki Noghri to doskonałe ćwiczenia.

– Spacer po górach też. To kiedy idziemy?
– Jak skończę – oświadczyła stanowczo i przyjrzała się napirosowi, który wyłonił się spod brudu: „Nagrania Czwartej Konferencji Pestorivskiej”.

Nie dostrzegła w nim żadnej rewelacji – wszystkie konferencje pestorivskie były jawne i dokładnie udokumentowane. Chyba że Imperator miał prywatną wersję rozmów kularowych. Należało to sprawdzić, ale najpierw musiała dokładnie oczyścić nośnik, gdyż w obecnym stanie datakarta gwarantowała dokładne zabrudzenie czytnika. Druga z kolei dotyczyła tańców godowych Ri'Dav, też nic nadzwyczajnego. Oczyściła trzecią i nagle zrobiło się jej zimno, gdy przeczytała dwa słowa stanowiące tytuł: „Ręka Thrawna”.

– Mamo? – szepnął Jacen. Nie potrzebował dużego doświadczenia w używaniu Mocy, by wyczuć gwałtowne zmiany emocji, zwłaszcza jeśli kogoś dobrze znał. – Co się stało?

Leia także użyła Mocy, by się uspokoić.

– Nic – powiedziała po chwili. – To co przeczytałam, po prostu mnie zaskoczyło.

– „Ręka Thrawna” – przeczytał Jacen, zaglądając jej pod ręką. – Co to znaczy?

– Tego właśnie nie wiem.

– Więc dlaczego tak się przestraszyłaś?

Pytanie było logiczne – czyżby samo niespodziewane wystąpienie nazwiska Thrawn wystarczyło do takiej reakcji? Jakoś nie wydało jej się to prawdopodobne.

– Nie wiem – przyznała uczciwie. – Może po prostu za dobrze pamiętam przeszłość.

– Albo miałaś, pani, wizję przyszłości – powiedział cicho Cakhmaim. – Mal'ary'ush dysponuje wielkimi możliwościami, wnuku Vadera.

– Wiem – przyznał ponuro Jacen.

– Zatem bądź uprzejmy nie zapominaj o tym – Leia rozwihrzyła mu włosy czułym gestem. – Teraz siedź przez chwilę cicho, zobaczymy, o co tu chodzi.

Jakoś tym razem perspektywa zabrudzenia czytnika nie była wystarczającym powodem do zwłoki.

– I co? – spytał Cakhmaim po parunastu sekundach.

– Nic, a raczej nic zrozumiąłem. Albo cała zawartość jest zaszyfrowana, albo treść została poważnie uszkodzona przez pobyt

w ziemi. Może technicy na Coruscant będą w stanie... – nagle urwała, czując to samo co Jacen.

– Jaina i Anakin! – krzyknął prawie równocześnie chłopiec.

– To Lak Jit! – dodała, odbierając strach dzieci i mając przed oczyma obraz kłębow białego dymu i rogatej postaci biegnącej przez polanę. – Cakhmaim!

Ten był już przy drzwiach i ogłaszał alarm w śpiewnym kodzie bojowym Noghri. Leia wcisnęła do kieszeni czytnik i datakarty, złapała Jacena za rękę i skoczyła do drzwi. Zdażyła wybiec na zewnątrz, gdy spośród drzew rozległa się przypominająca ćwierkanie odpowiedź.

– Nic im nie jest – oświadczył z ulgą Cakhmaim. – Devaronianin ukradł speeder bike’a.

Wokół ze wszystkich budynków wypadali uzbrojeni Noghri.

– W którą stronę leci? – spytała Leia, maszerując ku drugiej polanie.

Noghri utworzyli wokół niej podwójny pierścień ochronny, zanim między drzewami dało się dostrzec rzednący, biały dym. Używając Mocy, uspokoiła pociechy, a Cakhmaim zajął się zebraniem informacji.

– Nie wiadomo – oznajmił ponuro. – Dym uniemożliwił dokładną obserwację.

Kiedy dotarli na polanę, dymu już nie było. Z dziewięciu strażników pozostało sześciu tworzących ciasny pierścień wokół Jaina i Anakina. Leia zaczęła od uściskania obojga – o tym, że są cali i zdrowi, wiedziała, nim ich zobaczyła.

– Co się stało, Khabarakh?

– Zaskoczył nas, pani – wyznał ze wstydem zapytany. – Wszedł zupełnie normalnie na polanę i po kilku krokach upuścił saperkę. Część trzonka stanowił granat dymny, który eksplodował przy uderzeniu. Słyszeliśmy, że uruchamia speeder bike’a, ale nic nie widzieliśmy. Zabroniłem poszukiwania na oślep, nie chcąc narażać dzieci. Powinienem kazać go szukać natychmiast?

– Nie – oświadczył stanowczo Cakhmaim. – Maszyna przecież nie ma znaczenia. Ważne było i jest bezpieczeństwo dzieci lady Vader. Postąpiłeś zgodnie z honorem, Khabarakhu z klanu Kihm’bar.

– Dlaczego on uciekł? – Jaina pociągnęła Leię za rękaw, wiedząc, że jest to najskuteczniejszy sposób zwrócenia na siebie uwagi. – Bał się Noghri?

– W pewnym stopniu, kochanie – odparła Leia ponuro, wyciągając z kieszeni datakarty i rozkładając je w wachlarz.

Wszystkie miały brudne brzegi, ale tylko jedna z nich wyłączenie brzegi. Teraz stało się jasne, dlaczego Devaronianin uciekał.

– Lady Vader?

Leia odwróciła się – na skraju polany dwóch Noghri pomagają wstać oszołomionemu Threepio.

– O, rany! – jęknął droid. – Musiałem się potknąć...

– Threepio! – Anakin przepchnął się pomiędzy matką i Cakhmaimem, i dopadł droida. – Nic ci się nie stało?

Threepio obejrzał się, na ile mógł, i zapewnił:

– Wydaje mi się, że nie odniosłem żadnych uszkodzeń, panie Anakinie, ale dziękuję za troskę.

– Musimy go znaleźć – oznajmiła Leia, pokazując obu Noghri czystą datakartę. – Nadal ma oryginalną, znalezioną na zboczcu.

– Zaraz wyślę więcej patroli – Cakhmaim sięgnął po komling. – I może również sprawię złodziejowi niespodziankę.

– Wasza Wysokość! – odezwał się nagle Threepio, podchodząc. – Nie wiem, czy to się na coś przyda albo czy o tym wiecie, ale zanim się potknąłem i przewróciłem...

– Mów, o co chodzi! – warknął Cakhmaim.

Threepio lekko się cofnął, lecz dokończył nader zwięźle:

– Widziałem skradziony speeder bike lecący w tamtą stronę! – i wskazał, w którą.

– Threepio był poza dymem – dodał Anakin.

– Leci na północny stok – ocenił Cakhmaim. – Musiał tam ukryć statek. Khabarakh, weź wszystkie pojazdy i leć za nim ze swoją grupą. Ja zaprowadzę lady Vader i jej dzieci do osady.

– Tylko dzieci – poprawiła go Leia, ruszając ku najbliższemu airspeederowi. – Lecę z Khabarakhem.

Trzydzieści sekund później znaleźli się już w powietrzu.

– Wiecie, gdzie może być jego statek? – spytała, obserwując przemykający w dole krajobraz.

– Myneyrski powinny wiedzieć – odparł Khabarakh. – Obserwują każde poruszenie wokół zakazanej góry. To może być ta niespodzianka, o której mówił Cakhmaim.

Leia wyjęła ze schowka makrolornetkę i zajęła się oglądaniem lasu pod i przed pojazdem.

– Chyba trzyma się poziomu drzew – oceniła po kilku minutach.

– Więc leci powoli i powinniśmy go dogonić; ale dopóki nie zlokalizujemy jego statku, jeszcze może się nam wymknąć i wystartować.

A jeśli wtedy airspeedery nie będą tuż obok, to statek w ciągu paru sekund znajdzie się poza zasięgiem ich ognia... Leia próbowała odnaleźć zbiega przy użyciu Mocy, nadal obserwując teren w dole. W lesie nie wykryła nic, ale wyczuła coś dziwnie znajomego, co się zbliżało... opuściła makrolornetkę i przyknęła oczy dla lepszej koncentracji...

– Trzymać się! – wrzasnął Khabarakh i położył maszynę w nagły, ostry lewoskręt.

Leia odruchowo złapała za poręcz, omal nie gubiąc przy okazji makrolornetki. W dole przed nimi pojawił się ponad drzewami stary frachtowiec typu Gymsnor-2 gwałtownie nabierający wysokości. Zamknęła oczy i sięgnęła po Moc... tym razem bez trudu wykryła na pokładzie Devaronianina.

– To on – oznajmiła. – Uda się go zatrzymać?

– Możemy spróbować – odparł Khabarakh.

Leia skrzywiła się odruchowo, przypominając sobie podstawową zasadę Jedi, w nieskończoność powtarzaną przez Luke'a podczas szkolenia: „Rób albo nie rób – nigdy nie próbuj”.

W tym przypadku szybko stało się jasne, że próba jest nieudana – statek powoli, lecz systematycznie zwiększał odległość dzielącą go od airspeerów. A przed nim nie było żadnych przeszkód terenowych ani innych jednostek mogących spowodować zmianę kursu i zwolnienie. Już osiągnął pułap przekraczający możliwości speeder bike'ów, a za kilka minut znajdzie się ponad zasięgiem airspeerów...

Nagle w głośniku rozległ się miaukliwy głos któregoś Noghri, Khabarakh coś mu odpowiedział i niespodziewanie zwolnili. Nim Leia zdążyła spytać, dlaczego, z prawej przemknął jakiś frachtowiec, rycząc silnikami hamującymi, i runął prosto na statek Devaronianina.

– Khabarakh! – jęknęła wczepiona kurczowo w poręcz, kiedy airspeer zaczął dziko tańczyć w turbulencji.

– Wszystko w porządku, pani. To sojusznik.

– Sojusznik? – powtórzyła zdziwiona i uważniej przyjrzała się nowo przybyłej jednostce.

Był to corelliański frachtowiec serii Action IV, czterokrotnie większy od Gymsnora i ze zdrowo podrasowanym napędem, gdyż właściwie dopadł już celu. Lak Jit musiał dojść do podobnych wniosków, ponieważ skręcił ostro w prawo, nurkując ku drzewom, po czym jeszcze gwałtowniej skręcił w lewo i ile mocy w silnikach pomknął w górę, wracając na pierwotny kurs. Manewr był wielokrotnie i skutecznie stosowany przez jednostki rebelianckie uciekające przed większym i mniej zwrotnym prześladowcą, ale tym razem zawiódł.

Najwyraźniej pilot corelliańskiego statku też znał tę sztuczkę, bo zaczął powrót na pierwotny kurs sekundę przed Lak Jitem i kiedy ten wyrównał, frachtowiec nadal był nad Gymsnorem, i to zmniejszając wysokość, czym zmusił mniejszą jednostkę doniżenia lotu. Alternatywą była kolizja, z której mniejszy statek wyszedłby w opłakanym stanie. Devaronianin został zmuszony do lądowania.

– Dobry pilot – ocenił Khabarakh.

– Fakt... to jest ta niespodzianka, o której mówił Cakhmaim – domyśliła się Leia.

– Zgadza się: „Wild Karrde” z Talonem Karrde i Marą Jade na pokładzie – potwierdził Noghri. – Ufam, że nie jesteś niemile zaskoczona, pani?

Leia uśmiechnęła się. Talon Karrde: uprzejmy, inteligentny i sprytny przemytnik, niegdyś sojusznik Nowej Republiki, obecnie przez większość członków Rady uznawany za nie zasługującego na zaufanie. I Mara Jade – jego zastępczyni, niegdyś Ręka Imperatora i, nie licząc Leii, pierwsza uczennica Luke’a. Obecnie obdarzana przez Radę jeszcze mniejszym zaufaniem niż Talon.

– Nie, Khabarakh, Talon i Mara to miła niespodzianka – odparła poważnie. – Podobnie jak wy, ja też nie zapominam o przeszłości.

Gymsnor stał na polanie, nieco krzywo, gdyż jedna z podpór podwozia złożyła się podczas przymusowego lądowania. Właz był otwarty, rampa opuszczona i otoczona przez Noghri.

– Nie uwierzyłabym, że można w ten sposób zmusić statek do lądowania, nie robiąc z niego przy okazji wraku – przyznała Leia z podziwem.

– Cakhmaim zamawiał obiekt „w miarę nie uszkodzony” – wyjaśnił skromnie stojący obok niej Talon Karrde. – Staramy się zadowolić naszych klientów.

– Z reguły z powodzeniem – oceniła Leia, obserwując, jak we władze pojawia się dwóch Noghri, zamienia z czekającymi kilka słów i znika z powrotem we wnętrzu frachtowca. – Miło mi, że znaleźliście się w okolicy. A właściwie, co cię tu sprowadza?

– Interesy. Eksperymentuję z nową formą ochrony: wynajmuję kilku Noghri jako obstawę dla swoich ludzi w paru niesympatycznych miejscach i zaczyna się sprawdzać, więc przyleciałem negocjować nowe kontrakty.

– Nic o tym nie słyszałam.

– Bo staraliśmy się zachować tajemnicę. Poza tym sama wiesz, że nie jestem ostatnio mile widziany na Coruscant, a biorąc pod uwagę twoje bliskie kontakty z Noghri, nie chcieliśmy narażać na szwank twojej reputacji i pozycji.

– Doceniam troskę, ale potrafię zatroszczyć się o swoją reputację – parsknęła Leia. – Jeśli zaś chodzi o gościnność Nowej Republiki, to nie wszyscy zapomnieli, że pomogłeś powstrzymać kontrofensywę wielkiego admirała Thrawna, choć przyznaję, że ostatnimi czasy liczba durni i niewdzięczników znacznie wzrosła.

– Wątpię, czy ktokolwiek z senatorów lub członków Rady naprawdę zapomniał – w głosie Karrde’a zabrzmiał rzadki u niego smutek. – Rzecz w tym, że większość z nich gardziła moją organizacją i mną samym, i wstydziła się tej pomocy już wtedy, kiedy jej korzystała.

Leia przyjrzała mu się uważniej – wiedziała o coraz większym rozluźnieniu stosunków między Talonem i jego przyjaciółmi-przemysłowcami a Nową Republiką, jakie stopniowo następowało w ciągu ostatnich kilku lat, ale nie sądziła, że jest mu aż tak przykro z tego powodu.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Co mogę zrobić, żeby ci pomóc?

– Nie próbuj nic robić – odparł z rezygnacją. – Mnie nie pomożesz, a sobie zaszkodzisz. Przemysłowcy, najemnicy, oszuści, hazardziści i piraci należeli, należą i zawsze będą należeć do obrzeży społeczeństwa zwanych potocznie „marginiesem”. Jeśli spróbujesz nas bronić, najwyżej zaszargasz własną reputację.

– Już ci powiedziałam, że sama się troszczę o swoją reputację.

– A poza tym – dodał cicho, jak gdyby ignorował jej słowa – zwracając uwagę na mnie, ściągniesz ją też na Noghri. Jak myślisz, za co, jeśli nie za niedozwoloną działalność, uznają członkowie Rady wynajmowanie się przez nich jako ochroniarzy przemysłowców?

Miał rację i Leia zdawała sobie z tego sprawę – co gorzej, Noghri nadal czuli się winni za wieloletnią służbę Imperium i znając ich wiedziała, że każdy szef klanu znacznie poważniej przyjąłby głupie zarzuty, o których wspomniał Karrde, niż na to zasługiwały. Najgorszym rodzajem pokuty była ta dobrowolna i w dodatku niezasłużona, ale na to nic nie umiała poradzić.

– Przykro mi – to było wszystko, co mogła powiedzieć.

– Więc niech ci nie będzie – poradził Talon. – Jak Nowa Republika mnie nie chce, to ja jej też: łaski bez.

– Aha, wreszcie!

Leia odwróciła się – po rampie załadunkowej schodziła niewielka procesja: trzech Noghri, ponury Lak Jit i Mara Jade z brudną datakartą w dłoni.

– Tak na marginesie – przypomniała sobie Leia na widok złocistorudej dziewczyny. – Co się stało z firmą Mary? Słyszałam, że splajtowała, ale nie znam szczegółów.

– Nie splajtowała, tylko została zamknięta. Prawdę mówiąc, od początku było to pomyślane jako czasowe przedsięwzięcie – uśmiechnął się Talon. – Chciałem, żeby nabrała doświadczenia w kierowaniu własną, niewielką firmą i zafundowaliśmy jej taką. Człowiek musi przygotować sobie kompetentnego następcę, prawda? A raczej następczynię.

Procesja zeszyła z rampy i zbliżyła się do miejsca, w którym stali Leia i Karrde. Zgodnie z oczekiwaniami Leii pierwszy odezwał się Lak Jit:

– Stanowczo protestuję przeciwko takiemu traktowaniu! – oświadczył gniewnie. – Nie popełniłem żadnego przestępstwa, które uzasadniałoby otwarcie do mnie ognia i uszkodzenie mojego statku. Złożę oficjalny protest w Radzie i Senacie Nowej Republiki, we władzach sektora Ojoster, w Gildii Kupców Corelliańskich...

– I u swego pracodawcy Talona Karrde'a? – zasugerował uprzejmie Talon.

– Naturalnie, że u Talona Karrde'a także – zgodził się Lak Jit. – Domagam się natychmiastowego zwrotu mojej własności i...

Urwał nagle, dopiero teraz zauważając Talona. Sondująca go przy użyciu Mocy Leia bez większego trudu wyczuła szok, jakiego doznał.

– Ty jesteś...? – wykrztusił Lak Jit, szarzejąc.

– Tak, jestem – głos Karrde’a był lodowaty, gdy odbierał od Mary datakartę. – Możesz mi powiedzieć, co chciałeś z nią zrobić?

– Przywieźć tobie, naturalnie.

Leia spojrzała na stojącą za Devaronianinem Marę, której dłoń spoczywała na przypiętym do pasa mieczu świetlnym. Widząc jej spojrzenie, Mara uśmiechnęła się porozumiewawczo i z politowaniem – obie wyczuły, że Lak Jit kłamał. Mara przeniosła spojrzenie na Talona i lekko przechyliła głowę w lewo.

– To pierwsze kłamstwo, Lak Jit – oznajmił Karrde. – Zełżesz jeszcze raz, a ja zawiadomię Gildię Kupców Corelliańskich, że nielegalnie podajesz się za jej członka. Trzecie kłamstwo i będziesz miał kłopoty ze mną. Zaczniemy od początku: gdzie się tak spieszyłeś?

Devaronianin jakby zapadł się w sobie.

– Sprzedać ją – wymamrotał. – Temu, kto da najwięcej. Znacznie więcej, niż ona by dała.

Ruchem głowy wskazał Leię.

– A kim to są ci szczodrzy nabywcy?

Lak Jit poruszył lekko rogami, co stanowiło odpowiednik wzruszenia ramionami.

– Sam się domyślisz, jak przeczytasz. Tylko uważaj: jest tak brudna, że prawie zniszczyłem sobie czytnik.

– Zauważyłem – Karrde spojrział na Marę: – Sprawdziłaś cały statek?

– Noghri kończą rewizję, ale to na pewno oryginalna datakarta – odparła rzeczowo Mara.

– No, dobrze – Karrde przeniósł ciężkie spojrzenie na Devaronianina. – Możesz odlecieć, jak tylko skończą rewizję. W zależności od tego, co zawiera ta ciekawostka, będziesz nadal lub nie będziesz należał do mojej organizacji. O wyniku poinformuje cię twój standardowy łącznik.

Lak Jit skłonił się wyszukanie.

– Jak zwykle szczodry i łaskawy – ton był odrobinę zbyt mało złośliwy, by uznać to za obelgę. – Ktoś tu mówił o jakichś pięciuset kredytach?

– Za rzucenie granatu dymnego w moje dzieci należy ci się coś zgoła innego, więc jeśli cenisz swoją skórę, skończ z beczelnością – warknęła Leia. – Zapłatę dostaniesz, gdy odczytamy daktarty i ocenimy, ile są warte.

– Zanim ci zapłacę, zastanowię się, czy nie skasować cię za kłopoty, których stałeś się przyczyną – dodał Talon.

– Szczodrość i łaskawość... – westchnął Lak Jit.

– Następnym razem spróbuj z jakimś Huttem – doradził mu Karrde. – Sam jestem ciekaw wyniku.

Devaronianin skłonił się już normalnie i ruszył w stronę statku, z którego wyszła właśnie grupa Noghri. Trzej, towarzyszący mu od wylądowania, nie opuszczali go na krok.

– Twoja, jak sądzę – Talon podał Leii powód całego zamieszania. – Na pokładzie mamy urządzenia do oczyszczania, jeśli masz ochotę z nich skorzystać.

– A przy okazji pozwolisz mi przeczytać zawartość, choćby zaglądając mi przez ramię? – uśmiechnęła się domyślnie.

– Możemy to uznać za formę zapłaty – Karrde także się uśmiechał – chyba że uważasz, iż na nią nie zapracowałem?

– Czasami zapominam, jak się z tobą rozmawia – westchnęła z rezygnacją.

Ostatnia czytelna strona zniknęła z ekranu, ustępując miejsca komputerowemu bełkotowi uszkodzeń. Leia delikatnie odstawiała czytnik na blat biurka, czując serce w gardle. Prywatny gabinet Karrde'a, jeszcze przed chwilą ciepły i przytulny, wydał jej się nagle obcy i zimny. Wrażenie minęło, gdy siedzący naprzeciwko gospodarz sięgnął po czytnik.

– Teraz przynajmniej wiemy, dlaczego Fey'lya tak nalegał, by magazyn pod Tantiss został jak najszybciej zniszczony – powiedział cicho.

Leia przytaknęła w milczeniu. Doskonale pamiętała, jak dziesięć lat temu senator i członek Wewnętrznej Rady Borsk Fey'lya prawie błagał Karrde'a na lądowisku Coruscant, żeby ten poleciał wraz z Leią pomóc Hanowi i pozostałym w zniszczeniu osobistego magazynu Imperatora pod górą Tantiss. Jedyne, co dało się z niego wydusić, to jęk, że są tam rzeczy, które jeśli ujrzą kiedykolwiek światło dzienne, sprowadzą nieszczęście zarówno na rasę Bothan, jak i na całą galaktykę.

Teraz, przez Lak Jita, ujrzały. I okazało się, iż Fey'lya miał rację.

– Nie sędzę, by istniała jakakolwiek szansa, że to może być fałszerstwo – ocenił Karrde rzeczowo. – Coś, co Imperator kazał zmajstrować, żeby kiedyś móc szantażować Bothan.

– Ja też – przyznała Leia. – Królewska biblioteka na Alderaan miała bogaty zbiór danych dotyczących ataku na Caamas. Na tej datakarcie są szczegóły, które pamiętam, a które nigdy nie zostały podane do publicznej wiadomości.

– Aż trudno uwierzyć, że cokolwiek dotyczącego Caamas przez tyle lat udało się utrzymać w tajemnicy – Talon potrząsnął głową z podziwem. – Wściekłość i oburzenie, jakie wywołało spalanie planety, były większe niż potem, gdy zniszczono twój Alderaan.

Leia odruchowo przytaknęła, mając przed oczyma obrazy, które widziała jako dziecko w archiwalnych zapisach, bowiem zniszczenie Caamas nastąpiło przed jej urodzeniem. Holoprojekcje i hologramy przedstawiały jednak wszystko tak wyraźnie i przerażająco, jakby to, co przedstawiały, widziała na własne oczy. Atak był całkowicie niespodziewany i tak niszczycielski, że wyróżniał się nawet na tle masakr z okresu Wojen Klonów, które go poprzedziły. Być może napastnicy liczyli na to, że społeczeństwo mające dość wyniszczającego konfliktu, który niedawno przetoczył się przez galaktykę, na tyle zobojętniało, iż losy jednej planety nie zwrócą niczyjej uwagi, a już na pewno nie wywołają współczucia czy oburzenia.

Jeśli tak zakładali, to srodze się zawiedli, ponieważ reakcja była dokładnie odwrotna, i to na naprawdę zaskakującą skalę. Na pewno wiele znaczył fakt, że mieszkańcy Caamas, szlachetni i pokojowo nastawieni, kultywowali sztukę i wiedzę, które zjednały im głęboki szacunek nawet wśród przeciwników. Ich przekonanie, że do pokoju doprowadzi jedynie siła moralna, wpływało na myśl polityczną wielu planet, w tym także mieszkańców Alderaan, zaś nieugięte wspieranie zasad ustrojowych Starej Republiki powodowało, iż w tych burzliwych czasach właśnie wokół nich koncentrowali się wszyscy jej zwolennicy.

Nigdy nie odkryto, kim byli napastnicy, gdyż pojawili się bez ostrzeżenia, a atak przeprowadzili tak błyskawicznie i skutecznie, że nie ocalał nikt z mieszkańców. Całą powierzchnię planety i wszystko, co na niej żyło, spopielono podczas systematycznego

ostrzału z orbity. Żaden z politycznych przeciwników nie udzielił, nawet najmniejszą sugestią, wsparcia napastnikom – wszyscy przyłączyli się do powszechnego potępienia. Niestety, nagrania z walk i zniszczeń, które ocalały, okazały się zbyt niewyraźne, by dało się zidentyfikować przynajmniej przynależność rasową napastników. Atak na Caamas wiązał się zresztą z wieloma nie wyjaśnionymi zagadkami – jedną z nich rozwiązywała treść odkrytej przez Lak Jita datakarty.

– Prawie wszyscy ich szanowali i cenili – szepnęła Leia, wracając do rzeczywistości. – Zresztą nadal powszechny szacunek otacza tych nielicznych, którzy jeszcze żyją. Nie wiedziałeś o tym, ale największa kolonia Caamasi znajdowała się na Alderaan. Mieszkali na Wyspie Południowej, gdy dorastałam. Byli pod ochroną mego ojca, lecz nie afiszowali się ze swoją obecnością. Mieli nadzieję, że kiedyś gdy staną się wystarczająco liczni i majątni, powrócą na swoją planetę i spróbują odbudować cywilizację.

– Interesujące – Karrde pogładził się po starannie przystrzyżonej bródce. – Tak się składa, że dostarczałem im lekarstwa i żywność, których potrzebowali, a które zostały objęte zakazem importu na Alderaan. Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego wasi celnicy nigdy tak naprawdę nie próbowali niczego znaleźć.

– Ojciec nie chciał, żeby cokolwiek figurowało w oficjalnych dokumentach, bo od początku podejrzewał, że Palpatine w jakiś sposób brał udział w zniszczeniu Caamas. Umocnił się w tym przekonaniu, gdy stało się jasne, co on próbuje zrobić z Republiką. Caamasi nigdy nie pozwoliliby na takie wykoślawienie zasad Starzej Republiki, a cieszyli się zbyt wielkim mirem, by traktować ich jedynie jako teoretyczną przeszkodę. Byli także na tyle doświadczonymi politykami i filozofami, że musieliby zorientować się w porę, do jakiego celu zmierza przyszły Imperator.

– Dlatego należało ich wyeliminować, kiedy jeszcze nikt niczego nie podejrzewał. To akurat oczywisty wniosek, natomiast przynajmniej, że nigdy nie domyśliłbym się, że zamieszani w to byli Bothanie.

– Nie tylko ty. Wszyscy będą zaskoczeni, a ta rewelacja nie mogła wypłynąć w gorszym okresie. W całej galaktyce wybuchają lokalne animozje, zadawnione urazy. Na razie mało kto zaczął strzelać do sąsiadów, ale napięcie stale rośnie. Obawiam się, że Nowa Republika nie potrafi racjonalnie załatwić czegoś takiego – Leia skrzywiła się na samą myśl o przyszłości.

Drzwi otworzyły się i do pomieszczenia weszła Mara.

– Alarm ogłoszony – oznajmiła, siadając obok Leii. – Wszystkie nasze jednostki, placówki i agenci oraz Mazzic i Clynguunn szukają Lak Jita. Jeśli tylko pojawi się w pobliżu któregoś z nich, jest nasz. Poza tym znaleźliście na niej jeszcze coś ciekawego?

– Nic, co dałoby się przeczytać od ręki – odparła Leia. – Może technicy na Coruscant zdołają coś jeszcze odtworzyć, ale bardzo wątpię.

– A wracając do Caamas – odezwał się Karrde – przypadkiem nie masz nic do dodania?

– Jak na przykład personalia Bothan, którzy uszkodzili generatory pola siłowego chroniącego planetę? – Mara uśmiechnęła się bez cienia wesołości.

– Na przykład. Byłby to miły początek.

– Pewnie, że byłby – parsknęła, poważniejąc. – Niestety, na ten temat nie wiem nic, dopiero teraz dowiedziałam się, że byli w to zamieszani jacyś Bothanie. Nie zapominaj, że Caamas należał już do przeszłości, zanim Imperator mnie znalazł i wyszkolił.

– Nigdy o tym nie mówił? – zdziwiła się Leia. – Nie chwalił się? Nie wspominał?

– On w ogóle mało się chwalił, a jeszcze mniej wspominał. Przy mnie wspominał Caamasi tylko jeden raz, kiedy nabrał podejrzeń, że Bail Organa aktywnie działa przeciw niemu i zastanawiał się, czy mnie nie wysłać na Alderaan, ale potem zmienił zdanie.

– Musiał uznać, że Gwiazda Śmierci da bardziej obrazową lekcję niż Ręka Imperatora – mruknęła ponuro Leia.

Przez długą chwilę panowała cisza, którą przerwał dopiero Talon.

– Co zamierzasz zrobić z tymi informacjami?

Leia zmusiła się do oderwania myśli od nie istniejącego świata i nieżyjących bliskich.

– Nie mam wyboru – odparła. – Lak Jit też je poznał, jak sam słyszałeś, i rozpowszechni je choćby na złość. Jedyne, co mogę zrobić, to jak najszybciej dotrzeć na Coruscant i poinformować Radę. Przynajmniej zyskamy czas na przygotowania, nim bomba wybuchnie.

– A co my mamy w najbliższych planach? – Talon spojrział na Marę.

– Masę rzeczy, ale zdążymy ją odwieźć, jeśli o to ci chodzi.

– Naturalnie, gdybyś sobie tego życzyła – Karrde zwrócił się do Leii. – Choć, prawdę mówiąc, masz niewielki wybór, skoro Hana i „Sokoła” nie ma w okolicy.

– Chyba ostatnia dowiedziałam się, że Han odleciał.

– Nie chyba, tylko na pewno – poprawił ją rzeczowo. – No ale w końcu informacje to moja specjalność.

– Pamiętam czasy, kiedy były i moją – westchnęła Leia. – Z chęcią skorzystam, o ile zmieścicie też moje dzieci i zespół Kha-barakha.

– Jakoś się ich wciśnie – Karrde sięgnął do konsoly łączności. – Dankin? Przygotuj statek do startu i zrób trochę miejsca: zabieramy dzieci senator Organy Solo i jej straż honorową z osady przy Tantiss. Potem odlatujemy.

Począł na potwierdzenie, wyłączył urządzenie i przyjrzał się Leii z namysłem.

– Cakhmaim mówił, że Lak Jit znalazł sześć datakart. Czy na któregoś jest coś równie ważnego?

– Na jednej może być – odparła mechanicznie i nagle przyszło jej do głowy, że Mara, znana jedynie jako Ręka Imperatora, była przecież jedną z jego najskuteczniejszych i najgroźniejszych agentek.

Powoli odwróciła się i spojrzała wprost w przyglądające się jej uważnie zielone oczy... i przypomniała sobie inne spotkanie, sprzed dziesięciu lat, niedługo po urodzeniu się bliźniąt. Doszło wtedy do konfrontacji między nią a Marą w niewielkim pokoju w Imperialnym Pałacu. Wtedy to Mara, spoglądając jej prosto w oczy, oznajmiła, że ma zamiar zabić Luke’a. Wtedy też zorientowała się, że Mara posiada umiejętność posługiwania się Mocą.

Teraz, po naukach Luke’a i własnych doświadczeniach, czuła, że Mara próbuje wysondować, co ją tak nagle wzburzyło. A wzburzyło ją odkrycie, że Mara ze swymi umiejętnościami i unikalną przeszłością mogła wiedzieć, kto lub co kryło się pod nazwą Ręka Thrawna. I świadomość, że nie mogła natychmiast jej o to spytać. Uważała zarówno ją, jak i Talona za przyjaciół, ale te informacje jako pierwsza musiała otrzymać Rada Nowej Republiki.

– Nie mogę wam jeszcze nic powiedzieć – odezwała się przepraszająco.

– Rozumiem – Karrde obserwował bacznie obie i wiedział, że zaszło między nimi coś, czego gołym okiem nie dało się zauważyć, ale domaganie się wyjaśnień w tej chwili byłoby błędem. Poza

tym, gdy zostaną sami, Mara i tak powie mu, o co chodziło. – Nic nie szkodziło zapytać... Natomiast przyszło mi do głowy, że może niepotrzebnie martwimy się na zapas. Caamas został zniszczony tak dawno, że nikogo już nie obejdzie, kto brał w tym udział.

– Nie wierzę w to – Leia zdecydowanie potrząsnęła głową.

– Ja też nie – poparła ją Mara.

Karrde skrzywił się kwaśno:

– Niestety, sam też w to nie wierzę.

ROZDZIAŁ

4

Wyłożył im wszystko spokojnie, rzeczowo i szczegółowo. Kiedy skończył, byli – zgodnie z jego oczekiwaniami – wściekli.

– Pan żartuje, admirale Pellaeon – oznajmił lodowato moff Andray. – I to niestosownie.

– Właśnie – przytaknął moff Bemos, gładząc masywny codo-rański pierścień. – Jesteśmy Imperium, a Imperium nie poddaje się nigdy.

– W takim razie Imperium zginie – odparł Pellaeon. – Przykro mi, ale tak się to skończy. Imperium zostało pokonane i to jest fakt. Jeśli wynegocjujemy traktat pokojowy, zdołamy chociaż...

– Mam dość! – warknął moff Hort, wstając i zbierając notatki. – Mam ważne sprawy do załatwienia w swoim sektorze i mam też dość słuchania bredni.

– Ja również! – moff Quillan także wstał. – Poza tym ktoś, kto mówi takie bzdury, nie powinien dowodzić naszymi siłami zbrojnymi...

– Siadajcie! – rozległ się cichy rozkaz. – Obaj!

Wydał go siedzący po przeciwnej stronie stołu niż Pellaeon moff Disra, niewysoki, drobnej budowy mężczyzna o rzędzących, siwych włosach i przenikliwych żółto-niebieskich oczach. Miał pobrużdżoną przez wiek i problemy twarz o ustach wykrzywionych skłonnością do okrucieństwa i nie zaspokojoną ambicją oraz przypominające szpony dłonie, znacznie silniejsze, niż na to wyglądały. I był szefem sektora Braxant, w którym znajdowała się nowa planeta – stolica Imperium o kodowanej nazwie Bastion, a zatem

gospodarzem tej konferencji. Był również tym, któremu Pellaeon najmniej ufał spośród zebranych ośmiu administratorów.

Quillan i Hort spojrzeli zaskoczeni, że ktoś zepsuł im wielkie wyjście, Hort otworzył już nawet usta, ale zastanowił się i zamknął je, nie wydając dźwięku. A potem usiadł. Quillan poszedł za jego przykładem.

– Dziękuję – Disra przeniósł ciężkie spojrzenie na Pellaeona. – Proszę kontynuować, admirale.

– Dziękuję, ekscelencjo – Pellaeon przyjrzał się obecnym. – Nie dziwi mnie, że jesteście panowie zdenerwowani ani że nie podoba się wam ta propozycja. Mnie także się ona nie podoba, jednak nie widzę żadnej innej możliwości. Jeśli wynegocjujemy traktat pokojowy, utrzymamy przynajmniej te tereny, które jeszcze mamy. Bez takiego traktatu stracimy je i zostaniemy zniszczeni.

– A utrzymamy? – spytał moff Edan. – Nowa Republika rozpowszechniła kłamstwo, że rządymy strachem i przemocą. Będzie dążyć do zniszczenia nas, czy podpiszemy ten traktat, czy nie.

– Nie sędzę, aby tak było – sprzeciwił się Pellaeon. – Myślę, iż zdołamy przekonać nawet najbardziej upartych senatorów, że planety, które obecnie wchodzą w skład Imperium, pozostają tu z własnego wyboru.

– Nie wszystkie – wtrącił moff Sander. – W moim sektorze jest sporo takich, które przy pierwszej okazji przystąpią do Nowej Republiki.

– Należy się liczyć ze stratą niektórych systemów – przyznał Pellaeon – ale należy też pamiętać, że są systemy obecnie wchodzące w skład Nowej Republiki, których mieszkańcy woleliby się znaleźć pod rządami Imperium, gdyby to zależało tylko od ich wyboru. Obecnie nie jesteśmy w stanie nic dla nich zrobić, ponieważ nie mamy ani okrętów, ani ludzi potrzebnych do ich obrony czy zaopatrzenia. Po podpisaniu traktatu pokojowego te sympatyzujące z nami będą mogły przyłączyć się do Imperium.

– I naprawdę pan wierzy, że Nowa Republika dobrowolnie odda nam to, co ukradła? – parsknął Quillan.

– Nie będzie miała wyboru – odezwał się niespodziewanie moff Vered. – Jediną podstawą jej istnienia jest zasada, że członkowie dobrowolnie akceptują władzę i autorytet rządu Nowej Republiki. Jeśli spróbuje zabronić jakiegokolwiek planecie lub systemowi prawa wyboru, podpisze na siebie wyrok. Tam też są myślicy politycy i nigdy do tego nie dopuszczą.

– Właśnie – zgodził się Pellaeon. – Zwłaszcza biorąc pod uwagę liczbę lokalnych sporów, jakie ostatnio ujawniły się bądź odnowiły. Gdyby Nowa Republika zabroniła swym członkom występować z obecnych struktur, praktycznie oddałaby nam zwycięstwo walkowerem. Sprawa Almanii dla wielu jest wciąż świeża.

– Skoro jej sytuacja jest tak niestabilna, to po co mamy robić cokolwiek? – spytał Bemos. – Wystarczy spokojnie poczekać, aż się sama rozleci. Jest to wysoce prawdopodobne.

– Nie prawdopodobne, tylko pewne: na tym właśnie opiera się filozofia Nowego Ładu Imperatora – oznajmił Andray. – Jako jedyny w całym Senacie zrozumiał, że tak wiele ras i kultur nigdy nie zdoła współżyć ze sobą bez silnej władzy nadrzędnej.

– Zgadza się – przytaknął Pellaeon. – Jest tylko jeden mały problem: samozniszczenie Nowej Republiki potrwa wiele lat, a co gorsza, zanim nastąpi finał, jej przywódcy zrobią, co w ich mocy, by Imperium stało się tylko wspomnieniem. A to oznacza, że wszyscy tu obecni będą martwi bądź to zabici w walce, bądź skazani zgodnie z obowiązującym obecnie w Nowej Republice pojęciem prawa na karę śmierci. Oczywiście wyroki zostaną wykonane natychmiast.

– Po pokazaniu w charakterze trofeów wojennych tłumom wiatujących podludzi – dodał cicho Sander. – Prawdopodobnie także po degradacji i innych takich.

– Nie musisz tego przedstawiać tak obrazowo, Sander! – warknął Hort.

– Zrobiłem to celowo – wyjaśnił Sander spokojnie. – Admirał Pellaeon ma rację: teraz jest idealny moment do rozpoczęcia negocjacji, bowiem władzom Nowej Republiki da się łatwo wytłumaczyć, że zaprzestanie działań zbrojnych leży w ich własnym interesie.

Debata trwała jeszcze godzinę, ale w końcu, niechętnie, bo niechętnie, jednak wszyscy zgodzili się ze stanowiskiem Pellaeona.

Przed ozdobnymi podwójnymi drzwiami prowadzącymi do gabinetu Disry tkwił samotny wartownik stanowiący przeciwieństwo swego zwierzchnika, jako że był wysoki, muskularny i młody. Do wejścia prowadził długi korytarz, który Pellaeon przemierzył spokojnym, równym krokiem.

– Admirał Pellaeon – przedstawił się, gdy dotarł do celu. – Chcę się zobaczyć z moffem Disrą.

– Jego ekscelencja nic o tym nie wspominała...

– Cały ten korytarz jest monitorowany przez holokamery systemu bezpieczeństwa, więc doskonale wie, że tu jestem – przerwał mu Pellaeon. – Proszę otworzyć drzwi i przestać zgrywać durnia!

– Tak, sir! – wartownik wykonał dwa kroki w bok i oba skrzydła drzwi otworzyły się bezgłośnie.

Pomieszczenie było bardziej luksusowe i ozdobne, niż wskazywały na to drzwi – prawdę mówiąc, od śmierci Imperatora Pellaeon nie widział tak wygodnie i z takim przepychem urządzonej komnaty, bo określenie „pokój” zdecydowanie tu nie pasowało. Disra siedział za masywnym, białym, połyskującym szkliscie biurkiem ustawionym na środku pomieszczenia, a obok stał młody adiutant w randze majora, z krótko obciętej włosami. Adiutant trzymał w ręku plik datakart, czyli albo dopiero przyszedł, albo zbierał się właśnie do odejścia.

– A, admirał Pellaeon – Disra gestem zaprosił go bliżej. – Proszę, proszę. Myślałem, że będzie pan zajęty organizacją wyjazdu emisariusza.

– Mamy czas – Pellaeon podchodząc do biurka rozejrzał się i szacunkowo obliczył wartość umeblowania i wyposażenia: wyszła mu całkiem ładna kwota. – Według danych wywiadu generał Bel Iblis przybędzie do bazy myśliwskiej Morishim dopiero za jakieś dwa tygodnie.

– Aha! – sarknął Disra. – Z jakichś powodów poddanie się Bel Iblisowi jest mniej upokarzające niż jakimkolwiek innemu członkowi tej bandy, jak rozumiem?

– Darzę generała Bel Iblisa sporym szacunkiem – przyznał Pellaeon, stając o metr od biurka.

Dopiero wówczas zauważył, że wykonano je z kultury koralu, genetycznie programując kształt mebla. Barwa przypominająca kość słoniową wskazywała, iż ukończono je jeszcze przed Wojnami Klonów, co oznaczało, że jest prawdopodobnie więcej warte niż cała reszta mebli razem wziętych.

– Jakoś nie cieszy pana perspektywa pokoju – zauważył Pellaeon.

– Nie mam nic przeciwko pokojowi – warknął Disra. – Flaki mi się wywracają na myśl o upokorzeniu.

Adiutant odchrząknął.

– Za pozwoleniem Waszej Ekszelencji, zjawię się w dogodniejszym terminie – zaproponował.

– Proszę zostać, majorze. Chciałbym, żeby pan też tego posłuchał. Zna pan mego adiutanta, admirała? Major Grodin Tierce.

– Nie sądzę, abyśmy się już spotkali – Pellaeon skinął lekko głową oficerowi.

– Mój błąd – przyznał Disra. – Do rzeczy. O ile pamiętam, mówiliśmy o kapitulacji?

Pellaeon przyjrzał się adiutantowi, ale ten poza leciutkim drgnieniem ust, gdy Disra wymieniał jego nazwisko, słuchał wszystkiego z kamienną twarzą, nie zdradzając swych myśli czy uczuć.

– Nadal jestem otwarty na rozsądne propozycje – powiedział spokojnie admirał, spoglądając z powrotem na Disrę.

– Moje propozycje doskonale pan zna, admirałe. Należy wysłać zespoły, które pomogą rozniecać i podsycać międzyplanetarne czy międzyukładowe spory. Dzięki temu generatorowi niewidzialności dałoby się umieszczać takie zespoły w różnych dziwnych miejscach, gdzie przeciwnik nigdy by się ich nie spodziewał. Można wspomagać nasze siły zbrojne jak i gdzie się da, za pomocą wszelkich dostępnych sił i środków.

Pellaeon poczuł rosnące zdenerwowanie – ten temat przerażali już parokrotnie.

– Jesteśmy Flotą Imperialną – oznajmił dumnie. – Nie wynajmujemy najemników ani piratów, żeby toczyli za nas nasze wojny.

– Radziłbym panu dokładniej poczytać teksty historyczne, admirałe. Imperium zawsze używało takich śmieci – parsknął pogardliwie Disra. – Wynajmowali ich moffowie, wielcy moffowie, podobnie jak i lord Vader, gdy uznał to za stosowne. Postępowali tak również starsi oficerowie pańskiej cennej i prawej Floty. Więc proszę uprzejmie nie opowiadać mi tu nonsensów. Jestem człowiekiem raczej zajęтым, zatem proszę przejść do rzeczy, admirałe, albo zająć się przygotowaniami do rozmów w pozycji kłęczącej.

– W takim razie przejdźmy do innych kwestii – Pellaeon sam był zdziwiony własnym opanowaniem. – Choćby do tych myśliwców SoroSuub, które nam pan dostarcza.

– Tak? – Disra siadł wygodniej. – Doskonale maszyny, prawda? Może nie wywierają takiego efektu psychologicznego jak myśliwce TIE, ale są lepiej uzbrojone i doskonałe do walki, jak sły-
szalem.

– Istotnie, są doskonałe, toteż zastanowiło mnie, dlaczego przez te wszystkie lata nie mieliśmy ich ani nawet nie widzieliśmy, więc sprawdziłem pewne dane. Okazało się, że SoroSuub nigdy nie rozpoczęło produkcji myśliwców typu Preybird, jeśli nie liczyć krótkiej serii próbnej. Potem zamknięto linię produkcyjną. Prowadzi to do ciekawego pytania: skąd pan je właściwie bierze, Disra?

– Nie rozumiem, dlaczego to pana interesuje, admirale. Dopóki są odpowiedniej jakości i w wystarczającej ilości...

– Bo chcę wiedzieć, z kim Imperium robi interesy – przerwał mu Pellaeon. – Z kim ja robię interesy.

Oczy Disry nagle rozbłysły pod siwymi brwiami.

– Grupa prywatnych inwestorów odkupiła plany i linię produkcyjną od korporacji SoroSuub i zaczęła produkcję Preybirdów – warknął. – Mam z nimi wspólne interesy, a w tej kwestii zawarliśmy umowę.

– Ich nazwiska i adresy.

– To grupa prywatnych inwestorów! – powtórzył wolno i wyraźnie Disra, jakby mówił do dziecka.

– Nic mnie to nie obchodzi – odparł tym samym tonem Pellaeon. – Chcę znać ich nazwiska, planety, na których mieszkają, i korporacje, jakie reprezentują. I chcę wiedzieć, jak pan się z nimi rozlicza za myśliwce.

Disrę podniosło z fotela.

– Sugeruje pan, że w tym interesie jest coś nieuczciwego?

– Niczego nie sugeruję – Pellaeon rozejrzał się wymownie. – Widać, że ma pan wielkie możliwości finansowe, Disra. Nie przeszkadza mi to i nie interesuje. Interesuje mnie jedynie upewnienie się, że całe Imperium odnosi korzyści z tego interesu.

Disra wbrew jego oczekiwaniom nie wybuchnął, lecz uśmiechnął się:

– Co do tego może pan być zupełnie spokojny, admirale – powiedział dziwnie miękko. – Całe Imperium bez wątplenia na tym skorzysta.

Pellaeon przyjrzał mu się zaskoczony – w minie i tonie moffa dostrzegł coś podejrzanego, co zdecydowanie mu się nie podobało. Była to ambicja na tyle silna, że mogła stanowić zagrożenie.

– Chcę nazwisk – przypomniał na wszelki wypadek.

– Zostaną przesłane na „Chimaerę” – obiecał Disra. – Teraz, jeśli pan wybaczy, mamy z majorem trochę bieżących a nie cierpiących zwłoki obowiązków.

– Naturalnie – odparł łaskawie Pellaeon. – Życzę miłego dnia. Głównodowodzący Sił Zbrojnych Imperium nie mógł sobie pozwolić, by ktoś odniósł wrażenie, że byle moff może go traktować jak podwładnego, więc w tonie Pellaeona dało się oprócz łaskawości usłyszeć też pogardę.

Odwrócił się niespiesznie i wyszedł, obiecując sobie w duchu natychmiast zlecić komandorowi Dreyfowi i jego ludziom zajęcie się tymi „prywatnymi inwestorami”. I prywatnymi finansami Disry, ma się rozumieć. Coś mu mówiło, że dokopią się naprawdę ciekawych powiązań. A w międzyczasie miał do przygotowania misję dyplomatyczną i przy odrobinie szczęścia wojnę do zakończenia.

Kiedy za wychodzącym zamknęły się drzwi, Disra przez moment pozwolił sobie na pokazanie tego, co czuł wobec Pellaeona. A czuł pogardę – dla człowieka i dla oficera. Za niemożność wygrania z bandą Rebeliantów kochających obcych i za chęć poddania się.

Moment minął równie szybko, jak się pojawił, i Disra znów był spokojny i opanowany. Miał do załatwienia coś znacznie istotniejszego, co wymagało sprawnego umysłu. A jeśli załatwi to tak jak sobie zaplanował, to Pellaeon bardzo szybko stanie się zupełnie nieważny. Obrócił się wraz z fotelem i spojrzał na stojącego obok adiutanta.

– Interesująca rozmowa, nie sądzi pan, majorze? – spytał. – Ciekaw jestem pańskich wrażeń.

Tierce z widocznym wysiłkiem oderwał wzrok od drzwi, za którymi zniknął admirał.

– Przepraszam, ekscelencjo, ale naprawdę nie wiem – powiedział tonem pasującym do nieco przygarbionej postawy człowieka znającego swoje miejsce. – Jestem tylko adiutantem floty, na polityce niewiele się znam.

Było to aktorstwo prawie doskonałe, musiał przyznać Disra. A nawet doskonałe, skoro w ciągu ostatnich piętnastu lat okazało się skuteczne wobec niezliczonej rzeszy zarówno cywilnych, jak i wojskowych osobistości. A przez ostatnich osiem miesięcy skuteczne także wobec niego, gdyż tyle czasu Tierce pozostawał jego adiutantem. Z pewnych względów żal było je przerywać, ale tylko z pewnych...

– Rozumiem. Cóż, zostawmy w takim razie politykę i skoncentrujemy się na opinii zawodowego oficera. Słyszał pan moje sugestie, w jaki sposób Imperium może uniknąć kapitulacji, której tak pragnie admirał. Co pan o nich sądzi?

– Cóż, ekscelencjo... admirał Pellaeon jest głównodowodzącym – Tierce mówił niechętnie, ale obserwujący go uważnie Disra dostrzegł drobną zmianę w wyrazie oczu adiutanta. – Należy założyć, iż najlepiej zna nasze położenie strategiczne, a ja obawiam się, że nie posiadam do tego kwalifikacji.

– Aha – Disra nacisnął przycisk stanowiący integralną część biurka i zakodowany na jego kod genetyczny: z cichym szcęknięciem odsunęła się starannie zamaskowana, ukryta w blacie szuflada. – Rozczarował mnie pan, majorze. Sądziłem, że Imperator wybierał najlepszych...

Nie spuszczać oczu z oficera, wyjął jedną ze znajdujących się w szufladzie datakart. Tym razem nie wydawało mu się – wzrok Tierce'a definitywnie stężał, ale adiutant jeszcze nie zrezygnował.

– Imperator, ekscelencjo? – spytał, mrugając niedowierzająco.

– Jedynie najlepszych – Disra pokazał mu datakartę – do służby w Gwardii Imperialnej.

Disra spodziewał się wybuchu albo przynajmniej zaprzeczenia czy zaskoczenia. Tierce zaś jedynie znieruchomiał, przyglądając mu się uważnie zupełnie innym wzrokiem. Od tego spojrzenia zrobiło mu się zimno i nagle, pierwszy raz w życiu, zwątpił w słuszność tego, co zrobił, zrozumiał bowiem, że jeśli Tierce zdecyduje, iż zachowanie anonimowości jest ważniejsze, zabije go tu i teraz. I to, kim jest, nie będzie miało żadnego znaczenia...

Tierce powoli wypuścił powietrze, co do złudzenia przypominało syk węża.

– Przypuszczam, że nie ma sensu protestować lub zaprzeczać, prawda? – spytał, prostując się.

I Disra omal nie wtopił się w oparcie fotela, a raczej gdyby mógł, chętnie by się wtopił, tak go z wrażenia cofnęło, i to w dosłownym znaczeniu tego słowa. Oto w mgnieniu oka zniknął niezbyt bystry i średnio kompetentny oficer, którego znał przez ostatnie osiem miesięcy.

Zamiast niego stał wojownik.

Co prawda Disra nieraz słyszał, że uważny obserwator zawsze rozpoznaje imperialnego szturmowca nawet w tłumie, a Gwardziste

także w spoczywającym na łożu boleści, ale uznawał to za bzdurne opowiadanki. Teraz wiedział, że popełnił błąd i to poważny.

– Jak mnie pan rozpoznał? – spytał spokojnie Tierce.

– Przeszukałem imperialne archiwum, kiedy przeniesiono je na tę planetę – odparł Disra po chwili, bo nie od razu był w stanie wydobyć z siebie głos. – Znajdowały się w nich duplikaty prywatnych plików Imperatora. Udało mi się do nich dostać.

– Doprawdy? – Tierce uniósł brew. – Te dane miały być idealnie zabezpieczone i nie do złamania.

– Nie ma czegoś takiego jak idealne zabezpieczenie! – parsknął pogardliwie Disra. – Każdy kod i każdą ochronę można złamać lub obejść.

– Najwyraźniej można. Cóż... i co teraz?

– Na pewno nic z tego, czego się spodziewasz. Nie mam zamiaru zadenuncjować cię jako dezertera: raz – bo mnie to nie obchodzi, dwa – nie mam komu, a trzy – Imperium nie może sobie pozwolić na bezsensowne marnotrawienie najlepszych ludzi. Natomiast tak z czystej ciekawości: jak ci się udało uniknąć zagłady Drugiej Gwiazdy Śmierci?

Tierce wzruszył lekko ramionami.

– Z tego prostego powodu, że mnie tam nie było, gdy została zniszczona. Członków Imperialnej Gwardii przydzielano rotacyjnie na pewne okresy czasu jako oficerów do normalnych jednostek szturmowych, żeby nie zapomnieli, jak się walczy. W czasie Bitwy o Endor przebywałem na planecie Magagran, rozpracowując rebelianckie podziemie. To w Zewnętrznych Odległych Rubieżach.

– I tylko ty ocalałeś?

– Niby dlaczego? Zakończyłem misję, zlikwidowałem rebeliantów przy minimalnych stratach własnych i zgodnie z rozkazami wracałem z pozostałymi do bazy. Krążyły różne plotki, więc gdy tylko znaleźliśmy się w pobliżu Coruscant, zostawiłem wszystko i sprawdziłem, czy nie mógłbym się do czegoś przydać.

– Pamiętam te miesiące – mruknął Disra. – Chaos w czystej postaci. Rebelia zbierała kawałki Imperium albo bez oporu, albo przy minimalnym i całkowicie nieorganizowanym. Zupełnie jakby ktoś je podawał na tacy.

– Wyglądało to, jakby Imperium rozpadło się niczym domek z kart, tylko od góry – dodał posepnie Tierce.

– Może w jakimś sensie tak było. Pellaeon wspominał mi, że wielki admirał Thrawn miał na ten temat pewną teorię.

– Tak, że Imperator używał Mocy do kierowania podwładnymi – przyznał Tierce. – Pamiętam podobne dyskusje na pokładzie „Chimaery”... Może miał rację.

– Byłeś wtedy na „Chimaerze”? – zdziwił się Disra.

– A gdzie miałem być? Mniej więcej w miesiąc po jego powrocie zdołałem zaaranżować transfer do kontyngentu abordażowego tego niszczyciela jako porucznik oddziałów szturmowych.

– Jak w takim razie...? – Disra nagle umilkł.

– Jak on mógł zginąć? – Tierce na moment zacisnęła szczękę. – Dlatego, że źle przewidziałem. Oczekiwałem ataku z zewnątrz, gdy natknęliśmy się na niespodziewane jednostki w Bilbringi. Sądziłem, że będzie to jakiś oddział straceńców lub komandosów, którzy w bitewnym zamieszaniu spróbują przedostać się na pokład z zadaniem zabicia wielkiego admirała Thrawna... Luke Skywalker w ten właśnie sposób uwolnił wcześniej przemytnika Talona Karrde’a i dlatego sądziłem, że spróbują sprawdzonej metody. Rozstawiłem więc swoich szturmowców na pokładach hangarów.

– Aha – Disra wskoczył na miejsce luźny dotąd element historycznej układanki. – To oni przechwycili i zabili tego zdrajcę Rukha, gdy uciekał po zamordowaniu wielkiego admirała.

– Oni. Co i tak niczego nie zmieniło.

– Hmm... Czy Thrawn wiedział, kim jesteś?

Tierce ponownie wzruszył ramionami.

– Kto może wiedzieć, co wiedział, a czego nie wiedział wielki admirał Thrawn? Wiem tylko, że nigdy mu nie ujawniłem, kim jestem, a on nigdy nie dał mi poznać, że to wie.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś? – zdziwił się Disra. – Sądzę, że Gwardia Imperialna miało prawo do pewnych... hm... specjalnych...

– To przestań sądzić, Disra! – cichy głos Tierce’a zabrzmiał groźnie. – Bo głupio sądzisz. Czerwony Gwardzista miał gdzieś przywileje. Jedynym celem naszego życia było służyć Imperatorowi i Nowemu Ładowi, który stworzył. I możesz mi wierzyć, że gotowi byliśmy za to umierać.

– Tak... – sapnął Disra, ponownie czując się co najmniej niepewnie.

Dopiero teraz zrozumiał, że reputacja, jaką cieszyła się Imperialna Gwardia, zwana popularnie Czerwoną od barwy pancerzy i płaszczy, była całkowicie prawdziwa, a nie stanowiła, jak

dotąd zakładał, efektu pracy imperatorskich speców od propagandy.

– Przepraszam, Gwardzisto – wykrztusił.

– Majorze – poprawił go Tierce. – Po prostu: majorze. Imperialna Gwardia już nie istnieje.

– W takim razie: przepraszam, majorze – powtórzył już normalnym tonem Disra, usiłując nie tracić kontroli nad konwersacją, co mu się średnio udawało. – A do mnie proszę się zwracać „ekscelencjo”, żebyśmy nie wzbudzili podejrzeń.

Tierce uśmiechnął się ironicznie.

– Niech będzie – mruknął. – Czy w takim razie ekscelencja zaspokoił już swoją ciekawość?

– Zaspokoiłem. Przeszłość to przeszłość, majorze. Należy skoncentrować się na przyszłości. Słyszał pan moje sugestie, gdy był tu admirał Pellaeon. Co pan o nich myśli?

– Admirał ma rację: to na nic. Nowa Republika ma zbyt wielką przewagę.

– Nawet jeśli będzie zajęta rozstrzygnięciem lokalnych konfliktów?

– Nawet przy uwzględnieniu ciekawego raportu zatytułowanego „Lak Jit” na trzeciej datakarcie od dołu.

– Doprawdy? – Disra wyjął z pliku datakartę, o której mówił Tierce, i wsunął ją do czytnika.

Te meldunki w teorii były prywatne, zabezpieczone kodem zarezerwowanym dla wyższych oficerów wywiadu: najwyraźniej nie tylko on bawił się slicerstwem najwyższej próby. Wcisnął sekwencję deszyfrującą i pogrążył się w lekturze. Raport dotyczył informacji odkupionych od pewnego Devaronianina.

– Ideał! – ucieszył się po chwili. – Dokładnie to, czego nam trzeba!

– Użyteczny – zgodził się powściągliwie Tierce. – Ale to nie wystarczy.

– Ależ wystarczy – Disra prawie się uśmiechnął, kończąc lekturę. – Nie sędzę, by pan w pełni rozumiał obecną sytuację polityczną Nowej Republiki. Taki punkt zapalny jak Caamas, wraz z rewelacją o udziale Bothan, wywoła wrażenie. Zwłaszcza jeśli będziemy umiejętnie dolewali oliwy do ognia.

– Sytuacja Rebeliantów nie jest istotna – sprzeciwił się chłodno Tierce. – Najważniejsza jest sytuacja Imperium, a tej najwyraźniej pan nie rozumie. Samo zniszczenie Nowej Republiki nie spowo-

duje odbudowy Imperium. Potrzebujemy kogoś z autorytetem, wokół kogo skupiłyby się wszystkie siły Imperium: admirał Pellaeon wydawał się najbliższy ideału takiego autorytetu, ale jak widać, stracił wolę walki.

– Zapomnijmy o Pellaeonie! – parsknął pogardliwie Disra. – Założmy, że znalazłbym takiego przywódcę. Przyłączyłby się pan do nas, majorze?

– Do jakich „nas”?

– Jeśli się pan przyłączy, będzie nas trzech. Trzech znających sekret, który zamierzam panu zdradzić, a który przeciągnie całą flotę na naszą stronę. I nie tylko flotę.

– Przepraszam za szczerość, ekscelencjo, ale pan nie byłby w stanie liczyć na lojalność pijanej banthy – Tierce uśmiechnął się cynicznie.

– Nie! – Disra niemal się zakrztusił tym słowem, ale zdawał sobie sprawę, że rozpaczliwie potrzebuje kogoś o wyszkoleniu i umiejętnościach swego rozmówcy. – Nie mówię o sobie. Ja byłbym politykiem i dostawcą ludzi i sprzętu, pozostającym w cieniu tronu.

– Z Floty Sektora Braxan?

– I z innych źródeł. Gdyby zdecydował się pan do nas dołączyć, służyłby pan swoją wiedzą wojskową i został architektem naszej strategii.

– Rozumiem – jeśli oficerowi nie podobała się wzmianka o służeniu, to nie okazał tego w najmniejszym stopniu. – A ten trzeci?

– Jest pan z nami czy nie?

– Najpierw proszę mi coś więcej powiedzieć.

– Zrobię coś lepszego – Disra wstał. – Pokażę panu!

Sądząc po braku reakcji, teoretycznie tajne drzwi i przejście między gabinetem a apartamentem moffa nie było wcale dla Tierce’a takie tajne. Natomiast ukryte w połowie długości korytarza drzwi okazały się faktycznie przed nim ukryte.

– Zainstalowane przez poprzedniego właściciela – wyjaśnił Disra, idąc wąskim przejściem prowadzącym do równie wąskiej windy. – Zjeżdża pięćdziesiąt metrów i można stamtąd dotrzeć albo do sali tortur pod poziomem więziennym, albo do ukrytego wejścia w górach na północy. Czasami ciekawi mnie, gdzie on częściej chadzał...

– A dokąd my teraz idziemy? – spytał Tierce, gdy winda stanęła.

– Do sali tortur. To najbezpieczniejsze miejsce w całym pałacu. I najbardziej odizolowane. A prawdę mówiąc, nie tylko w pałacu, ale na całej planecie. Tam spotkamy „tego trzeciego”, jak to pan ładnie ujął, majorze.

Wysiedli z windy w przedsiönku, z którego rozchodziły się dwa korytarze. Disra wybrał prawy, odgarnął pajęczynę i pomaszerował nim. Korytarz nie był długi, kończył się pokrytymi kurzem pancernymi drzwiami zaopatrzonymi w prosty, ale solidny zamek. Disra złapał za szprychę koła umieszczonego na środku drzwi, przekręcił je z pewnym wysiłkiem i z cichym, choć odbijającym się echem od ścian, skrzyknięciem drzwi otworzyły się.

Poprzedni właściciel miałby spore problemy z rozpoznaniem, gdzie się znalazł – usunięto bowiem wszystkie narzędzia tortur, oczyszczono i wyłożono izolacją ściany, sufit i podłogę, po czym urządzono wewnątrz w pełni nowoczesny i całkiem wygodny apartament. Zresztą wnętrze absolutnie Disry nie interesowało – całą uwagę skupił na byłym Gwardziście, obserwując, jak ten wchodzi do środka... i zauważa jedyną obecną w pomieszczeniu osobę zajmującą krzesło kapitańskie, dokładnie takie same jak na mostku niszczyciela klasy Imperial.

Tierce zamarł z wytrzeszczonymi oczami, niczym ktoś solidnie porażony prądem. Spojrzał na Disrę, ale natychmiast przeniósł wzrok z powrotem na siedzącego. Gorączkowo rozejrzał się po pokoju, jakby szukając dowodów pułapki lub oszustwa, i znów spojrział na siedzącego. Disra wstrzymał oddech...

I nagle Tierce wyprężył się jak struna i zameldował niczym na paradzie:

– Panie wielki admirale, szturmowiec TR-889 melduje się na służbie!

Siedzący powoli wstał, spoglądając pałającymi, czerwonymi oczami na Disrę. Oczy te ostro kontrastowały z błękitną skórą, granatowoczarnymi włosami i białym uniformem Wielkiego Admirała Floty Imperium.

– Witam z powrotem, żołnierzu – powiedział ciężko, patrząc na wyprężonego oficera. – Obawiam się jednak, że muszę się przyznać do pewnego drobiazgu... otóż nie jestem tym, za kogo mnie uważasz...

– Sir? – w głosie Tierce’a pojawiła się nutka wątpliwości.

– Proszę pozwolić – wtrącił Disra, podchodząc do biału ubranej postaci. – Majorze Tierce, pozwoli pan, że przedstawię mego

współpracownika Flima, wysoce utalentowanego oszusta i naśladowcę.

Przez bardzo długą chwilę w pomieszczeniu panowała napięta cisza. Tierce wpatrywał się w niebieskoskórą postać z niedowierzaniem, które powoli zmieniało się w rozczarowanie i złość. Disra obserwował to, czując własny, coraz bardziej przyspieszony puls i wiedząc, że jeśli Tierce da upust złości, to pozostali dwaj już nie wyjdą z tego pokoju.

Oficer przesunął wściekły wzrok na moffa i zażądał przez zacisnięte zęby:

– Wyjaśnij!

– Sam pan powiedział, majorze, że Imperium potrzebuje przywódcy z autorytetem – Disra robił, co mógł, by mówić spokojnie. – Kto może być lepszym przywódcą niż wielki admirał Thrawn?

Powoli i niechętnie, Tierce ponownie spojrzął na postać w białym uniformie.

– Kim jesteś? – zapytał już spokojniej.

– Nazywam się Flim, jak pan już słyszał, majorze – głos mówiącego subtelnie się zmienił, przestając brzmieć władczo, podobnie jak niedawno zmieniły się głos i zachowanie Tierce'a, tylko w drugą stronę.

Tierce musiał to zrozumieć, bo przestał się złościć.

– Interesujące – ocenił, podchodząc bliżej i przyglądając się dokładnie Flimowi. – Niesamowite, wyglądasz dokładnie tak jak on!

– Powinien – Disra odetchnął z ulgą. – Prawie osiem lat zajęło mi znalezienie kogoś wystarczająco podobnego i zdolnego odegrać taką maskaradę. Planowałem to naprawdę od dawna.

– Widzę – przyznał Tierce. – Oczywiście?

– Zewnętrzne wszczepy z własnym zasilaniem biologicznym, żeby uzyskać właściwy efekt. Kolor skóry i włosów to genetyka, a kontrola głosu i zdolności aktorskie to już wkład Flima z czasów, nim się spotkaliśmy.

– Udawałem już w życiu wiele rozmaitych osób – uśmiechnął się Flim. – Choć przyznaję, nie aż tak ważnych i nie z perspektywą takiej nagrody.

– Zadziwiające – przyznał Tierce. – Jest tylko jeden mały problem: Thrawn nie żyje i wszyscy o tym wiedzą.

– Naprawdę? – zdziwił się uprzejmie Disra. – Informacje dotyczące jego śmierci mogą, lecz nie muszą być prawdziwe. A jeże-

li rana zadana przez Rukha wywołała coś? Ostrze mogło być zatrute, prawda? Mógł zostać przetransportowany do tajnej bazy, gdzie tyle czasu dochodził do siebie. Albo też przewidział atak i podstawił sobowtóra, który wówczas zginął. Sam pan powiedział, majorze, że podczas tej bitwy spodziewał się pan ataku na jego osobę. Dlaczego więc Thrawn nie mógłby tego przewidzieć i zabezpieczyć się?

– Mało prawdopodobne.

– Zgadza się, ale nie o to chodzi. Wszystko, co musimy zrobić, to zaprezentować go publicznie z w miarę prawdopodobną historią, resztę załatwią pragnienia i nadzieje: będą widzieli to, co chcieliby zobaczyć. Wszyscy od Pellaeona w dół uwierzą mu bez zastrzeżeń. I będą słuchać jego rozkazów.

– A więc to jest ten plan? Zastąpić nim Pellaeona i użyć jako symbolu dla Sił Zbrojnych Imperium?

– W ogólnych zarysach – przyznał Disra. – A o co chodzi?

Przez moment Tierce milczał.

– Powiedział pan niedawno, że ma inne źródła sprzętu i ludzi oprócz Floty Sektora Braxant – odezwał się wreszcie. – Jakie to źródła?

Disra spojrział niepewnie na Flima, ale ten przyglądał się jedynie z zainteresowaniem Tierce'owi.

– Doszedłem do porozumienia z bandą piratów znaną jako Cavrillu. To duża i dobrze wyszkolona grupa operująca z...

– Znam możliwości bandy kapitana Zothipa – przerwał mu Tierce. – Nie nazwałbym jej dobrze wyszkoloną, ale liczna jest rzeczywiście. Jak wygląda to porozumienie?

– Obustronnie korzystnie. Wykorzystują meldunki wywiadu do lokalizacji użytecznych ładunków należących do Nowej Republiki, które Zothip zagarnia: on ma łupy, my destabilizację przeciwnika.

– I część Preybirdów produkowanych na skradzionej przez nich linii produkcyjnej? – dodał Tierce.

Disrę na moment zatkało – albo Tierce dowiedział się znacznie więcej, niż powinien, albo był znacznie lepszy, niż Disra go oceniał. Żadna z tych możliwości zupełnie mu nie odpowiadała

– Dostajemy całą produkcję, ponieważ Zothip nie potrzebuje tylu myśliwców. A co się tyczy linii produkcyjnej, wcale nie została skradziona, tylko odkupiona, ale to trochę bardziej skomplikowana historia i w tej chwili bez znaczenia.

– Jak mu pan za nie płaci?
– Pewnym rodzajem fachowej pomocy, której nie uzyskałby gdzie indziej – Disra uśmiechnął się nieznacznie. – Pożyczyłem mu grupę nader specyficznych doradców militarnych: autentyczne klony Thrawna z góry Tantiss.

Pierwszy raz miał czystą satysfakcję, obserwując, jak opada szczęka eks-Gwardzisty. Co prawda jedynie o parę milimetrów, ale zawsze.

– To jakieś jeszcze zostały? – zdumiał się Tierce.

– Nawet całkiem sporo. Nasz sprytny wielki admirał rozsiał ich grupami po całej Nowej Republice, zaopatrując wszystkich w legendy i fałszywe tożsamości. Pojęcia natomiast nie mam, co zamierzał z nimi zrobić, o tym nie ma żadnej wzmianki w jego zapiskach...

– Znalazł pan notatki Thrawna? – przerwał mu Tierce. – Jego prywatne notatki?

– Znalazłem – odparł Disra nieco zaskoczony reakcją tamtego. – A niby skąd wiedziałbym, gdzie znaleźć klony, które już wykorzystałem?

– Naturalnie – Tierce znów był wzorem obojętności. – Co jeszcze jest w tych notatkach?

– Ogólny zarys strategiczny i plany na najbliższe pięć lat wojny z Nową Republiką – Disra mówiąc to obserwował go uważnie, ale nie doczekał się żadnej reakcji. – Są wręcz niesamowicie szczegółowe, ale niestety w obecnej sytuacji całkowicie bezużyteczne.

– Byłbym ostrożny z taką oceną, Thrawn był strategicznym geniuszem – poprawił go spokojnie Tierce. – Coś jeszcze?

– Notatki natury osobistej, ale nic, co miałyby związek ze sprawami wojskowymi. Jeśli pan chce, majorze, to może je pan naturalnie przejrzeć.

– Sądzę, że chcę. Ale w późniejszym czasie.

– Czuję, że rozważa pan, majorze, coś bardziej ambitnego od pomysłu ekscelencji Disry – odezwał się niespodziewanie Flim.

– Doskonale, admirałe – pochwalił go Tierce. – Faktycznie, wydaje mi się, że stać nas na coś więcej. Na dużo więcej. Jest tu gdzieś terminal?... O, jest. Ekscelencjo, potrzebne mi będą datakarty, które zostały na pańskim biurku. Mógłby mi je pan przynieść?

– Oczywiście. Zaraz wracam, panowie – zapewnił Disra.

Tierce siedział już przy klawiaturze komputera, pochłonięty wydawaniem poleceń komputerowi, więc nie odpowiedział. Disra przyglądał mu się przez moment, zastanawiając się, czy przypadkiem się nie przeliczył – major Tierce miał być użytecznym pomocnikiem, a nie równorzędnym partnerem. Niestety, obecnie wszyscy potrzebowali się wzajemnie, zatem przełknął dumę i wyszedł, kierując się ku windzie.

ROZDZIAŁ

5

Senator Borsk Fey'lya podniósł fioletowe oczy znad datakarty i szepnął:

– A więc w końcu wszystko wyszło na jaw.

– Wyszło – zgodziła się Leia. – I domaga się wyjaśnień.

– Tu nie ma co wyjaśniać – Fey'lya potrząsnął pokrytą kremowym futrem głową. – To prawda.

– Rozumiem – powiedziała, niemal fizycznie czując przytłaczający jej ramiona poważny ciężar: nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo liczyła na to, że datakarta zawiera sfałszowane informacje. – Jesteś pewien?

– Jestem pewien – odparł Fey'lya, gładząc nienaturalnie przylizane futro.

– W takim razie wiesz, kto to zrobił.

– Nie wiem i to jest właśnie cały problem. A zarazem powód, dla którego tyle lat milczeliśmy w tej sprawie. Wiedzieliśmy bowiem jedynie to, co ty wiesz: że grupa Bothan pomogła oddziałowi wynajętemu przez senatora Palpatine'a zniszczyć generatory pola chroniącego planetę Caamas. Nie wiemy nawet, z jakiego klanu pochodzili, a co dopiero, kim konkretnie byli.

– A próbowaliście się dowiedzieć? – spytała, nie siląc się na dyplomację.

– Oczywiście, że próbowaliśmy – futro Borska ożyło. – Palpatine za dobrze zamaskował ślady. W ogóle dowiedzieliśmy się o tym dopiero w początkowym okresie Rebelii. I właśnie szok wywołany tą rewelacją spowodował, że przyłączyliśmy się do So-

juszu. Ale wówczas ślad był już zbyt stary, by dało się coś więcej odkryć.

– Rozumiem – westchnęła ciężko Leia.

– Wierzysz mi, prawda? Musisz mi uwierzyć.

Przez moment Leia nie odzywała się, korzystając z Mocy, ale nie wykryła żadnego oszustwa w umyśle rozmówcy.

– Wierzę, że mówisz prawdę, a przynajmniej to, co uznajesz za prawdę – powiedziała po chwili. – Niestety, nie tylko mnie będziesz musiał przekonać.

Fey'lya wzdrygnął się, czemu towarzyszyło nastroszenie kępek futra w różnych przypadkowych miejscach ciała.

– Nie tylko – przyznał trzeźwo. – Wielu stwierdzi, że chronimy ich w imię bothańskiej solidarności.

Leia zabrała mu czytnik, opanowując grymas – Borsk miał rację, ponieważ zaś jego rasa politykę traktowała jako grę, w której wszystkie chwytaki są dozwolone, a cel nadrzędny stanowiła poprawa pozycji i zwiększenie władzy, niewielu przedstawicieli innych ras inteligentnych było do nich przyjaźnie nastawionych. Jeśli dodać do tego, że Bothanie nigdy nie uznali za stosowne zmienić swego podejścia do przedstawicieli innej rasy i uważali, że wszyscy kierują się równie egoistycznymi celami i używają podobnych metod, trudno się dziwić, iż nie należeli do najpopularniejszych ras w galaktyce.

– Masz rację – przyznała. – Tym bardziej trzeba to załatwić jak najszybciej.

– Ale jak? Sprawdziliśmy już wszystko, szukaliśmy używając legalnych i nielegalnych metod: wszystkiego, co tylko przyszło nam na myśl. Ani w oficjalnych archiwach, ani w klanowych zarówno na Bothawui, jak i w koloniach czy enklawach nie istnieje lista uczestników owej zbrodni.

– Istniała na tej datakarcie – odparowała Leia, wyciągając ją z czytnika. – Zobaczymy, czy technicy zdołają ją zrekonstruować. Jeśli nie, musimy gdzieś znaleźć kopię tego zapisu. Teraz przynajmniej wiemy, czego mamy szukać.

– Możemy próbować – zgodził się bez nadziei na sukces Fey'lya. – A co zamierzasz zrobić w międzyczasie?

– Nie mogę ukrywać faktów, bo to i tak nic nie da. Muszę zawiadomić o wszystkim Radę i prezydenta. Przekonam ich, że nie należy tego rozgłaszać, przynajmniej dopóki technicy nie sprawdzą uszkodzonych fragmentów.

– Rozumiem – futro Borska zafalowało. – To czy technicy zachowują tajemnicę, to naturalnie zupełnie inna sprawa. Ale ważniejsze jest, czy dochowa jej ten przemytnik, Karde? Mówiłaś, że też wie o wszystkim.

– I mówiłam też, że dał słowo nikomu o niczym nie mówić – przypomniała mu zimno. – Oraz że wysłał do wszystkich swoich współpracowników polecenie, by szukali tego Devaronianina. Może zdołają go złapać, zanim zaczniesz mówić.

– Naprawdę sądzisz, że już tego nie zrobił? Choćby z zemsty za to, jak go potraktowaliście.

– Zrobiliśmy, co uważaliśmy za rozsądne – parsknęła Leia. – Kto mógł wiedzieć, co on znalazł? A może wolałbyś, żebyśmy mu pozwolili odlecieć z oryginałem?

– Prawdę mówiąc, wolałbym – przyznał niespodziewanie Fey'lya. – Nie wątpię, że to właśnie nam chciał ją sprzedać. Zażądałby astronomicznej sumy i dostałby ją, co by zakończyło całą sprawę.

– Niczego by nie zakończyło. Zakończyć, jak to określiłeś „sprawę”, może tylko odkrycie całej prawdy i ukaranie winnych.

– Teraz faktycznie nie pozostało nam nic innego – Fey'lya wstał i powiedział oficjalnym tonem: – Dziękuję za to wcześniejsze i prywatne spotkanie, pani senator Organa Solo. Pójdę przygotować swoją obronę.

– Nikt cię o nic nie oskarża i nikt nie zamierza cię sądzić – przypomniała mu Leia.

– Jednak będą – odparł cicho. – Tak jak całą moją rasę. Zobaczysz.

Knajpę „Dona Laza” wypełniał tłum, jakiego Shada D'ukal jeszcze tu nie widziała. Klienci niezliczonych ras zapełnili lokal dosłownie od ściany do ściany, a łączyło ich głównie to, że należeli do ras uznawanych za niskie i że żaden nie był trzeźwy.

– Popularne miejsce – oceniła, siadając obok Mazzica przy jedynym wolnym stoliku.

– Wygrali turniej Boga Minawka – wyjaśnił Mazzic, gładząc wierzch jej dłoni. – Nie uwierzyłybyś, jak niektóre środowiska reaguja na popularne sporty.

– Więc dlatego wybrał to miejsce? – spytała. – Z powodu – tłumem...

– Nie bój się. Cromf go przyprowadzi. Jeśli zapłaci mu się wystarczająco dużo, to nawet można na nim polegać. Zwłaszcza gdy drugą połowę zapłaty dostanie po dostarczeniu towaru.

– Bardziej mnie martwi, czy potrafimy go cicho i spokojnie wyprowadzić w takim tłumie.

– Nie ma pośpiechu. Biorąc pod uwagę, ile trudu nas to kosztowało, powinniśmy chociaż poznać ten drogocenny sekret, który chce nam sprzedać. A potem go capniemy.

Shada przyjrzała mu się kątem oka.

– Karrde nie będzie zadowolony – ostrzegła. – Całkiem jednoznacznie polecił, żeby Lak Jit z nikim nie rozmawiał.

– Karrde nie jest naszym szefem! – warknął Mazzic. – A po zapłaceniu Cromfowi to, co od niego dostaniemy, zaledwie pokryje koszty. Jeśli ten sekrecik faktycznie jest coś wart, zasługujemy na udział i nie mam zamiaru z niego zrezygnować.

Shada nie odezwała się, ale to i tak niczego nie zmieniło. Wszystko zawsze sprowadzało się do zysku i do tego, żeby za wszelką cenę wycisnąć jak najwięcej. Pojęcia takie jak lojalność czy honor...

– Och, daj spokój – Mazzic ponownie pogładził jej dłoń. – Przestań się obwiniać, nie wiem zresztą o co. Takie jest życie i musisz sobie z tego zdawać sprawę.

– Pewnie – mruknęła przygnębiona: zdawała sobie sprawę, i to właśnie najbardziej bolało, że przez ostatnie dwanaście lat całkowicie dobrowolnie brała w tym udział.

Czasami tylko, późno w nocy, zastanawiała się, co się stało z galaktyką. Albo co się stało z nią samą.

Na skraju tłumy przy stoliku pojawił się młody Garoos balansujący tacą między parą wrzeszczących i gestykujących Ishori. Udało mu się przejść bez rozlania drinków, więc siadając naprzeciwko Mazzica zagwizdał z zadowoleniem, po czym złapał jeden z czterech stojących na niej pucharków i odetchnął, poruszając purpurowymi skrzydłami.

– A jużem myślał, że mi sień nie uda – oznajmił.

– Ładnie ci poszło, Cromf – pogratulował Mazzic, biorąc dwa pucharki i stawiając jeden przed Shadą. – Widziałeś go?

– Nie widziałem – Cromf rozejrzał się nerwowo i upił niewielki łyczek; ktoś w pobliżu ryknął śmiechem, toteż pospiesznie zamknął kępkę słuchową i dodał: – Nie podoba mi sień tu. Za dużo świadków.

– Nie martw się, masz go tylko doprowadzić do stolika, reszta my się zajmujemy.

Jedna z pokrytych laką ozdobnych igieł, które Shada miała wpięte we włosy, ta umieszczona przy lewym uchu, dwukrotnie cicho kliknęła.

– Sygnał od Griva – poinformowała Mazzica. – Możliwy kontakt.

– Dobra. Idź po niego, Cromf, do bocznego wejścia. I skoncentruj się na drugiej połowie swego wynagrodzenia.

Garoos wstał, cicho pogwizdując, i zniknął w tłumie. Shada wzięła głęboki oddech, rozejrzała się powoli i przygotowała do walki. Jeśli Devaronianin wyczuje kłopoty i spróbuje prysnąć, to najprawdopodobniej ruszy w lewo...

Cromf wrócił, prowadząc rogatą postać.

– Ciasność! – parsknął, siadając na starym miejscu. – To Lak Jit, a to Mazzic.

– Miło mi cię poznać, Lak Jit – zagaił Mazzic, podając mu czwarty pucharek. – Jak słyszałem, pijesz Vistulo Bandale?

– Kiedy ktoś inny płaci, to zawsze – Lak Jit siadł obok Shady. – Muszę cię uprzedzić, Mazzic, że choć powiem prawdę, nie mogę żądać za informacje zapłaty, bo nie posiadam żadnych dowodów. Wiem tylko, co widziałem.

– Rozumiem – Mazzic położył dłoń na środku stołu. Gdy ją cofnął, pozostała tam kupka monet o wysokich nominałach. – Niemniej jednak szanujący się osobnik powinien płacić za to, co otrzymuje.

Lak Jit uśmiechnął się i sięgnął po pieniądze...

By ujrzeć swą dłoń w żelaznym uchwycie Mazzica.

– Za to, co otrzymał – powtórzył chłodno Mazzic i drugą ręką przesunął stosik ku sobie. – Teraz posłuchajmy, co masz do powiedzenia.

Lak Jit roztarł nadgarstek i pochylił się nad stołem.

– Proszę zrozumieć, że informacja jest zarówno prywatna, jak poufna: nikt poza rządem Nowej Republiki nic o tym nie wie.

– Naturalnie – zgodził się Mazzic, nie wierząc w ani jedno słowo, podobnie jak Shada. – A czego dotyczy?

Lak Jit rozejrzał się i pochylił jeszcze bardziej.

– Chodzi o Caamas. Istnieje dowód, że to agenci senatora Palpatine'a zniszczyli planetę.

Shada trzymająca dłoń pod stołem zacisnęła ją w pięść – dawno nie słyszała tej nazwy. Prawie równie dawno jak innej nazwy,

wywołującej wspomnienia, o których najchętniej by zapomniała. Wspomnienia świata, z którego pochodziła – Emberlene. Teraz nagle wszystko wróciło. Nie spodziewała się, żeby ta wiadomość tak samo poruszyła Mazzica i miała rację.

– Też mi rewelacja – wzruszył ramionami. – Ledwie ostatnia burza ogniowa wypaliła się na powierzchni, była to wiodąca teoria.

– Ale teraz to już nie teoria. Istnieje dowód odzyskany z wysadzonego magazynu Imperatora na planecie Wayland.

– Którego nie masz – przypomniał mu Mazzic, zastanawiając się, ile razy tamten zdążył już wszystko opowiedzieć.

– Ale to nie koniec – syknął Lak Jit, pochylając się tak nisko, że rogami prawie dotknął czoła Mazzica. – Teraz wiadomo, dlaczego tak łatwo im poszło: generatory planetarnego pola zostały uszkodzone... przez grupę Bothan.

– Doprawdy – Mazzic spojrzał wymownie na Shadę. – Znasz ich personalia?

– Niestety nie: ta część dokumentu okazała się zbyt uszkodzona, by mój czytnik był w stanie ją odczytać – Lak Jit wyprostował się. – To zresztą nie ma znaczenia: Bothan czeka naprawdę ciężki okres, a sprytny człowiek interesów może sporo zarobić, wiedząc o tej nieuchronnej destabilizacji. Nieprawdaz?

– W rzeczy samej – zgodził się Mazzic, spoglądając na Shadę i unosząc brew. – Shada, odprowadzisz naszego przyjaciela?

– Nie ma potrzeby – zaprotestował Lak Jit, sięgając po monety. Shada uniosła się lekko i uderzyła go kantem dłoni w nasadę lewego rogu.

Devaronianin padł bez jednego dźwięku na stolik, prawie rozlewając napój Mazzica. Wywołało to przelotne zainteresowanie Barabela i pary Doorsów. Zainteresowanie szybko przeminęło, jako że tracący przytomność z przepicia nikogo w tym lokalu nie dziwili.

– On nie... – upewnił się osłupiały Cromf.

– Pewnie, że nie jest – Mazzic pochylił się i stuknął lekko trzy razy w jedną z igieł Shaddy. – Nikt nam nie zapłacił za jego śmierć. Do stołu przepchnął się Griv.

– Gotów? – upewnił się.

– Gotów – potwierdził Mazzic, zgarniając monety.

Wręczył Cromfowi cztery, resztę schował do wewnętrznej kieszeni.

– Wynieś go do speedera – polecił.

Griv przeczucił sobie nieprzytomnego przez ramię i przepchnął się do wyjścia.

– Strata czasu – ocenił Mazzic, wstając i podając dłoń dziewczynie. – Musimy się trochę potargować z Talonem o nagrodę, żebyśmy nie wyszli na zero na tym interesie.

– Nie skorzystamy na tym?

– Nie wygłupiaj się: kogo może obchodzić planeta zniszczona pół wieku temu? – zdziwił się, biorąc ją pod ramię.

– Nikogo... – odparła z goryczą. – Masz rację: nikogo.

Caamas i Emberlene.

Trwało to chwilę. Disra spacerujący za swym biurkiem ocenił to na co najmniej dwukrotne przeczytanie i starał się, by jego zniecierpliwienie było widoczne. W przeciwieństwie do zdenerwowania. W końcu jednak czterej kapitanowie skończyli lekturę.

– Z całym szacunkiem, ekscelencjo, ale ta propozycja jest niewiarygodna – odezwał się znany z porywczosci kapitan Trazzen, dowódca „Obligatora”. – Nie może pan tak po prostu zabrać czterech niszczycieli klasy Imperial ze stanu floty sektora i spodziewać się, że pozostałe siły zdołają skutecznie bronić jego granic.

– W dodatku, z całym szacunkiem ma się rozumieć, nie wydaje mi się, aby miał pan prawo nakazać te loty – dodał kapitan Nalgol, dowódca „Tyranica”, obracając na palcu pierścien z herbem rodu Kuat, który stale nosił. – Wszystkie misje w przestrzeni Nowej Republiki muszą mieć osobistą aprobatę admirała Pellaona. Czyli inaczej mówiąc, tylko on może wydać rozkaz.

– Może tak, a może nie – parsknął Disra. – Odłóżmy chwilowo ten problem. Macie panowie jeszcze jakieś pytania?

– Ja mam pytanie dotyczące tego zadania w pobliżu Morishim – odezwał się kapitan Dorja, dowódca „Relentless”. – Konkretnie, co to za jednostka kurierska, o której przechwycenie mnie pan prosi?

– Prosi? – Disry omal nie zatchnęło z wściekłości. – Prosi?

– Tak, ekscelencjo, bo rozkazywać mi nie ma pan prawa – odparł Dorja. – Kapitan Nalgol ma rację: jako zwierzchnik sił zbrojnych sektora Braxant może pan rozkazywać jednostkom floty tylko w kwestiach operacji na obszarze tego sektora. Zadania w tak

odległych miejscach jak Morishim czy Bothawui wykraczają poza zasięg pańskich kompetencji.

– Rozumiem – Disra zrobił, co mógł, i zwrócił się do ostatniego oficera. – A pan, kapitanie Argona, jest pan jakoś dziwnie milczący.

– „Ironhand” naturalnie może polecieć tam, gdzie pan chce, niemniej jednak zgadzam się z oceną kapitana Trazzena: zabranie czterech z szesnastu niszczycieli wchodzących w skład floty sektora jest posunięciem wymagającym dokładniejszego przemyślenia – odparł spokojnie zapytany.

– Zwłaszcza że trzy z nich mają do wykonania zadanie w systemie Bothawui, które zajmie w najlepszym wypadku kilka tygodni – dodał Trazzen. – A którego charakter wyklucza możliwość szybkiego odwołania z uwagi na zakaz nawiązywania łączności.

– Co oznacza, że rozkazy powrotu może pan przekazać najszybciej przy pomocy kurierów – uzupełnił Argona. – W przypadku sytuacji kryzysowej czas, który to zajmie, może stać się przyczyną katastrofy.

– Niczego nie da się osiągnąć bez ryzyka – oznajmił chłodno Disra. – Zaczynam sądzić, że popełniłem błąd, proponując panom to zadanie. Jeśli wolicie wycofać się z kampanii, która przejdzie do historii...

– Nie! – głos doszedł od strony tajnego wejścia do apartamentów Disry i wszyscy kapitanowie jak na komendę odwrócili się w jego stronę.

Do pomieszczenia wszedł wielki admirał Thrawn.

Ktoś jęknął, ktoś inny zakrzucił się własną śliną, ale poza tym w gabinecie zapanowała martwa cisza.

– Przepraszam, sir? – spytał ostrożnie Disra.

– Powiedziałem: nie. Żaden z obecnych tu oficerów nie wycofa się z powierzonego mu zadania, ekscelencjo – odparł spokojnie Thrawn, podchodząc do biurka i siadając w fotelu moffa. – Miałem swoje powody, dla których wybrałem te konkretnie okręty i konkretnych dowódców. Powody te są nadal aktualne.

Przez moment przyglądał się stojącym w postawie zasadniczej osłupiałym oficerom, jakby oceniając ponownie każdego z osobna, po czym siadł wygodniej i uśmiechnął się lekko.

– Proszę zauważyć, ekscelencjo – zwrócił się do Disry. – Zostali całkowicie zaskoczeni moim pojawieniem się, a już zaczynają dochodzić do siebie. Szybkie i elastyczne umysły w połączeniu

z pełną lojalnością wobec Imperium: to jest właśnie kombinacja, której potrzebuję. I którą dostrzegam w osobach tych panów.

– Oczywiście, panie admirałe – zgodził się Disra.

– Panowie macie naturalnie masę pytań – te słowa skierowane były do kapitanów. – Tak się nieszcześnie składa, że to, na które najbardziej chcielibyście usłyszeć odpowiedź, chwilowo pozostanie bez niej. Dopóki jawnie nie przejmę dowodzenia, sposób, w jaki przetrwałem dziesięć lat temu zamach, powinien pozostać tajemnicą. Muszę was także prosić, abyście fakt mego powrotu utrzymali w jak najściślejszej tajemnicy: możecie o nim poinformować wyłącznie swoich zastępców, i to dopiero po opuszczeniu przestrzeni należącej do Imperium. Poza tym... jak sądzę, powstały pewne wątpliwości w kwestii autorytetu i prawa wydawania rozkazów?

– Już przestały istnieć, sir – odparł Trazzen głosem, w którym brzmiało niemal uwielbienie.

– To dobrze – Thrawn spojrzał na Nalgola, unosząc lekko brew. – Sądzę z wyrazu pańskiej twarzy, kapitanie Nalgol, że nie zgadza się pan z właśnie wygłoszoną opinią?

Nalgol odruchowo odchrząknął i przekręcił pierścień na palcu, jakby dodawało mu to pewności siebie.

– Nie kwestionuję, ma się rozumieć, pańskiego autorytetu, sir – wykrztusił. – Ale byłbym wdzięczny za pewne wyjaśnienia: znam system Bothawui i nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego stał się tak ważny dla Imperium, żeby wiązał na tygodnie trzy niszczyciele klasy Imperial. Przecież ten układ nie ma żadnej wartości militarnej, sir!

– Ma pan całkowitą rację, ale to nie system mnie interesuje, lecz wydarzenia, które w niedalekiej przyszłości będą miały miejsce w pobliżu rodzimej planety Bothan. Wydarzenia, które zamierzam wykorzystać, ma się rozumieć.

– Oczywiście, sir! Ale...

– We właściwym czasie wszystko stanie się zrozumiałe – przerwał mu Thrawn. – Chwilowo muszę prosić, by zaufał pan mojej ocenie sytuacji.

Nalgol wyprężył się jak struna.

– Naturalnie, sir. Zawsze, sir. – Niespodziewanie kapitan dał krok do przodu i wyciągnął nad biurkiem prawą dłoń. – Witamy z powrotem, sir. Imperium brakowało pańskiego przywództwa, sir.

– Podobnie jak mnie brakowało zaszczytu dowodzenia – Thrawn wstał i ujął dłoń Nalgola. – Ponieważ wasze okręty, pano-

wie, kończą już uzupełnianie zapasów, oczekuję, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin wyruszyście. Co do pana, kapitanie Dorja, to jednostka kurierska, którą powinien pan przechwycić, startuje za dwadzieścia godzin. Jak sądzę, daje to panu dość czasu na dotarcie do Morishim przed nią.

– Bez trudu, sir – Dorja prawie się uśmiechnął, co jak na niego ostatnimi laty było osiągnięciem. – Jeśli mogę, sir, to chciałem powiedzieć... że jestem zaszczycony, mogąc ponownie służyć pod pańskimi rozkazami, sir!

Disra miał wrażenie, jakby nagle podłoga usunęła mu się spod nóg – o tym, że Dorja służył pod Thrawnem, nie miał pojęcia.

– A ja jestem zaszczycony, mogąc ponownie panu rozkazywać – odparł poważnie Thrawn. – Już poprzednio wiedziałem, że ma pan więcej możliwości, niż okoliczności pozwalały panu okazać. Jak widzę, miałem rację. Być może będziemy obaj mieli okazję ocenić, jak wielkie drzemią w panu możliwości, kapitanie.

– Zrobię wszystko, by się pan na mnie nie zawiódł, sir! – Dorja prawie pojaśniał z zachwytu.

– O nic więcej nie proszę. I niczego innego nie oczekuję – Thrawn objął wzrokiem pozostałych. – Panowie, otrzymaliście rozkazy, możecie zacząć je wykonywać. Dziękuję za przybycie.

– Tak, sir! – zabrzmiało prawie chórem, ale zwrot był już idealnie zgrany.

Wymaszerowali zupełnie innym krokiem, niż weszli, i Disra musiał przyznać, że nigdy nie widział u żadnego tyle energii i chęci działania. W milczeniu odczekali, aż zamkną się drzwi za ostatnim z nich, i dopiero wtedy Thrawn stał się Flimem.

– Nieźli oficerowie – przyznał, rozpinając najwyższy guzik munduru. – Trochę zbyt łatwowierni, ale to nam akurat nie przeszkadza, prawda?

– Są więcej niż nieźli – warknął Disra, spoglądając na ukryte drzwi. – Są także wysoce niebezpieczni. Tierce? Gdzie pan jest, do cholery?

– Tu – Tierce wszedł do pomieszczenia i zamknął za sobą drzwi. – Cały czas tam byłem. O co chodzi?

– O co?! – Disry o mało krew nie zalała. – Nie dość, że trzech na czterech wybranych przez pana kapitanów jest nielojalnych wobec mnie, to jeszcze jeden z nich służył u Thrawna i znał go! Czy pan zwariował?!

– Tylko bez wyzwisk! – warknął zimno Tierce, podchodząc do biurka. – Musiałem wziąć na pierwszy ogień kogoś takiego jak Dorja, student pierwszego roku taktyki powiedziałby to panu.

– Ja nie jestem taktykiem! Przynajmniej nie w tym znaczeniu słowa, jakiego pan używa. Dlatego właśnie pańskie umiejętności są nam niezbędne. Zapomniał pan, majorze?

– Proszę się uspokoić – wtrącił się Flim. – Dotyczy to obu, a zwłaszcza pana, Disra. Przecież wiadomo, że prędzej czy później musiałem spotkać kogoś, kto osobiście znał Thrawna. Idealnie wręcz było od tego zacząć, zwłaszcza że miejsce spotkania umożliwiała dyskretną eliminację całej czwórki, gdyby okazało się to niezbędne. Mam rację, majorze?

– Całkowitą. A co do tego, że większość nie jest wobec pana lojalna, ekscelencjo: właśnie dlatego od nich należało zacząć, żeby sprawdzić, jak na nich podziała urok pana Flima.

– A zastanowił się pan, majorze, co może się stać, kiedy wyjdą spod tego uroku? – spytał ponuro, ale spokojniej Disra. – Co będzie, jeśli dojdą do wniosku, że nie są do końca przekonani i zaczynają sprawdzać.

– Oni zaczną od sprawdzenia – zapewnił go Tierce. – Dlatego chciałem, aby w pierwszej grupie znalazł się Nalgol. Pochodzi ze starej arystokracji na Kuat, więc wiedziałem, że jak zwykle będzie nosił swój pierścień z igłą.

Flim znieruchomiał i spytał, niezwykle starannie wymawiając:

– Swoje co?

– Pierścień z igłą. To tradycyjny na planecie Kuat sposób podawania wrogom trucizny – poinformował go rzeczowo Tierce. – Niech się pan odpręży, Flim: Nalgol od dawna nie nosi w nim zatrutej igły.

– Miło mi, że pan tak uważa! – warknął Flim, oglądając starannie dłoń, którą podał Nalgolowi. – On nie ścisnął pańskiej ręki i...

– Powiedziałem, żeby się pan odprężył – powtórzył Tierce stanowczo. – On niczego nie wstrzyknął, tylko coś uskubnął, że tak powiem.

– Próbkę skóry – Disra w końcu zrozumiał, o co chodzi. – Z którą bez wątpienia natychmiast pospieszył do analizy, a jak tylko dostanie wyniki, porówna je z kodem genetycznym Thrawna przechowywanym w jego aktach.

– Właśnie – uśmiechnął się z satysfakcją Tierce. – I podzieli się swą wiedzą z pozostałymi. Kiedy zostaną przekonani, nie będzie takiego rozkazu, którego nie wykonają.

– A zastanawiałem się, dlaczego tak pan nalegał na zmiany w bazie danych personalnych zeszłej nocy – przyznał z podziwem Disra. – Jest pan dokładny, majorze. A w tej operacji nie możemy sobie pozwolić na ryzyko błędu.

– Zwłaszcza że to my dwaj ponosimy całe ryzyko – dodał Flim, nadal oglądając uważnie swoją dłoń. – Pana, majorze, nie było nawet w pokoju.

– Uspokójcie się – w głosie Tierce’a pojawił się ślad pogardy. – Mamy przed sobą długą drogę, więc mam nadzieję, że nie zaczęliście już tracić nerwów.

– Proszę się nie bać o nasze nerwy – parsknął Disra. – Tylko o to, żeby pańska strategia okazała się skuteczna.

– Okaze się, możecie mi zaufać. Obojętne, gdzie zaczną się starcia, pierwsza duża bitwa wojny domowej zostanie stoczona w pobliżu Bothawui. Gwarantuje to dokument dotyczący Caamas. Spróbujemy zorganizować szczegóły konfliktu najlepiej, jak potrafimy, a nasza obecność na polu walki spowoduje, że obie strony poniosą maksymalne możliwe straty. Możecie mi wierzyć, że dopilnujemy tego.

– Cokolwiek zrobimy, lepiej zrobmy to szybko – ostrzegł Disra. – Pellaeon już prawie wykrył mój związek z Cavrilhu. Jeśli zauważy, że we flocie sektora brakuje czterech niszczycieli, zacznie mi się na serio dobierać do skóry.

– Nie na wszystko mamy wpływ – przypomniał mu Tierce. – Okręty wysłane do Bothawui znajdują się na wyznaczonych pozycjach dopiero za kilka tygodni. To długofalowa operacja.

– I właśnie dlatego powinniśmy chyba zrezygnować z użycia komety – ożywił się Disra. – Można wykorzystać coś innego.

– Nie można – sprzeciwił się Tierce. – Nic innego nie gwarantuje takiego bezpieczeństwa. Musi pan użyć całego swego uroku i innych zalet, by utrzymać admirała na dystans, ekscelencjo.

– Zrobię, co będę mógł – mruknął Disra złośliwie. – A czego mam użyć wobec kapitana Zotkipa? Dobre słowo nigdy na niego nie działało.

– A co mu się stało? – zainteresował się Flim.

– Major zawiadomił go niedawno, że nie będzie kolejnej dostawy klonów. Łagodnie rzecz ujmując, można powiedzieć, że Zotkip się wściekł.

– Już o tym mówiliśmy – Tierce zaczynał tracić cierpliwość. – Sami potrzebujemy wszystkich klonów, jakie tylko zdołamy zna-

leżć. A Zotkip nie ma powodu do narzekania, i tak nieźle skorzystał z ich obecności na swoich statkach. Poza tym czego pan się boi: że zjawi się tu i zażąda satysfakcji?

– Nie zna pan Zotkipa, majorze – ostrzegł Disra.

– Śmieć z rynsztoka! – parsknął pogardliwie Tierce. – Niech go pan przekupi albo nastraszy, nie obchodzi mnie, co pan robi, byle to było skuteczne.

– Mniej martwi mnie Zotkip niż pan – przyznał nieoczekiwanie Disra. – Od teraz wszystkie ważniejsze decyzje będziemy podejmowali wspólnie. Nie pozwolę panu niszczyć tego, co zbudowałem, i zostawić kawałków, żebym musiał zaczynać od początku, majorze.

Przez długą chwilę Tierce tylko przyglądał mu się uważnie.

– Wyjaśnijmy sobie jedną sprawę, Disra – powiedział wreszcie lodowato spokojnym tonem. – Ja dowodzę militarną stroną operacji. W całości. To zaproponowałeś mi na początku i to właśnie robię. Twoim zadaniem teraz, twoim jedynym zadaniem, jest zaopatrzenie okrętów zarówno w zapasy, jak i ludzi oraz pilnowanie strony politycznej, ze wszystkimi problemami, jakie mogą powstać.

Disra spojrział na niego ostro, ale obaj wiedzieli, że Tierce ma rację.

– Zostałem więc zdegradowany do funkcji kwatermistrza, tak? – spytał cicho.

Tierce uśmiechnął się krzywo.

– Obawiasz się utraty kontroli nad tym, co stworzyłeś? Więc przestań się bać: moim jedynym celem jest pomśzczenie śmierci Imperatora i starcie Rebelii z mapy galaktyki. Kiedy tego dokonam, moja misja zostanie zakończona. Rządy nowym Imperium będą należały wyłącznie do ciebie.

Disra przyglądał mu się badawczo, ale z kamiennej twarzy nie wyczytał niczego. Jeśli pozwoli, by marzenia wpłynęły na jego osąd, a tymczasem Tierce kłamał... Nie, nie mógł kłamać: był żołnierzem, nietuzinkowym i o specjalnych umiejętnościach, ale nie miał ani przygotowania politycznego, ani doświadczenia, niezbędnych do rządzenia. Nawet jeśli spodoba mu się władza, i tak nadal będzie potrzebował Disry – zwłaszcza po zakończeniu walk.

– Większość triumwiratów nie jest zbyt stabilna, ekscelencjo – odezwał się Flim. – Wiem, bo widziałem wiele tworzących się i rozpadających wśród piratów i przemytników. Ten jest inny, ponieważ żaden z nas nie poradzi sobie bez pozostałych. I to jest fakt, nie teoria.

– On ma rację – zgodził się Tierce. – Więc przestań narzekać i bierz się do roboty. Albo wszyscy wylądujemy w kolonii karnej.

– Zgoda – Disra musiał się do spokoju. – Przepraszam, majorze. To się już nie powtórzy.

– To dobrze. Wracając do rzeczy: będę potrzebował kopii algorytmu deszyfrującego, za pomocą którego zdołał pan się dostać do prywatnych zapisów Imperatora i Thrawna.

– Po co?

– Żebym mógł skompletować listę miejsc na terenie Nowej Republiki, w których Thrawn umieścił uspiętych agentów. Musimy pozyskać wszystkich wyszkolonych żołnierzy i pilotów, jakich zdołamy znaleźć! – wyjaśnił logicznie Tierce.

– Mogę panu dostarczyć taką listę.

– Zapewne, ale korzystniejsze byłoby, gdybym mógł wejść do tych danych wtedy, kiedy będę potrzebował.

– A dla mnie byłoby korzystne wiedzieć parę rzeczy, których pan nie wie – zauważył Disra. – Tak dla równowagi.

– Proszę bardzo – Tierce potrząsnął głową. – Skoro sprawi to panu przyjemność, ekscelencjo. Tylko proszę jak najszybciej dostarczyć mi tę listę.

– Niezwłocznie, majorze – Disra skłonił się ironicznie.

Idąc do tajnego przejścia Disra zdecydował, że bezwzględnie musi unikać podobnych wybuchów. Co nie oznaczało naturalnie, iż nie będzie uważniej niż dotąd patrzył na ręce pozostałej dwójki. Poza tym może oni nadal go potrzebowali, ale wiedział, że nadejdzie czas, gdy on już ich przestanie potrzebować.

Z przyjemnością myślał o takiej perspektywie.

ROZDZIAŁ

6

Była niska, kudłata, głośna i zdecydowana sprzedać mu melona.

– Przykro mi – Wedge Antilles odsunął się, na ile mógł, od straganu, czyli raczej niewiele, ponieważ tłok na targowisku panował konkursowy, i chcąc podkreślić swoje słowa, rozłożył ręce. – Dzięki, ale dziś naprawdę nie interesują mnie wk'ou.

Albo nie rozumiała wspólnego, albo nie miała zamiaru tak łatwo zrezygnować z klienta. W każdym razie podążyła w ślad za nim, tyle że po drugiej stronie straganu z owocami, wysuwając zachęcająco bladoczerwony przypominający klepsydre owoc i cały czas gadając po moryjsku.

– Nie dziś! – powtórzył stanowczo, rozglądając się, czy gdzieś nie dojrzy któregoś z podkomendnych, ale jak na złość żadnego nie było.

Zauważył za to wolną przestrzeń za plecami, więc czym prędzej zrejterował, rzucając w stronę straganu:

– Może jutro...

– Jak na wielkiego, złego pilota X-winga nie bardzo umiesz odmawiać – rozległ się z tyłu głos Jansona.

– Nie kupiłem go, prawda? Gdzieś był? Podobno znasz tutejszy język? Obaj z Tychem jesteście dobrzy: jak was człowiek potrzebuje, to śladu smrodu po was nie ma.

– Ale zdażyłem na twój występ – Janson uśmiechnął się radośnie. – Zwłaszcza podobało mi się, jak rozłożyłeś rączki.

Wedge zmrużył oczy i przyjrzał mu się podejrzliwie.

- A bo co? – spytał.
- A bo to, że taki gest oznacza, że może być i kupić, ale za niższą cenę – wyjaśnił zadowolony z siebie Janson. – Można go odczytać jako zaproszenie do targów.
- Aha. Serdeczne dzięki, że mi o tym powiedziałaś, zanim wyszliśmy na targ – parsknął Wedge. – Teraz rozumiem, dlaczego nie chciała mi dać spokoju.
- To duża galaktyka – zauważył Janson filozoficznie. – Człowiek uczy się całe życie... Chodź, spotkałem twojego starego znajomego.
- Tylko żeby nie próbował mi czegoś sprzedać – zastrzegł Wedge. – Są jakieś wieści z bazy?
- Żartujesz?! – Janson ruszył przodem. – Spotkanie trwa zaledwie pół godziny. Przy takiej osobistości jak Bel Iblis pewnie dopiero kończą prawić sobie komplementy. O jest! Hej!... Generale!
- Idący o parę osób przed nimi mężczyzna w czarnej pelerynie odwrócił się.
- Proszę, proszę! – ucieszył się Wedge, przeciskając się do niego i wyciągając dłoń na powitanie. – Generał Calrissian!
- Po prostu Calrissian – poprawił Lando. Przełożył wk'ou pod lewą pachę i uściśnął prawicę Antillesa. – Karierę wojskową mam już za sobą. Miło cię zobaczyć, Wedge.
- Ciebie też. Co robisz w tej okolicy?
- Mam nadzieję dopchać się do Bel Iblisa – Lando wskazał głową piramidy bazy myśliwskiej górujące nad miastem. – Musimy coś zrobić z piratami, bo człowiek nie może spokojnie przelecieć koło Varn.
- Dobrali się do twoich transportów rudy? – domyślił się Wedge.
- To też, ale przede wszystkim płoszą mi potencjalnych klientów. Nie wiem, czy słyszeliście, że rozbudowałem „Deep Pockets” o kasyno i pokład obserwacyjny.
- Atrakcja turystyczna pełną gębą – skomentował Janson bez cienia szacunku.
- A żebyś wiedział. Zdziwiłbyś się, ilu jest chętnych do oglądania podwodnych kopalń – odpalił Lando. – Na dobrą sprawę zyski z kasyna prawdopodobnie pokryłyby koszt całej operacji, gdyby mogło normalnie działać. A jak może działać, skoro wszyscy boją się tam lecieć?

– Piraci pojawili się właściwie wszędzie – przyznał Wedge. – Nawet tam, gdzie ich nigdy nie było. Rozmawiałeś z Coruscant?

– Do zachrypięcia – warknął Lando. – I chyba tylko tyle zyskałem. Ta banda gryzipiórków jest równie beznadziejna, jak za czasów Imperium.

– Część z nich to ci sami – prychnął Janson.

– Nowa organizacja powinna ci pomóc – oświadczył Wedge, próbując zmienić temat, gdyż biurokracja i inne problemy administracyjne zaczęły ostatnio wybitnie działać na nerwy wszystkim pilotom Eskadry Rogue. – Jeśli rządy sektorów i systemów uzyskają większą władzę, sytuacja powinna się poprawiać. Imperium udowodniło, że silna, scentralizowana władza na takim obszarze nie sprawdza się... Swoją drogą, zabawne: pamiętam czasy, kiedy przebywanie na planecie leżącej tak blisko terytorium imperialnego oznaczało spanie w kabinie. A my sobie spacerujemy jak turyści po Svivren czy Ord Mantell.

– Nadmierna pewność siebie zgubiła już niejednego – ostrzegł Janson, poważniejąc. – A Imperium nadal istnieje i gdyby chciało, mogłoby nam solidnie namieszać.

– I nie pierwszy raz sprawia wrażenie, że jest gotowe rzucić karty – dodał Lando. – Pamiętasz, jak wyglądała sytuacja, zanim pojawił się wielki admirał Thrawn?

– Wedge! – rozległo się gdzieś w tłumie. – Hej, Wedge!

Zawołany rozejrzał się, dostrzegł potarganą czuprynę brązowych włosów i zamachał gwałtownie.

– Tutaj! – ryknął.

– Kto to taki? – spytał Lando, próbując coś zobaczyć ponad tłumem.

– Tycho Celchu, jeden z moich starych pilotów – przedstawił go Wedge. – Prawdę mówiąc, nie wiem, czy się spotkaliście.

Tycho przepchnął się przez tłum.

– Cześć. Wedge, musisz posłuchać tego gościa – oświadczył poważnie i bez wstępów. – Chodźcie, to niedaleko.

I nie czekając zawrócił.

Przeprowadził ich przez targowisko do niewielkiej budki, w której siedział wiekowy Morish.

– Jest – oświadczył Tycho i spytał: – W’simi p’rotou?

– M’rish’kavish f’oril – wycharczał siedzący. – M’shisht C’a-ama’, por kri’vres’mi B’oth.

Janson gwizdnął cicho.

– Co on mówi? – zirytował się Wedge.
– Mówi, że są nowe informacje o zniszczeniu Caamas – przetłumaczył ponuro Tycho. – I że odpowiedzialni są Bothanie.
– Żartujesz?! – Wedge wytrzeszczył oczy.
– A wyglądam? – w błękitnych oczach Tycho zapłonęły niebezpieczne ogniki. – Pasuje, nie? Endor, Borleias, a teraz to.
– Spokojnie, Borleias to nie wina Bothan – przypomniał mu Wedge.

– Nie całkiem – przyznał niechętnie Tycho.
– Słyszałeś coś o tych nowościach na temat Caamas? – Wedge spojrział pytająco na Lando.

– Nawet szeptu – Lando z kolei przyglądał się podejrzliwie Morishowi. – Spytaj go, skąd to wie albo gdzie to słyszał.

Tycho pogadał przez chwilę z tubylcem i streścił rozmowę pozostałym.

– Mówi, że wiadomości pochodzą od Samotnika, który żyje w jaskini na zboczu High Tatmana. On podobno wie o wszystkim, co dzieje się w galaktyce.

Wedge przyjrzał się krytycznie zębatego łańcuchowi górskiemu rozciągającemu się po przeciwnej stronie miasta niż baza myśliwska. Myśl, że jakiś pustelnik-tubylec może być zorientowany w tym, co się dzieje w mieście, a co dopiero w galaktyce, wydawała mu się z pozoru absurdalna, ale Wedge zbyt długo znał Luke'a Skywalkera, by kierować się pozorami i teorią. W galaktyce istniało całkiem sporo niemożliwych do wytłumaczenia rzeczy, Samotnik też mógłby do nich należeć. Albo po prostu mógł się okazać jednym z starych adeptów Mocy, których nadal poszukiwał Luke.

A poza tym i tak nie narzekali na nadmiar zajęć.

– Spytaj go, gdzie dokładnie znajdziemy tego całego Samotnika – polecił, patrząc wymownie na Tycho.

– Chcesz go odszukać? – zdziwił się Lando. – Po co?

– Z ciekawości. Mamy parę godzin wolnego i mogę sobie na to pozwolić. Lecisz z nami?

– Lecę – westchnął Lando.

Trzy myśliwce typu X bez trudu wylądowały na płaskim cyplu skalnym nad miastem.

– Wam to łatwo – wycedził Lando pod nosem, przymierzając się do lądowania.

Dla „Lady Luck” pozostało niewiele miejsca, ale duma nie pozwalała mu się cofnąć. Klnąc pod nosem, posadził jacht na skale i odetchnął z ulgą. Ciasnota i wiatr to jedno, a wstyd to drugie – jakoś nigdy w życiu nie wybierał tego drugiego, co często graniczyło z głupotą. Przystawił silniki na jałowy bieg i wyszedł z kabiny, kierując się do słuzy.

Zanim wysiadł, Wedge, Tycho i Janson zebrali się przy opuszczonej rampie „Lady Luck”.

– Chłodno tu – ocenił Lando, łapiąc poły peleryny, nim zainteresował się nią poważniej wiatr. – Mam nadzieję, że w tej jego jaskini jest jakieś ogrzewanie.

– Przynajmniej nie będzie wiatru – Wedge wskazał wysoką na dwa metry i wąską szczelinę w zboczu o kilka metrów od nich. – To pewnie tu. Idziemy!

Jaskinia była znacznie głębsza, niż Lando się spodziewał po niezbyt imponującym wejściu. Była też zaskakująco ciepła i prowadził do niej długi korytarz.

– Chyba za zakrętem coś się świeci – odezwał się idący przodem Antilles.

– Może powinniśmy się zaanonsować – Lando nie lubił wąskich, ciasnych korytarzy skalnych: za bardzo przypominały mu wydrażoną górę Tantiss.

Dlatego nic dziwnego, że mijając zakręt trzymał dłoń na rękojeści miotacza.

Scena, którą zobaczyli, nie wyglądała ani groźnie, ani dramatycznie – we właściwej, szerokiej części jaskini siedział naprawdę wiekowy Morish od niechcienia brzdąkający na jakimś strunowym instrumencie. Po jego prawej stronie stała wojskowa lampa, po lewej antyczny piec na węgiel drzewny. Pod dwiema pogrążonymi w półmroku ścianami dostrzegli rozmaite meble i inne przedmioty domowego użytku, zaś trzecią, za plecami siedzącego, prawie całą zakrywała ręcznie malowana zasłona.

Jeśli nawet gospodarz był zaskoczony ich widokiem, nie okazał tego po sobie – przyglądał im się przez chwilę, czekając aż wejdą w krąg blasku, po czym opuścił wzrok na instrument i coś wymamrotał.

– Wita nas – przetłumaczył Tycho – w pewnym sensie... i chce wiedzieć, czego tu szukamy.

– Powiedz mu, że słyszeliśmy, że on coś wie o zniszczeniu Camas – polecił Wedge. – I chcielibyśmy dowiedzieć się więcej.

– Zażyczy sobie pieniędzy – ostrzegł Janson.
– Fakt – zgodził się Tycho. – Zaproponujmy mu pięćdziesiąt.
– Trzysta – oświadczył niespodziewanie w całkiem niezłym wspólnym stary. – Ta historia warta jest trzysta.
– No proszę! – mruknął Wedge. – To byłoby tyle, jeśli chodzi o lokalny folklor. Od początku podejrzewałem, że znają wspólny znacznie lepiej, niż myślimy. Dam setkę.

– Trzysta albo nie ma historii.
– Półtorej – zaoferował Wedge. – Kredyty Nowej Republiki. Wszystko, co mam przy sobie.

– Trzysta.
– Zapłacę – mruknął Lando, rozglądając się uważnie. – Coś tu było dziwnego... i wywoływało niemiłe skojarzenia...

– Niech będzie moja krzywda: trzysta – zgodził się Wedge. – Ale lepiej, żeby to się okazało warte tych pieniędzy.

– Jest – zapewnił gospodarz. – Otóż, gdy mroczna flota zebrała się w pobliżu Caamas...

Nagle coś przeskoczyło mu w pamięci i Lando już wiedział. Przestał słuchać starego, podszedł do zasłony i złapał za jej brzeg...

– Ka'alee! – zawył Morish, ciskając instrument i rzucając się ku lampie, a raczej za lampę.

– Stój! – ryknął Wedge. – I nawet nie drgnij!

Cała trójka pilotów trzymała gotowe do strzału miotacze w klasycznych dwuręcznych chwytach strzeleckich.

– Cofnij rękę! – polecił Wedge. – Powoli i pustą!

Wpatrując się w nich wściekle, stary wykonał polecenie. Janson obszedł go szerokim łukiem, by nie wejść pozostałym na linię ognia i przyklęknął za latarnią. Wyjął zza niej niewielki, ale sporej mocy miotacz.

– Teraz siedź grzecznie na dupie i zachowuj się – polecił Wedge. – I trzymaj ręce na widoku. Żadnych gwałtownych ruchów, to może przeżyjesz. Co znalazłeś, Lando?

– Źródło jego wszechwiedzy – odparł niezbyt radośnie zapytany, odciągając zasłonę. – Obejrzyj sobie.

Wedge gwizdnął cicho – nawet Lando, spodziewający się, co kryje zasłona, był pod wrażeniem. Bowiem wąskie, wykute w skałe pomieszczenie w całości wypełniało kompletne i w pełni działające imperialne centrum łączności planetarnej. Łącznie z modułami szyfrująco-dekodującymi, gniazdami dla droidów, modułem

monitoringu planetarnego i własnym źródłem energii, i to trzeciej generacji.

– No, no – Wedge pokiwał z uznaniem głową. – Ładne. Skąd wiedziałeś?

– Zapach – Lando wzdrygnął się odruchowo. – Zakurzona elektronika ma specyficzny smrodek. Od czasów odkrycia cylindrów klonujących pod Tantiss jestem na niego wyczulony.

– Prawdopodobnie zainstalowali je tuż przed utratą planety – ocenił Janson. – Pewnie szpiegowali stąd bazę.

– I wykorzystywali do celów propagandowych – dodał Wedge. – Zobaczcie: bezpośrednie podłączenie do imperialnej sieci informacyjnej i drugie do kanału wiadomości Coruscant.

– Trzeba by przejrzeć ostatnie zapisy – mruknął Lando. – I sprawdzić, w których informacjach maczali palce.

– Musieli się stąd szybko ewakuować, skoro... – Wedge nagle umilkł, wpatrując się w ekran przedstawiający układ planetarny. – Tycho, gnaj do myśliwca i zawiadom bazę: mamy corelliańską korwetę z imperialnym transponderem lecącą pełną mocą w stronę planety... Nie! Panowie, do maszyn!

I sam ruszył biegiem do wyjścia.

Pozostali automatycznie poszli za nim, z wyjątkiem Lando.

– Ty... człowiek... co się dzieje? – spytał zdziwiony samotnik.

Lando zerknął na ekran i też pospiesznie ruszył ku wyjściu.

– Niszczyciel klasy Imperial wyszedł z nadprzestrzeni tuż za korwetą i leci do nas! – rzucił przez ramię.

– Lando? – głos Wedge'a rozległ się w kabinie „Lady Luck”. – Słyszysz mnie?

– Głośno i wyraźnie – odparł Lando, kończąc dostrajać łączność.

– Trzymaj się blisko, ten numer ze zmiksowaniem częstotliwości nie przebiję się przez pełnozakresowe zagłuszenie na większą odległość.

– Jasne – przytaknął Lando, spoglądając na ogłupiałe odczyty sensorów łączności.

Pokładowe sensory i systemy łączności były naprawdę dobre i miały kilka nieszablonych dodatków, ale pełnozakresowe zagłuszenie przez nadajnik takiej mocy, jaką dysponował imperialny

niszczyciel, przekraczało możliwości systemu. Jak na razie prowizorka, którą stworzył po starcie, zdawała się jednak sobie z tym radzić.

– A co się dzieje tak w ogóle? – spytał, przestając koncentrować się na łączności.

– Połączyłem się z bazą – poinformował go Wedge. – Reszta moich Rogue zaraz do nas dołączy, a za nimi wszystkie pozostałe myśliwce zdolne do lotu.

– Co z „Peregrine” i fregatą uderzeniową, którą przyleciał admirał Vriss?

– „Peregrine” jest już w drodze, ale musi okrążyć planetę – w głosie Wedge’a pojawiła się pogarda. – A na fregatę możemy nie liczyć: po przylocie wyłączyli silniki.

– Ślicznie! – prychnął Lando. – Kto tam dowodził?

– Komitet Bagmimów. Załoga składa się głównie z nich i Povanarian, ludzi jest niewiele.

– Bagmimy całkiem nieźle walczą, kiedy są rozszczeni.

– Więc powinni częściej bywać wściekli – warknął Wedge. – Bo teraz tylko marnują powietrze!

– Nic na to nie poradzimy – Lando uznał, że nie ma sensu przypominać, kto niedawno mówił o turystyce. – Jaki mamy teraz plan?

– Zajmować uwagę niszczyciela do przybycia „Peregrine’a”. Generał ściągnął parę krążowników z Haverling. Dopóki się nie zjawią, musimy radzić sobie sami.

Trzy myśliwce i jacht wzniosły się ponad krzywizną horyzontu i piloci mogli przyjrzeć się dokładniej niszczycielowi ścigającemu korwetę lecaącą prosto ku planecie.

– Wedge? – spytał niepewnie Lando.

– Widzę. Rogue Siedem, zrób no analizę...

– Już zrobiłem – odezwał się Tycho. – Korweta leci z maksymalną prędkością i wzmocnionymi tarczami rufowymi, a ogień niszczyciela jest skierowany wyłącznie przeciw niej. To jest pościg.

– I zagłuszają jej nadajnik – dodał Janson. – Projekcja kursu wskazuje, że korweta leci prosto na skraj pola osłaniającego bazę. Mamy chyba próbę dezercji albo złodziejstwa.

– Może – Wedge był ostrożniejszy – a może to podstęp, żebyśmy wpuścili pod osłonę pola okręt bez sprawdzenia ładunku.

– To co robimy? – spytał Janson.

– Poprzeszkadzamy. Rogue Dwa i Pięć: oblećcie korwetę z prwej burty i sprawdźcie, czy uda się wam ściągnąć na siebie zainteresowanie niszczyciela. Ja zrobię to samo z drugiej strony. I uważajcie na promienie ściągające: mogą próbować złapać korwetę i was przy okazji.

– Tak jest, sir! – rozległo się chórem i dwa myśliwce odłączyły się od formacji.

– A ja co mam robić? – spytał Lando. – Kibicować?

– Dokładnie – odparł Wedge, zwiększając prędkość. – Twojego jachtu nie zaprojektowano do akrobacji, a znacznie łatwiej go trafić. Poza tym możemy potrzebować cię jako stacji przekaźnikowej w łączności z posiłkami.

Ledwie skończył, korweta oberwała – coś eksplodowało na rufie, rozsiewając wokół chmurę szczątków i atmosfery.

– Górne sensory zniszczone – zameldował Janson. – Ogień wewnątrz okrętu, stracili hermetyzację i może będą musieli wyłączyć główny reaktor.

Co oznaczało brak napędu i całkowity brak pola, a w efekcie zero szans na ucieczkę. Lando zaklął, uruchamiając zapasowy system łączności i przeszukując wszystkie kanały. Na każdym słyszał jedynie szum zagłuszania.

– Uruchomili emitery promieni ściągających – odezwał się Tycho. – Mają ją!

– Nadlatują nasi! – wtrącił Janson. – Z tyłu z lewej reszta eskadry, za nią trzy skrzydła myśliwców A-wingów i dwa X-wingów. Będą tu za około czterech minut.

– Za późno – ocenił rzeczowo Wedge i dodał niechętnie. – Przerwać atak. Już im nie pomożemy.

Lando grzotnął pięścią w obudowę tablicy przyrządów – niszczyciel powoli przyciągnął korwetę i nawet nie mogli się dowiedzieć, kto był na pokładzie i po co przyleciał. Zaraz, a gdyby tak...

– Wedge? Mam pomysł: uruchomcie równocześnie wszystkie częstotliwości, jakie zdołacie, na pełnej mocy sygnału i taką ilością dekodacji, jaką się da – zaproponował. – Może uda się przełamać zagłuszanie albo choć osłabić je na tyle, by przechwycić wiadomość z korwety.

– Można spróbować. Na moją komendę, chłopaki... Już!

Lando włączył jeden z egzotycznych dodatków do modułu łączności, na które wydał solidną kwotę, wątpiąc w duchu w skuteczność całego pomysłu. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że mógł

akurat na tyle zirytować kapitana niszczyciela, by ten zainteresował się „Lady Luck”. Myśl nie była miła, ale przynajmniej coś robił... Obserwując odczyt sygnału, niemal przestał oddychać... i coś drgnęło.

– Nie przerywajcie! – polecił, wpisując w klawiaturę skomplikowane polecenie.

Sygnał prawie zgasł, nagle się wzmocnił, znów osłabł i zanikł.

Lando uniósł głowę i dostrzegł korwetę znikającą w wylocie głównego pokładu ładowiskowego niszczyciela, a chwilę później sam niszczyciel wchodzący w nadprzestrzeń.

– I to by było na tyle – westchnął Tycho.

– Masz coś? – spytał Wedge.

– Nie wiem, zaraz sprawdzę – odparł Lando, programując odpowiednie polecenia.

Przez moment w głośnikach słychać było tylko szum, a potem niewyraźny głos momentami przebijający się przezeń, momentami niknący:

– ...tu pułko... zh Ver... my wysłannik... mirał... ona... do gen... ela Iblisa w spra... ego... ju... Imperium a Nową Repu... zaatakowani... radzieckie ale... Imperial... nie sądzę by... żył. Jeśli Nowa Re... gadza... wy, admi... Pel... w opu... górniczym... itiin za... by spotkać się z... wtarzam: Tu... wnuk Me... Vermel...

Nagranie skończyło się.

– Niewiele tego – ocenił Wedge.

– Fakt – zgodził się Lando. – Co teraz?

– Wróć do bazy i przekaz nagranie Bel Iblisowi – zdecydował Wedge. – My tu się trochę pokręcimy.

– Na wypadek gdyby to był pierwszy akt? – domyślił się Lando.

– To pewnie moja zboczona podejrzliwość – przyznał Wedge.

Lando, spoglądając w miejsce, w którym korweta przegrała wyścig do bezpieczeństwa, poczuł coś nieprzyjemnego maszerującego mu po kręgosłupie. Cała ta sprawa wyglądała zadziwiająco znajomo, niesamowicie wręcz znajomo – przed wielu laty inna correlliańska korweta została schwytana przez imperialny niszczyciel koło planety Tatooine. Na jej pokładzie leciała księżniczka Leia Organa, na jego zaś Darth Vader. Był to punkt zwrotny Galaktycznej Wojny Domowej, choć wówczas nikt nie zdawał sobie z tego sprawy. Czyżby historia miała się powtórzyć koło Morishimu?

– Wedge?

- Tak?
- Przypadkiem nie odstrzelono jakichś... kapsuł ratunkowych z tej korwety? – zapytał, czując się nieco głupio.
- Przypadkiem też o tym pomyślałem – powiedział spokojnie Wedge. – Nie było żadnych kapsuł.
- Aha – mruknął Lando, otrząsając się ze wspomnień: historia jednak nigdy się nie powtarzała. Może Janson miał rację i była to zupełnie banalna próba ucieczki.
- I najprawdopodobniej nikt z nich nigdy nie pozna prawdy.

Oficjalnie planeta nazywała się Muunilinst, nieoficjalnie znano ją powszechnie Lichwiarnią – tak jak Bastion mianowano nową stolicą Imperium, tak ona została centrum finansowym. Powodów było kilka: długa, sięgająca czasów Starej Republiki historia i tradycje, inercja i siła przyzwyczajień oraz fakt posiadania dwóch orbitalnych stacji bojowych typu „Golan III”.

Pellaeon, stojący przy oknie sali konferencyjnej, właśnie obserwował przelot jednej z nich na tle słońca. Kiedy przenoszono stolicę na planetę Bastion, Disra próbował doprowadzić do transferu tych stacji, argumentując, że centrum rządowe wymaga lepszej ochrony od finansowego. Była to jedna z nielicznych porażek politycznych Disry – stacje bowiem pozostały na swoich orbitach. Za plecami admirała ktoś dyskretnie odchrząknął.

- Tak? – spytał, odwracając się w stronę stołu.

Cała szóstka siedzących tam wyższych oficerów przyglądała mu się uważnie.

– Sądzę, że to całkowicie poważna propozycja, sir – odezwał się cicho generał Sutt Ramic, najwyższy starszeństwem wśród obecnych, dowódca obrony planetarnej, z którego zdaniem liczyli się pozostali. – Pan i moffowie już ją zaakceptowaliście, prawda?

Pellaeon wiedział, iż pozostali podporządkują się decyzji Ramica, obojętnie jaka by była. A on na razie niczego nie kwestionował, po prostu pytał.

– Moffowie zgodzili się na moją propozycję – odparł Pellaeon. – Niewielka to pociecha, ale im ten pomysł nie podoba się tak samo, jak nam wszystkim.

– Sądziłem, że to pański pomysł, sir – głos i spojrzenie generała Jarona Kyte’a aż ociekały podejrziwością. – Teraz pan mówi, że jest temu przeciwny?

– Nie powiedziałem, że jestem przeciwny – poprawił go Pellaeon. – Tylko że mi się nie podoba. Natomiast z militarnego punktu widzenia po prostu nie ma żadnej innej możliwości.

– Wydawało mi się, że mamy nowe, rewolucyjne systemy uzbrojenia, gotowe do zastosowania w praktyce – zauważył Ramic.

Na konsoli łączności przed Pellaeonem zaczęło pulsować żółte światełko.

– Znaczna część tych systemów, niestety, w praktyce nie spełniła oczekiwań swych projektantów – odparł Pellaeon, pochylając się nad fotelem i wciskając klawisz potwierdzenia. – Co zaś się tyczy innych, działających całkiem sprawnie, zostały uzyskane w sposób, który można określić jedynie jako zdradziecki.

Drzwi do sali konferencyjnej otworzyły się, wpuszczając mężczyznę w szalu i z wisiosem, stanowiącymi tradycyjne atrybuty bankierów z Muunilinst. Jego reakcja na pokój pełen wyższych stopniem oficerów mogła być interesująca, ale Pellaeon skupił się na reakcji tychże oficerów na widok bankiera. Wszyscy byli zaskoczeni zarówno oświadczeniem admirała, jak i obecnością cywila, a większość dodatkowo poirytowało to wtargnięcie na wojskową naradę. Jednak tylko siedzący po lewej stronie stołu generał Kyte wzdrygnął się – nie była to silna reakcja, ot, drgnięcie głowy i przelotne zdumienie na twarzy, nim nad nią zapanował, ale w porównaniu z brakiem podobnej reakcji u pozostałych rzucała się w oczy niczym latarnia przeciwmgielna.

– A, lord Graemon – Pellaeon spojrział wreszcie na nowo przybyłego. – Dziękuję za przyjęcie zaproszenia. Proszę przejść do gabinetu, wkrótce do pana dołączę.

– Jak pan sobie życzy, admirale – Graemon uklonił się, omiótł wzrokiem obecnych i przeszedł przez salę do wskazanych drzwi.

– Można wiedzieć, o co tu chodzi, sir? – spytał Ramic, gdy za bankierem zamknęły się drzwi.

– Mówiłem o zdradzie – odparł Pellaeon, przyznając w duchu, że nie docenił bystrości Ramica. – Lord Graemon jest jedną z nici w pajęczynie tej zdrady.

Pozostałych zaskoczył ponownie, lecz Ramic nawet nie drgnął.

– Może pan to udowodnić, admirale? – spytał.

– W wystarczającym stopniu. Jest jednym z bankierów pomagających w przelewaniu imperialnych funduszy na konta konsorcjum produkującego myśliwce typu Preybird, którymi obecnie

zmuszeni jesteśmy uzupełniać kontyngenty pokładowe, dotychczas formowane z bardziej tradycyjnych maszyn TIE.

– Nie widzę w tym zdrady – odezwał się ktoś. – Wręcz przeciwnie: Preybirdy są znacznie lepsze od TIE.

– Istotnie. Zdrada zaś polega na tym, że transakcję zawarto bez użycia oficjalnych metod, a przede wszystkim na tym, iż pewni wysocy rangą przedstawiciele Imperium wykorzystują je do nielegalnego zarobku, gdyż znaczna część ceny każdego myśliwca, jaką płaci Imperium, nie trafia do producenta, lecz na ich prywatne konta – Pellaeon spojrział na Kyte’a i dodał: – A wreszcie na tym, że transakcja obejmuje również dostarczanie różnym pirackim bandom imperialnego wyposażenia i personelu.

Tym razem Kyte nie drgnął, za to zauważalnie pobladł. Pellaeon wiedział, a teraz Kyte także wiedział, iż on wie.

– W jaki sposób traktat z Nową Republiką ma temu zapobiec? – spytał Ramic.

– Współpraca i wymiana informacji pozwoli nam skuteczniej wysledzić uczestników owego matactwa. A uczestnicy nie będą mogli dłużej udawać, że zajmują się tym wyłącznie dla dobra Imperium, tyle że na swój własny, nazwijmy to „pomysłowy” sposób.

– W takim razie podejrzewa pan, że jest w to wplątany któryś z oficerów floty – domyślił się w końcu ktoś z obecnych.

– Nie podejrzewam – poprawił go Pellaeon. – Wiem.

Przez długą chwilę nikt się nie odezwał. Pellaeon pozwolił, by cisza stała się ciężka i wymowna, i dopiero wtedy powiedział:

– Tym nie będziemy się dziś zajmować. Tematem naszego obecnego spotkania jest traktat pokojowy i to, czy go panowie poprzecie, czy nie. Proponuję godzinną przerwę, abyście mogli rozważyć konsekwencje i, jeżeli zajdzie konieczność, przedyskutować je. Jeśli ktoś będzie miał prywatne pytania, pozostają tutaj do waszej dyspozycji. Po upływie tego czasu spotkamy się ponownie i spodziewam się usłyszeć jednoznaczną odpowiedź. Są jakieś pytania?... W takim razie dziękuję, jesteście panowie wolni.

I odwrócił się do okna, czekając spokojnie, aż zbiorą notatki i wyjdą. Gdy drzwi zamknęły się wreszcie, odetchnął i spytał, ponownie odwracając się do stołu:

– Pańskie komentarze, generale?

Ramic nie ruszył się ze swego fotela.

– Zdecydowanie nie zgadzam się z pańskim pomysłem, sir – oświadczył bez ogródek. – Nowa Republika zmierza do samozniszczenia, co obaj dobrze wiemy. Jedyłą niewiadomą jest to, jak gwałtowna będzie eksplozja i czy spowoduje ją sprawa Camas, o której ostatnio stało się głośno, czy coś innego. Nie ma potrzeby, żebyśmy się sami upokarzali przed obcymi i ich wielbicielami.

– Rozumiem pańskie stanowisko, generale. To ostateczna decyzja?

Ramic zacisnął usta i wstał.

– Nie popieram pańskiego traktatu, admirale – oświadczył. – Ale jestem imperialnym oficerem i wykonuję rozkazy: pan i mofowie zgodziliście się w tej sprawie, toteż kiedy zostanie wydany rozkaz przerwania walki, wykonam go.

Pellaeon odniósł wrażenie, jakby zdjęto mu z ramion spory ciężar.

– Dziękuję panu, generale – powiedział cicho.

– Proszę raczej podziękować mojej rodzinie i wpojonym mi przez nią tradycjom służby – sprostował Ramic. – To dzięki nim mam poczucie odpowiedzialności i wiem, co to lojalność. Sądzi pan, że Nowa Republika zgodzi się na proponowane przez pana spotkanie, sir?

– Wkrótce się dowiemy: pułkownik Vermel powinien właśnie dolatywać do systemu Morishim.

– Tak... – mruknął Ramic i po chwili spytał: – Jest pan pewien, że są w to zamieszani piraci, sir?

– Nie mam cienia wątpliwości. Z tego, czego się dotąd dowiedziałem, wynika, że wynajmowani są do ataku na określone statki Nowej Republiki. Zatrzymują ładunki, my uzyskujemy zwiększenie zamieszania i dodatkowe straty, jakie ponosi Nowa Republika, a organizatorzy informacje, który ładunek zniknie i jak to wpłynie na dany rynek.

– Nie licząc ostatniej kwestii, wygląda to na klasyczną działalność korsarską, sir – zauważył Ramic nieco zaskoczony.

– Tylko że decyzje, które statki mają zostać zaatakowane, nie są podejmowane ani przez dowództwo, ani przez nasz wywiad, lecz przez cichych organizatorów całego przedsięwzięcia, generale. A co gorsza, istnieją silne poszlaki wskazujące na wykorzystanie agentów i siatek założonych przez wielkiego admirała Thrawna tylko po to, by zapewnić piratom dodatkowy personel.

– Jeśli ci agenci i siatki faktycznie istnieją. Przepraszam, panie admirałe, ale o tym nigdy nie byłem do końca przekonany.

– Jeśli żołnierze nie pochodzą z tego źródła, to osobnicy, o których mowa, zdobywają ich z innego, a jedynym innym dostępnym źródłem są nasze regularne siły zbrojne.

Twarz Ramica stężała.

– Jeśli to robią, osobiście pomogę panu obdrzeć ich ze skóry, sir – oznajmił stanowczo. – Nie mamy wystarczającej liczby ludzi i bez takich numerów. Kogo konkretnie podejrzewa pan o współpracę z Graemonem?

– Generał Kyte był jedynym, który przestraszył się na jego widok, więc jest moim głównym podejrzanym.

– Kyte nie spanikuje. Ale może dojść do wniosku, że należy zaalarmować pozostałych.

– Nieistotne dlaczego, ważne, żeby się z nimi skontaktować. Teraz, jeśli pan wybaczy, generale, muszę porozmawiać z lordem Graemonem.

– I pociągnąć za kolejną nić pajęczyny?

– Coś w tym rodzaju – Pellaeon uśmiechnął się ponuro. – Spokamy się za mniej więcej godzinę.

– Jak pan sobie życzy, sir. – Ramic przyjrzał mu się uważnie. – Tylko doradzałbym ostrożność: każda pajęczyna ma coś wrednego w centrum... ktokolwiek by to był, może dojść do wniosku, że skoro rozpoczęto rozmowy pokojowe z Nową Republiką, to Imperium przestało potrzebować głównodowodzącego. Zwłaszcza jeśli tenże głównodowodzący psuje nie swoją pajęczynę.

– Tak – przyznał cicho Pellaeon, spoglądając na drzwi, za którymi czekał bankier. – Też mi to przyszło do głowy...

Tierce wszedł przez ukryte drzwi do gabinetu.

– I co? – spytał Disra niecierpliwie. – Połączył się pan z Dorją?

– W końcu tak. Meldują, że misja zakończyła się mniej więcej sukcesem.

– Jakie „mniej więcej”?!

– Dorja twierdzi, że włączył pełnozakresowe zagłuszanie, jak tylko wyszedł z nadprzestrzeni, ale coś z transmisji pułkownika Vermela mogło się przez nie przedostać, zanim ściągnął korwetę na pokład. – Tierce wzruszył ramionami. – Faktem jest, że mogło.

- Nieudolność! – parsknął Disra.
- To już mu powiedział nasz wielki admirał Thrawn. Poza tym w okolicy Morishimu, dokąd zmierzała korweta, kręciły się przypadkiem jakieś myśliwce typu X i jacht kosmiczny, które były świadkami całej akcji.
- Z moich doświadczeń wynika, że myśliwce typu X z zasa-
dy nie kręcą się nigdzie przypadkiem – zaniepokoił się Disra.
- W zupełności się z panem zgadzam, ekscelencjo. Sądzę, że w jakiś sposób zauważono nadlatujące okręty, ledwie wyszły z nad-
przestrzeni, i wysłano zwiadowców. Być może wykorzystano do tego stare centrum szpiegowskie, które zostawiliśmy, wycofując się z planety, choć przyznaję, że nie mam pojęcia, jak zdołano je zlokalizować.
- Czy Dorja ma jakieś wyobrażenie, ile z wiadomości Verme-
la mogło zostać odebrane?
- Najwyżej kilka słów bez związku, i to zakładając, że któraś ze znajdujących się w pobliżu jednostek miała na pokładzie spe-
cjalistyczny sprzęt łącznościowy. Myśliwce typu X nie mają takiego sprzętu – zapewnił go Tierce.
- W porządku – Disra wyraźnie się uspokoił. – Kilka oderwa-
nych od siebie słów nie zwróci niczyjej uwagi. A już na pewno uwagi kogoś ważnego.
- Zwłaszcza że w najbliższym czasie będą mieli aż za dużo
problemów wymagających przemyślenia.
- Właśnie. Co kazał mu pan zrobić z korwetą i załogą, ma-
jorze?
- Przesłuchuje ich po kolei. Zanim wróci, zdąży sprawdzić
wszystkich. Podejrzewam, że większość, jeśli nie cała załoga, nie
miała pojęcia o celu tej misji, więc po poinformowaniu, że Vermel
chciał zdradzić, będzie można wcielić ich z powrotem do służby,
rozdzielając na różne jednostki. Co zaś do samego pułkownika,
proponuję zamknąć go gdzieś. Może się nam jeszcze przydać
w przyszłości. Korwetę naprawić, zmienić oznaczenia i wcielić do
floty sektora.
- Brzmi rozsądnie – zgodził się Disra. – Były jakieś wieści
od Trazzena i pozostałych?
- Odebraliśmy ostatni meldunek, jaki mieli nadać. Teraz aż
do wezwania mają zachować ciszę.
- Hmm – mruknął Disra: wszystko wydawało się przebiegać
zgodnie z planem, ale nie dawała mu spokoju myśl, że część wia-

domości mogła zostać odebrana. – Tak na wszelki wypadek, majorze: może dobrze byłoby troszkę przyspieszyć realizację naszych planów. Nie sądzi pan, że to rozsądne?

Tierce zastanawiał się długą chwilę.

– Myślę, że to wykonalne – odezwał się w końcu. – Ale na prawdę nie sądzę, by było potrzebne. Nikt nie zwrócił ani nie zwróci uwagi na incydent w pobliżu Morishimu.

– Jest pan pewien?

– Mogę to zagwarantować – uśmiechnął się lekko Tierce.

Po trzykrotnym wysłuchaniu nagrania generał Garm Ben Iblis wyłączył odtwarzacz.

– Jasne i proste jak świński ogon – ocenił. – A i tak podziwu godne, że udało ci się aż tyle wyłapać przez to zagłuszanie.

– Szkoda, że nie udało mi się złapać więcej – Lando był odmiennego zdania. – Janson uważa, że to zwykła zdrada albo próba ucieczki.

– Całkiem prawdopodobne – przytaknął Bel Iblis, gładząc z namysłem wąsa. – Ale jakoś mi się nie wydaje.

– Więc co to było?

– Jeszcze nie wiem, ale zastanówmy się na spokojnie: Imperium nie ma aż tylu niszczycieli, żeby marnować okręt klasy Imperial na pogoń za zdrajcą czy złodziejem, którego chcieli ująć żywcem. I jeszcze jedno: nie chcieli, żeby zdążył z kimkolwiek porozmawiać.

– I który wiedział, że tu będziesz – dodał Lando. – Twoje nazwisko słysząc wyjątkowo wyraźnie.

– Też prawda. Choć to akurat nie jest wielka sztuka, bo od paru lat nie utrzymujemy w tak ścisłej tajemnicy, gdzie i kiedy pojawi się ktoś z dowództwa – wyjaśnił Iblis i zainteresował się klawiaturą. – Coś mi się jeszcze przypomniało: Vermel to chyba oficer sztabowy admirała Pellaeona.

– A zatem zdrada na wysokim szczeblu – mruknął Lando, spoglądając przez okno na nadal krążące po niebie myśliwce. – Kogoś takiego nie zabija się od ręki, a chwalić się też nie ma czym, stąd to zagłuszanie.

– Być może... – Bel Iblis przyjrzał się ekranowi. – Miałem rację: pułkownik Meizh Vermel, ostatni znany przydział: sztab admirała Pellaeona.

– Czyli chyba wiemy, co zaszło.

Bel Iblis ponownie pogładził wąsa.

– Nie – powiedział powoli. – Logicznie masz rację, ale instynktownie coś mi tu nie pasuje. Dlaczego ktoś o takich możliwościach nie użył czegoś lepiej uzbrojonego czy szybszego niż corelliańska korweta? Albo z mniej liczną załogą? Co, ponadstuosobowa załoga jednomyślnie chciała do nas uciec?

– Nie wiem – przyznał Lando.

– Ja też nie wiem, ale tak sobie myślę, że zrobię parę kopii tego nagrania i zobaczę, co jeszcze da się z nich wydobyć.

– Jak będziesz cierpieł na nadmiar wolnego czasu – dodał złośliwie Lando.

– I tak potrzebowałem jakiegoś hobby.

ROZDZIAŁ



Budowa Wielkiej Sali Posiedzeń Senatu Nowej Republiki została ukończona ledwie trzy miesiące wcześniej, a i to tylko z konieczności, bowiem po zamachu Kuellera Senat nie miał gdzie obradować. Bomby tak dalece naruszyły konstrukcję starej siedziby, że naprawianie jej uznano za kosztowniejsze i trudniejsze od zbudowania nowej. Co prawda „ukończona” nie oznaczało „wykończona”, gdyż prace nad tym trwały jeszcze w przerwach obrad, ale całość już funkcjonowała i wywierała efekt zgodny z obiecany przez projektantów. Stary układ siedzeń ustawionych w amfiteatralne półkole otaczające podwyższaną mównicę zastąpiono zestawem bloków foteli. Bloki te miały różną wielkość i kształt, a połączone były między sobą krótkimi pochylniami, schodkami i przejściami, tak że całość sprawiała wrażenie przypadkowej, ale równocześnie stylowej i zgrabnej. Szklane ścianki, barierki i rzeźbione przepierzenia w połączeniu z różnicą usytuowania grup foteli (czasem tylko o metr) dawały niezakłócony widok z każdego miejsca, ekrany zaś, w które zaopatrzone każde siedzisko, pozwalały zarówno na powiększanie obrazu tego, co znajdowało się na podwyższeniu w środkowej części sali, jak i innych grup foteli. Pod wieloma względami sala przypominała Leii słynny Teatr Condina Marlec zbudowany na Alderaan i dla wielu stanowiący synonim uprzejmości, kultury i ucywilizowania. Miała nadzieję, że wystrój sali Senatu będzie generować w zgromadzonych podobne zalety.

Ale raczej w przyszłości, gdyż aktualnie żadna z tych ani zbliżonych do nich cech jakoś nie dawała się odczuć.

– Jeśli dobrze pana rozumiem, panie prezydencie – dobiegł z głośników chrapliwy głos Opquiańczyka – to poinformował nas pan, że Bothanie umożliwili zniszczenie planety Caamas i wymordowanie jej mieszkańców, a równocześnie powiedział pan, że nie zamierza doprowadzić sprawców tej ohydnej zbrodni przed oblicze sprawiedliwości.

– Prosiłbym uprzejmie, by pan uważniej słuchał tego, co mówię, i w przyszłości nie przekreślał moich wypowiedzi, senatorze – prezydent Gavisom poruszył nerwowo ogonem. – Powiedziałem, że grupka, powtarzam: grupka Bothan, i to jak dotąd nie zidentyfikowanych, związana była z tragedią, o której mowa. Powiedziałem także, iż jeśli kiedyś poznamy ich tożsamość, to bezwzględnie zrobimy co w naszej mocy, by sprawiedliwości, której wszyscy pragniemy, stało się zadość. Dopóki jednak nie wiemy, kim są, po prostu nie możemy nic zrobić.

– A dlaczego? – zażądał wyjaśnień Forshul o błękitnozielonych włosach i pociągłej twarzy, reprezentujący osiemdziesiąt siedem zamieszanych planet sektora Yminis położonego w Zewnętrznych Odległych Rubieżach. – Senator Fey’lya nie zaprzecza, że Bothanie byli w to zamieszani. Nic więc nie stoi na przeszkodzie, by ich ukarać za tę monstualną plamę na honorze galaktycznej cywilizacji.

Leia spojrzała na Borska Fey’lyę siedzącego wraz z innymi członkami Rady za półkolistym stołem na podwyższeniu – minę i futro trzymał pod kontrolą, ale dzięki Mocy bez trudu wyczuła targające nim mieszane uczucia. Wiedziała, że tuż przed rozpoczęciem obrad rozmawiał z głowami Połączonych Klanów na Bothawui, toteż nie trudno było się domyślić, że rozmowa nie przebiegła najlepiej.

– Rozumiem pańskie uczucia, senatorze. Jednak muszę przypomnieć, że zasady prawne Nowej Republiki różnią się od kodeksu forshuliriańskiego – Gavisom rozwinął skrzydła i chwytnym piórem wcisnął jeden z przycisków na znajdującym się przed nim pulpicie; na ekranie nad jego głową pojawił się odpowiedni fragment kodeksu karnego Nowej Republiki. – Zgodnie z obowiązującym prawem nie wolno nam karać całej rasy za przestępstwo popełnione przez kilku czy kilkunastu jej członków.

– A dlaczego nie znamy tożsamości tych kilku? – spytał Ishori. – Co ma na ten temat do powiedzenia senator Fey’lya?

Gavisom spojrzeł na Borska Fey’lyę i spytał:

– Senatorze, zechce pan odpowiedzieć na to pytanie?

Zapytany zebrał się w sobie i wstał.

– Rozumiem gniew, w jaki te wiadomości wprawiły wielu z was i zapewniam, że przywódcy klanów bothańskich dzielą wasze uczucia, jak również pragnienie, by sprawców tej zbrodni postawić przed obliczem sprawiedliwości. Możecie być pewni, że gdybyśmy znali tożsamość sprawców, już dawno spotkałaby ich zasłużona kara. Problem w tym, że jej nie znamy.

Nagle rozległ się przeraźliwy, ćwierkający wrzask. Leia podskoczyła odruchowo, nim zidentyfikowała mrozący krew w żyłach dźwięk jako ayrovański odpowiednik pogardliwego parsknięcia.

– Oczekuje pan, że uwierzemy...

– Panie prezydencie, ponownie proszę o zwrócenie uwagi senatorowi z Moddell, żeby przestał hałasować! – rozległ się wściekły głos. – Jego wrzaski spowodowały już w trakcie tej sesji utratę przeze mnie dwóch jaj, a jeśli nie zdołam znieść rocznego przydziału w wyznaczonym czasie, stracę zarówno stanowisko, jak i możliwość ponownego wyboru do tego zgromadzenia.

– Co byłoby prawdziwą ulgą – zareplikował ktoś z sali. – Znaczna część obecnych ma serdecznie dość jaj jako wymówki przy każdym temacie, który nie podoba się...

Gavrisom nacisnął inny klawisz i głos umilkł, ponieważ wyłączony został system nagłaśniający sali.

Jeszcze przez dobrą minutę rozbrzmiewały rozgniewane głosy wykrzykujące z różnych miejsc, nim do dyskutantów dotarło, że adwersarze nie są w stanie usłyszeć obelg i złośliwości. Gavrisom odczekał, aż wszyscy zamilkną, i włączył system.

– Wstęp podpisanej przez wszystkich członków Karty Nowej Republiki stanowi, że planety członkowskie będą się wobec siebie zachowywały w sposób przyjęty i cywilizowany – oznajmił. – Czyżby członków Senatu obowiązywały niższe standardy?

– Mówi pan o cywilizowanym postępowaniu, panie prezydencie – odezwał się wysoki Bagmin. – Jak możemy uważać się za cywilizowanych, jeśli nie potępimy zbrodni popełnionej na rasie Caamasi?

Leia odchrząknęła i zabrała głos:

– Chciałam przypomnieć zebranim, że nie negując udziału grupy Bothan w tym wydarzeniu, nie mamy żadnej informacji, czy uczestniczyli w samym ataku i zniszczeniu Caamas. A właściwą zbrodnię popełnili inni i sądzę, że przede wszystkim oni powinni stać się obiektem gniewu i sprawiedliwości.

– Próbuje pani wybielić Bothan, pani senator? – spytał ktoś, kogo nie udało jej się zidentyfikować.

– Poza sprawcami, o których mowa, byli bez wątpienia agenci czy pomocnicy Palpatine’a – dodał ktoś inny z drugiego końca sali. – A oni zginęli w trakcie długotrwałej wojny, którą toczyliśmy z Imperium.

– Jesteś pan tego pewien? – rozległo się ze środka. – W dalszym ciągu dowiadujemy się o nowych zbrodniach i oszustwach tego osobnika. Skąd pewność, że ci agenci nie żyją? Z powodzeniem mogą cieszyć się dobrym zdrowiem, a nawet pozycją.

– Oskarża pan kogoś z nas?

– Uderz w stół, a nożyce się odezwą! Wieści o imperialnych agentach wśród polityków krążą od dawna i...

Gavrisom ponownie wyłączył dźwięk, zamieniając narastającą pyskówkę w ledwie słyszalne głosy. A Leia po raz kolejny ucieczyła się, że przynajmniej chwilowo to nie ona była odpowiedzialna za utrzymanie porządku w tym domu wariatów.

Gdy zapanowała cisza, Gavrisom włączył dźwięk i oświadczył, nim ktokolwiek zdążył się odezwać:

– Mam nadzieję, że senator z sektora Chorilan użył przenośni, ale i tak debata przekroczyła granice zdrowego rozsądku, w związku z tym zostaje obecnie zawieszona. Jeśli dokument, który dostarczyła senator Organa Solo, zostanie zrekonstruowany do stopnia umożliwiającego odczytanie nazwisk, powrócimy do tematu. A na razie zajmiemy się sprawami może nie tak bulwersującymi, lecz zdecydowanie wymagającymi naszej uwagi. Rozpocznijmy od raportu Komisji Ekonomicznej. Senatorze Quedlifu?

Raport Komisji Ekonomicznej był dłuższy niż zwykle – zawierał dwa projekty ustaw przedstawionych do rozważenia całemu Senatowi, co samo w sobie stanowiło ewenement, jako że każdy z senatorów miał prawo przedstawić tylko jeden projekt ustawy w ciągu roku. By przejść przez Komisję, wymagał on bezwzględnej większości głosów, toteż przeważająca większość projektów nigdy nie docierała do Senatu, a z tych, które tu trafiały, jedynie znikomy ułamek po dokładnym sprawdzeniu stawał się prawem.

Co zgadzało się całkowicie z teoretycznymi założeniami działania systemu – przy tysiącu senatorów, z których każdy reprezentował od pięćdziesięciu do dwustu planet, nie było fizycznego spo-

sobu, by Senat mógł się zajmować wszystkimi poważnymi problemami trapiącymi każdą inteligentną rasę czy planetę wchodzącą w skład Nowej Republiki. Ta modyfikacja zredukowała zadania Senatu do spraw polityki zagranicznej, obronności i mediacji międzysektorowej oraz wytyczania ogólnych zasad prawno-ekonomicznych. Bardziej szczegółowe i bieżące kwestie administracyjno-rządowe przekazane zostały władzom odpowiednio: sektora, układu, planety, okręgu czy miasta.

Nieliczni senatorzy pamiętający czasy Starej Republiki narzekali co prawda, że Senat stał się jedynie ciałem debatującym zamiast rządzącym, ale większość pamiętająca aż za dobrze dominację Coruscant z okresu władzy Imperatora zdecydowanie wolała słabszy, i to znacznie, rząd centralny.

Okazało się, że jedynie Komisja Ekonomiczna przedstawiła konkretne propozycje czy problemy. Pozostałe sprawy Gavrisom załatwił z wprawą starego dyplomaty, dzięki czemu obrady zakończyły się w mniej niż dwie godziny, co było swoistym rekordem.

Mimo to Leia, opuszczając salę wraz z pozostałymi senatorami, miała dziwną pewność, że żaden z nich nie zyska wolnego popołudnia, ani też nie będzie się zajmował tym, co sobie zaplanował – kwestia Caamas już zaprzętała zbyt wiele uwagi. Kwestia Caamas i sprawiedliwości.

Albo zemsty.

– Wasza Wysokość? – dobiegło ją przez gwar rozmów.

– Tutaj, Threepio – zawołała, stając i unosząc dłoń.

Threepio ostrożnie, ale zdecydowanie przeciskał się do niej.

– Mam nadzieję, że posiedzenie przebiegło spokojnie? – spytał.

– Na tyle, na ile należało się spodziewać w tych warunkach.

Są jakieś wiadomości od techników o datakarcie?

– Obawiam się, że nie, ale mam wiadomość od kapitana Solo: właśnie wrócił i czeka w pani gabinecie.

– Mówił, jak mu poszło na Iphiginie?

– Nic a nic, Wasza Wysokość. Powinienem go zapytać?

– Sama to zrobić.

– Nie wydawał się specjalnie skłonny do rozmowy i prawdopodobnie by mi nie powiedział, nawet gdybym go zapytał – ocenił Threepio.

– Prawdopodobnie nie – zgodziła się, uśmiechając się do siebie: a zamierzała popracować...

– Senator Organa Solo? – spytał z boku jakiś głos.

Odwróciła się pełna nie najlepszych przeczuć. Znała ten głos...
rzeczywiście: był to Ghic Dx'ono, senator rasy Ishori.

– Tak, senatorze? – odparła, nie zdradzając niechęci.

– Chciałbym z panią porozmawiać w pani biurze, i to zaraz.

– Naturalnie – nie mogła dokładnie odczytać jego uczuć, ale niecierpliwość rzucała się w oczy. – Proszę za mną.

Przepchnęli się pod prąd do łukowatego korytarza, przy którym mieściły się biura i gabinety członków Rady. Leia kątem oka dostrzegła Fey'lya znikającego w swoim, a potem zza łuku ukazały się jej drzwi i stanęła z cichym jękiem. Zajęta własnymi myślami i niespodziewanym zjawieniem się Dx'ona nie próbowała nawet wyczuć, kto na nich oczekuje, dlatego poczuła się tak zaskoczona, gdy się zorientowała, kim są dwie z trzech oczekujących przed drzwiami postaci. Trzecią był sekretarz Dx'ona, dwie zaś smukłe i ubrane w opończe z kapturami istoty należały do rasy, którą ostatni raz miała okazję spotkać na Południowych Wyspach, gdy Bail Organa zabrał ją ze sobą...

– Chcieli z panią rozmawiać – odezwał się w tym momencie Dx'ono. – Porozmawia pani z nimi?

– Będę zaszczycona, mogąc rozmawiać z pańskimi przyjaciółmi rasy Caamasi – odparła cicho.

Wiedząc z doświadczenia, ile trwają posiedzenia Senatu, Han spodziewał się, że ma przed sobą – skromnie licząc – godzinę, i ro-zgościł się w gabinecie Leii. Zdziwił się więc niepomierne, gdy ledwie siadł, usłyszał głosy w sekretariacie. Cichutko zdjął nogi z biurka, podszedł do drzwi i zaczął nasłuchiwać, jako że dawno się nauczył, iż próby zaskoczenia Leii udają się tym rzadziej, im bardziej rosną jej umiejętności Jedi – kilka lat temu doszła do etapu, w którym on nie mógł pojawić się niespodziewanie w jej pobliżu. Poza tym nie była sama i mogła nie chcieć, by się ujawnił.

Słyszał co najmniej dwa inne głosy oprócz Leii, ale do kogo należały i co mówiły, nie był w stanie zrozumieć. Skoro nie wprowadzała gości do gabinetu, wiedząc o jego obecności, znaczyło to, że wołałaby, żeby się nie pokazywał... zdążył dojść do tego wniosku, gdy stojący na biurku interkom nagle ożył.

– ...proszę zrozumieć, że nie mamy zamiaru sprawić nikomu kłopotu. Nie pragniemy zemsty, a na sprawiedliwość jest już o wiele za późno.

Han wrócił zaskoczony do biurka – Leia chciała, żeby usłyszał rozmowę, ale bez wiedzy swoich rozmówców. Nie to było zaskakujące – dziwił go raczej fakt, iż Leia uciekała się do takich manewrów. Zrozumiał wszystko, gdy spojrzal na ekran: oprócz Leii zobaczył na nim dwóch Ishori... i dwóch Caamasi.

– Nikt nie mówi o zemście – sprzeciwił się jeden z Ishori, prawdopodobnie senator, sądząc po skomplikowanym wzorze ozdobnej klamry na ramieniu. – Ale na sprawiedliwość nigdy nie jest za późno.

– A jakiemu celowi miałyby służyć ta, jak ją nazywacie, sprawiedliwość? – spytał spokojnie ten sam Caamasi, który mówił poprzednio. – Nasz świat został zniszczony, a nas przetrwało niewiele, rozrzuconych po całej galaktyce. Czy ukaranie Bothan naprawi to w jakiś cudowny sposób?

– Może naprawi – odparł głośniejsz Ishori, najwyraźniej zaczynający intensywnie myśleć, co zawsze objawiało się atakiem gniewu, na którego przypomnienie Han skrzywił się boleśnie: nigdy nie lubił przegrywać. – Jeśli Bothanie zostaną uznani za winnych i zmuszeni do zapłacenia odszkodowania...

Odezwał się sygnał łączności, i to prywatnego kanału Leii, co zirytowało Hana, ponieważ rozmowa akurat zaczynała być interesująca, a dobijała się najprawdopodobniej któraś z pociech, więc należało odebrać. Przełączył interkom na nagrywanie, co zapewne było nielegalne, ale jego to absolutnie nie wzruszało, przycisnął przycisk i wcisnął klawisz łączący rozmowę.

Na ekranie nie pojawiło się jednak żadne z dzieci, ani Winter, ani nawet sam Noghri.

– Witam, Solo – odezwał się po sekundzie przerwy Talon Karde. – Nie spodziewałem się ciebie na tym kanale.

– Z wzajemnością. Skąd znasz częstotliwość?

– Od twojej żony, naturalnie – odparł zapytany, niczym wcielenie niewinności. – Podrzuciłem ją tu z Wayland, myślałem, że już wiesz.

– Tak, dostałem od niej wiadomość. Tylko nie przypuszczałem, że wycyganisz od niej częstotliwość prywatnego kanału.

– Wszyscy siedzimy na bombie, jak się niedawno okazało, zatem Leia i ja zdecydowaliśmy, że taka możliwość kontaktu, nazwijmy to dyskretnego, może się wszystkim przydać. Opowiedziała ci, co zawierała datakarta dotycząca Caamas, którą przywiozła z Wayland?

Han gwizdnął i spojrzął na ekran interkomu.

– Nie miałem jeszcze okazji z nią rozmawiać – przyznał – ale aktualnie ma w biurze dwóch Ishori i dwóch Caamasi.

– Proszę, proszę – mruknął Karrde. – A więc Ishori już się włączyli... to znaczy, że Diamalanie na pewno trafią do drugiego obozu.

– Na pewno – zgodził się Han. – Do jakiego drugiego obozu?

– Teraz to już i tak żadna tajemnica, przynajmniej w egzaltowanych sferach, w których się ostatnio obracasz. Leia poda ci szczegóły, a w ogólnym zarysie chodzi o to, że odkryto dokument twierdzący, iż to grupa jak dotąd nie zidentyfikowanych Bothan dokonała sabotażu generatorów planetarnego pola ochronnego, umożliwiając zniszczenie Caamas.

– Pięknie! – warknął Han, czując coś lodowatego w żołądku. – Po prostu pięknie! Jakby w galaktyce mało było osób serdecznie nienawidzących Bothan. Jeszcze tego nam, cholera, brakowało!

– Też tak sędzę. I mam nadzieję, że Senat zdoła utrzymać rozwój wydarzeń pod jaką taką kontrolą. A w ogóle to chciałem powiedzieć Leii, że nasz przyjaciel Mazzic złapał Lak Jita i trzyma go pod kluczem. Dla twojej informacji, to Devaronianin, który znalazł datakartę. Potrzymam go, jak długo Leia zechce, ale tak się niefortunnie złożyło, że zanim Mazzic go dorwał, ścierwo rozpuścił informacje, gdzie tylko mógł. Według mnie nie ma szans utrzymać tego jako tajemnicy znanej jedynie władzom Nowej Republiki.

– Faktycznie. No cóż, ostatnio było za spokojnie – ocenił Han. – Coś się musiało zawalić. Dzięki, Talon.

– Zawsze do usług – uśmiechnął się Karrde. – Znasz mnie i wiesz, że możesz na mnie liczyć.

– Znam – zgodził się Han. – I miło, że się zaofiarowałaś, bo mam niewielki problem, którym mógłbyś się zająć w wolnej chwili.

– Powiedzmy, że mam wolną chwilę. Gotówka czy przelew?

– W pobliżu Iphiginu mieliśmy małe spotkanie z piratami – Han zignorował pytanie. – Całkiem spora banda: mieli krążownik liniowy klasy Kaloth, corelliańskie korwety i myśliwce typu Korsarz.

– Dobrze wyekwipowana banda, ale trzeba być durniem, żeby decydować się na atak w takim miejscu jak Iphigin bez wystarczającej siły ognia.

– Dlatego nieco się zdziwiłem, ale nie to jest najciekawsze. Otóż Luke twierdzi, że na tym krążowniku były klony.

Wyraz twarzy Talona właściwie się nie zmieniła, mimo to nagle zaczął wyglądać groźniej.

– Mówił może, jakie klony? – spytał cicho.

– Nie mówił. Słyszałeś kiedyś o bandzie piratów z klonami w załogach?

– Nigdy – Karrde pogładził w zamyśleniu brodę. – Najprawdopodobniej to pozostałości po Thrawn: góra Tantiss działała wystarczająco długo, żeby naległo się ich całkiem sporo.

– A co robią u piratów? Nie wydaje ci się, że resztki Imperium miałyby dla nich aż za dużo zająć i nie pozbyłyby się doskonałych żołnierzy?

– Racja. Z drugiej strony, władze Imperium mogły zdecydować, że najskuteczniej da się ich wykorzystać, wynajmując piratom jako doradców czy elitarnych żołnierzy. Na przykład w zamian za wybór celów albo udział w łupach.

– Może – Han nie był do końca przekonany. – A może jakaś banda znalazła stare cylindry Spaarti?

– Może lepiej nie – zaproponował ponuro Karrde. – Choć to akurat tłumaczyłoby wszystko.

– Więc co zrobisz z tym fantem?

– Sądzę, że lepiej będzie, jak się tym zajmę – przyznał Karrde. – Zobaczymy, czego się dowiem. Gotówka czy przelew?

Han jęknął, wznosząc oczy ku niebu – ile razy miał wrażenie, że Karrde już prawie zrobi coś pożytecznego, by nie rzec szlachetnego, ten zawsze zdołał się opamiętać i znaleźć skuteczny sposób na przypomnienie, że jego sympatia do Nowej Republiki jest czysto zawodowa.

– Poddaję się – przyznał. – A tak na marginesie: co by cię mogło wreszcie definitywnie przeciągnąć na naszą stronę?

– A co ciebie wyciągnęło z wolnego żywota niezależnego kupca?

– Leia – skrzywił się Han.

– Właśnie. Gdyby tak miała siostrę... nie sądzę żeby miała?

– Nic o tym nie wiem, chociaż z rodziną Skywalkerów nigdy nic nie wiadomo.

– Nie będą czekał w celibacie – obiecał Talon. – Dobra, niech będzie przelew. Cenę uzgodnimy później!

– Łaska pańska nie zna granic.

– Wiem. Komu mam meldować, co znalazłem: tobie czy Luke'owi?

– Lepiej mnie, bo Luke może być chwilowo nieuchwytny. Zrobił sobie prywatne polowanie na piratów.

– Tak? – Karrde skrzywił się lekko. – A na kogo konkretnie, jeśli wolno spytać?

– Na Cavrillu. Dostał od naszego wywiadu namiary na jedną z ich kryjówek, gdzieś w pasie asteroidów w systemie Kauron. Zdecydował się tam rozejrzeć.

– Mhm... za późno, żeby go zawrócić?

– Najprawdopodobniej – ocenił Han. – Nie bój się: Luke trafi się o siebie zatroszczyć.

– Nie to mnie martwi. Problem w tym, że jeśli ich nagle zaskoczy i porządnie nastraszy, to tak się zaszyją, że nawet ja ich nie znajdę.

– Jeśli tak łatwo ich spłoszyć, nie są chyba poważnym zagrożeniem, prawda? – zasugerował Han.

– Można i tak na to spojrzeć. A wracając do Luke'a, jak mu się ostatnio powodzi?

Han przyjrzał mu się podejrzliwie, zaskoczony pytaniem, po czym odparł ostrożnie:

– Chyba dobrze. Bo co?

– Przeczucie. Mara jest ostatnio dziwnie niespokojna i drażliwa, zwłaszcza po spotkaniu z Leią, co trudno wytłumaczyć, bo się lubią i jakoś nie miały okazji się posprzeczać na Wayland. Sądziłem, że ma to coś wspólnego z nim.

– Zabawne, bo miałem takie samo wrażenie, gdy ostatnim razem wspomniałem mu o Marze – Han potarł w zamyśleniu podbródek. – Zbieg okoliczności?

– Możliwe, ale oboje dobrze posługują się Mocą. Może coś się jednak dzieje i oboje to wyczuwają, tylko nie wiedzą, co to takiego.

– Może być... – powiedział powoli Han. – Na przykład te kloony?

– Cholera wie – Talon wzruszył ramionami. – Spróbuję porozmawiać z Marą. Może uda mi się doprowadzić do spotkania.

– Dawno ze sobą nie gadali, fakt. Jak Luke wróci, postaram się go urobić – obiecał Han.

– Dobra. A tymczasem lepiej zajmę się tymi piratami. Pożegnaj Leię w moim imieniu i powiedz jej, że będę w kontakcie.

– Jasne. Udanego polowania.

Karrde uśmiechnął się i przerwał połączenie.

Han zaś siadł wygodniej i wpatrując się w ścianę przeanalizował to, czego się właśnie dowiedział. Wyniki nie były ani sympatyczne, ani optymistyczne. Bo na dobrą sprawę wcale nie chodziło o Caamas – to była przykra, ale już przeszłość, jednak stanowiła doskonały pretekst, który w dodatku sam się znalazł. Głównym problemem Nowej Republiki były w ostatnich miesiącach zadawane spory, konflikty, zemsty i wspomnienia zbrodni i wojen prowadzonych w galaktyce w ciągu ostatniego okresu historycznego. Ważnie rasowe, spory międzyplanetarne i wojny międzysystemowe rozegrały się dawno temu, ale pozostały po nich animozje. To dzięki nim przemysłowcy tak dobrze prosperowali w całej galaktyce.

Wspólny opór i walka z Imperium stanowiącym realniejsze i aktualne zagrożenie przytłumiły na kilka lat te animozje i w praktyce doprowadziły do nieoficjalnych, ale skutecznych rozejmów. Obecnie zagrożenie ze strony Imperium tak zmalało, że na dobrą sprawę nikt go już nie traktował poważnie i stare konflikty zaczęły odżywać, a Caamas był ich ucieleśnieniem: idealnym przypomnieniem i pretekstem do odnowienia...

Dalsze ponure rozważania przerwał mu odgłos otwieranych drzwi.

– Cześć – powiedziała miękko Leia, wchodząc do pomieszczenia.

– O, cześć – Han czym prędzej wstał i zerknął na ekran interkomu: tak się zamyślił, że nie zauważył wyjścia gości. – Przepraszam, zamyśliłem się.

– Nic nie szkodzi – odparła, obejmując go na krótkiego całusa. Który okazał się wcale nie taki krótki.

– Właśnie rozmawiałem z Talonem – powiedział po naprawdę długiej chwili Han, nie wypuszczając jej z objęć. – Powiedział mi, co znaleźliście o Caamas.

– Mamy kłopoty, Han – jej głos tłumiała jego koszula. – Oni jeszcze sobie z tego nie zdają sprawy, przynajmniej większość z nich, ale to może być największe zagrożenie, z jakim dotąd miała do czynienia Nowa Republika. To dosłownie może rozsądzić nas od wewnątrz.

– Wszystko będzie dobrze. Pamiętaj: przy Almańskiej Rebelii też tak sądziliśmy, a jednak dobrze się skończyło.

– To nie to samo: Kveller walił na oślep, a my próbowaliśmy go powstrzymać, starając się nie wyglądać jak nowa wersja Impe-

rium. Caamas spolaryzuje dobre, uczciwe osoby pragnące autentycznej sprawiedliwości, ale różniące się diametralnie tym, co przez tę sprawiedliwość rozumieją. I nie chodzi o pojedyncze przypadki, tylko o całe społeczności, rasy czy planety. A sam wiesz, jak trudno jest walczyć z ideą.

– Ale i tak skończy się dobrze. Bo musi – odsunął ją na tyle, by móc jej spojrzeć w oczy. – A poza tym może nie będziemy się martwić na zapas, zgoda? Chyba że już się zaczęło, a ja o tym nie wiem?

– Nie wiem, czy się zaczęło... nie wiem nic więcej niż ty, ale wyczuwam coś w nadchodzących dniach – odwróciła wzrok. – Jakiś kryzys... punkt zwrotny... coś naprawdę ważnego, co może obrócić się zarówno na naszą korzyść, jak i na zgubę.

– To dotyczy Caamas?

– Nie wiem! – westchnęła. – Próbowałam medytacji, ale do niczego nie doszłam. Wiem tylko, że zaczęło się, gdy spotkałam Talona na Wayland i przeczytałam tę datakartę.

– Hmm... – Han zaczął żałować, że nie namówił Luke'a do rezygnacji z polowania: teraz bardziej by się przydał tutaj. – W końcu samo wyjdzie. Trochę spokoju i uczuć mężowskich, i będziesz wiedziała.

– To właśnie masz zamiar zrobić? – spytała, uśmiechając odrobinę rozluźniona. – Teraz, zaraz?

– Najpierw chcę cię stąd wywieźć – zdecydował, biorąc ją pod ramię i prowadząc ku drzwiom. – Potrzebujesz ciszy i spokoju, a jak dzieciaki wrócą ze szkoły, to obu zabraknie, więc lepiej korzystać, dopóki można.

– Rozsądny pomysł; nie sędzę, żeby zdobyli się na coś więcej poza kłótniami na temat sprawiedliwości i zemsty – gestem dała do zrozumienia, że ma na myśli kolegów z Senatu. – Przy tym nie muszę być obecna.

– Pewnie – zgodził się Han. – Przez następną godzinę w galaktyce nie wydarzy się nic ważnego.

– Jesteś pewien?

– Gwarantuję ci to.

Światła na mostku mrugnęły i za oknami smugi nadprzestrzeni ustąpiły całkowitej ciemności.

I ślepecie.

Przez długą chwilę kapitan Nalgol wpatrywał się w tę pustkę, walcząc z nieprzyjemnym uczuciem bezbronności. „Tyrannic”, wychodząc z nadprzestrzeni w polu niewidzialności, stawał się wprawdzie całkowicie niewykrywalny, co było jedynym sposobem dotarcia do systemu Bothawui bez alarmowania Bothan, ale zarazem kompletnie ślepy i głuchy, co stanowiło potencjalnie katastrofalną sytuację dla każdego okrętu. Gdyby to od niego zależało, nie wybrałby takiego rozwiązania. Ale nie zależało.

– Meldunek z pokładu hangarowego, sir – zameldował kontroler lotów. – Wszystkie jednostki zwiadowcze wystartowały.

– Proszę potwierdzić – Nalgol objął wzrokiem tyle ciemności, ile zdołał bez poruszania głową: na pewno nie poprawiłyby morale załogi, gdyby dowódca gorączkowo rozglądał się, kiedy niczego nie było widać.

Kątem oka dostrzegł błysk silników jednej z maszyn zwiadowczych, gdy ta wyleciała spod kadłuba, przemknęła przez niewielką objętą polem przestrzeni i zniknęła. Odetchnął głęboko, kolejny raz zastanawiając się, co on i pozostali tu robią – w gabinecie Disry pomysł miał jeszcze jakiś sens, tutaj, miliony kilometrów od cze-gokolwiek, sensu trudno się było doszukać. Z drugiej strony, żaden z pomysłów wielkiego admirała Thrawna nie miał sensu, dopóki nie doszedł do finału.

Nalgol co prawda nigdy nie służył bezpośrednio pod rozkazami Thrawna ani żadnego innego z wielkich admirałów i nie mógł ocenić ich umiejętności na podstawie własnych doświadczeń. Obserwując poczynania Thrawna trochę z boku (ponieważ „Tyrannic” wykonywał zadania z dala od głównego obszaru działań), musiał przyznać, że poczynął sobie całkiem dobrze i gdyby nie zdrajca Rukh, prawdopodobnie odtworzyłyby Imperium. Tyle że, jak się teraz okazało, Rukh spartaczył robotę, bo Thrawn żył, co było naprawdę niezłym numerem. Swoją drogą ciekawe, jak Thrawn tego dokonał... Ważniejsze jednak było, dlaczego czekał tyle czasu, pozwalając niekompetentnym megalomaniakom, jak ta idiotka admirał Daala, marnować zasoby Imperium w kretyńskich bitwach z góry skazanych na fiasko.

I dlaczego teraz, gdy wrócił, sprzymierzył się z kimś takim jak Disra?!

Nalgol skrzywił się odruchowo – Disry nigdy nie lubił, a co ważniejsze, nigdy mu nie ufał. Uważał go za typa, który raczej do końca będzie walczył o swoje ochłapy Imperium, niż pozwoli ko-

muś innemu je odbudować. Jeśli Thrawn go wybrał, to może nie był wcale tak sprytny, jak głosiła legenda. Wprawdzie Dorja wychwalał pod niebiosa charakter i geniusz militarny wielkiego admirała, ale Argona na przykład twierdził, że Disra jest kompetentny.

Tylko co oni naprawdę o sobie wiedzieli?

Nagły ruch z lewej przerwał mu rozmyślenia – wracał jeden ze zwiadowców.

– Jakie wieści? – spytał oficera wachtowego.

– Jesteśmy prawie na miejscu, sir. Drobną zmianą kursu i będziemy na wyznaczonej pozycji.

– Proszę podać kurs sternikowi – polecił Nalgol. – Gdzie są „Obliterator” i „Ironhand”?

– Nasi zwiadowcy nawiązali kontakt z ich zwiadowcami, sir. Kursy wszystkich okrętów są tak skoordynowane, aby nie doszło do wypadku.

– Lepiej, żeby były – ostrzegł lodowato Nalgol.

Przemykanie się na oślep było samo w sobie wystarczająco nieprzyjemne, gdyby trzy niszczyciele przy tej okazji się zderzyły, stałyby się pośmiewiskiem całej imperialnej floty. Co gorsza, generatory niewidzialności nie miały prawa wytrzymać takiego obciążenia i świadkami upokorzenia staliby się wszyscy przebywający w systemie Bothawui.

Obecnie zaś planetarne systemy obronne mogłyby zarejestrować najwyżej silniki kilku nie zidentyfikowanych, małych jednostek wykonujących bezsensowne manewry.

I jedną nie taką znowu małą korwetę.

– Trzymamy kurs, sir – odezwał się oficer wachtowy. – Pięć minut do celu.

Nalgol skinął głową.

Minuty upływały naprawdę powoli, a ciemności za oknami nie mąciło nic poza krótkim błyskiem silników maszyn zwiadowczych regularnie wlatujących i wylatujących z pola, by skoordynować kurs i prędkość niszczyciela. Nalgol poczuł, że olbrzymi okręt zwalnia i spojrzął na zegar. – Pięć minut dobiegło końca i...

I nagle z prawej burty pojawił się fragment skalisto-lodowej powierzchni przesuwającej się ku rufie.

– Mijamy ją! – warknął.

– Zaraz zaczniemy cumowanie, sir – oficer jeszcze nie skończył mówić, gdy niszczyciel na wstecznym ciągu zaczął się powoli

cofać, aż widoczny wewnątrz pola wycinek komety znieruchomiał na wysokości śródkręcia. – Jesteśmy na pozycji, sir.

– Cumy?

– Promy już wystartowały, sir – zameldował oficer kontroli lotów. – Za dziesięć minut zakończymy cumowanie.

– Doskonale.

Cumy naturalnie nie były w stanie fizycznie utrzymać jednostki tak wielkiej jak niszczyciel klasy Imperial w połączeniu z komętą, ale dawały wystarczające informacje, by sternik mógł zapewnić niezmiennie położenie okrętu względem komety dryfującej sobie niespiesznie ku Bothawui.

– „Ironhand” zakończył cumowanie, sir – zameldował oficer wachtowy. – „Obliterator” jest na pozycji i zakończy manewr mniej więcej w tym samym czasie co my, sir.

Nalgol potwierdził i odetchnął z ulgą. Udało się: byli na miejscu i nic nie wskazywało na to, by Bothanie ich zauważyli. Teraz pozostało tylko czekać i wierzyć w geniusz wielkiego admirała Thrawna.

ROZDZIAŁ

8

– No dobra – warknął widoczny na ekranie łączności mężczyzna, mrużąc podejrzliwie oczy. – Spróbujcie jeszcze raz.

– Powtarzałem ci już dwa razy – odparł znudzony Luke. – Nie zmienię niczego tylko dlatego, że to ci nie odpowiada.

– Nie szkodzi. Powiadasz, że nazywasz się...?

– Mensio – Luke spojrział na rozciągnięte za oknem kabiny skupisko asteroid, zastanawiając się, na której siedzi ten konkretny wartownik. – Pracuję dla Wesselmana i przyleciałem z dostawą dla was. Czego nie możesz zrozumieć?

– Zacznijmy od Wesselmana – warknął mężczyzna. – Nigdy nie wspomniał twego nazwiska.

– Po powrocie powiem mu, że ma wam przysłać kompletną listę płac.

– Nie pyskuj!

Przez dłuższą chwilę wartownik przyglądał mu się podejrzliwie. Luke wpatrywał się w niego w rewanżu, starając się wyglądać na znudzonego i obojętnego. Ponieważ bez fałszywej skromności od dawna zdawał sobie sprawę, że jego własna twarz należy do bardziej znanych w galaktyce, zrobił co mógł, by ją na tę okazję zmienić. Ciemne włosy, śniada cera, sztuczna broda, nieco skośne oczy wskazujące na domieszkę gorezhańskiej krwi i para malowniczych blizn krzyżujących się na policzku powinny każdemu skutecznie uniemożliwić identyfikację.

– A poza tym towar zawsze przywoził Pinchers – dodał z urazą wartownik. – Dlaczego go nie ma?!

– Bo leży i nie może latać, coś się do niego przyplątało – poinformował go mniej więcej zgodnie z prawdą Luke: Pinchers faktycznie leżał i pewnie chrapał pogrążony w błogiej nieświadomości, jaką dawał leczniczy trans Jedi, w którym Luke zostawił go na Wistril.

Jego koleisie na pewno nie wpadną w zachwyty, że pozwolił się podejść, choć z drugiej strony, kiedy się obudzi, z całą pewnością będzie zdrowszy niż kiedykolwiek w ostatnich latach.

– Słuchaj no, nie będę tu siedział tydzień, gadając o głupotach – oznajmił, przejmując inicjatywę. – Albo mnie wpuścisz, albo zawiozę wszystko z powrotem Wesselmanowi, a on policzy wam za podwójną dostawę. Mnie to wisi, i tak dostanę tyle samo.

Wartownik zmełł w ustach przekleństwo i spytał:

– I czego się wściekasz? Co tam masz ciekawego?

– Po trochu wszystkiego: trochę min Norsam DR-X55, parę kapsułek ratunkowych Prasxon i kilka skafandrow pancernych model GTU. Plus dwie niespodzianki.

– Taa? Kapitan nienawidzi niespodzianek.

– Te pokocha, i to od pierwszego wejrzenia. Pierwsza to zestaw dopalaczy do hipernapędu, a druga to droid slicerski model SB-20. Ale jeśli nie chcecie, na pewno nie będę was zmuszał.

– Dobra, cwaniaczku: możesz wlatywać. Znasz drogę czy mam ci przesłać mapę?

– Znam – mruknął Luke, mając nadzieję, że tak jest faktycznie.

W teorii do asteroidy, w której wydrążono bazę, prowadziły tylko dwie bezpieczne trasy – wlotowa i wylotowa. Obie wyciągnął z umysłu Pinchersa, zanim go pogrążył w leczniczym transie i gdyby leciał myśliwcem, nie miałyby wątpliwości, że trafi bez problemu. Dokonanie tego w thassiańskim frachtowcu serii Y60 było zupełnie inną kwestią. Zwłaszcza że ten konkretny frachtowiec nie miał napędu rufowego – w ogóle nic wspólnego z napędem nie znajdowało się dalej niż na śródkręciu, co nie mogło korzystnie wpłynąć na jego zwrotność.

– Jak chcesz – zgodził się wartownik z satysfakcją. – Tylko nie walnij w coś dużego!

I wyłączył się.

Luke na wszelki wypadek też wyłączył urządzenie, za to uruchomił zamontowany po drodze prowizoryczny interkom, łączący kabinę z pustką, w której nigdy nie znajdował się główny napęd.

– Wlatujemy – oznajmił. – Z tyłu wszystko w porządku, Artoo?
W odpowiedzi rozległo się potakujące piśnięcie i nerwowe ćwierkanie.

– Nie martw się, przelecimy na pewno – uspokoił go Luke. – Tylko dopilnuj, żeby myśliwiec był gotów do startu.

Artoo nie wydawał się przekonany, ale zamilkł, a Luke przypomniał sobie gambit sprzed dziesięciu lat, gdy w ten sam sposób przedostał się na pozostającą wówczas pod władzą Imperium planetę Pooleris. Tyle że wtedy wywiad Nowej Republiki zaprojektował i zbudował frachtowiec, w którym ukryto myśliwiec typu X tak, by dało się nim błyskawicznie opuścić większą jednostkę. A teraz leciał czymś, czego konstrukcja uniemożliwiała awaryjny start w pośpiechu.

Cóż, tym problemem zajmie się, gdy przyjdzie na to czas – najlepszym wyjściem byłoby uniknięcie konieczności pospiesznej ewakuacji. A pierwszy krok do tego stanowiło przekonanie piratów, że jest zwykłym ogniwem ich systemu zaopatrzenia. Zakończył serię uspokajających ćwiczeń, ujął stery i mruknął:

– Niech Moc będzie ze mną.

I ruszył.

Rzecz okazała się łatwiejsza, niż sądził – Pinchers zmodyfikował silniki i powierzchnie sterujące jak każdy uczciwy przemysłowik, więc nawet bez głównego napędu jednostka była szybsza i zwrotniejsza, niż sugerował jej kształt. Luke bez trudu wykonywał ostre zwroty, niezbędne, by utrzymać się na kursie i nie znaleźć w zasięgu automatycznego systemu obronnego. Co ważniejsze – nie przejawiał skłonności do zderzenia się z którąkolwiek z mijanych asteroid. Przelot dziwnie przypominał ucieczkę „Sokoła” w pole asteroidów po ewakuacji Hoth, którą Luke znał z opowieści Leii, chociaż on nie próbował tego robić pełnym ciągiem i nie miał na karku ani imperialnych myśliwców, ani niszczyciela.

W drodze powrotnej sytuacja mogła ulec zmianie.

Dotarł do centrum trójwymiarowego labiryntu i zbliżył się do dużej, ale niczym nie wyróżniającej się asteroidy. Zgodnie z danymi wywiadu, niestety raczej skromnymi, i z tym, co wyciągnął z umysłu Pinchersa, baza składała się z licznych tuneli i komór wykonanych przez jakąś grupę górników jeszcze przed Wojnami Klonów. Podejścia do lądowisk zamaskowano jako wąwozy, a oświetlano je tylko wtedy, gdy jakiś statek zamierzał lądować. Teraz właśnie zapalił się krąg światła między dwoma stromymi zbo-

czami wskazujący to, na którym zdecydowali, że ma wylądować. Wlatując w ukryty przed dostrzeżeniem z góry otwór jaskini, poczuł lekkie szarpnięcie, gdy frachtowiec przekroczył granicę atmosfery i wysunął podwozie. Seria delikatnych wstrząsów oznaczała zakończenie manewru, wyłączył zatem silniki i wyszedł z kabiny, kierując się w stronę śluzu.

Przy rampie czekała samotna postać ostentacyjnie trzymająca dłoń na kolbie miotacza.

– Mensio? – chrapliwie spytał czekający.

– A spodziewasz się jeszcze kogoś? – zdziwił się Luke, także opierając dłoń o kolbę swego miotacza i rozglądając się wokół.

Jaskinia była mniej więcej okrągła i miała jeden wlot, prowadzący nieco ku górze, którym zresztą się tu dostał. Oprócz niego naliczył w ścianach sześć nierównomiernie rozmieszczonych śluz wejściowych.

– Pewnie, że jestem Mensio – powiedział, gdy cisza zaczęła się przeciągać. – Przytulnie tu.

– Nam się podoba. Właśnie rozmawialiśmy z Wesselmanem.

– Jasne – rzucił Luke, nadal się rozglądając: Wesselman miał być trzymany przez agentów wywiadu Nowej Republiki na Amorris przez tydzień, bez żadnego kontaktu z kimkolwiek. – I co, pozdrowiliście go ode mnie?

– Tak. Twierdzi, że cię nie zna.

– Doprawdy? – Luke delikatnie sięgnął do umysłu tamtego i znalazł jedynie podejrzliwość i żadnej pewności, czyli był to kolejny test. – Ciekawe, że z nim gadaliście, bo mnie powiedział, że przez kilka dni pozostanie nieuchwytny. Jeśli dobrze pamiętam, to poleciał do sektora Morshdine po jakiś ładunek nie rejestrowanej tibanny. Chyba dla was.

Pirat bardziej skrzywił się niż uśmiechnął, ale przestał być podejrzliwy.

– Też tak słyszałem, jednak jeszcze tam nie dotarł – przyznał. – Nadal próbujemy go złapać.

Luke wzruszył ramionami, żałując, że nie wyciągnął z Wesselmana jego planów na najbliższe dwa tygodnie – jeśli umówił się w tym czasie z piratami i opóźnienie stanie się zbyt duże, ich podejrzliwość znacznie wzrośnie. Teraz nie był już w stanie nic na to poradzić.

– Jak go złapiecie, przekażcie pozdrowienia ode mnie – powtórzył. – Co, zaliczyłem?

Pirat skrzywił się i uniósł lewą rękę. Cztery z sześciu służ otwierały się na lądowisko wyszło czterech drabów chowających miotacze do kabur. Bez słowa skierowali się ku frachtowcowi.

– Zaliczyłeś – poinformował go pierwszy. – Masz tam gdzieś chytre zabezpieczenia i pułapki czy też możemy spokojnie zacząć rozładunek?

– Możecie zacząć. Macie tu coś do jedzenia? Pokładowe racje uszami mi wychodzą.

– Pewnie że mamy – pirat wskazał jedną z dwóch zamkniętych służ. – Tam jest jadalnia. Tylko się nie zachlej, za parę godzin skończymy rozładunek i nie chcę, żebyś stąd odlatywał po pijaku. Rozwalisz się, a ja potem będę musiał sprzątać.

Luke zostawił to bez komentarza i ruszył ku wskazanej służce. Za nią znajdowało się pomieszczenie długie na ponad dziesięć metrów i szerokie na co najmniej cztery. Środek zajmowały dwa stoły obstawione krzesłami; wzdłuż jednej z dłuższych ścian stały automaty muzyczne i filmowe, a wzdłuż drugiej ciągnął się lśniący kontuar, za którym urzędował równie lśniący droid model SE-5.

– Witam szanownego pana – odezwał się, ledwie Luke wszedł. – Czym mogę służyć?

– Masz może karkąskie żeberka w sosie tomo? – spytał Luke, rozglądając się na pozór obojętnie.

Poza drzwiami, którymi wszedł, nie wypatrzył innych, co nie wydawało się niczym zaskakującym, biorąc pod uwagę, dla kogo przeznaczono owo pomieszczenie i jak dalece podejrzliwi byli gospodarze. Brak połączenia z resztą bazy to jedyne skuteczne rozwiązanie uniemożliwiające przedostanie się na jej teren.

– Oczywiście, szanowny panie – zapewnił droid, przesuwał się o kilka kroków i wyciągając spod lady pakiet. – Za kilka minut będą gotowe.

– Dobra – mruknął Luke.

Przygotowanie zajęło droidowi około czterech minut, po których ciepłe danie zostało artystycznie ułożone na talerzu. Luke spędził ten czas, pałętając się po pomieszczeniu i ostentacyjnie przeglądając repertuar automatów rozrywkowych, faktycznie zaś wyszukując ukryte holokamery. Znalazł trzy – jak na całkowicie odizolowane od reszty pomieszczenie o jedną za dużo. Gospodarze rzeczywiście cierpieli na manię prześladowczą albo też byli niesamowicie wręcz ostrożni.

– Czy szanowny pan życzy sobie czegoś do picia? – spytał droid, stawiając talerz na kontuarze.

– Nie życzy sobie. Mam lepsze zapasy na statku.

– Aha. A życzy pan sobie sztućców?

Luke popatrzył na niego z politowaniem.

– Do żeberek?! Żartujesz.

– Oj... – droid wyglądał na zaskoczonego. – To... życzę smacznego, szanownemu panu.

Luke wziął talerz i w ostatnim momencie powstrzymał się, żeby odruchowo nie podziękować – do charakteru Mensia takie zachowanie całkowicie by nie pasowało. Urwał skrajne żeberko i obgryzając je ruszył do wyjścia.

Gdy znalazł się na lądowisku, musiał przyznać, że trafił do pracowitej bandy – opuścili rampę towarową i już rozładowywali skrzynie, używając wózków grawitacyjnych.

– Tylko uważajcie na narożniki – ostrzegł najbliższego. – Nie mam zamiaru po jednym kursie wymieniać odbijaczy w ładowni. Pierścieni mocujących zresztą też nie.

– Żryj, nie pyskuj – poradził mu zagadnięty. – Bo będziesz se musiał zęby wymienić. O odbijacze się nie martw: nie pierwszy raz to robimy.

– Te zęby to niby kto mi wybije? – parsknął Luke. – Ty i kto jeszcze? A co do odbijaczy, to sam sprawdzę.

– Tylko się nie płącz pod nogami!

W ładowni zastał dwóch piratów – jeden kończył ładować wózek, drugi dochodził już ze swoim do rampy. Luke podszedł do burty, udając, że sprawdza stan odbijaczy grawitacyjnych i pierścieni mocujących ładunek, a w rzeczywistości używając Mocy do zorientowania się, gdzie są pozostali. W jednym z korytarzy wy-czuł dwóch kolejnych wracających po następne ładunki i nikogo więcej – w pobliżu znajdowało się tylko czterech... obliczył różnicę czasową i stwierdził, że powinien zdążyć...

Drugi pirat podszedł do rampy, Luke mruknął z zadowoleniem, kończąc sprawdzanie i skierował się ku drzwiom prowadzącym do sekcji mieszkalnej frachtowca. Pirat zszedł z rampy i wykręcił wózkiem, ustawiając go równoległe do burty frachtowca.

Luke pozostał sam w ładowni, mając do dyspozycji około dziesięciu sekund.

Nie było to wiele, ale obaj z Artoo mieli po drodze aż za dużo okazji, by przeciwżyć wszystko do perfekcji. Pogwizdując cicho,

Luke podszedł do jednej ze skrzyń, równocześnie przy użyciu Mocy wysyłając talerz z żeberkami ku modułowi mieszkalnemu. Artoo, słysząc uzgodniony gwizd, otworzył drzwi i talerz łagodnie opadł na podłogę. Luke umieścił go tak daleko w głębi pomieszczenia, jak tylko mógł sięgnąć wzrokiem, i otworzył bok skrzyni, przy której stał.

Wewnątrz, starannie zabezpieczona przed wstrząsami, znajdowała się niespodzianka od Wesselmanna – droid SB-20, choć wydawało się wątpliwe, aby piraci skorzystali z jego posiadania tak, jak się spodziewali, a to dlatego, że całe wyposażenie zostało usunięte i z droida pozostała jedynie skorupa. Nie był to może najwygodniejszy, ale za to najlepszy sposób dostania się do wnętrza bazy, na jaki wpadli Luke i wywiad Nowej Republiki. Luke skulił się w wybebeszonym wnętrzu droida i używając Mocy zamknął skrzynię.

Zdażył w ostatnim momencie – pokład zawibrował pod stopami powracającej pary piratów. Luke, wykorzystując Moc, wzmocnił zmysły i bez trudu mógł odebrać ich uczucia i usłyszeć, co mówią.

– Control, tu Grinner – mamrotanie było tak wyraźne, jakby mówiący stał tuż obok. – Widzisz gdzieś naszego przemytnika?

– Jak go widziałem ostatnio, wchodził do ładowni – rozległ się cichszy głos należący do pirata, który powitał Luke’a w bazie. – Mówił, że chce sprawdzić odbijacze.

– Ano, był tam, kiedy wychodziliśmy – potwierdził inny głos.

– Ślicznie – warknął Grinner. – To gdzie jest teraz?

– Chyba w środku – odpowiedział drugi głos. – Szedł do sekcji mieszkalnej, ogryzając gnaty, jakżeśmy z Fulkesem wychodzili.

– Pewnie szukał czegoś do picia, bo go rura po tomo paliła – dodał nowy głos. – Powiedział droidowi w kafei, że ma lepsze picie na statku niż on w knajpie.

– Może – mruknięcie Grinnera prawie zagłuszyło cichy syk metalu o skórę towarzyszący wyciąganiu z kabury miotacza. – Albo próbuje czegoś cwanego i wlał do którejś skrzyni. Nie wezwaliibyśmy tu chłopaków ze skanerem?

– Spokojnie, Grinner – rozległ się nowy głos. – Może najpierw sprawdzimy, co?

Zapadła cisza.

Luke na wszelki wypadek odchylił klapkę maskującą wewnętrzną kieszeń i ujął rękojeść miecza – jeśli faktycznie będą chcieli skanować skrzynie, pozostanie mu tylko odwrot...

– Możecie się zdekompresić – odezwał się Control. – Jest wewnątrz: talerz stoi z pięć metrów od drzwi sekcji mieszkalnej. Nie ma sposobu, żeby zdążył go tam zanieść, wrócił do ładowni i schował się w ciągu dziewięciu sekund. Bo tyle czasu żaden z nas go nie widział.

Ktoś parsknął. Grinner schował broń i mruknął:

– Niech będzie. Ale coś w tym facecie dalej mi się nie podoba.

Luke puścił rękojeść miecza świetlnego i bezgłośnie odetchnął. Pierwotnie zamierzał zabrać talerz ze sobą, ale coś mu się w tym pomysśle nie spodobało, więc razem z Artoo opracowali wariant, który wykonali przed kilkunastoma sekundami. I kto by pomyślał, że piraci wsadzą w zwykły talerz nadajnik?!

– Rozładujcie go i niech odlatuje w cholere – zarządził Control. – Jest tam gdzieś ten droid SB-20? Chcę go jak najszybciej obejrzeć.

– No... nie bardzo. Jedyne droid, jaki jest tu spakowany, to stary R2.

– To ten. SB-20 wygląda jak R2, tylko ma zupełnie inne wyposażenie i oprogramowanie – stwierdził Control.

Skrzynia z Lukiem znalazła się na wózku.

– Nigdy o takim nie słyszałem – odezwał się ktoś.

– Nic dziwnego: nie są powszechnie reklamowane – wyjaśnił Control. – Kapitan od lat cisnął Wesselmana o takiego.

– I właśnie dziś się pojawił? – burknął Grinner. – Ciekawe.

– Czep się, Grinner – zirytował się któryś z obecnych w ładowni. – Albo się lecz. Dobra, mamy droida. Gdzie go zawieźć?

– Do warsztatu. Kapitan chce, żeby Pap i K'Cink go sprawdzili.

– Sie robi.

Moment później ruszyli w drogę. Luke zaparł się łokciami i kolanami, próbując skupić się na tym, co słyszał, a ignorować wstrząsy – wózek albo miał uszkodzony grawitator, albo był naprawdę zdezelowany. Pomysł z warsztatem średnio mu się podobał – liczył, że wstawią pakę razem z resztą ładunku do jakiegoś magazynu, co da mu okazję do spokojnego i nie zauważonego wyjścia. Z drugiej strony warsztat powinien znajdować się znacznie bliżej stanowiska dowodzenia, które stanowiło cel ostateczny. Poza tym i tak nie mógł nic na to poradzić, bo ingerencja w umysł kontrolera byłaby zbyt podejrzana.

Minęli służę i przez parę minut Luke słyszał jedynie kroki i silnik wózka. Sądząc po tym, jak się głosy niosły, najpierw był kory-

tarz, potem duże pomieszczenie i znów korytarz, w którym pojawiło się stopniowo coraz więcej osób – zarówno ludzi, jak i przedstawiciele innych ras inteligentnych. Skręcili za jeden narożnik, potem za drugi i znów znaleźli się w dużym pomieszczeniu pełnym odległych głosów...

– Lanius? – odezwał się Control.

– No? – burknął operujący wózkiem.

– Zmiana planów: Pap ma coś rozbebeszonego na warsztacie i mówi, że nie ma miejsca. Zawieźcie go do magazynu na poziomie czwartym.

– Żeby to! – wózek zwolnił, stanął i zmienił kierunek. – Może by tak ktoś się zdecydował?

– Nie pyskuj, tylko go tam zawieź! – warknął Control.

– Przecież wiozę, nie? – mruknął pod nosem Lanius.

Minęli kolejny zakręt, znaleźli się w następnym korytarzu i Luke poczuł dziwne mrowienie w tyle głowy... Coś tu było nie tak. Skoncentrował się, sięgnął głębiej w Moc i sprawdził, co znajduje się wokół.

Syknęły otwierane drzwi i wjechali do kolejnego, dużego pomieszczenia. Dość długo trwało, nim wózek wreszcie stanął, za to zatrzymał się raczej gwałtownie.

– Co do... – zaczął Lanius i umilkł.

– Odsuń się, Lanius! – głos Controla dobiegł z głośników, nie z komlinga jak dotąd. – Masz pasażera!

Lanius zaklął i czym prędzej odbiegł od wózka.

– Dobra, cwaniaku, kimkolwiek byś nie był – odezwał się Control. – Wiemy, że tam jesteś, bo wykryły cię sensory korytarza kontrolnego. Wyłaź!

Luke miał ochotę nawymyślać sobie od ostatnich durni – to mrowienie powinien rozpoznać, gdyby tylko uważał! A tak plany wzięły w łeb i zamiast infiltracji bazy musiał się skupić na wydośtaniu się z niej. Sięgnął po komling i szepnął:

– Artoo?

Odpowiedział mu charakterystyczny szum zagłuszania.

– Aha, zapomniałem dodać, że zagłuszamy twój komling – poinformował go Control przez głośnik. – Tylko z nami będziesz mógł, robaczku, pogadać.

Luke odpiął kłapę osłaniającą miecz, schował komling i krzyknął:

– Nie strzelać! Wychodzę!

Zwolnić chwyt Mocy na panelu droida i pozwolił mu się otworzyć, po czym zrobił to samo z bokiem skrzyni. W zasięgu wzroku miał trzech piratów stojących w sporej odległości i naturalnie z wycelowanymi w niego miotaczami. Pięciu innych wyczuwał po drugiej stronie skrzyni.

Pięciu plus Defela, ukrytego gdzieś w cieniu jako ostatni odwód. Dziewięć do jednego – oni faktycznie lubili ryzykować.

– No proszę – odezwał się Control, gdy Luke wygramolił się z ukrycia. – Chyba źle skręciłeś, Mensio.

– To Lanius źle skręcił – poprawił Luke, uważając, by trzymać dłonie na widoku i z daleka od kolby miotacza.

Korzystając z okazji, rozejrzał się. Pomieszczenie było duże, przestronne i wysokie. Wykorzystywano je jako magazyn, o czym świadczyły sterty skrzyń, pojemników i pakunków ustawione pod dwiema ścianami. Skrzynię, w której dotychczas jechał, ustawiono w pustym kącie, przeciwległym do jedynych drzwi magazynu, a ośmiu piratów otaczało ją luźnym półkolem. Defela nie widział, ale nie miał wątpliwości, że jest gdzieś między półkolem blasterów a drzwiami. Obok drzwi zaś znajdował się przełącznik oświetlenia: prosty, naciskowy, który bez trudu mógł uruchomić przy użyciu Mocy.

– Przyszedłem pogadać z waszym szefem, a nie oglądać uzbrojenie – powiedział, gdy cisza zaczęła się przeciągać.

Któryś z obecnych burknął coś obraźliwego, ale zagłuszył go Control:

– Uważaj: Hensing nie lubi pyskatej cwaniaków.

– Naprawdę? Przykro słyszeć.

– Będzie ci bardziej przykro, kiedy wprowadzi w życie swoją teorię głoszącą, że cwaniacy tracą na wygadaniu, w miarę jak odstrzeliwuje się im kończyny.

Luke uśmiechnął się ponuro, zginając odruchowo palce prawej, sztucznej dłoni.

– Jest w tym trochę prawdy – przyznał. – Możecie mi wierzyć.

– Miłe, że zaczynamy się rozumieć – pochwalił Control. – Wyjmij blaster, wolno i tak jak zwykle. Sądzę, że wiesz, jak to się robi.

– Wiem – Luke powoli wyjął lewą ręką broń i położył na podłodze. – Zapasowe ogniwa też?

Wskazał dwa płaskie pudełka w specjalnych ładowniach na lewym biodrze.

– Możesz sobie z nich strzelać do woli – zezwolił łaskawie Control. – Odkopnij broń.

Luke wykonał polecenie, pomagając sobie Mocą, by miotacz znieruchomiał, dotykając buta.

– Zadowoleni? – spytał uprzejmie.

– Bardziej, niż ty niedługo będziesz – zapewnił Control. – Ty, Mensio, chyba pojęcia nie masz, w jakie kłopoty się wpakowałeś.

– Mam – odparł normalnym głosem Luke, prostując się. – Zamierzam porozmawiać z waszym kapitanem. Mam dla niego propozycję.

Jeśli nowy Mensio wywarł na piratach jakieś wrażenie, to nie dali tego po sobie poznać.

– Już ci wierzę! – parsknął głośnik. – Co, nie mogłeś normalnie uzgodnić spotkania?

– Chciałem sprawdzić wasz system bezpieczeństwa. Mój pracodawca nie ma zwyczaj robić interesów z każdym.

– A co to miałby być za interes?

– Kazano mi rozmawiać z kapitanem, nie z popychadłami.

Hensing warknął, unosząc miotacz.

– To twój zwierzchnik jest albo głupi, albo naiwny, albo oba razem wzięte – ocenił Control. – Masz pięć sekund, żeby powiedzieć mi coś konkretnego. Potem dam Hensingowi wolną rękę.

– Skoro tak stawiasz sprawy... – Luke skrzyżował ręce na pierśsiach i spojrział na wyłącznik. – Wiemy, że macie na statkach klopy. Chcemy część od was wynająć.

– Zła odpowiedź! – oświadczył radośnie Control. – Brać go!

Zanim ktokolwiek zdążył się ruszyć, Luke użył Mocy i wyłączył światło.

Rozległy się przekleństwa, moment później zagłuszone przez bezładną kanonadę skierowaną w miejsce, w którym przed sekundą stał Luke. Tyle że on przeskoczył natychmiast ponad głowami piratów i pobiegł ku drzwiom, trzymając w dłoni miecz świetlny, lecz nie aktywizując go, by nie zdradzić, kim jest i gdzie się znajduje.

Nagle poczuł zagrożenie, uniósł więc broń i rozejrzał się – bladoczerwone oczy Defela widział w górze, na szczycie sterty skrzyń. Nie dostrzegł broni, którą tamten trzymał, ale ją wyczuł i włączył miecz – w tym samym momencie między czerwonymi oczyma błysnęła blaster. Zielonkawe ostrze miecza świetlnego odbiło strzał bez trudu, ale przy okazji oświetliło częściowo pomieszczenie i Luke musiał przy-

znać, że ta runda należała do Defela: nic mu wprawdzie nie zrobił, jednak zmusił go do ujawnienia kim jest i gdzie się znajduje.

Pozostali połapali się szybciej, niżby ich o to podejrzewał.

– O szlag, to Skywalker! – dobiegło z tyłu.

I rozpełtała się kolejna kanonada, tylko że teraz nie strzelali na oślep.

Luke cofnął się tyłem ku drzwiom, pozwalając, by Moc kierowała jego ruchami, toteż w magazynie zaroilo się od rykoszetów. Założył, że drzwi zostały zamknięte, więc gdy znalazł się w ich pobliżu, skoczył nagle w bok, co dało mu w miarę bezpieczną chwilę, kiedy przeciwnicy zgubili cel. Wykorzystał ją do rozcięcia zamka i płaskim skokiem nisko przy ziemi wypadł na korytarz.

Nie było tam nikogo, co zauważył jeszcze w locie. Upadł na podłogę, przetoczył się i wstał, na moment nieruchomiejąc, gdy użył Mocy, chcąc zbadać, co go czeka. Bo w to, że nie zorganizowano po drodze kolejnej zasadzki, nie wierzył. Ale korytarz był pusty...

– Zrezygnowaliście? – zawołał.

– Skądże – głos Controla rozległ się z głośnika w suficie o parę metrów od niego. – Za to ty się nie popisales: żeby tak szybko zdradzać, kim naprawdę jesteś... głupie.

– Wolę uważać, że zbyt pewne siebie – odparł, ruszając szybkim krokiem w kierunku, w którym, jak miał nadzieję, leżało wyjście: jeśli rzeczywiście ich zaskoczył, nie powinien dawać im czasu na przegrupowanie. – Moglibyście mi po prostu powiedzieć, skąd macie te klony, nie musiałbym tracić czasu na odszukanie waszego szefa, żeby to z niego wyciągnąć.

– Szukaj do woli – głos Controla rozległ się z kolejnego głośnika, czyli cały czas mieli go w zasięgu holokamer. – Tu nie znajdziesz nikogo, kto wie. Ale dzięki za potwierdzenie, że właśnie to było twoim celem.

– Proszę uprzejmie i tak na nic ci się to nie przyda – mruknął Luke, wyczuwając kolejne zagrożenie.

Korytarz łagodnie zakręcał w prawo – gdzieś za tym zakrętem czekali na niego. Było to wręcz podręcznikowe miejsce na zasadzkę – gdy znajdzie się na zakręcie, obie grupy: czekająca i goniąca, będą mogły ostrzeliwać go do woli, nie ryzykując, że postrzelą się nawzajem. A nawet on nie zdoła sparować lawiny ognia z dwóch przeciwnych kierunków. Piraci, których zostawił w magazynie, byli już w korytarzu i czuł wyraźnie ich zbliżającą się obecność. Nie pozostało mu wiele czasu...

W ścianie, jeszcze przed zakrętem, dostrzegł pancerne drzwi – nawet gdyby miał miotacz, nie rozstrzelałby nim zamka, ale piraci przygotowali się na normalnego intruza, a nie na Jedi. A tylko Jedi dysponowali bronią, dla której żaden pancerz nie stanowił przeszkody. Luke zatrzymał się przed drzwiami i przeciął zamek, na wszelki wypadek dwoma uderzeniami miecza. Drzwi powoli otworzyły się.

Nagły wzrost zagrożenia, jaki poczuł, skłonił go do błyskawicznego zwrotu i osłony – ostrze miecza w ostatniej chwili odbiło nadlatujące promienie: piraci z magazynu gnali na łeb na szyję, strzelając w biegu, najwyraźniej zawiadomieni o zasadzce. Zawinął mieczem młynka i odbił strzały z powrotem i na ściany; osłonięty kurtyną rykoszetów wpadł w otwarte wejście bocznego korytarza. Dopiero tu zauważył, że jego wygląd był nieco zaskakujący, bowiem w przeciwieństwie do byle jak wyrównanych skalnych ścian, z których składała się reszta bazy, ten wyglądał, jakby przeniesiono go z wnętrza jakiegoś okrętu liniowego. Zarówno ściany, jak sufit i podłoga były metalowe, proste i równe. Tworzyły przejście mające ze dwadzieścia metrów długości oraz cztery metry szerokości i wysokości, gdyż korytarz miał przekrój kwadratu. Za nim znajdowały się kolejne drzwi, tym razem otwarte, i następny, skalny korytarz.

Jedyne światło wpadało przez drzwi, które właśnie sforsował, i przez przeciwległe, za którymi nie wyczuwał żadnej obecności. Wyglądało na to, że faktycznie ich zaskoczył. Tylko dlatego jego zmysł niebezpieczeństwa nadal reagował tak, jakby znajdował się w samym środku bitwy... Uważając na ewentualne pułapki, ruszył do przodu, jako że z tyłu miał dwie grupy przeciwników. Dopiero po dwóch krokach zauważył ciekawostkę – ściany, sufit i podłogę pokrywała osobliwa dekoracja – koła o trzycentymetrowej średnicy, rozmieszczone co jakieś dziesięć centymetrów.

Kiedy robił piąty krok, grawitacja zmieniła się bez ostrzeżenia, posyłając go na sufit, który stał się podłogą. Łupnął głową i ramionami o metal, aż mu w oczach pociemniało, ponieważ nie miał żadnej możliwości zamortyzowania upadku – to było zaskoczenie doskonałe. Złapał gorączkowo powietrze po stracie oddechu wywołanej upadkiem, a grawitacja znowu fiknęła kozła, zmieniając w podłogę jedną ze ścian. Tym razem wylądował na prawym boku, o czym doniósł ostry ból ramienia, łokcia i biodra. Spróbował się czegoś uchwycić, ale ściany były na to zbyt gładkie. Zdażył

tylko, używając Mocy, wyczuć kolejną zmianę pola grawitacyjnego, a potem podłoga stała się sufitem, ku któremu właśnie bezwładnie leciał.

Jednak tym razem nie wylądował na płaskiej ścianie – to co wzięty za dekoracyjny wzór, okazało się zakończeniem wysuwających się ze ścian prętów. Na nich, niczym na lesie płasko zakończonych włócznie, wylądował. Wykorzystując Moc, zdołał uchwycić się pary najbliższych, dzięki czemu nie uderzył w pozostałe z pełną prędkością. Tkwiły zbyt blisko siebie, by zdołał się między nimi przecisnąć, ale przez moment balansował, utrzymując się na dwóch wymierzonych w głowę i piersi.

A potem inne trafiły go w plecy i docisnęły. W ciągu następnych dwóch sekund jego ciało zostało całkowicie unieruchomione, mimo prób wysliznięcia się przez pręty wysuwające się z sześciu kierunków. Unieruchomienie było tak dokładne, że obejmowało wszystkie kończyny, a nawet głowę, w czym pomocna okazała się seria zmian grawitacji skutecznie klinująca go na miejscu.

Potem grawitacja wróciła do pierwotnej i stwierdził, że wisi mniej więcej nogami w dół.

– Proszę, proszę – rozległ się złośliwie zadowolony głos Controla. – Zaskoczony, co?

– Troszeczkę – przyznał Luke, koncentrując się na własnych myślach ogłupionych grawitacyjną karuzelą.

Gdy zaczęły z grubsza normalnie funkcjonować, rozejrzał się, na ile mógł, nie mając możliwości poruszenia głową. Korytarz przypominał trójwymiarową krzyżówkę z prętów wypełniającą całą przestrzeń. Pancerne drzwi na obu końcach zostały szczelnie zamknięte – najwyraźniej wyposażono je w więcej niż jeden zamek.

– Zbudowaliśmy to jakieś pięć lat temu – poinformował go uprzejmie Control. – Kiedy twoja akademia zaczęła siać po galaktyce pewnymi siebie i wścibskimi, niedouczonymi Jedi. Pomyśleliśmy sobie, że prędzej czy później któryś tu trafi, więc przygotowaliśmy niespodziankę. Prawdę mówiąc, nie oczekiwaliśmy, że złapie się w nią sam szef Jedi we własnej osobie. I co o tym sądzisz?

– Przyznaję, jest całkiem pomysłowa. Mam nadzieję, że nie spodziewacie się długo mnie tu utrzymać.

– Możesz być zaskoczony, kiedy usłyszysz, czego się spodziewamy. Podejrzewam, że nie zauważyłeś, gdzie skończył twój miecz świetlny?

Luke nawet nie pamiętał, w którym momencie go zgubił. Teraz kątem oka dostrzegł broń oddaloną o piętnaście metrów, unieruchomioną podobnie jak on, tyle że między dwoma prętami. Była wyłączona.

– Jak widzisz, w tamtym kącie pręty rozmieszczone są ciałniej, dzięki czemu całkiem skutecznie łapią rozmaite przedmioty – dodał Control.

Luke uśmiechnął się – mimo wszystko był pod wrażeniem przeczności i wiedzy o Jedi zgromadzonej przez piratów. Nigdy dotąd nie uzmysłowił też sobie, jaki strach może wzbudzić w tych osobnikach pojedynczy Jedi. Co naturalnie nie zmieniało jego determinacji, by jak najszybciej stąd wyjść. Używając Mocy, spróbował uwolnić miecz, ale ten nie dał się przekręcić w bok. Dał się za to włączyć.

– Geniusz konstrukcji naszego tunelu polega na tym, że twoja broń musi pozostać zablokowana pod kątem uniemożliwiającym dotknięcie któregośkolwiek pręta nawet przez włączony miecz – uzupełnił wyjaśnienia Control. – Przyznasz, że pomysłowe?

Luke nie odpowiedział, koncentrując się na przesunięciu rękojeści miecza do przodu, co mu się udało.

– A tak, do przodu i do tyłu można nią poruszyć – zgodził się głośnik. – Dopóki nie utknie na wyłączniku czy innej wypukłości. Do żadnego pręta nie sięgnie, sprawdzaliśmy zakładając ostrze dłuższe, niż mają te miecze, bo działającego nie udało nam się, niestety, zdobyć.

Czubek laserowego ostrza dotarł do ściany i wszedł w nią bez oporu.

– Naturalnie nie byliśmy na tyle naiwni, żeby umieścić w pobliżu ścian jakiegokolwiek istotne urządzenie. Nieistotne zresztą też. I co, wywarliśmy większe wrażenie?

– Troszeczkę – powtórzył Luke. – I co dalej?

– A jak ci się wydaje? – głos spoważniał. – Wiemy, co potrafisz i wiemy, że podczas tej przejażdżki zdołałeś wystarczająco wiele dowiedzieć się o nas i o naszych działaniach, żeby posłać każdego z nas na Fodurant czy Beavchen z dożywociem. Jeśli myślisz, że na to pozwolimy, to jesteś głupszy, niż zakładaliśmy. Nie będziemy siedzieć beczynn timerami i czekać.

Luke skrzywił się z niesmakiem – gdyby używał w pełni swych umiejętności, z pewnością wyciągnąłby z ich umysłów więcej, niż podejrzewali. Skąd mieli wiedzieć o jego niechęci do zbyt inten-

sywnego używania Mocy, jakiej ostatnio się nabawił. Prawdę mówiąc nie zrobił nic z tego, o co go podejrzewali, ale nie miało to teraz najmniejszego znaczenia.

– Więc jak? – spytał. – Chcecie się dogadać czy nie?

– Nie można się dogadać z kimś takim jak ty. Ale każdego można zabić.

– Naprawdę? – zdziwił się szczerze Luke: fakt, człowiek nie zdołałby wygiąć prętów, ale Moc mogła: była to dłuższa i dość męcząca praca, ale wykonalna. – A jak chcecie tego dokonać? Śmiechem i nudą czy wpadliście na jakiś inny pomysł?

– Właściwie nawet szkoda tak cię marnować, zwłaszcza biorąc pod uwagę, ile kosztowała ta pułapka, ale obecnie jakoś nikt nie oferuje nagród za Jedi. A gdyby nawet, wątpię, czy nasz wynalazek utrzymałby cię na tyle długo, żebyśmy zdążyli ją odebrać. Tak więc to by było na tyle. Żegnaj, Skywalker – w głośniku coś kliknęło i zapadła cisza.

W której wyraźnie dało się słyszeć cichy syk.

Luke odetchnął, otulając się Mocą – znał techniki neutralizujące trucizny zarówno płynne, jak i gazowe, i powinien sobie poradzić z każdą, nawet najbardziej wymyślną mieszanką, jaką wpompowywano. Zamknął oczy, skupił się i zaczął odginać pręt unieruchamiający głowę.

I nagle przestał, gdyż dotarło doń, co się naprawdę dzieje.

Piraci nie włóczali do pułapki trującego gazu, lecz wypompowywali z niej powietrze.

A nawet Jedi nie mógł zbyt długo przetrwać bez powietrza, zwłaszcza jeśli chciał pozostać przytomny i uciec.

Wziął głęboki oddech, uspokajając nagły strach. Należało założyć, że w międzyczasie znaleźli myśliwiec. A jeśli przypadkiem nie znaleźli, i tak by tu nie dotarł – korytarze były zbyt wąskie i kręte. Co oznaczało, że Luke był zdany na siebie i to, co miał przy sobie. A nie miał tego zbyt wiele: komling, latarkę, czytnik... i dwa zapasowe zasilacze do miotacza.

Używając Mocy, odczepił je od paska i uniósł na wysokość oczu. Jeszcze w czasie Galaktycznej Wojny Domowej geniusz techniczny Rebelii, generał Airen Cracken, znalazł sposób, by z zasila-czy do ręcznej broni zrobić bombę. Potrzebne były co najmniej dwa ogniwa z usuniętymi bezpiecznikami złożone w określony sposób i po trzydziestu sekundach następował wybuch odpowiadający siłą eksplozji średniego granatu. A to powinno wystarczyć

do wygięcia znajdujących się w jego pobliżu prętów. Jedyny problem polegał na tym, że w obecnych warunkach on sam tkwił w centrum strefy zagrożenia.

Choć przy odrobinie pomysłowości...

Kwestią paru sekund było wyjęcie bezpieczników, złożenie ogniw w wymagany sposób i ostrożne przesunięcie ich pomiędzy prętami ku przeciwnym drzwiom. Jeśli nadal go obserwowali i jeśli naturalnie znali ten sposób, powinni dojść do wniosku, że próbuje wysadzić w nich dziurę, by uzyskać dostęp do świeżego powietrza. Nie powinni się tym przejąć, ponieważ drzwi były wystarczająco solidne, aby mu się to nie udało. A im dłużej będzie im się źle wydawać, tym wolniej zareagują, kiedy zrozumieją, co naprawdę robi.

Bomba dotarła w pobliże drzwi z dziesięciosekundowym zapasem czasu, więc nie przestając manewrować sięgnął głębiej w Moc i przesunął rękojeść miecza, aż oparła się zaczepem o ścianę. Włączył ją i umieścił bombę na pręcie bezpośrednio przed ostrzem, które powinno odbić bądź zniszczyć odłamki powstałe w wyniku wybuchu. Główne bowiem niebezpieczeństwo tkwiło w tym, by odłamki nie zniszczyły delikatnych urządzeń umieszczonych w rękojeści. W ten sposób zapewnił jej jakąś osłonę. Teraz pozostało już tylko czekać i nie zemdleć w rzednącej atmosferze...

Nie czekał długo – trzy sekundy przed czasem zasilacze eksplozowały z ogłuszającym w zamkniętej przestrzeni hukiem.

Przygryzł wargę, gdy z tuzin gorących, stalowych drzazg wbiło mu się w lewą rękę i bok, ale kiedy dym nieco się rozwiął, okazało się, że rezultat był lepszy, niż się spodziewał – najbliższe pręty może nie powyginały się zbyt malowniczo, ale wystarczająco, żeby dało się poruszyć na boki miecz, a co ważniejsze – broń nie została uszkodzona. Pierwsze poruszenie miecza świetlnego przecięło jeden pręt, skierowane w przeciwną stronę drugi, przy trzecim broń była wolna, a pręty zaczęły spadać niczym grad.

Ponieważ zaczynał się dusić, wprawił ostrze w ruch wirowy i skierował ku drzwiom, do których broń dotarła w ciągu sekund niczym świetliste śmigło. Przed oczyma zaczynały mu już latać czarne plamki, ale zmusił się do koncentracji i wyciął w pancernej powierzchni może nie elegancki, lecz za to spory trójkąt. Efekt był natychmiastowy – do korytarza wpadła struga powietrza, błyskawicznie wypełniając niemal całkowitą już próżnię.

Odetchnął kilkakrotnie głęboko i widząc już prawie normalnie, ponownie wprawił miecz w ruch wirowy, przyciągając go jednocześnie tak, by wyciął wolną drogę do drzwi. Przez kilkadziesiąt sekund w korytarzu panował ogłuszający łoskot, gdy metalowe pręty waliły się na metalową podłogę.

A minutę później był już w wyciętym w skale korytarzu i tłumiąc ból metodą Jedi biegł w stronę lądowiska z mieczem w dłoni, zastanawiając się, co też piraci teraz zrobią.

Przemierzył korytarz, magazyn i następny korytarz, i okazało się, że nie zrobili nic. Co dziwniejsze – nie dostrzegł ani nie wyczuł nikogo w pobliżu. Zresztą nie potrafił wyczuć czyjejkolwiek obecności od chwili opuszczenia „pułapki na Jedi”.

– Artoo? – spytał uruchamiając komling. – Jesteś tam?

Jedyną odpowiedzią był szum zagłuszania.

Skoro nikt na niego nie czekał, to co stało się z piratami? Ukryli się gdzieś czy spakowali manatki i uciekli?

Jakby w odpowiedzi skalna podłoga drgnęła, a w oddali rozległ się stłumiony odgłos eksplozji. Przebiegł przez następny korytarz i jaskinię, nim rozległa się kolejna, tym razem nieco bliższa. Komling zaczął cicho popiskiwać.

– Artoo?

– Nie całkiem – odparł znajomy głos. – Skywalker, znowu jesteś w tarapatach?

Luke zamrugał zaskoczony i uśmiechnął się radośnie, pierwszy raz od zjawienia się w pirackiej bazie.

– Naturalnie, że jestem – odparł. – A czego się spodziewałaś, Mara?

ROZDZIAŁ

9

– Miałam nadzieję, że z wiekiem zmądrzałeś – stwierdziła Mara, przyglądając się polu asteroidów rozciągającemu się przed dziobem „Starry Ice”. – Najwyraźniej myliłam się. Jednoosobowa kruczata przeciwko pirackiej bazie przewyższa nawet twój normalny poziom, a na zdrowy rozsądek na pewno nie wskazuje. Co ty tam właściwie robisz?

– Próbuję się wydostać – odparł rzeczowo głośnik. – A ty co tu robisz?

– Karrde chciał, żebym sprawdziła, czy żyjesz. Wygląda na to, że przydałaby ci się pomoc.

– Przydałaby się – przyznał uczciwie Luke. – Gdzie jesteś?

– Chwilowo na zewnątrz, podziwiam panoramę – odparła, marszcząc brwi: czyżby na głównej asteroidzie zauważyła wybuchy. – Co ty tam wysadzasz?

– Ja nic. Za to gospodarze dużo, tylko nie wiem dokładnie co. Widzisz może, co się dzieje, bo ja tylko słyszę odległe eksplozje?

Siedząca przy następnej konsoli kapitan Shirlee Faughn stuknęła Marę w ramię, by zwrócić jej uwagę, i powiedziała cicho, wskazując kierunek:

– Zobacz tam, w prawo od asteroidy. Osiemnaście jednostek kierujących się ku otwartej przestrzeni.

– Wstrząsające! – mruknęła Mara. – Luke, gratulacje: twoje szczyry właśnie zbiorowo uciekają. Faughn ma odczyt osiemnastu jednostek. Jak na jednego Jedi niezły efekt psychologiczny, tylko

założę się o każdą kwotę, że te eksplozje to system autodestrukcyjny bazy. Masz jakiś środek transportu?

– Przyleciałem tu frachtowcem serii Y60 z Artoo i ukrytym w ładowni myśliwcem X-wingiem, ale nie byłem w stanie skontaktować się z Artoo od chwili zdemaskowania.

– To jeszcze nie powód do paniki – oceniła Mara, sprawdzając odczyt łączności. – W dalszym ciągu zagłuszają główną częstotliwość twojego komlinga. My mamy sprzęt umożliwiający harmoniczne nałożenie fal, dlatego nas słyszysz. Jak daleko jesteś od lądowiska?

– Dokładnie nie wiem, ale...

– Poczekaj! – przerwała mu, widząc gwałtowny gest Faughn wskazującej ekran łączności. – Zagłuszanie właśnie ustało, zaraz przełączę cię na podstawową częstotliwość. Corvus!

– Gotowe – zameldował łącznościowiec. – Przełączam.

Z głośników sygnęła się lawina zdenerwowanych gwizdów, ćwierkań, pisków i zawodzeń.

– Wolniej, Artoo, bo nic nie rozumiem! – wrzasnął Luke, na moment ją zagłuszając.

– Mówi, że myśliwiec jest w pełni sprawny – odpowiedziała Mara, odczytując z ekranu przekład mechanicznego języka astro-mecha. – Próbowali dobrać się do niego i myśliwca, więc opuścił kryjówkę i pogonił ich... skutecznie. Rozstrzelał generator pola utrzymującego atmosferę na lądowisku.

Przez długą chwilę w głośniku panowała cisza.

– Jeśli dobrze rozumiem, lądowisko wypełnia próżnia? – upewnił się wreszcie Luke.

– Dokładnie. I zapewne czystą mrzonką byłaby nadzieja, że znajdziesz gdzieś po drodze skafander próżniowy?

– Nie wiem, ale nie liczyłbym na to – ocenił Luke.

– Ja też. Faughn, latałaś na Y60, prawda?

– Dłużej, niżbym chciała. Dlaczego... aha, przyszło ci do głowy, żeby spróbował zimnego przejścia?

– To najprostszy skuteczny sposób – wyjaśniła Mara. – Jest szansa?

– Wątpię... Skywalker, rampa frachtowca jest opuszczona czy zamknięta?

– Jak ją zostawiłem, była opuszczona.

W głośniku ćwierknęło.

– I nadal jest – dodała Mara, odczytując odpowiedź Artoo.

– No to nie ma szansy – oceniła Shirlee. – Podnośnik rampy w Y60 to kupa złomu i zanim ją zamknie i uszczelni statek, minie co najmniej kwadrans.

– Tego się obawiałam – przyznała Mara. – Trochę długo jak na wstrzymanie oddechu, nawet dla niego.

– A myśliwiec? – zasugerowała Shirlee. – Uszczelnienie jego kabiny trwa moment.

– Jest tylko jeden problem – uśmiechnęła się smętnie Mara. – Automechanizm katapulty: jeśli kabina zostanie otwarta w przestrzeni, to automatycznie sekundę później odstrzelowany jest fotel. Proces powstrzymać można wyłącznie ręcznie i wątpię, czy Artoo mógłby to zrobić.

– Masz całkowitą rację: nie może – potwierdził Luke. – Chyba zaczęła szukać skafandra.

– Już to widzę – mruknęła Mara przez zaciśnięte zęby: szansa na to, by piraci zostawili coś takiego, wahała się pomiędzy zerem a nigdy. – Jakbyś nie znalazł, jesteście w drodze.

– Nie znamy bezpiecznej trasy – wymamrotała Faughn.

– Ale jego droid astromechaniczny zna. Artoo, prześlesz nam mapę?

Głośnik ćwierknął potwierdzająco i moment później na ekranie wyświetliły się żądane informacje.

– Dobra, zaczynamy – zdecydowała Mara.

Faughn zajęła się pilotażem, ale widać było, że jest umiarkowanie entuzjastycznie nastawiona do podejmowania ryzyka. Mimo to „Starry Ice” wleciał w pole asteroidów.

– Trasa nie wygląda najgorzej – oceniła Mara.

– Owszem, szkopał tylko w tym, że asteroida-baza nie jest już w tej samej pozycji do pozostałych – zauważyła Shirlee spokojnie.

Mara sprawdziła na komputerze nawigacyjnym i musiała przyznać jej rację.

– Szlag! Ta banda zaczyna mnie denerwować – oznajmiła, wstając z fotela. – No to przelecimy na chama. Biorę pierwszy turbolaser, Elkin i Torve pozostałe.

Zdążyła dotrzeć do wieżyczki artyleryjskiej i przypiąć się do fotela, gdy rozległ się głos Shirlee:

– Właśnie uruchomiliśmy autonadajnik każący nam się wynosić. Czyli lada chwila znajdziemy się pod ostrzałem.

– Rozumiem – Mara odpała awaryjne uruchamianie turbolaser, kolejny raz żałując, że nie leci na swoim statku.

„Jade’s Fire”, niestety unieruchomiony na Duroon, przechodził właśnie kompleksową wymianę urządzeń nawigacyjnych. Talon dobrze uzbrajał wszystkie swoje jednostki, lecz „Fire” miał większą siłę ognia i znacznie lepszą zwrotność niż „Starry Ice”. Ponieważ jednak nic nie mogła na to poradzić, wytarła dłonie o kombinezon, ujęła uchwyty sterujące wieżyczką i sięgnęła w Moc. Może nie była tak potężna i sławna jak Skywalker, i na pewno znacznie mniej umiała, ale jeśli chodziło o zdolność wyczuwania zagrożenia, to gotowa była się z nim zmierzyć w każdej chwili – miała aż za dużo treningu.

Żaden jednak trening nie mógł zmienić jednego – zmysł zagrożenia, choć czuły, słabo informował o kierunku ataku, a w takim miejscu jak to niebezpieczeństwa należało się spodziewać praktycznie z każdej strony.

– Lecimy, Luke – oznajmiła. – Masz ostatnią szansę, żeby załatwić wszystko jednym, wspaniałym machnięciem.

Ledwie to powiedziała, zaczęła żałować – mimo dzielącej ich odległości wyczuła, że Luke boleśniej niż powinien odczuł przytyk. Skruszona, już miała go przeprosić, gdy wyczuła natychmiastowe zagrożenie i skoncentrowała się na dryfującej w pobliżu asteroidzie. Rzeczywiście – jej powierzchnia w pewnym miejscu wydawała się nienaturalnie gładka, a na dodatek miejsce to miało kształt koła... w którym coś metalicznie połyskiwało... Nacisnęła spust i wiązka energii z turbolasera zmieniła asteroidę w chmurę ognia i skalnego śmiecia. Z powiększającego się obłoku resztek wyleciała krótka wiązka energii, ale za słaba, niecelna i zbyt późno wystrzelona.

– Dobry strzał – pochwalił Elkin.

Mara nie odezwała się, zła na samą siebie za rosnące poczucie winy – w końcu to nie ona efekciarsko i nie licząc się z konsekwencjami używała Mocy. A jeśli zabolalo, kiedy mu to ktoś wreszcie wytknęła, to nie jej problem, tylko Luke’a.

Zanim zdołała zidentyfikować kolejne źródło zagrożenia, Torve rozstrzelał grupę niewielkich głazów, których odłamki zakończyły lot w polu siłowym statku. Skupiła się na tym, po co siedziała w wieżyczce, i sięgnęła głębiej w Moc.

W sumie we trójkę zniszczyli szesnaście stanowisk ogniowych, nim dolecieli do asteroidy-bazy.

– Skywalker? Żyjesz? Gdzie jesteś? – spytała Faughn. – Doarliśmy.

– Przy lądowisku. Artoo, strzel parę razy, żeby wiedzieli, gdzie jest wylot, tylko nie zawał tunelu.

Droid pisnął potwierdzająco i chwilę później między dwoma stromymi zboczami rozbłysły serie z działek laserowych.

– Widzę – oznajmiła Faughn. – Lądujemy.

Ogień ustał, ale rozległ się kolejny wybuch, i to nieprzyjemnie blisko lądowiska.

– Kolejny ładunek będzie jeszcze bliżej – prorokowała Mara.

– Straciliście większość przedstawienia – poinformował ich Luke. – Ładunki odpalają co mniej więcej dziesięć sekund i zbliżają się do lądowiska.

Kolejny wybuch potwierdził proroctwo Mary.

– Za blisko – mruknęła Faughn. – Mara, jesteś pewna, że chcesz ryzykować?

– Niczego nie jestem pewna, ale nie mamy wyboru. Luke, tym razem będziesz nam winien coś poważnego.

– Dopiszę do rachunku – obiecał. – Lepiej się pospieszcie... Nie! Wycofajcie się!

– Co?! – zdziwiła się Faughn.

– Słyszałaś! – warknęła Mara, czując nagle narastające zagrożenie. – Wycofuj!

„Starry Ice” odleciał kawałek na wstecznym ciągu i w tym momencie na jednym ze zboczy wykwitła eksplozja.

– Mara, nie możemy tam lądować! – zdenerwowała się Faughn. – Każdy następny wybuch może zasypać wylot.

– Ona ma rację – poparł ją Luke i Mara wyczuła, że zdecydował się na coś, co mu się naprawdę nie podobało. – Została jeszcze jedna możliwość.

– Jaka? – spytała, bojąc się odpowiedzi.

– Spotkam się z wami w pół drogi. Macie możliwość zadokowania mojego myśliwca?

– Mamy dwie śluzy i dwa hangary z emiterami promieni ściągających – poinformowała go Faughn. – Objęcie kabiny polem atmosferycznym to żaden problem.

– Bardzo dobrze. Artoo, startuj natychmiast i połącz się z nimi w sposób, jaki ci wskażą...

– Zaraz! – wtrąciła się Mara, której zdecydowanie nie podobał się ton Luke’a, niedwuznacznie wskazujący, że ma on zamiar zrobić coś naprawdę głupiego. – Nie chcesz chyba próbować zimnego przejścia?! Nie damy rady podlecieć na tyle blisko.

– Wiem, dlatego natychmiast po wyjściu ze śluzy wprawię się w trans hibernacyjny.

Mara jęknęła w duchu – rzeczywiście było to głupie.

– A jak zamierzasz tego dokonać? – spytała niezwykle uprzejmie. – Kiedy wyjdiesz ze śluzy, to razem z tobą wyjdzie powietrze. Nie zdążysz zapaść w trans, a poza tym jak dotrzesz do tunelu?

– Jeśli we właściwy sposób rozetnę drzwi, powinienem wy dostać się w bąbłu powietrza, co umożliwi mi wejście w trans. Powietrze popłynie w stronę korytarza wylotowego, który zaczyna się wysoko, i dzięki temu wylecę wam na spotkanie.

– Skomplikowane to – przyznała – i oparte na strasznie kruchych założeniach. Wiesz, że masz małe szanse?

– Ostatnia deska ratunku zawsze ma małe szanse. Ale jak pogadamy dłużej, nie będę miał żadnej szansy.

– Zabrzmiało niczym cytat z Hana Solo – warknęła Mara; musiała jednak przyznać mu rację. – Dobra, bierz się do roboty.

– Artoo, w drogę! – polecił Luke.

Droid zagwizdał protestująco, ale po paru sekundach myśliwiec ukazał się w wylocie korytarza i skierował się w stronę frachtowca.

– Faughn? – spytała Mara.

– Prawoburtowa śluza gotowa, zewnętrzne drzwi prawoburtowego hangaru otwarte, bariera atmosferyczna sprawna, Krickle z medpakietem na miejscu. Jesteśmy gotowi.

– Słyszałeś, Luke?

– Słyszałem. Ustawiłem zwrot: „Witamy na pokładzie”, jako wybudzający z transu.

– Witamy na pokładzie. Jasne.

– No to lecę. Tylko nie spudłuj i złap mnie.

Mara uśmiechnęła się cierpko: zwrot „tylko nie spudłuj” przez długi czas wywoływał u niej zupełnie jednoznaczne skojarzenie – Skywalker na muszce miotacza. Teraz ostatni rozkaz umierającego Imperatora pozostał jedynie wspomnieniem, ale przed dziesięć laty, we wnętrzu góry Tantiss, ledwie zdołała przeciwstawić mu się na tyle, by wykonać go po swojemu... Tak, to był prawdziwy kryzys. Luke’owi któregoś dnia też przytrafił się podobny. Może właśnie go przechodził...

Miała nadzieję, że tak.

Połączyła się z umysłem Luke’a i przy maksymalnej koncentracji prawie zobaczyła, jak rozcina drzwi śluzy.

A potem nagle zniknął...

– Faughn? – wyteżyła wszystkie posiadane zdolności, ale nie potrafiła wykrzyć obecności Luke’a, co znaczyło, że albo udało mu się wejść w hibernację, albo był martwy.

– Leci – oznajmiła zduszonym głosem Faughn.

Mara spojrzała w bok – Luke przesuwał się ku frachtowcowi niczym połamana lalka, a kolejne eksplozje na powierzchni asteroidy jedynie potęgowały surrealizm całej sceny. Frachtowiec drgnął, zniżając się ku dryfującej postaci, co wytrąciło ją z otępienia. A w następnej sekundzie zaczęły się problemy – Faughn nie była w stanie zrównać trajektorii z kursem Luke’a, zachowując przy tym bezpieczną szybkość spotkania.

– Mamy kłopot – przyznała w końcu. – Przy prędkości, jaką muszę mieć, żeby go złapać, jeśli nie trafi, albo odbije się od kadłuba, albo skręci kark, uderzając o tylną ścianę hangaru.

– Ty masz go tylko wciągnąć do środka – zdecydowała Mara, zwalniając uprzęż przytwierdzającą ją do fotela. – Tym, żeby przeżył, sama się zajmę.

Gdy dotarła do śluzy, Luke już tam prawie dobijał, kręcąc się zdecydowanie szybciej, niż było to zdrowe.

– Komputer mówi, że jesteśmy dokładnie w miejscu spotkania – głos Faughn rozległ się z głośnika. – Zderzenie za dziesięć sekund.

Mara wzięła głęboki oddech, oparła się o wewnętrzne drzwi śluzy i sięgnęła po Moc. Imperator nauczył ją podstaw, w tym również używania Mocy do poruszania przedmiotów, i umiejętność tę doskonaliła pod kierunkiem Luke’a podczas marszu przez puszcę na Wayland, a potem w jego akademii. Później także stale ćwiczyła, by nie wyjść z wprawy. Jednak przez cały czas nie była w stanie przełamać bariery wielkości – poruszanie niewielkich obiektów nie sprawiało jej kłopotu: mogła z nimi robić, co chciała, natomiast duże zawsze sprawiały jej trudności. A Luke bez dwóch zdań należał do dużych. Zesztywniała, z całej siły koncentrując się, by spowolnić jego ruch, gdy przeleciał przez barierę atmosferyczną. Poczuli, że zwalnia, ale niewystarczająco...

W ostatniej chwili dała krok do przodu, stając na jego drodze.

Bezwładne ciało uderzyło w nią z impetem, posyłając do tyłu i w dół.

– Witamy na pokładzie – sapnęła na moment przed zderzeniem z pokładem.

Które okazało się łagodniejsze, niż się spodziewała. Zamrugając zaskoczona brakiem bólu, próbując cokolwiek dostrzec przez wszędobyłskie gwiazdy wywołane spotkaniem głowy z pokładem.

– Dziękuję – usłyszała tuż przy uchu głos Luke’a.

Gwiazdy zniknęły i ujrzała nad sobą obcą gębę, a raczej znajome oblicze, tylko mocno ucharakteryzowane. Luke znajdował się nad nią, wsparty dłońmi o pokład – najwyraźniej próbował, na ile zdążył, zamortyzować ich wspólne lądowanie, zamiast po prostu dołożyć swoją do masy jej ciała.

– Drobiazg – uśmiechnęła się. – Ładnie się zamaskowałeś.

– Dzięki za uznanie. W dodatku skutecznie... przez większość czasu.

– Co w sumie nie na wiele się przydało. Dlaczego nie użyłeś Mocy do stworzenia iluzji, jak dotychczas?

– Ostatnio staram się ograniczać korzystanie z Mocy do wyjątkowych sytuacji niezbędnych. Nie wydawało mi się, by taka konieczność zachodziła tym razem.

– Aha – mruknęła niezobowiązująco, choć zaczynało to wyglądać wielce interesująco. – Tak w ogóle to zejdziesz ze mnie, czy zaczyna ci być wygodnie?

– Co... a, tak – wykrztusił, podnosząc się niezgrabnie. Wyglądał jak młokos przyłapany na psocie. – Przepraszam.

– Nie ma za co – odparła, wstając i oglądając go krytycznie: pomyślałby kto, że po tylu latach i tylu doświadczeniach będzie jeszcze z niego wylażyło farmerskie wychowanie... – Wyglądasz, jakbyś potrzebował solidnej kuracji.

– Nie mamy czasu. To nic poważnego, a musimy się stąd szybko wynosić. Gdzie mój myśliwiec?

– Pojęcia nie mam – przyznała, uruchamiając zewnętrzne drzwi śluzy. – Faughn?

– W drugim hangarze. Skywalker, znasz jakieś bezpieczne wyjście z tej pułapki?

– Znałem. Wątpię, czy teraz jest bezpieczniejsze od innych.

– W takim razie lecimy za piratami – zdecydowała Mara, dając znak Krickleyowi, żeby nie ruszał medpakietu, i prowadząc Luke’a do hangaru. – Pewnie zostaniemy przy tym ostrzelani, ale cóż, jakieś ryzyko zawsze istnieje.

– Mamy problem – odezwała się Faughn. – Skończyli się nam piraci, za którymi dałoby się lecieć. Od dwóch minut żadna jednostka nie opuściła asteroidy.

– A to znaczy, że zaraz nastąpi wielki finał – oceniła Mara.
– Najprawdopodobniej – zgodziła się Faughn. – To co, mam wybrać dowolny kierunek i zmykać jak najdalej stąd?

– Mniej więcej, tylko nie za szybko. I chyba leć w tym kierunku co tamci. Chciałabym znaleźć się w wieżycze, zanim wpadniemy na coś wstrętnego.

– Poczekaj, aż wystartuję – dodał Luke. – Mogę lecieć przed wami i wypatrywać pułapek.

– Nie jestem pewna... mam lepszy zmysł zagrożenia niż ty – zastanowiła się Mara. – Może byłoby lepiej, gdybym to ja wzięła twój myśliwiec i przecierała szlak?

– To moja sprawa: znaleźliście się tu przeze mnie, prawda? – zauważył Luke i trudno było nie przyznać mu racji.

– Skoro nalegasz – wskazała w dół korytarza. – Pierwszy zakręt w lewo, drugi w prawo. Tylko się pospiesz.

Tym ostatnim nie musiała się martwić – zanim przypięła się do fotela w wieżycze artyleryjskiej, myśliwiec znalazł się już przed „Starry Ice”.

– Ruszaj, Luke – powiedziała. – Powodzenia.

– Niech Moc będzie z tobą – odparł z przyganą. – Uważaj!

Ku zaskoczeniu Mary, o ile wlot przez pole asteroidów był denerwujący, wylot okazał się prawie spokojny. Od czasu do czasu myśliwiec zmieniał lekko kurs i strzelał, niszcząc a to wyrzutnię torped, a to autostanowisko turbolaserów czy też minę tnącą, i to zanim zmysł Mary zdążył w ogóle zareagować. „Starry Ice” leciał spokojnie za nim, strzelając z rzadka – gdy cel był większy lub gdy lasery myśliwca nie do końca go zniszczyły. Celowo albo przypadkowo Luke leciał nieco wyżej, więc Mara zupełnie nie miała zajęcia, ponieważ poprawki przeważnie wypadały w polu ostrzału Elkina lub Torve’a. Nadmiar wolnego czasu doprowadził ją do ponurych rozważań na temat Luke’a: czy to nadopiekuńczość, czy też przypadkiem zrobił to, chcąc ją zdenerwować.

Na wszelki wypadek rozglądała się uważnie, czy piraci nie zostawili przypadkiem jakiejś niespodzianki. Przy tej okazji zauważyła na skraju pola tajemniczą jednostkę.

W pierwszym momencie sądziła, że to imperialny myśliwiec TIE, ale nim zdążyła ostrzec pozostałych, maszyna położyła się w zakręt, ukazując burzę...

– Mamy towarzystwo – powiedziała. – Na skraju pola, zamiar dwadzieścia na pięćdziesiąt.

– Widzę go – odezwała się Faughn. – Wygląda jak... jak on właściwie wygląda?

– Właśnie! W pierwszej chwili sądziłam, że to TIE, ale nie ma paneli słonecznych.

– Co nie znaczy, że to nie może być maszyna imperialna – zauważyła Faughn. – Skywalker, jesteś na bieżąco z aktualnymi konstrukcjami myśliwskimi Imperium?

– Niespecjalnie – w głosie Luke’a słychać było wysiłek wywołany koniecznością podziału uwagi między zagrożenia, którymi się zajmował i nowo przybyłym. – Nigdy nie widziałem podobnej konstrukcji.

Mara przyjrzała się obcej maszynie, na ile mogła. Nie ulegało wątpliwości, że pilot starannie ich obserwował – wskazywały na to jego manewry i pozycja.

– Sądzę, że ktoś powinien go obejrzeć – zaproponowała Mara.

– Sądzę, że nie powinien – warknęła Faughn. – Raczej nie potrzebujemy dodatkowych kłopotów.

– Poza tym, przy naszym szczęściu, będzie to następny Quella – dodał ponuro Corvus. – Wystarczy, że Lando Calrissian ugałniał się za jednym po całej galaktyce.

– Powiedziałam, że powinniśmy go sprawdzić – w głosie Mary zabrzmiał rozkaz. – Luke, masz szybszą maszynę. Chcesz się przekonać, czy zdołasz go dogonić?

– Mogę spróbować – w jego głosie wyczuła coś dziwnego, jakby obcy myśliwiec go niepokoił. – Powinniśmy już być na skraju sfery obronnej bazy, więc chyba poradzicie sobie beze mnie.

– Też tak sądzę – zgodziła się Mara.

– Dobra. Artoo, uruchom wszystkie sensory i włącz pełen zapis – polecił Luke. – Na wypadek gdybyśmy go nie złapali.

Droid ćwierknął potwierdzająco i myśliwiec ruszył do przodu, zmieniając kurs z szybkością, która zaskoczyła nawet Marę. Klucząc pod osłoną asteroid, by jak najdłużej pozostać w ukryciu, Luke błyskawicznie zmniejszył dystans dzielący obie maszyny. Na wszelki wypadek Mara trzymała nieznaną maszynę w celowniku, jako że nie wiadomo było, czy obcy zdecyduje się na ucieczkę, czy na walkę.

Mimo zbliżania się myśliwca, pilot tajemniczej jednostki nie robił absolutnie nic – niemożliwe, żeby nie zauważył: na co więc czekał? Luke znalazł się na granicy zasięgu działek laserowych, a Marze widok zasłoniła dostojnie dryfująca asteroida. O tym, że

coś się dzieje, zawiadomił ją nagły rozbłysk uczuć Luke'a – w następnym momencie jednostka z niesamowitą szybkością przemknęła przez jej pole widzenia.

– Poszedł! – wrzasnął Torve.

Mara spróbowała przesunąć wieżyczkę, starając się utrzymać obcego w celowniku, ale nie zdążyła – kolejna asteroida zasłoniła jej widok i jedynie nagły rozbłysk, który dostrzegła za jej krawędzią, poinformował ją, że nieznajomy zniknął w nadprzestrzeni.

Ktoś z załogi kłął cicho i kunsztownie.

– Poddaję się – oświadczyła Faughn. – Co to było, do cholery?

– Też bym chciała wiedzieć – mruknęła Mara i spytała głośniej: – Luke, nadal tam jesteś?

– Nadal. Widziałeś?

– Niewiele. Wyczekał, aż zasłoni go asteroida.

– Ciekawe – przyznał Luke. – Miał bardzo nietypową sygnaturę energetyczną, gdy uruchomił hipernapęd. Nagrałem wszystkie dane, ale moje sensory były w stanie wychwycić jedynie jej fragment.

– Może dlatego czekał, aż nasze będą bezużyteczne.

– Prawdopodobnie – zgodził się Luke. – Łatwo się domyślić, że większa jednostka ma dokładniejsze sensory, zwłaszcza w porównaniu z myśliwcem.

– Cóż... – Mara potarła wargę. – Jeżeli nie liczyć bezsensownego wariantu, żebyś poleciał śladem jego reaktora nadprzestrzennego, to nie możemy nic zrobić. Może byś tak przesłał nam zapis danych?

Artoo gwizdnął nieuprzejmie.

– Spokojnie, Artoo: potraktujemy to jako zapłatę za ratunek – pocieszył go Luke.

– Jako zaliczkę za koszty akcji ratunkowej – poprawiła go Mara. – Resztę uzgodnimy później.

– Zgoda. Zaczynam transmisję.

– Mam – odezwała się po chwili Faughn. – Niewiele tego.

– Przecież mówiłem...

– Dzięki – przerwała mu Mara. – Potrzebujesz jeszcze czegoś, Luke?

– Nie przy waszych cenach! A tak na serio, dziękuję za wszystko.

– Miło nam, że mogliśmy pomóc – uśmiechnęła się Mara. – I nie zapomnij przy pierwszej okazji dać się zbadać i założyć opa-trunki.

– Na pewno nie zapomnę: Artoo ma już wykaz najbliższych ośrodków medycznych Nowej Republiki. Do zobaczenia.

– Jasne. Uważaj na siebie!

W głośniku zapadła cisza, a w następnej chwili myśliwiec skoczył w nadprzestrzeń. Spoglądając w ślad za nim, Mara miała mieszane uczucia – jak na możliwości, o których czytała dokładne raporty, to Luke tym razem się nie popisał. Czyżby faktycznie coś się z nim działo? A może w końcu zmądrzał?

– Mara? – odezwała się Faughn. – Co teraz?

Mara głęboko odetchnęła, odganiając myśli dotyczące Luke’a i jego problemów.

– Wyślemy meldunek Talonowi – zdecydowała. – I sprawdź, czy chce, żebyśmy wrócili, jak było zaplanowane, na spotkanie w Nosken, czy mamy próbować wysledzić, gdzie uciekli piraci.

– Dobrze. A tak w ogóle, jeśli nikt ci tego wcześniej nie powiedział, to tworzycie ze Skywalkerem niezły zespół.

– Wiesz co, Shirlee? Ugryź się lepiej w język – powiedziała Mara bez złości, wpatrując się w skalne odłamki.

ROZDZIAŁ

10

W tym rejonie planety Dordolum panował prawdziwie tropikalny upał. Gorące, przesycone wilgocią powietrze w porze lunchu oblepiało wszystkich niczym ciężki, mokry koc. Dodatkowo atmosferę „podgrzewał” rozgorączkowany mówca, wykrzykujący z emfazą do zgromadzonego tłumu ze szczytu Podium Opinii Publicznych. Był zawodowcem: słowa, gesty, intonacja – wszystko zostało dokładnie opracowane i przećwiczone tak, by jak najsukuczniej rozpałały emocje zebranych. Tym razem słuchali go przedstawiciele kilkunastu ras, wśród których tlił się z tuzin zadawnionych konfliktów i sporów. Każdy ze słuchaczy żywił jakąś cichą urazę – taką jak Ishori do Diamalan, Barabele do Rodian czy Aqualianie do ludzi.

Albo prawie wszyscy do Bothan.

Drend Navett, przyglądając się tłumowi i widocznemu po przeciwnej stronie placu wejściu do stanowiącej własność Bothan firmy Solferin Shopping Company, uśmiechnął się złośliwie.

Był to dobry dzień na zamieszki.

Mówca doszedł do sedna i nader obrazowo opisywał horror, jakim było zniszczenia Caamas, oraz obrzydliwie tchórzliwą rolę, jaką w tym wszystkim odegrali Bothanie. Navett czuł, że złość tłumu zbliża się do etapu bezrozumnej furii, na którą czekał. Powoli, żeby nie psuć nastroju sąsiadom, zaczął się przesuwac w rejon najbliższy bothańskiej firmie. Klif mógł sobie być genialnym demagogiem, ale to on – Navett wiedział, kiedy atmosfera w tłumie jest najlepsza, by pchnąć go do akcji.

A ta atmosfera osiągała właśnie temperaturę wrzenia, stanął więc mając cel w zasięgu łatwego rzutu i z torby przy pasie wydobyl wybraną wcześniej „broń”. Teraz musiał tylko czekać na właściwy moment...

– Sprawiedliwości za Caamas! – krzyknął. – Teraz!

I wprawnym ruchem cisnął to, co trzymał w garści, w kierunku bothańskiego budynku...

Na ścianie rozprysł się przejrzały owoc rośliny zwanej blicci, pozostawiając jaskrawoczerwoną plamę. Para stojących w pobliżu Durosów jęknęła zaskoczona, lecz ani oni, ani nikt w tłumie nie miał czasu na zastanawianie się – z kilku innych miejsc rozległy się podobne okrzyki żądające sprawiedliwości i kolejne owoce rozprysnęły się na ścianie budynku.

– Sprawiedliwości! – krzyknął Navett, ciskając następny owoc. – Zemsty za Caamas!

– Zemsty! – podjęły głosy w tłumie. Poleciały też kolejne owocowe bomby.

Navett cisnął jeszcze dwa owoce, gdy do okrzyków jego ludzi dołączył ochryply głos jakiegoś obcego... Jakby na ten sygnał tłum nagle gwałtownie zafalował. Grad artykułów spożywczych i kartonów zasypał budynek – kierowany przez bezmyślną furie, którą wzbudził w słuchaczach Klif.

Navett nie zamierzał bezproduktywnie marnować tej furii, tym razem wyjął z torby kamień i roztrzaskał nim plastikową tafłę okna. Gdzieś, kiedyś słyszał maksymę głoszącą, że przemoc rodzi przemoc, a teraz widział, jak bardzo ta myśl jest prawdziwa.

Brzęk rozbijanego plastiku i jego kolejny okrzyk zniknęły w ogólnym hałasie, ale Navettowi to nie przeszkadzało: wiedział, że tłum był szybkim i pojętym naśladowcą. W ciągu paru sekund do żywności dołączyły kamienie wrywane z chodników i obrzeży klombów. Cisnął następny i z zadowoleniem zauważył, że równocześnie cztery szyby przestały istnieć. A potem rozejrzał się po niebie – mimo zaskoczenia dorrdonńska policja powinna już być w drodze. Cieszyła się wszak zasłużoną sławą w sektorze. Zgodnie z oczekiwaniami, od strony portu kosmicznego zbliżały się dwa speedery w eskorcie kilkunastu swoopów i speeder bike’ów. Sądząc po szybkości, z jaką nadlatywały, pozostały mu jeszcze ze dwie minuty.

Wsunął dłoń do kieszeni i dwukrotnie nacisnął przycisk komlinga, dając reszcie zespołu znak, że czas się zbierać. A potem z tor-

by, w której zostały jeszcze dwa kamienie i bliźni, wyjął ostatni – finałowy prezent dla Bothan.

Był to granat, ale nie taki znowu zwykły granat – dziesięć lat temu osobiście wyjął go z ręki martwego rebelianta na Myomaranie, kiedy na krótko odbili tę planetę podczas kontrofensywy wielkiego admirała Thrawna. Ciekawostką było, że rebeliancka organizacja na tej planecie zdołała jakoś namówić bawiącego tam przejazdem Bitha do zaprojektowania im broni. Kiedy pozostałości tego granatu zostaną zbadane, w co nie wątpił, władze Nowej Republiki będą zmuszone dojść do wniosku, że nawet tak pacyfistyczna rasa jak Bithy ma dość bothańskich oszustw.

Być może nie będzie to miało żadnego znaczenia – być może nic go nie będzie miało i klęsce pokonanego Imperium nie zapobiegną już żadne działania. Ale on nadal wykonywał swój obowiązek, a widział Imperium zarówno u szczytu potęgi, jak i na dnie upadku, i był zdecydowany, że jeśli tej potęgi nie da się przywrócić, to jedynym, co pozostało, jest pogrzebanie jej pod popiołami Nowej Republiki.

Wyjął zawleczkę, uruchomił detonator i rzucił, trafiając zgodnie z zamierzeniem w jedno z wybitych okien na piętrze. Zdołał właśnie wydostać się z tłumy, gdy granat eksplodował, zawalając dach i posyłając w niebo widowiskową kulę ognia.

Gdy na placu zjawiła się policja, szedł już, nie spiesząc się, podobnie jak inni przechodnie, jedną z odchodzących od niego ulic.

Petycję kończyła imponująca lista podpisów, których część Leia rozpoznała bez czytania. Nic dziwnego, że Gavrisom wyglądał tak ponuro, wprowadzając ją do gabinetu.

– Kiedy ją dostarczono? – spytała.

– Około godziny temu – Gavrisom musnął nerwowo końcówkami skrzydeł stos datakart do załatwienia. – Doszedłem do wniosku, że w tych warunkach oboje z senatorem Fey’lyą powinniście dowiedzieć się o tym niezwłocznie.

Leia zerknęła na Fey’lyę – siedział zasepiony, z gładko przylizanym futrem.

– Dlaczego ja? – zdziwiła się.

– Ponieważ to ty odnalazłaś ten dokument – prezydent wrzucił ogonem, co u Celibopa było odpowiednikiem wrzucenia ramiionami. – Ponieważ podobnie jak Caamasi wiesz, jak to jest, gdy

twoja planeta zostanie zniszczona i lepiej niż większość rozumiesz ich los. Ponieważ jako bohaterka Galaktycznej Wojny Domowej cieszysz się szacunkiem i masz wpływ na wielu członków Senatu.

– Ale nie mam szans na zrównoważenie wpływów tych podpisów – ostrzegła, wskazując petycję. – Poza tym... nie jestem pewna, czy nie zgadzam się z nimi, że to rozsądny kompromis.

– Kompromis? – spytał Fey'lya głuchym głosem. – To nie kompromis, to wyrok oznaczający ruinę dla wszystkich Bothan.

– Jesteśmy tu sami, senatorze Fey'lya – upomniał go Gavrisom. – Więc nie musi pan używać retoryki ani histeryzować.

– Nie używam retoryki i nie histeryzuję, panie prezydencie. Prawdopodobnie nie zdaje pan sobie sprawy, ile czasu i środków potrzeba na samo wyszukanie nie zamieszkałej planety odpowiadającej pozostałym przy życiu Caamasi – odparł Borsk, lekko fałując futrem. – To mogę jeszcze zrozumieć. Ale żądać od nas, żebyśmy ponieśli koszty przystosowania tej planety do ich wymagań? Nie stać nas na opłacenie teraformingu całej planety!

– Zdaję sobie sprawę, o jakiej mniej więcej kwocie rozmawiamy – głos Gavrisoma nadal był spokojny. – Za czasów Starej Republiki co najmniej pięć razy przeprowadzano taką operację...

– Ale robiły to rasy potężne i bogate – Fey'lya nagle ożył. – My nie dysponujemy ani taką potęgą, ani bogactwem.

– Może dla odmiany raz będziemy zupełnie uczciwi wobec siebie? – zaproponował Gavrisom. – Aktualna ocena bothańskiego stanu posiadania wyraźnie dowodzi, że stać was na pokrycie kosztów takiej operacji. Z pewnością oznacza to duże poświęcenie dla wszystkich Bothan, ale bynajmniej nie ruinę. Co więcej: sugeruję, że jest to najlepszy dla was sposób rozwiązania tego problemu szybko i pokojowo.

Futro Fey'lyi zafalowało gwałtownie.

– Pan nie rozumie, panie prezydencie: stan posiadania, o którym pan mówi, nie istnieje – powiedział cicho.

– Przecież sama widziałam podsumowania rynku – wtrąciła Leia. – Całe strony zajmują firmy stanowiące bothańską własność.

– To jedynie elektroniczna iluzja – Fey'lya spojrzął jej prosto w oczy. – To kłamstwo.

Leia spojrzała na prezydenta, który nagle przestał poruszać skrzydłami.

– Chce pan powiedzieć, senatorze, że przywódcy Połączonych Klanów zamieszani są w oszustwa? – spytał z niedowierzaniem.

Futro Borska znieruchomiało.

– To miała być jedynie chwilowa dezinformacja – przyznał ponuro. – Jako że nasze problemy finansowe także są chwilowe. Seria złych decyzji pozabawiła Połączone Klany rezerw finansowych i wpędziła nas w długi. A niebawem stało się głośno o Caamas, co wywołało falę niepewności. Potrzebowaliśmy nowych inwestorów i kontraktów...

– Rozumiem – głos Gavisoma był nadal spokojny, ale na jego długiej twarzy pojawił się wyraz, jakiego Leia jeszcze nigdy na niej nie widziała. – Postawił mnie pan w nieciekawej sytuacji, senatorze Fey'lya. Co pan proponuje?

– Potrzebujemy tylko trochę czasu, żeby wyjść z długów, panie prezydencie. Jeśli jednak prawdziwy stan rzeczy zostanie przedwcześnie ujawniony, straty poniesiemy nie tylko my, lecz wszyscy, którzy wraz z nami zainwestowali.

– Wszyscy, którzy wam zaufali – poprawił go zimno Gavisom. Fey'lya opuścił oczy i przyznał cicho:

– Wszyscy, którzy nam zaufali.

Przez długą chwilę nic nie mąciło ciszy panującej w gabinecie. Potem prezydent potrząsnął grzywą i spojrzał na Leię.

– Jesteś Rycerzem Jedi, posiadasz mądrość wieków i przewodnictwo Mocy – powiedział uroczyście. – Chciałbym znać twoją opinię i radę.

– Chciałabym mieć jakąś radę – westchnęła ciężko.

– Czy są jakieś postępy w poszukiwaniach tożsamości Bothan związanych z atakiem na Caamas?

– Nie ma – przyznała. – Specjaliści z wywiadu nadal pracują nad datakartą, ale Główny Szyfrant Ghent uważa, że wycisnęli z niej już wszystko, co się dało. Przeszukano także imperialne archiwa na Kamparos, Boudolayz i Obroa-Skori, ale niczego nie znaleziono.

– Takie informacje znajdowały się najprawdopodobniej w Aktach Specjalnych – teraz westchnął Gavisom. – A siły imperialne miały rozkaz fizycznego zniszczenia tej części archiwów przed zakończeniem odwrotu.

– Mimo wszystko istnieje szansa, że gdzieś te dane przetrwały – upierała się Leia.

– Niestety, bardzo niewielka.

– Fakt – przyznała. – Borska, ile czasu naprawdę potrzebują Połączone Klany w dziedzinie finansów?

– Na dzień dzisiejszy trzy miesiące, żeby wyjść z długów. Aby osiągnąć stan wykazywany elektronicznie, około dziesięciu lat.

– A żeby sfinansować proponowaną operację? – uściśliła ignorując parsknięcie Gavisoma.

– Może pięć lat, ale bardziej prawdopodobne, że dziesięć.

– Jak już powiedziałam, nie jestem w stanie doradzić niczego sensownego, choć chciałabym – przyznała bezradnie Leia.

– Rozumiem – powiedział Gavisom. – Być może Moc wskaże ci jakiś sposób w kolejnych medytacjach.

– Na pewno spróbuję. W tej chwili jasne jest tylko to, że Bothanom nie uda się w najbliższym czasie spełnić zawartych w petycji żądań.

– W rzeczy samej – przyznał prezydent. – Pozostaje mi tylko jedno: spróbować zyskać na czasie.

– Jak? Poddając projekt pod dyskusję? To dosyć ryzykowne – ostrzegła.

– Bardziej niż ryzykowne – przyznał Gavisom. – Bo jeśli ktoś wniesie go jako oficjalny projekt ustawy, to skończy się na tym, że Senat go przegłosuje. A wtedy nie będę już miał żadnego pola manewru.

Leia skrzywiła się na samą myśl o tym – Bothanie zostaliby zmuszeni do wykonania tego, co im nakazano i co nie miało prawa się udać, albo do ryzykowania konsekwencji złamania ustawy, czyli prawa Nowej Republiki. W obu przypadkach stali na straconej pozycji.

– Jak wiesz, prezydent nie jest całkowicie bezradny – uśmiechnął się Calibop, co wyglądało trochę niesamowicie. – Istnieją pewne chwytby parlamentarne, które czasami są bardzo przydatne. Powiniennem na jakiś czas powstrzymać dalszy rozwój wypadków.

– Ale nie na dziesięć lat – dodała, patrząc wymownie na Fey'lyę.

– Z pewnością nie.

Kolejna cisza trwała, na szczęście, znacznie krócej.

– Cóż, widzę, że niewiele możemy teraz zrobić – przyznał Gavisom. – Poza naturalnie jedną, oczywistą rzeczą: musimy sprawdzić zapisy finansowe Połączonych Klanów, by mieć pewność, że ich sytuacja wygląda rzeczywiście tak, jak twierdzi senator Fey'lya. Czy senator Organa Solo zgodzi się polecić na Bothawui jako mój osobisty wysłannik?

– Ja?! Przecież nie jestem ekspertem finansowym.

– Ale znasz podstawy – Gavrisom przestał przemawiać oficjalnie. – Bail Organa nauczył cię ich, zanim znalazłaś się w Senacie.

– Podstaw tak. Ale na tym skończyła się moja edukacja finansowa.

– Niczego więcej nie potrzebujesz. Nie chodzi o sprawdzanie obliczeń, tylko prawdziwości dokumentów: fałszywe będą równocześnie zawierały zawyżone obliczenia. Inaczej Bothanie nigdy nie doszliby do ładu z własnymi finansami – wyjaśnił Gavrisom i dodał tonem nie wzbudzającym cienia wątpliwości: – Pani senator uzyska dostęp do wszystkich dokumentów finansowych, prawdziwych także, nieprawdaż?

– Naturalnie – futro Borska zafalowało, zdradzając jego przygnębienie. – Natychmiast zawiadomię wodzów Połączonych Klanów o jej przybyciu.

– Nie zrobi pan nic podobnego! – sprzeciwił się ostro prezydent. – Pod żadnym pozorem nie wolno ich uprzedzać.

– Obraża pan uczciwość najwyższej władzy na Bothawui, panie prezydencie – ostrzegł Fey'lya z błyskiem w fioletowych oczach.

– Bo mam do tego podstawy. Może pan to sobie zresztą interpretować, jak pan chce, senatorze, ale stawiam sprawę jasno: wizyta senator Organy Solo ma być dla nich całkowitym zaskoczeniem. Przypominam, że jest ona Rycerzem Jedi i jeśli wodzowie nie będą autentycznie zaskoczeni jej przybyciem i celem jej wizyty, dowie się o tym. Nie muszę chyba pana ostrzegać przed konsekwencjami?

– Nie musi pan – wymamrotał Fey'lya. – Kiedy chce pan, żeby odleciała?

Leia nie uznała za celowe wyjaśnić, że odczytywanie uczuć Bothan zawsze sprawiało jej trudności – gdyby wodzowie zostali uprzedzeni, prawdopodobnie nie udałoby się jej niczego odczytać. Ale naturalnie Fey'lya nie musiał o tym wiedzieć.

– Najszybciej, jak to tylko możliwe – odparł Gavrisom. – Leia, kiedy byłoby to możliwe?

– Sądzę, że moglibyśmy wystartować w ciągu paru godzin – odparła niepewnie, zastanawiając się, co wymagałoby załatwienia i ile czasu by to zajęło: wyszło jej, że niewiele i że przy okazji mogliby wyrwać się z Hanem sami, co nie przytrafiło im się od naprawdę długiego czasu. – Chewie i Nogri popilnowaliby dzieci...

– Noghri! – mruknął z niespodziewaną złością Fey’lya. – Powinni zabić tego Devaronianina od ręki, wtedy mielibyśmy spokój zamiast kryzysu!

– Wtedy nie zrobił niczego, co zasługiwałoby na śmierć. Teraz zresztą też nie – powiedział spokojnie Gavrisom. – A w galaktyce było już i tak za dużo zabijania.

– A czeka nas więcej – skonstatował ponuro Fey’lya. – Czy jedno życie byłoby aż tak wielką ofiarą?

– To pytanie zadaje sobie w końcu każda cywilizowana istota i dla tych, które pragną pozostać cywilizowane, odpowiedź jest jasna – Gavrisom złożył skrzydła. – Dziękuję wam za przybycie, jak możecie się oboje domyślić, wrócimy jeszcze do tego tematu.

Moff Disra wyłączył czytnik i oznajmił, spoglądając na pozostałych:

– Wysoce zadowolające. Wszystko wydaje się przebiegać zgodnie z planem.

– Tylko strasznie powoli – dodał kwaśno Flim rozparty wygodnie w fotelu i opierający nogi o narożnik blatu biurka. – Mamy na koncie kilka pirackich rajdów i z setką ulicznych zamieszek.

– Cierpliwość jest cnotą – upomniał go Tierce. – Zwłaszcza u żołnierza.

– Wyrazy współczucia – mruknął Flim. – Ale ja nie jestem żołnierzem, tylko oszustem i pozwólcie, że coś wam powiem: w moim fachu nie można pozwolić, żeby sprawy za długo się kotłowały. Należy zarzucić przynętę na wybrany cel, a ledwie ją złapie, ściągnąć linkę i zakończyć sprawę. Jak się da ofierze za dużo czasu, to ta w końcu zacznie myśleć, a jak już zacznie, to się ją straci.

– Nikogo nie stracimy – zapewnił go Tierce. – A ponieważ przygotowaliśmy dość misterny plan, musi się, jak pan to ujął, długo „kotłować”. Zresztą, prawdę mówiąc, teraz to już niedługo.

– Więc może by tak dorzucić do ognia? – zaproponował Flim. – To moja życiowa rola, a dotychczas widziało ją sześć osób. Kiedy wreszcie zacznę występować?

– Jak się nie przestanieś wygłupiać, to nigdy! – Disra usiłował zapanować nad nerwami: Flim zaczynał się zachowywać jak gwiazda estrady, czego on nie znosił wręcz organicznie.

– Spokojnie, będzie pan miał swój prywatny występ dla rebeliantów – uspokoił Flima Tierce. – Ale dopiero wówczas, gdy się

dowiemy, gdzie wyrządzi najwięcej szkody, a do tego musimy wiedzieć dokładnie, które rządy są za ukaraniem Bothan, a które za rozwiązaniem pokojowym.

– Co w praktyce oznacza, że widownią będą albo Mon Calamari, albo Durosy – warknął Disra, spoglądając z niechęcią na Tierce'a: był to jeden z jego ostatnich pomysłów, który nie zyskał aprobaty Moffa.

Pierwotny pomysł polegał na podniesieniu morale sił imperialnych, i to po cichu, a nie na przestraszeniu Nowej Republiki, która najprawdopodobniej zwali im wtedy się na kark.

– Prawdę mówiąc, ta chwila jest bliższa, niż nam się wydaje – Tierce zignorował komentarz Disry. – Nasi agenci na Coruscant wykradli informacje o jakiejś petycji przedłożonej prezydentowi. Jeśli zdołają uzyskać jej tekst, natychmiast go rozpowszechnią, co powinno przyspieszyć cały proces. Sądzę, że jeszcze tylko kilka dni i będziemy mogli przejść do następnego etapu.

– Mam nadzieję – westchnął Flim. – A tak na marginesie: sądzę, iż przyszło wam, panowie, na myśl, że istnieje nader prosty sposób, w jaki Nowa Republika może rozwiązać cały ten kryzys i wytrącić nam broń z ręki.

– Oczywiście, że przyszło – Disra zaczynał tracić cierpliwość. – Wystarczy, żeby znaleźli wykaz Bothan wplątanych w zniszczenie Caamas.

– A zrobiliśmy coś, żeby to nie nastąpiło?

– Uważa mnie pan za idiotę? – parsknął Disra. – Oczywiście, że zrobiliśmy. Jedyne miejsce, gdzie istnieje taki wykaz, to archiwum znajdujące się na tej planecie. A raczej gdzie istniał, bo już go wykasowałem.

– To nie jest do końca prawda – odezwał się niespodziewanie Tierce. – Archiwum bazy wywiadu na Yaga Minor także może go zawierać.

– Więc dlaczego nic pan o tym dotąd nie wspomniał? – zdziwił się Disra.

– Kwestia przechwycenia informacji przez przeciwnika nie była dotąd poruszana. Wiedziałem, że zajął się pan archiwami Bastionu i założyłem, że zrobił pan to samo z archiwami na Yaga Minor, ekscelencjo.

– Jeszcze nie, ale zaraz się zajmę – obiecał Disra. – Polecę tam dziś w nocy.

– To nie najlepszy pomysł – sprzeciwił się Tierce. – Generał dowodzący bazą jest dobrym znajomym admirała Pellaeona, a pan,

mając pod ręką archiwa Bastionu, nie przedstawi zbyt wiarygodnego powodu, by szukać czegoś osobiście w archiwach bazy.

– To kto ma tam polecieć? Pan?

– Jestem logicznym kandydatem: generał Hestiv nie zna mnie ani z widzenia, ani z nazwiska, a przedstawię mu powód wizyty, w którym o panu nie wspomnę ani słowa. Jeśli nie zjawię się tam równocześnie z admirałem Pellaeonem, nie powinno być żadnych problemów.

– Pozostaje tylko kwestia, jak się pan zdoła dostać do sekcji Akt Specjalnych, majorze – zauważył Disra.

– Za pomocą pańskiego programu slicerskiego, ekscelencjo.

– Już drugi raz próbuje go pan ode mnie wydobyć – Disra zmarszczył brwi. – Zaczynam się zastanawiać, dlaczego panu tak na nim zależy.

– A co, woli pan, żeby rebelianci pierwsi dotarli do wykazu? – spytał Tierce obojętnie. – Czego się pan tak boi?

– Nie jestem pewien... może to jest właśnie to, na czym panu naprawdę zależy i zależało od samego początku... żeby dostać się do tych danych. Może obawiam się, że kiedy już pan je znajdzie, to rozwieje się ślad po majorze Tierce i zostaniemy z Flimem na lodzie.

– Przed chwilą obawiał się pan, że próbuję przejąć pański wielki projekt – uśmiechnął się zimno Tierce. – Teraz boi się pan, że zdezerceruję. Może by się pan zdecydował, Disra?

– Nie odpowiedział pan na pytanie – zauważył cierpko Disra. – A czego pan właściwie zamierza tam szukać?

– Nie wiem – Tierce wzruszył ramionami. – Imperator miał wiele tajemnic i niektóre z nich na pewno okażą się użyteczne, ale nie będę wiedział które, dopóki ich nie poznam, prawda?

– Więc dlaczego nie zaproponował pan tego na samym początku? Archiwa Bastionu mogłem przejrzeć już dawno.

– Zatem proszę się tym zająć, ekscelencjo. A ja zrobię to samo w bazie na Yaga Minor, skoro już muszę się w niej znaleźć. W ten sposób załatwię dwie sprawy równocześnie.

Disra skrzywił się boleśnie – Tierce miał obiektywnie rację, tyle że ten wyjazd oznaczał, iż on, Disra, nie dowie się, co tamtego szczególnie zaciekało w notatkach Imperatora.

– Tkwiemy w tym wszyscy, ekscelencjo – przypomniał mu niespodziewanie Flim. – Major może odkryć, jakie się tylko da, sekrety, ale samodzielnie nie zdoła ich wykorzystać. Albo też zdoła, ale nie tak skutecznie jak z naszą pomocą.

– Przecież to właśnie tłumaczę od dłuższej chwili – ucieszył się Tierce. – Powiem więcej: mam nawet nadzieję znaleźć tam bardzo konkretne informacje, które możemy wykorzystać jedynie razem.

– A ów tajemniczy sekret to...? – Disra czuł cichą satysfakcję: więc jednak Tierce chciał znaleźć coś konkretnego.

Tierce potrząsnął przecząco głową:

– Przykro mi, ale prawda wygląda tak, że ja potrzebuję waszej pomocy, by to wykonać, natomiast istnieje możliwość, że wy nie potrzebowałibyście mnie, by tego dokonać. Bez obrazy, panowie, ale chwilowo wolę pozostać niezastąpionym.

Disra wiedział, że rozmowa dobiegła końca – wydusił z niego tyle, ile się dało, i dalsze próby mogą doprowadzić jedynie do awantury. Przynajmniej na razie.

– Jest pan, majorze, niezastąpiony, ponieważ jest pan naszym specjalistą od taktyki – przypomniał. – Ale jeśli dzięki temu będzie się pan czuł bezpieczniej...

Dalszą przemowę przerwał mu cichy dźwięk brzęczyka.

– A co to takiego? – zaciekawił się Flim.

– Mój prywatny numer – Disra zmarszczył brwi, sprawdzając kod wywołującego.

– Odbierze pan, ekscelencjo? – spytał Flim.

– Tylko niech żaden z was się nie zbliża, dopóki nie skończą rozmawiać – zastrzegł Disra, prostując się i przybierając majestacyjny wygląd.

A potem wcisnął klawisz uruchamiający połączenie i na ekranie pojawiła się znajoma twarz...

– Dobra, Disra – warknął kapitan Zothip. – Miło, że ruszyłeś dupę. To może mi teraz wytłumaczysz, co tu się, do nagłej śmierci i deszczu meteorytów, wyprawia?!

– Zapomniałeś dodać „ekscelencjo” – odwarknął Disra. – A podobne pytanie, tyle że bez chamskich ozdobników, właśnie miałem zadać. Ustaliliśmy zasady wzajemnej łączności, więc...

– Mam w dupie twoje zasady! Chcę wiedzieć...

– Zna pan zasady i będzie pan uprzejmy ich nie łamać, bo nie po to je uzgadnialiśmy! – lodowaty ton Disry musiał podziałać na pirata, podobnie jak pogarda, którą wręcz ociekał głos moffa. – Ten kanał został zarezerwowany wyłącznie na wypadek niebezpieczeństwa, zatem słucham, cóż takiego zaszło, z czym słynni Cavrilhu nie są w stanie sobie poradzić?

– Poradziliśmy sobie, spokojna głowa – odciął się Zothip. – Kosztowało mnie to dwóch ludzi i jedną z najlepszych baz, ale poradziliśmy sobie. Chciałbym natomiast wiedzieć, skąd Luke Skywalker wiedział, gdzie nas szukać?

– O czym pan mówi?

– Nie wydurniaj się, Disra. Skywalker zjawił się w bazie na asteroidzie przy Kauronie, szukając twoich zasranych klonów. Wydostał się z naszej pułapki na Jedi, więc musieliśmy pryskać i wysadzić bazę.

– Przykro mi słyszeć o stratach, ale co to ma wspólnego ze mną?

– Naprawdę jesteś taki tępy czy tylko udajesz?! – wrzasnął Zothip. – Najpierw zabierasz mi bez słowa wyjaśnienia wszystkie klony, a potem Skywalker wpada z wizytą. Uważasz mnie za idiotę? Po mojemu, najwyraźniej zdecydowałeś, że przestaliśmy ci być potrzebni, więc podsunąłeś mu, gdzie nas szukać i próbowałeś nas załatwić jego rękami. I co ty na to?

– To, że mam do czynienia z wodzem piratów, który doznał złamania nerwowego. Co mogłem zyskać, eliminując was? Zakładając naturalnie, że byłbym w stanie to zrobić.

– A tego właśnie chcę się dowiedzieć – ucieszył się Zothip. – Ludzie Pellaeona weszła wokół naszych bankierów na Muunilinst i Bongo Prime. Może próbujesz zatrzeć ślady łączące cię z nami, nim oni do nich dotrą?

– Może wyjaśnimy sobie pewną kwestię – parsknął Disra. – Pellaeon mnie nie martwi i pana, Zothip, też nie powinien. Niedługo nie będzie już niepokoił nikogo w galaktyce.

– Taak? – Zothip podrapał się po okazałej, czarnej brodzie. – A wydawało mi się, że wy tam w Imperium nie wyrzynacie się nawzajem.

– Nikt nie zamierza go zabić – wyprowadził go z błędu Disra z pobłażliwym uśmiechem. – Po prostu przestanie się liczyć, więc również stanowić zagrożenie. To wszystko.

Tierce mruknął coś pod nosem, złapał najbliższy notes i zaczął coś gorączkowo pisać.

– Dobra, to akurat są wasze gierki – burknął Zothip. – Czyli co Skywalker u nas robił?

Disra wzruszył ramionami, obserwując kątem oka, co robi Tierce.

– Najprawdopodobniej zidentyfikował was w czasie tej sparaczonej roboty przy Iphiginie – zasugerował, by nie wzbudzać po-

dejrzeń. – Sam pan mówił, że przegoniły was myśliwiec typu X i corelliański frachtowiec serii YT-1300, Solo i Skywalker.

– To mogli, cholera, być oni... – mruknął Zothip. – Ale skąd wiedział o klonach?

– Strzelał w ciemno – Disra machnął lekceważąco ręką. – Próbował dojść, co was łączy z Imperium, niczego konkretnego nie wiedząc.

– Może nic nie wie o tobie, ale na pewno za dużo o mnie: to Mistrz Jedi, jakbyś zapomniał. Miał dość czasu, żeby się wszystkiego dowiedzieć z umysłów moich ludzi. I nie tylko ludzi.

– To proponuję, żebyście się na jakiś czas dobrze ukryli – cierpliwość Disry zaczynała się wyczerpywać. – Gdzieś głęboko, gdzie was nie znajdzie wielki, zły Jedi.

– Nie traktuj mnie jak gówniarza – ostrzegł Zothip. – Układ był opłacalny dla obu stron, ale nie radziłbym ci mieć we mnie wroga.

– To działa w obie strony – skontrował Disra.

Tierce skończył pisać i ustawił ekran notesu tak, by moff mógł go dostrzec poza zasięgiem kamery łączności. Disra pochylił się nieznacznie, czytając i mówiąc równocześnie, co było pewną sztuką.

– Zresztą nie ma powodów, żebyśmy z powodu czegoś tak trywialnego kończyli znajomość i współpracę.

– Trywialnego? – Zothip nieomal stracił głos. – Utrata bazy to coś try...

– Mam dla pana kolejne zajęcie, kapitanie – przerwał mu Disra, siadając wygodniej i uśmiechając się z lekka. – Naturalnie, jeśli nadal jest pan zainteresowany.

– Powiedzmy, że jestem – odparł podejrzliwie pirat.

– Za około trzech tygodni admirał Pellaeon opuści, na pokładzie „Chimaery”, imperialną przestrzeń, kierując się na tajne spotkanie, które odbędzie się w pobliżu Pesittiinu. Chcę, żeby go pan tam zaatakował.

Zothip zarechotał, aż mu łzy pociekły.

– Żartowniś z ciebie – ocenił, gdy się uspokoił. – Zaatakujemy niszczyciel klasy Imperial parą krążowników liniowych klasy Kaloth i telgańskimi Pacifierami, tak? Mają go opluć czy rozbać?

– Nie chodzi mi o poważny atak mający za cel uszkodzenie niszczyciela – wyjaśnił spokojnie Disra. – Chodzi o to, żeby go

ostrzelać i stworzyć pozory realnego ataku. Do tego siły wyliczone przez pana są chyba wystarczające, prawda?

– Pewnie, że są. Pozostaje pytanie: dlaczego?

– Bo zapłacę dwa razy więcej niż za ataki na frachtowce Nowej Republiki. I dlatego, że jeśli to zrobicie, Cavrilhu staną pierwsi w kolejce po nagrody, gdy się to wszystko skończy.

– A tych nagród wystarczy do podziału?

– Będzie ich więcej, niż zdoła pan sobie wyobrazić – zapewnił Disra.

– Mam sporą wyobraźnię – prychnął Zothip. – Dobra, pobawimy się jeszcze razem. Pesittiin, tak?

– Tak. I jeszcze jedno: chciałbym, żeby jednostki, które zaatakują „Chimaerę”, miały corelliańskie oznaczenia identyfikacyjne.

– Aha... – w głosie Zothipa słychać było namysł. – Z jakiegoś konkretnego powodu?

– Z tego samego, dla którego jest mi obojętne, czy ten atak wyrządzi jakiegokolwiek szkody, czy nie. Może pan spróbuje sam się domyślić: to całkiem dobry trening dla wyobraźni.

– Się domyślę – obiecał pirat. – Spokojna głowa. A pan niech się pomyśli, jak umieścić zapłatę na naszym koncju. Też dobra łamigłówka.

– Interesy z panem to przyjemność, kapitanie Zothip – uśmiechnął się Disra.

– I odwrotnie, moffie Disra. Będę w kontakcie.

Ekran pociemniał.

– Tylko we właściwy sposób, jeśli łaska! – warknął Disra i jakby oklapł: rozmowy z Zothipem zawsze stanowiły męczące przeżycie. Po namyśle dodał: – Przynajmniej chwilowo nie powinien nam zwracać głowy.

– A przy okazji zrobi coś pożytecznego – dodał Tierce, kasując zapis w notesie. – Panie Flim, oto kolejna, darmowa lekcja taktyki: nigdy nie rezygnuj z sojusznika, jeśli nie masz absolutnej pewności, że nie będzie już dłużej użyteczny.

– Ta zasada akurat pokrywa się z moimi, choć brzmi zdecydowanie kunsztowniej. A o co konkretnie chodzi?

– O to, żeby Zothip zaatakował Pellaeona – wyjaśnił zdziwiony Disra.

– Atak rozumiem doskonale: chcemy, by nasz admirał pomyślał, że Nowa Republika odrzuciła jego ofertę i przygotowała nań zasadzkę.

– Bardzo dobrze, panie Flim – pochwalił Disra złośliwie. – Choć po fakcie jest wielu mądrych.

– Zbytek łaski – mruknął Flim. – Nie rozumiem tylko, dlaczego oznaczenia corelliańskie, a nie Nowej Republiki.

– Bo to by było zbyt nachalne – wyjaśnił Tierce. – Sugerowałoby, że cały rząd odrzucił z punktu propozycje negocjacji, co jest niemożliwe i Pellaeon o tym wie. A więc domyśliłby się, że to ukarowane oszustwo.

– A tak będzie wyglądało na samodzielną inicjatywę Bel Iblisa, który jest Corellianinem – dodał Disra.

– W związku z czym logiczny wyda się brak krążowników Mon Calamari czy innych większych jednostek Nowej Republiki.

– Proszę też pamiętać, że nie chcemy, by Pellaeon zupełnie zaprzestał działań zmierzających do kapitulacji. Przynajmniej jeszcze nie teraz – kontynuował Tierce. – Jeśli uwierzy, że Bel Iblis odrzucił jego ofertę, zacznie szukać innego kandydata, co zajmie mu czas, a o to nam chodzi. Co więcej, atak zmusi go do odlotu z Pesittiinu, dzięki czemu nawet jeśli wiadomość wysłana przez Vermela przebiła się przez zagłuszanie, to gdy Bel Iblis przyleci na umówione miejsce spotkania, nikogo tam nie zastanie.

– Jest to tak proste, że powinno się udać – zakończył Disra, starannie maskując własne zaskoczenie, jako że o tym ostatnim sam nie pomyślał, co nie znaczyło, żeby miał się przed nimi zdradzić: Tierce był już i tak zbyt pewien siebie, a Flim przestał okazywać należyty szacunek.

– W międzyczasie będziemy dolewali oliwy do ognia. Chyba czas na zamieszki na samej Bothawui?

– Też tak sądzę – zgodził się Tierce. – Użyjemy zespołu Navetta, jak dotąd odnosił największe sukcesy.

– A chcemy, żeby te właśnie przeszły do historii – uśmiechnął się Disra. – Zaraz wyślę im stosowne rozkazy.

– Powinniśmy też uruchomić pozostałych agentów i organizacje – dodał Tierce. – Nie jesteśmy w stanie dokładnie określić, kiedy będą potrzebni, a byłoby błędem, gdyby wydarzenia zastały ich nie przygotowanych.

– Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że prawdziwy Thrawn miałby całą operację rozplanowaną prawie co do minuty – uśmiechnął się złośliwie Disra.

– Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma – odciął się Tierce. – Musimy spokojnie założyć, że przeciwnik pomoże nam

bezczynością. Ale na mnie już czas: Yaga Minor czeka. Zobaczmy, co zdołam tam wykopać.

– Miejmy nadzieje, że coś użytecznego – odezwał się Flim, wstając. – Jedno tylko nie daje mi spokoju: skąd Skywalker wiedział, gdzie znaleźć Cavrilhu i po co ich szukał?

– Powiedziałem Zothipowi, co myślę, i to akurat było szczerą prawdą: próbuje znaleźć połączenie między nami a piratami, ale nie ma obaw, nie uda mu się. – Disra był pewien swego.

– Jeżeli...

– To bez znaczenia, panie Flim – przerwał mu Tierce. – Wkrótce banda piratów i parę klonów będą najmniejszym zmartwieniem Rebelii.

ROZDZIAŁ



Drzwi odsunęły się i Talon Karrde wszedł na mostek swego flagowego frachtowca „Wild Karde”.

– Dobry wieczór państwu – powitał dyżurną wachtę. – Co nowego?

– Wszystko w porządku, szefie – Dankin odwrócił się od konsoli sternika. – Prawie jesteśmy w systemie Nosken.

– To miłe – Karrde zrobił krok do przodu, rozglądając się po innych stanowiskach... i stanął marszcząc brwi. – Co ty tu robisz, H’sishi?

Pytanie skierowane było do młodej Togorianki siedzącej przy pulpicie sensorów.

– Dankin prosił, żebym zajęła się sensorami – odparła miaukliwie, odwracając się z gracją. Togorianie należeli do inteligentnych kotowatych. – Powiedział, że czas, żebym nabrała praktyki w dyżurach na mostku.

Karrde przyjrzał się Dankinowi, który pracowicie studiował swoją konsolę, ale nawet z profilu dało się zauważyć, że jest dziwne z czegoś zadowolony.

– Faktycznie, to niezły pomysł – przyznał Talon, rozglądając się powtórnie, tym razem wolniej i uważniej: Odonnl w fotelu drugiego pilota też był podejrzanie radosny, podobnie Pormfil, zajmujący się napędem, choć na twarzy Kerestianina trudniej było to zauważyć; nawet Chin, zwykle opiekuńczy wobec nowych członków załogi, robił, co mógł, żeby się nie uśmiechać. – Sprawdziłaś odczyty w stosunku do poziomu tła?

- Nie, wodzu. Ale zaraz mogę to zrobić, jeśli chcesz.
- To zrób, proszę. Datakarta poziomu tła jest w kabinie komputerowej.
- Wykonuję – H’sishi wstała płynnym ruchem i wyszła, leciutko stukając pazurami o pokład.
- No, dobra – odezwał się łagodnie Karrde, gdy drzwi się za nią zamknęły. – Mam zgadywać?
- To nic wielkiego, szefie – Dankin bez powodzenia próbował wyglądać na wcielenie niewinności. – Ona nigdy nie była w Terrika, więc sobie pomyślałem, że stąd będzie miała najlepszy widok, i to ledwie wyjdziemy z nadprzestrzeni.
- Jesteście ciekawi, jak wysoko podskoczy? – uśmiechnął się Talon.
- No... ale tylko troszeczkę... – przyznał niechętnie Dankin.
- Wolimy to uważać za inicjację nowego członka załogi – dodał Odonnl.
- Rozumiem – mruknął Talon, przyglądając się teraz już otwarcie radosnym wachtowym. – Przypuszczam, iż żadnemu nie przyszło do głowy, że zaskoczona i przestraszona Togorianka może być troszeczkę niebezpieczna?
- Szefie, przecież to nieszkodliwa zabawa – obruszył się Odonnl. – Mara nigdy nie ma nic przeciwko temu, gdy jest na mostku.
- A poza tym to przecież tradycja – wtrącił Chin. – Chłopaki Billeya nic nie wymyślili, kiedy szef do nich dołączył?
- Nie byli nawet w połowie tak pomysłowi – odciął się Karrde. – A Mara mówi, że dzięki temu może przy użyciu Mocy ocenić, jak zachowają się nowi członkowie załogi w prawdziwym stresie.
- Całkiem rozsądny powód – ucieszył się Dankin. – Lepiej sprawdzić na spokojnie niż kiedy faktycznie zrobi się gorąco.
- Trzeba było to wcześniej wymyślić – wytknęła mu Talon. – Teraz dorabiasz ideologię do faktów.
- Dorabiam – przyznał Dankin bezwstydnie. – Szefie, należy się nam chyba jakaś rozrywka. Cały przelot był śmiertelnie nudny.
- Wkurzona Togorianka powinna rzeczywiście przerwać monotonię. – Talon potrząsnął głową, ale musiał przyznać, że niezależnie od rozrywkowego aspektu pomysłu, jeśli miała zostać stałym członkiem załogi, musieli wiedzieć, jak się zachowuje

w momencie zagrożenia. – Pamiętajcie, że rozrywkę będziecie mieć na własną prośbę, jaka by ona nie była. Poobserwuję sobie z boku.

Zajął miejsce koło burty, w pobliżu stanowiska China, skąd miał najlepszy widok na konsolę sensorów. Ledwie to zrobił, drzwi się otworzyły i H'sishi cicho wróciła na mostek.

– Mam datakartę, wodzu Karrde – powiedziała, pokazując mu ją.

– Faktycznie – potwierdził, sprawdzając napis na grzbiecie. H'sishi całkiem nieźle posługiwała się już wspólnym, ale jej umiejętność czytania pozostawiała jeszcze trochę do życzenia. – W takim razie zrób test.

– Wykonuję.

Podeszła do stanowiska, siadła i wsunęła datakartę w slot. Właśnie zaczynała wystukiwać na klawiaturze polecenie, gdy odezwał się Dankin:

– Jesteśmy! Przygotować silniki podświetlne.

I przesunął dźwignie hipernapędu.

Za oknami pojawiły się normalne gwiazdy...

I wprost przed dziobem niszczyciel klasy Imperial w pełnej okazałości.

H'sishi poderwała się, sycząc wściekle w swoim narzeczu coś, czego Karrde nie był w stanie zrozumieć, i ukazując kły w bojowym grymasie. A potem zamarła z nastroszonym futrem, dzięki czemu wyglądała na o połowę większą, niż była w rzeczywistości. Jej żółte oczy ciskały błyskawice.

– Niszczyciel przed dziobem – oznajmił Dankin, jakby ktośkolwiek na mostku mógł tego nie zauważyć. – Odległość dwa kilometry.

– Baterie turbolaserów zaczynają się obracać w naszą stronę – dodał Odonnl. – Pormfil?

– Silniki na pełnej mocy – osiem policzkowych nozdrzy Kerestianina poruszało się rytmicznie.

– Szefie, wywołują nas – zameldował Chin.

– Potwierdź – polecił Karrde, nie spuszczać wzroku z H'sishi, która nieruchomo wpatrywała się w widoczny za oknem okręt. – Uruchomili emiter promieni ściągających?

Przez pół sekundy mostek kolektywnie wstrzymał oddech. Po tej półsekundzie H'sishi syknęła cicho, siadła i zajęła się klawiaturą.

– Emitery promieni ściąających nieaktywne – miauknęła. – Turbolasery... bez energii... Nie, nie wszystkie... trzy baterie w pełni sprawne... tylko.

Zaskoczona odwróciła się do Talona i przyjrzała mu się zmrużonymi oczyma.

– Dobrze, to znaczy, że jesteśmy tam, gdzie planowaliśmy – oznajmił spokojnie. – Chin?

– Właściciel na linii – Chin uśmiechnął się szeroko. – Chce z tobą rozmawiać.

– To go przełącz... Witaj, Booster. Jak interesy?

– Doskonale, stary zbóju! – z głośnika dobiegł radosny głos Boostera Terrika. – „Errant Venture” wita serdecznie! Przyleciałeś na zakupy czy tylko sprawdzasz nowego w załodze?

H’sishi syknęła cicho, ale nie odezwała się.

– Na zakupy – odparł Karrde. – A konkretnie po informacje.

– Serio?! – sądząc po głosie, Booster właśnie zacierał ręce. – Proszę, proszę, to faktycznie mój dobry dzień. Łądujesz czy mam wysłać prom?

– Wylądujemy, jeśli jest gdzie. Mnie co prawda sprzęt nie interesuje, ale jak znam swoich ludzi, pewnie zechcą się rozejrzeć.

– Aleja już jest otwarta, podobnie jak reszta sklepików, tylko przypomnij im, że w Alei kupuje się wyłącznie za gotówkę. Łąduj, czekaj no... na Stanowisku Piętnastym. Jak rozpuścisz załogę, zjawi się ktoś, żeby cię zaprowadzić na mostek.

– Jasne. Do zobaczenia, Booster – pożegnał się Karrde i dał Chinowi znak, żeby zakończył połączenie. – Dankin, wiesz, jak się dostać na to stanowisko?

– Żaden problem, szefie.

– To wlatuj.

H’sishi wstała i spytała sztywno, spoglądając na Karrde’a:

– To był żart, wodzu? Nie lubię wyglądać głupio.

– Nie wyglądałaś głupio. Przez chwilę wyglądałaś na zaskoczoną, a potem wróciłaś do wykonywania obowiązków – zapewnił ją Karrde.

Rozejrzała się niepewnie, nie bardzo rozumiejąc.

– Ludzie lubią robić głupców z innych – oświadczyła wyzywająco.

– Ludzie lubią żarty – poprawił ją Karrde. – Ale dowcip nie był głównym celem tego ćwiczenia.

H'sishi powoli się odprężyła.

– Chcieliście wiedzieć, czy nie ucieknę ze strachu.

– Albo nie zaczniesz panikować i czy będziesz zdolna pełnić swe obowiązki – wyjaśnił Talon. – Gdyby przytrafiła ci się któraś z tych reakcji...

– Zabiłbyś mnie.

– Ja nie zabijam swoich – Karrde potrząsnął głową. – Chyba że popełnią naprawdę poważne przestępstwo zagrażające mnie lub mojej organizacji. Przeniesiono by się po prostu na stanowisko nie związane z takimi stresującymi przeżyciami: zostałabyś łącznikiem albo agentem zbierającym informacje.

H'sishi zastrzygła uszami.

– Nie chcę takich stanowisk – oznajmiła.

– Miło mi to słyszeć, bo uważam, że marnowałabyś się na nich. Będziesz znacznie użyteczniejsza na pokładzie „Wild Karrde” albo którejś z innych jednostek.

– Jeśli to możliwe, wolałabym pozostać tutaj – powiedziała po namyśle.

– Sądzę, że to może być możliwe, ale później porozmawiamy. Teraz odnieś tę datakartę: nie będziemy jej potrzebowali aż do odlotu.

– Wykonuję, wodzu – H'sishi delikatnie wyjęła datakartę czubkami pazurów i wyszła.

– No i co? – spytał Karrde. – Zdała?

– Bez dyskusji – ocenił Dankin. – I bez problemów.

– Też tak myślę – przytaknął Odonnl. – Szybko wróciła na stanowisko.

– I nie zapomniała, jak się używa konsoli, co się niejednemu zdarzało – dodał Pormfil, pogwizdując znacząco.

– Nawet Elkinowi tak dobrze nie poszło.

– Może – zgodził się Talon. – Chociaż założę się, że po niej zostało coś więcej niż po Elkinie?

Pormfil pociągnął nosem.

– Nic nie śmierdzi – ocenił zaskoczony.

– Nie, za to coś widać – Karrde wskazał dwie grupy niewielkich otworów na brzegu konsoli. – Ślady pazurów.

Gdy Karrde i Odonnl zeszedli jako ostatni z rampy „Wild Karrde”, zobaczyli oczekującą na nich znajomą postać.

– Witam, kapitanie Karrde – odezwał się Navara Ven, kłaniając się ceremonialnie, jak tylko Twi’leki potrafią. – Miło znów was widzieć.

– Ciebie też, Ven – Karrde odklonił się mniej formalnie. – Wiadzę, że nie najgorzej ci się powodzi?

– Na pewno się nie nudzę – uśmiechnął się lekko Ven. – Chodźmy, Booster już pewnie przytupuje z niecierpliwości na mostku.

I poprowadził ich ku grupie wind, nieznacznie jedynie utykając pomimo protezy zastępującej jedną z nóg.

– Zauważyłem, że straciliście kilka turbolaserów – zagaił Karrde. – Według odczytów macie tylko trzy sprawne baterie.

– Dwa musieliśmy rozebrać na części dla trzech uszkodzonych, a te trzy potem sprzedać, żeby kupić części do hipernapędu – odparł Ven. – Takie jest życie.

– Do dziesięciu umiem liczyć biegle – przypomniał Talon. – Mieliście dziesięć, straciliście pięć, to daje pięć, a nie trzy.

– Bo zostało pięć, tylko że dwa są obecnie w naprawie.

– Aha.

Weszli do windy, która wreszcie przyjechała. Ven wcisnął odpowiedni guzik i ruszyli.

– W tej sekcji działają tylko dwie windy – dodał Twi’lek. – Nie uwierzyłbyś, ile rzeczy może się popsuć na takim okręcie.

– Nie sądzę, mam twórczą wyobraźnię. Jeszcze w czasie Rebelii słyszałem, jak któryś z oficerów Sił Specjalnych opisał niszczytel klasy Imperial jako sto siedemdziesiąt cztery tysiące błędów konstrukcyjnych czekających na wykorzystanie.

– Zaniżona ocena – Ven poruszył chwytnymi warkoczami. – Booster w końcu najął dwustu techników, głównie rasy Verpine, żeby dokonali niezbędnych napraw i modyfikacji. Było to siedem miesięcy temu, a oni nadal mają co robić.

– Tak się kończy źle pomyślana oszczędność – Karrde wzruszył ramionami. – Od początku uparł się obsadzić ten okręt załogą dużo mniejszą niż szkieletowa. Entropia zawsze ich wyprzedzała i jak długo tego nie zmieni, zawsze ich będzie wyprzedzać. Nie zamierza przypadkiem go sprzedać?

– A co? Kupiłbyś? – uśmiechnął się złośliwie Ven.

– Pewnie dałbym się w końcu przekonać. Zwłaszcza gdyby byli inni prywatni klienci. Wolałbym nie spotkać w czymś takim jakiegoś Hutta.

– Czy ja wiem? Po ich ostatnich wyczynach technicznych mogłoby to być zabawne.

– Na pewno nie, gdyby znalazł się drugi Jabba.

– Fakt – zgodził się Navara. – Przekażę twoją propozycję Boosterowi.

Winda zatrzymała się z lekkim szarpnięciem, drzwi się otworzyły i znaleźli się na mostku.

– Tak na marginesie, Booster kazał przeprosić, że nie powitał was osobiście – dodał Ven, kierując się ku łukowatemu wejściu na główny mostek. – Zaraz zrozumiecie, dlaczego nie mógł.

– Żaden problem – Karrde rozejrzał się nieznacznie: większość stanowisk pozostawała nie obsadzona i wyłączona, nieliczne przełączone na czuwanie, a naprawdę niewiele sprawnych i obsługiwanych; rufowy projektor holograficzny także był wyłączony.

Dalsze obserwacje przerwał mu radosny i donośny głos:

– Talon Karrde! Witamy na pokładzie!

Booster maszerował głównym przejściem między stanowiskami, otwierając ramiona do powitania. A za nim...

– Zobacz, kto wpadł z wizytą – dodał Booster, wskazując wymownie.

– Widzę – Talon skinął na Odonnlą – Odonnl, nie sądzę, abyś miał okazję poznać rodzinę Boostera. To jego śliczna córka Mirax, a to zięć: komandor Corran Horn, były... przepraszam, aktualny członek sławnej Eskadry Rogue generała Wedge'a Antillesa.

– Miło mi poznać – odezwał się ostrożnie Odonnl. – Ven latał w tej eskadrze, jeśli dobrze pamiętam?

– Lataliśmy razem – Corran mówił równie ostrożnie. – Booster, mnie nie przeszkadza, że Karrde wie o naszej obecności, ale...

– Spokojnie – Booster uściskał Talona i dokończył: – Ci, których Talon przyprowadza, są równie godni zaufania, jak on sam.

– Naprawdę mi ulżyło – mruknął Corran, posyłając Talonowi całkowicie obojętne spojrzenie.

– Nie ma obawy – Karrde podał mu rękę – nie poinformujemy Coruscant, że jeden z ich szacownych bohaterów zadaje się z kryminalistami.

Horn ujął jego dłoń i nieco się odprężył.

– Byłoby to miłe – przyznał. – Co porabia Mara?

– Lada moment powinna się tu zjawić. Chwilowo lata „Starry Ice” i umówiliśmy się, że się tutaj spotkamy. Witaj, Mirax, dawno się nie widzieliśmy. Gdzie malec?

– Valin siedzi w prawoburtowym stanowisku – wyjaśniła Mirax, uśmiechając się cieplej i szczerzej od męża. – A poza tym ma sześć lat, więc już nie malec.

– Fakt – zgodził się Karrde, podchodząc do wpuszczonych w podłogę prawoburtowych stanowisk dyżurnej wachty i spoglądając w dół. Przy jednej z konsol na sterzie poduszek umieszczonych na fotelu siedział chłopak nie widzący świata poza ekranem. – Nie za wcześnie na naukę pilotażu?

– Jakiego pilotażu? – Mirax podeszła do niego. – Ojciec przeobraził stanowisko promienia ściągającego na stację gier. Chcesz się z nim przywitać?

– Lepiej mu nie przeszkadzać – ocenił Talon. – Nadal jest takim zaciętym muzykiem?

– Bez zmian – odparł Booster. – Co on w tym widzi, pojęcia nie mam. Musiałem mu ostatnio kupić nowe chordokeylo, bo stare już ani pisać nie chciało. Natomiast tak na serio, Talon: byłbym wdzięczny, gdybyś zostawił dla siebie to, że spotkałeś Corrana. O jego obecności tutaj wie naprawdę niewiele osób, i to z samej góry Nowej Republiki.

– Tajna misja, co? – uśmiechnął się pod wąsem Karrde. – Z gatunku płaszcza i sztyletu, spotkań w ciemnych zaułkach i akcji w rodzaju zabili go i uciekł.

– Chyba rozumiesz, że nie możemy o tym z tobą rozmawiać – Corran niezbyt skutecznie stłumił uśmiech.

– Naturalnie – zgodził się Karrde. – Choć przyznaję, że nie pochwalam optymizmu twoich zwierzchników pozwalających ci zabierać rodzinę na niebezpieczne eskapady.

– Tu nie ma nic niebezpiecznego! Ani żadnej eskapady! – nie wytrzymał Booster. – Corran potrzebuje tylko kilku informacji...

– Booster! – warknął Horn ostrzegawczo. – Bądź uprzejmy trzymać język za zębami i nie kłapać dziobem, dobrze?

– Mógłbym ci pomóc – zaproponował Karrde. – Jak wiesz, mam własne źródła informacji i ośmielę się twierdzić, że niektóre są lepsze od tych, którymi dysponuje Torrik.

– Dzięki, ale poradzimy sobie sami.

– Talon mądrze mówi, Corran – Booster potarł z namysłem policzek. – Może byłoby lepiej, gdybyś mu powiedział, o co chodzi...

– Nie. Bez obrazy, Talon, ale to naprawdę ściśle tajne i nie mam prawa mówić czegokolwiek.

- Tak, ale...
- Nie ma sprawy, Booster. Jeżeli jego przełożeni nie chcą, żeby obcy wiedzieli o jego obecności tutaj, to z całą pewnością nie życzyliby sobie, żeby z tymi obcymi rozmawiał o problemach, z którymi go wysłali.
- Dokładnie – ucieszył się Corran. – Dzięki za zrozumienie.
- Drobiazg. Pożyczę tylko na chwilę gospodarza, bo muszę porozmawiać o swoich problemach – odparł Karrde, sięgając do kieszeni i wyjmując z niej datakartę. – Mirax, zanim zapomnę: to dla Valina.
- Co to takiego? – zdziwiła się, biorąc datakartę.
- Ettiańska tonacja dźwiękowa do nowego chordokeylo, wiem, że ją lubi. Uczono mnie w młodości, że gość powinien zjawiać się z prezentem dla dziecka gospodarzy.
- Corran przyjrzał się datakarcie z lekko osłupiałą miną.
- Skąd wiedziałeś...? – spojrzał na Talona i z błyskiem zrozumienia przeniósł spojrzenie na teścia – Booster!
- Niewinny – oznajmił pospiesznie Booster. – Nikomu nie powiedziałem, że przylatujecie. Nawet załodze nie powiedziałem!
- Jak już mówiłem, mam nie najgorsze źródła informacji – powtórzył cicho Karrde.
- Przez dobrą minutę na mostku panowała niczym nie zmacona cisza. Corran spojrzał na Boostera, potem na Mirax, a ponieważ znikąd nie doczekał się pomocy, przeniósł w końcu wzrok na Talona.
- Ile mnie to będzie kosztować? – westchnął zrezygnowany.
- Tyle, ile okaże się warte, naturalnie. Cenę możemy negocjować później.
- Już to gdzieś słyszałem – Corran spojrzał wymownie na Boostera.
- Jeśli wolisz, tę część zostawimy w gestii senator Organy Solo – Talon wzruszył ramionami. – Dotychczas zawsze dochodziliśmy do obustronnie korzystnych warunków.
- Wolę nie myśleć, jak korzystne były dla nas – warknął Corran. – No dobrze. Nie sądę, żebym musiał ci mówić, ile było ostatnio demonstracji i zamieszek skierowanych przeciwko bothańskim firmom i placówkom dyplomatycznym?
- A dotyczących nowych informacji o zagładzie Caamas – dokończył Karrde. – Nie musisz.

– Właśnie. Coraz częściej słyszymy przy takich okazjach słowo „Zemsta”. I nie chodzi tu o wywarcie zemsty, tylko o jakąś grupę lub organizację o takiej nazwie.

– Odonnl, słyszeliśmy coś o tym? – spytał Karde.

– Osobiście nie słyszałem, ale nie jestem w stanie czytać wszystkich informacji, które do nas trafiają.

– Jak tylko wrócimy na statek, sprawdzimy wszystko, co mamy – obiecał Talon. – Co o tym sądzą władze Nowej Republiki?

– Na razie nie ma wniosków, tylko pytania. Najważniejsze to kim są i czego chcą oraz czy sami się wylęgli, czy też dostają pomoc i wytyczne z zewnątrz.

– Pozwól, że zgadnę: konkretnie z Imperium?

– Powiedziałeś to tak, jakbyś w to nie wierzył – Corran lekko zmrużył oczy.

– Niezupełnie. Powiedziałem to jako ktoś, kto został przyzwyczajony do wyjaśnień, że jeśli tylko w Nowej Republice coś idzie nie tak, to oficjalnie zaraz winne jest Imperium.

– To trochę nieuczciwe – sprzeciwił się Booster. – Musisz przyznać, że większość kłopotów i zagrożeń, jakie spotkały Nową Republikę, rzeczywiście wywoływało Imperium.

– Nie mówię, że Imperium nie może być w to zamieszane, po prostu ostrzegam przed automatycznym założeniem, że musi – wyjaśnił cierpliwie Karde.

– Ależ...

– On ma rację – przyznał niechętnie Horn. – Co gorsza, Imperium robiło to samo, o wszystko obwiniając Rebelię i używając tego pretekstu do kolejnego przykręcenia śruby. Wiele istot w galaktyce dokładnie to pamięta, stąd cała tajemniczość otaczająca moją wizytę. Prawdę mówiąc, Bel Iblis nie chce, żeby przeciekło, że w ogóle dopuszczamy taką możliwość.

Karde potakująco kiwnął głową – Bel Iblis był niesamowicie wręcz rozsądnym politykiem i jednym z lepszych taktyków, jakich znał. W przeciwieństwie też do większości dupków zajmujących się polityką Nowej Republiki był konkretny i mniej go obchodziły środki, a bardziej rezultaty.

– Wszystko jasne – powiedział po chwili. – Sprawdźmy, co mamy i zaczniemy ciche poszukiwania. Zobaczmy, co z tego wyjdzie.

– To mi się podoba – ucieszył się Booster. – A skoro już jesteśmy w trakcie koncertu życzeń, to czego ty się chciałeś dowiedzieć?

– Odpowiedzi na dwa proste pytania – uśmiechnął się Talon. – Po pierwsze: Luke Skywalker próbuje zlokalizować piracką bandę znaną jako Cavrilhu. Wiesz może przypadkiem, pod jakim kamieniem siedzą?

– Wiem, że mają bazę na Amorris – Booster wyciągnął z kieszeni notes, włączył go i wystukał coś na klawiaturze. – Aha, ich najsilniejszą i główną bazą jest wydrążona asteroida w układzie Kauron.

– Booster, to ty mi miałeś udzielić informacji, nie ja tobie – Talon potrząsnął ze smutkiem głową. – Baza na Amorris została niedawno opuszczona, a zgodnie z tym, co Mara widziała na własne oczy, nasz przyjaciel Luke właśnie skończył ich wykurzać z asteroidy.

– Po co to zrobił? – zdziwił się Booster. – Dobra, nie chcę wiedzieć, bo będę ci musiał zapłacić. Znałem tylko te dwie bazy, więc masz pecha. Drugie pytanie?

– Zanim zabrał się za asteroidę, Luke pomógł powstrzymać piracki atak w pobliżu Iphiginu – Karrde rozejrzał się od niechcienia: nikogo niepowołanego nie było w zasięgu słuchu. – Nie wiadomo, kto go zorganizował, choć prawdopodobnie byli to Cavrilhu. Podczas walki wyczuł, jak mu się wydaje, na pokładzie jednego z ich statków grupę klonów.

Nikt się nie poruszył, ale na mostku zrobiło się nagle zimno i nieprzyjemnie.

– Sądziłam, że Imperium dawno skończył się zapas klonów – powiedziała powoli Mirax trochę nieswoim głosem.

– Nie tylko ty tak sądziłaś – Terrik nie miał szczęśliwszego głosu. – Nowa Republika chyba też jest tego zdania, przynajmniej oficjalnie. Corran?

– Z tego co wiem, rzeczywiście jest tego zdania. Od lat ani nie było o nich słyhać, ani nie znaleźliśmy żadnego na jakimkolwiek pobojuwisku.

– A od jak dawna przestaliście szukać? – spytał niespodziewanie Odonnl.

– Prawda – przyznał Corran. – Nie wiem.

– Trudno uwierzyć, że się jakieś uchowały – Booster doszedł do siebie, sądząc po tonie. – To było doskonałe wojsko. Aż dziw, że Daala i inni jej podobni nieudacznicy nie zmarnowali ich dawno temu.

– Większość zmarnowali, ale Thrawn mógł część ukryć i Daala ich nie znalazła – zauważył Karrde.

– Po co miałyby robić coś takiego? – zdziwił się Booster. – Thrawn potrzebował załóg i wojsk zaraz, nie po latach.

– I dlaczego nagle pojawiły się właśnie teraz? – dodał Corran.

– Nie wiemy, czy nagle – sprostował Odonnl. – Mogli tam być cały czas, a tylko wy, myśliwskie asy, nie zwróciliście na nich uwagi.

– Posłuchaj no, cwaniaku! – Horna zaczynało ponosić. – Kiedy my nadstawialiśmy karku, żeby w tej galaktyce zapanował spokój...

– Panowie, spokojnie – wtrącił Karrde, na wszelki wypadek wchodząc między nich. – Spróbujmy pamiętać, że jesteśmy po tej samej stronie.

– No – burknął Odonnl. – Pewnie.

– Może byś wrócił na „Wild Karrde” i zajął się sprawdzaniem banków danych – zaproponował mu Talon.

– No – mruknął pomocnik. – Niezły pomysł.

– Odprowadzę cię, żebyś się nie zgubił. To duży okręt – odezwał się Ven, który dotąd tak skutecznie milczał, że Karrde zapomniał o jego obecności.

Mina Odonnla wyraźnie świadczyła, co sądzi zarówno o pomysłe szefa, jak i o propozycji Twi’leka, ale nie odezwał się, tylko posłusznie ruszył ku wyjściu.

– Przepraszam, komandorze Horn – odezwał się oficjalnie Karrde, gdy Odonnl i Ven zniknęli z pola widzenia. – Odonnl nie ma tak miłych jak ja wspomnień o siłach zbrojnych Nowej Republiki.

– W porządku. Ja o przemytnikach też nie mam samych miłych wspomnień.

– Corran! – w głosie Mirax słychać było ostrzeżenie.

– Nie licząc tu obecnych, naturalnie – dodał Horn z uśmiechem. – Może wróćmy do tematu?

– Miło słyszeć – Karrde też się uśmiechnął. – A wracając do rzeczy: jedyne, co wiemy na pewno, to to, że Luke wyczuł klony na pirackim statku. Podstawowym pytaniem, na które trzeba znaleźć odpowiedź, brzmi: czy były to pozostałości po Thrawn, czy też ktoś znalazł inne cylindry klonujące.

– Na przykład Cavrilhu? – dodała pytająco Mirax.

– Taka możliwość przyszła mi do głowy i oba pytania mogą wówczas stanowić jedno – przyznał Karrde i dodał: – W tym przypadku naturalnie cena ulega obniżeniu.

Booster jęknął rozdzierająco, aż echo poszło, ale nie zdążył nic dodać, gdyż sprzed jednej z nielicznych działających konsolet wachtowych rozległo się głucho:

– Kapitanie!

– Co jest, Shish?

– Statek leci... mówi, że „Starry Ice”. Pilot chce współrzędne lądowania. Mam jej dać?

– Przełącz ją na mnie – polecił Booster, wyciągając komling i dając go Talonowi. – I tak o ciebie zapyta, więc możemy sobie oszczędzić gadania.

– Fakt – Karrde włączył srebrzysty cylinderek. – Mara, tu Talon. Jak sprawy?

– Nie najgorzej, dzięki za troskę – jeśli Mara była zaskoczona, słysząc jego głos, to doskonale to maskowała, choć z drugiej strony niewiele mogłoby naprawdę zaskoczyć Marę Jade. – Tylko obawiam się, że nie mieliśmy czasu zboczyć do Dvonseenu po ten ładunek.

– Żaden problem: Faughn może go zabrać, kiedy cię tu wysadzi. Jak poszło polowanie na piratów?

– Nijak: straciliśmy ich wektor w Di’wor, gdzie panował ruch jak na wyścigach wariatów.

– Sezon zapyłania ćwierkaczy – mruknął Booster. – Pokój sprzyja turystyce, a to jedyne śpiewające owoce w całej galaktyce.

– Nie martw się niepowodzeniem – uspokoił ją Talon. – Nikt się nie spodziewał, że zdołasz lecieć za nimi dłużej niż dwa skoki. Wyląduj i...

– Mara! – wciął się w rozmowę głos Faughn. – Zobacz, co nadlatuje z prawej!

– Widzę – ton Mary stał się nagle rzeczowy. – Terrik, masz towarzystwo... zamiar jeden-jeden-siedem na piętnaście.

Booster był już w drodze do okna, a Corran deptał mu po piętach.

– Jeden-jeden-siedem na piętnaście, Bodwae – warknął Terrik. – Co masz?

– Niiiiiic – rozległ się rozżalony głos Laerdocjanina. – Te shas’mink sensory...

– Trudno go zauważyć – stwierdziła Mara. – Jest niewielki i ciemny, wygląda jak poważnie zmodyfikowany myśliwiec TIE.

– Nasze sensory też mają problemy z jego rejestrowaniem – dodała Faughn.

– Daj se spokój – prychnął Booster. – Uruchom pole i przygotuj turbolasery.

– Pole znowu ma zwarciiiiie – oświadczył Bodwae. – Turbo-lasery...

– Odbieram transmisję – warknął Shih. – Silny sygnał, ale... no szlag to wszystko, nie mam pojęcia, co to jest!

– Mara? – spytał Karrde.

– Też go odbieramy, ale bardzo słabo, musimy być na skraju wiązki kierunkowej. Na razie komputer nie potrafi sobie z nim poradzić.

– Jest – odezwał się Corran, wskazując kierunek. – Leci prosto na nas.

– Uruchom wreszcie tarczę siłową mostka! – wrzasnął Booster. – Natychmiast!

– Mara? – powtórzył Karrde.

– Nadal jest poza zasięgiem ognia. Lepiej się gdzieś ukryjcie.

Karrde rozejrzał się, zastanawiając się, gdzie zniknęła Mirax – dostrzegł ją biegnącą ku rufowej części mostka z ogłupiałym Valinem w ramionach. Przez chwilę zastanawiał się, czy do niej nie dołączyć, zanim do niego dotarło, że na ucieczkę już za późno. Potem spokojnie odwrócił się w stronę wychodzących na dziób okien, przez które widać było zbliżającą się jednostkę. Leciła naprawdę szybko i nie przypominała niczego, co w życiu widział...

– Tarcza mostka też niiiiie dziiiiiała – warknął Bodwae. – Staranujjjje nas!

– Padnij! – polecił Booster i łapiąc Corrana dał dobry przykład.

Karrde skoczył ku stanowiskom wachtowym, zrozumiał, że nie dobiegnie i stanął. Obca jednostka rosła w oczach...

I w ostatniej sekundzie wykonała osobliwy manewr – jakby skrzyżowanie świecy z korkociągiem wykręconym w górę – przeleciała wzdłuż nadbudówki i zniknęła nad nią.

Talon potrzebował ładnych paru sekund, by odzyskać głos:

– Mara?

– Żyjecie?

– Jak najbardziej – poinformował ją, kierując się ku miejscu zalegnięcia Boostera i Corrana. – Gdzie on poleciał?

– Przemknął nad nadbudówką, znurkował za nią, i za dyszami napędu, gdy był niewidoczny, skoczył w nadprzestrzeń. Dokładnie taki sam numer zrobił ten, którego próbował dogonić Luke.

– Tego samego typu? – Karrde zmarszczył brwi z namysłem.

– Wyglądał tak samo. Torve wyciska dane z sensorów, zobaczymy, czy się potwierdzą.

Terrick i Horn wrócili do pionu, zanim Talon do nich dotarł.

– Widziałeś to? – potrząsnął głową Booster, otrzepując spodnie. – Ze wszystkich skretyniałych numerów, jakie...

– Szeffie, tu Torve – rozległ się w głośnikach młodzieńczy głos. – To maszyna tego samego typu, co poprzednio.

– Gdzie było to poprzednio? – zainteresował się Booster.

– Na skraju pola asteroidów w systemie Kauron, w pobliżu bazy Cavrilhu – odparł Karrde. – Mara, co z tą transmisją?

– Nadal sprawdzamy. Wydaje się składać z dwóch części: krótkiej wiadomości, po której następuje przerwa i powtórzenie wiadomości. Na razie nie pasuje do żadnego znanego języka, kodu czy slangu.

– Pewnie znowu jakiś bezużyteczny starość, jak ten statek Quella, co go Calrissian gonił przez pół galaktyki – prychnął pogardliwie Booster.

– Z początku też tak myśleliśmy – odezwała się Mara. – Teraz zmieniałam zdanie.

– Dlaczego? – Booster nie zamierzał ustąpić. – Dlatego, że coś nadawał?

– Dlatego, że nadawał konkretnie do tego okrętu – wyjaśnił Karrde. – A przerwa i powtórka wskazują, że spodziewał się odpowiedzi.

– Powiadasz? – Booster podrapał się z namysłem po policzku. – Mara, próbowaliście imperialnych kodów?

– Od nich zaczęliśmy. Żadnego efektu.

– A przyleciał przyjrzeć się imperialnemu niszczycielowi – mruknął Karrde. – Przedtem zaś kręcił się wokół pirackiej bazy, prawdopodobnie powiązanej z Imperium...

– Czyli albo już są jakoś powiązani z Imperium, albo chcą być – dokończyła Mara.

– Albo też chcą czegoś zupełnie innego – wtrąciła nagle Faughn. – Właśnie skończyłam analizę fonetyczną i wydaje mi się, że znalazłam nazwisko Thrawn.

– Puść to przez głośniki – polecił Talon.

Przez moment panowała cisza, po czym usłyszeli szybko mówiący głos w niezrozumiałym języku, a w samym środku przemowy...

– Jest – powiedział ponuro Booster. – Ale jakoś tak dziwnie brzmi... jękał się, czy co?

– To dlatego, że mówiący użył pełnego nazwiska – głos Mary był jeszcze bardziej ponury – Mitth'raw'nuruodo. Thrawn to tylko jego centralne nazwisko, jak sam to określał.

Talon dostrzegł kątem oka nagłą zmianę wyrazu twarzy Corrana, ale nim zdążył się odezwać, Booster spytał z wymuszoną niechęcią:

– Gdzieś go poznała, że ci go tak oficjalnie przedstawiono?

– Nie poznałam go. Słyszałam o nim i znam jego pełne nazwisko, to wszystko. Choć przyznaję, że niewielu w Imperium je znało.

– A znasz jego historię? – spytał Karrde. – Skąd się wziął w Imperium albo co robił, zanim został admirałem?

– Wiem tylko, że jakiś oddział znalazł go na opuszczonej planecie na skraju Nieznanych Terytoriów podczas pościgu za przemytnikami. Dowódca tego oddziału był pod takim wrażeniem jego zdolności taktycznych, że przywiózł go na Coruscant. Plotki głosiły, że na tej planecie znalazł się podobno w wyniku wygnania.

– Za co? – zaciekawiał się Booster.

– Nie wiem. Ale te jednostki mogą należeć do jego ziomków, którzy w końcu doszli do tego, co się z nim stało i przyłecieli po niego.

– To się sieroty zdrowo rozczarują, jak się dowiedzą, że spóźnili się o dziesięć lat – prychnął Booster.

– Niekoniecznie – powiedział cicho Corran. – Nie musieli szukać samego Thrawna.

Karrde przyjrzał mu się uważnie, zanim spytał łagodnie:

– Wątpię, aby ten pomysł akurat teraz wpadł ci do głowy. Byłbyś tak miły i podzielił się z nami tą wiedzą?

– Nie miałem o tym mówić nikomu poza Boosterem – przyznał niechętnie zapytany – ale w obecnych warunkach... ten cały Lak Jit odnalazł na Wayland kilka datakart. Jedna z nich była zatytułowana „Ręka Thrawna”.

Talon pokiwał głową – teraz wiedział, czego i dlaczego nie chciała mu powiedzieć Leia podczas spotkania na Wayland. I dlatego tak dziwnie reagowała na Marę.

– Datakarta jest tak bardzo zniszczona i głęboko zakodowana, że jak dotąd nawet Ghent nie dał jej rady – kontynuował Corran. – Leia sądzi, że może chodzić o kogoś takiego jak Ręka Imperatora, lecz podległego wyłącznie Thrawnowi, a Bel Iblis chciał, żebym sprawdził, czy Booster kiedykolwiek zetknął się z tym określeniem.

– Nigdy – Booster nie musiał się zastanawiać. – Karrde? Mara?

– Nie – Talon także był pewien.

– Ja też nie – dodała Mara – i prywatnie nie mogę sobie wyobrazić, żeby Leia miała rację: do takiej służby niezbędny jest ktoś władający Mocą, jak ja i Imperator, a Thrawn Mocą nie władał. Poza tym nie był typem bawiącym się w zakulisowe intrygi, a głównie do tego Imperator potrzebował swoich Rąk. Thrawn do zadań specjalnych miał Noghri.

– Ale tak oznaczona datakarta znajdowała się w prywatnym archiwum Imperatora – zauważył Karrde. – A więc musiał to być ktoś czy coś, co uważał on za ważne.

– Skąd wiesz, że w prywatnym? – zainteresował się Terrik.

– Bo gdyby Bel Iblis znalazł ją w imperialnym archiwum na Kamparas, nie kazałby Corranowi jej szukać.

– Fakt – zgodził się niechętnie Booster. – I według ciebie te myśliwce lub myśliwiec szukają Thrawna albo Ręki Thrawna?

– Lub też jest to tylko jedna jednostka pilotowana przez Rękę Thrawna – dodała Mara. – A jeśli tak, to trzeba jak najszybciej wysledzić, skąd on przyleciał albo dokąd odleciał.

– Co proponujesz? – spytał zwięźle Karrde.

– Mamy wektor jego ostatniego skoku, mamy też wektor skoku z układu Kauron. Faughn oblicza właśnie punkt ich przecięcia.

– Obliczyła – poprawiła ją Faughn. – To nie zasiedlony system w sektorze Gradilis położony na granicy Dzikiej Przestrzeni i Nieznanych Terytoriów. Nazywa się Niravan, więc ktoś kiedyś musiał go odwiedzić, jednak nie ma o nim żadnych innych danych.

– To zbyt proste! – sprzeciwił się Terrik. – Przecież nikt nie jest aż tak głupi, żeby skakać bezpośrednio do bazy z potencjalnie niebezpiecznego spotkania. A zwłaszcza jeśli nie chce się zadawać z tymi, z którymi się spotkał.

– Zależy, co kto wie i jaką technikę dysponuje, Booster – skontrował Karrde. – Mogą nie dysponować komputerami wystarczającej mocy do skomplikowanych, wielostopniowych skoków, a mogą też mieć koordynaty skoku powrotnego zaprogramowane

automatycznie, żeby jednostki nie dostały się w niepowołane ręce nawet z martwą czy nieprzytomną załogą.

– Albo też nie wiedzieć, że da się określić wektor skoku w ciągu paru mikrosekund po wejściu danej jednostki w nadprzestrzeń – dodała Mara. – W obydwu przypadkach najpierw robili, co mogli, żeby zniknąć z pola widzenia i natychmiast skakali. Mogą być przekonani, że to wystarczające zabezpieczenie.

– W każdym razie od jakiegoś miejsca musimy zacząć, spróbujmy więc od tego – ocenił z dziwną niechęcią Karrde.

Niechęć tę Mara albo wyczuła, albo usłyszała, ponieważ spytała:

– Czyli co: mamy nie szukać? Przekażemy całą sprawę Nowej Republice i niech robią z tym, co chcą.

– Corran? – spytał niepewnie Booster.

– Mogę o wszystkim zameldować Bel Iblisowi – Corran wciąż spoglądał w okna. – Ale prawdę mówiąc, wątpię, żeby był w stanie cokolwiek zrobić, a zwłaszcza zrobić szybko. Ten cały problem z zamieszkami wszystkim skutecznie skomplikował życie.

Karrde przytaknął, czując, jak instynktowna niechęć pogłębia się w nim z sekundy na sekundę – był skłonny zgodzić się z Boosterelem, że wyglądało to na za łatwe, a więc wskazywało jeśli nie na pułapkę, to co najmniej na fałszywy ślad i stratę czasu. Ale z drugiej strony jeżeli nie...

– Nie, lepiej sprawdzić – zdecydował z westchnieniem. – Faughn, przekaz swój rozkład jazdy Chinowi, zanim wejdziecie w nadprzestrzeń i lećcie do tego systemu. Zadania „Starry Ice” rozłożymy na inne statki.

– Dobra – odezwała się Mara. – A po powrocie mamy cię szukać w jakimś konkretnym miejscu?

– Skontaktujcie się z siecią, znajdą mnie i zobaczymy. I uważajcie na siebie.

– Nie martw się – zapewniła go ponuro. – Jeśli chcą się pobawić, będą żałować, że wybrali nas. Do zobaczenia.

Karrde wyłączył komling i powiedział:

– Powodzenia.

– Nie martw się, nic im nie będzie – Booster wyjął mu urządzenie z dłoni i przypiął sobie do pasa. – Obie są bystre, mają dobry statek i niezłą siłę ognia. Lepszą niż ja obecnie, co mi przypomniało o pewnym drobiazgu: Bodwae, co do nagłej i niespodziewanej kupy mudhae porobiło się z naszymi tarczami?!

I pomaszerował w stronę stanowiska, z którego po powtórnym pytaniu dobiegła litania zawodzących tłumaczy. Korzystając z okazji i zagłuszenia, Karrde podszedł do Horna i spytał cicho:

– Co dziwnego wyczułeś, gdy ten obcy nas mijał?

Corran spojrział na niego krzywo i spytał niechętnie:

– O co ci chodzi?

– Pytam, czy to, co wyczułeś, było podobne do wrażeń, jakie ma Luke w pobliżu klonów – uściślił Karrde. – Do tego zakłócenia w Mocy, które powodują, jak on to określa.

Przez długą chwilę na mostku słychać było jedynie trójstronną kłótnię między Boosterem a jego podkomendnymi, gdyż stronę Bodwae wziął Shish.

– Nie wiem, co Luke czuje w pobliżu klonów – odezwał się w końcu ledwie słyszalnym głosem Corran. – Takich wrażeń trzeba doznać, bo opowiedzieć się ich nie da. Ja czułem po prostu obecność czegoś naprawdę obcego, czegoś, czego nie czułem nigdy dotąd.

– Rozumiem – mruknął równie cicho Karrde.

– Pozostała jeszcze jedna kwestia – Corran odwrócił się ku niemu, mówiąc nieco głośniejszym i tonem pośrednim między groźbą a wyzwaniem. – Mój... talent nie jest szeroko znany, Karrde.

– Wiem – odparł spokojnie Talon. – I uważam, że rozsądnie postępujesz, utrzymując ten stan rzeczy.

– Też tak myślę. Problem polega na tym, że zajmujesz się między innymi sprzedawaniem informacji.

– Ale przede wszystkim przetrwaniem, a to jest duża i niebezpieczna galaktyka. Człowiek nigdy nie wie, kiedy może mu się przydać pomocna dłoń – Karrde uśmiechnął się leciutko. – Poza tym nie wszystkie informacje są na sprzedaż, a gdybyś mi nie wierzył, powinno cię przekonać, że zawsze byłem zwolennikiem asów w rękawach, o których nie wie przeciwnik lub potencjalny przeciwnik. Jak dotąd, nie zdarzyło mi się uważać za takiego Nowej Republiki.

Corran lekko zmarszczył brwi:

– A więc tak to działa? – mruknął. – Ty trzymasz gębę na kłódkę, a ja jestem ci coś winien?

Talon spojrział ku rufowej części mostka, gdzie zza rogu wyłoniła się Mirax prowadząca za rękę Valina, który robił, co mógł, żeby już natychmiast gnać do taty.

– Tak, jesteś mi coś winien, ale możesz być pewien, że będzie to coś bezpiecznego: to z kolei ja jestem winien Mirax – przyznał Talon i dodał po zastanowieniu. – Jedyne wyjątkiem może stanowić sytuacja, w której byłaby to sprawa życia i śmierci.

– Cholernie precyzyjne określenie – parsknął Horn.

– Już ci mówiłem: to duża i niebezpieczna galaktyka.

ROZDZIAŁ

12

Zachodnia ściana Kompleksu Rozrywkowego Resinem była brudna, pokryta kryształkami soli, wypłowiała i poznaczona śladami eksplozji, która przed piętnastu laty zmieniła konkurencyjną szulernię w pięćdziesięciometrowe zagłębienie w gruncie. Z przeciwległej strony krateru ściana podobno wyglądała nader efektywnie, z abstrakcyjnym wzorkiem wybitym przez odłamki, zwłaszcza gdy oświetlały ją promienie zachodzącego nad Borcorash słońca.

Zachód dawno minął, a Shada dotarła zaledwie do trzech czwartych wysokości muru i bynajmniej nie uważała, że jest ładny. Starannie umieszczając w kolejnych pęknięciach haki przymocowane do przedramion, miała okazję przyjrzeć się uważnie ścianie i oceniła ją jedynie jako bardzo brudną. Po raz kolejny potwierdziło się, że jako członek gangu przemytniczego oglądała galaktykę z pozycji nieosiągalnej dla turystów. Co w niczym nie poprawiło jej humoru. Podobnie jak świadomość, że jest tu z konieczności, a nie dla przyjemności.

Konieczność była prosta: za kilka minut Mazzic i Griv zostaną doprowadzeni do prywatnego biura Resinema, mieszczącego się na najwyższym piętrze budowli, na spotkanie z pewnym wygadanym Kubazem reprezentującym huttyjski kartel przestępczy. Griv miał ze sobą kasetę pełną ryllu, Kubaz zaś ponoć dysponował podobnej wielkości kasetą wypełnioną sormahilskimi, ognistymi kamieniami. Teoretycznie spotkanie powinno się zakończyć obustronnie korzystną wymianą.

By ta teoria stała się praktyką, konieczna była jej obecność na dachu.

Gdzieś w oddali z prawej jakiś airspeeder zatoczył łuk, podchodząc do lądowania, i przez moment oświetlił lekko ścianę, po której się wspinała. Wywołał przy okazji kolejną falę przygnębienia – Shada od dwunastu lat nie była na Emberlene, od chwili gdy Mazzic wynajął ją na osobistą ochronę nie widziała domu, ale brud i zniszczenie pamiętała doskonale. Pamiętała dorastanie wśród ruin niegdyś wspaniałych miast, miała przed oczami śmierć bliskich w wyniku chorób, niedożywienia, przemocy czy bezradności. Pamiętała ciągły głód: polowania na robactwo, którym uzupełniała skromne dostawy żywności, jakie docierały do miast z tego, co pozostało z niegdyś rozległych obszarów rolniczych planety.

A potem dostawy, które zaczęły przybywać spoza planety, i to nie dzięki wspaniałomyślności kogokolwiek, lecz opłacone potem i krwią Mistryl.

Oddziały Mistryl były najlepszym, co ocalało z emberleńskiego społeczeństwa; osobiście mianowało je Jedenastu Starszych i Shada od najmłodszych lat chciała zostać jedną z nich. Mistryl przemierzały galaktykę, wynajmując się jako ochrona czy najemni wojownicy słabym i wykorzystywanym jednostkom i społecznościom. A uzyskane w ten sposób pieniądze pozwalały przeżyć pozostałym na zdevastowanej planecie. Były doskonale wyszkolonymi wojowniczkami z planety, o której mało kto wiedział, a jeszcze mniej się o nią troszczył. Nie tak jak o Caamas. Trudno się więc dziwić, że całe to zamieszanie, jakie ostatnio ponownie wywołało zniszczenie Caamas, irytowało ją równo i dokładnie. Emberlene została zniszczona zbyt dawno temu, by nawet jej mieszkańcy nadal podchodzili do tego emocjonalnie. Kiedy to się stało, galaktyka nie wykazała żadnego zainteresowania czy współczucia, nie należało więc oczekiwać, że zrobi to teraz. Było to niesprawiedliwe, fakt, ale nikt nigdy nie twierdził, że galaktyka jest sprawiedliwym miejscem.

Z góry i z lewej rozległo się ciche, pytające ćwierknięcie, zniechęcała więc, uważnie spoglądając w mrok nad głową. Po paru sekundach dostrzegła parę połyskujących, osadzonych blisko siebie paciorków przyglądających się jej z cienia. Musiało tam być gniazdo jakiegoś ptaka, zapewne często występującego w tych rejonach Borcorash blufferiavana, całkowicie zresztą niegroźnego, ale na ostrożności jeszcze nikt nie stracił, toteż zachowując ją, podciągnęła się i sprawdziła.

To rzeczywiście był blufferiawan ukryty w gnieździe zbudowanym w wyjątkowo przestronnym zagłębieniu. Skoro zaś nie odleciał, musiał wysiadywać jaja.

– Nie bój się, nie jestem głodna – szepnęła, uśmiechając się lekko: kiedyś specjalizowała się w łapaniu podobnych ptaków, smakowały znacznie lepiej niż padlinożerne owady, od których roilo się w ruinach miast...

Skrzywiła się, zła na samą siebie, i skoncentrowała się na wspinacze, przenosząc ciężar ciała na prawą rękę, a lewą odczepiając z upręży kotwiczkę. Instruktorzy w obozie Mistryl z pewnością skrytykowałiby ją za używanie linki asekuracyjnej, przypomnieliby, że kotwiczki zabierają cenny czas, a prawdziwa Mistryl nie ma prawa odpaść od ściany. Ale teraz nie była na obozie, nie wspinała się od wielu lat, a cały pośpiech na nic by się jej nie przydał, gdyby spadła.

Choć z drugiej strony musiała przyznać, że jeśli podejrzenia Mazzica były uzasadnione, to zbyt późne dotarcie na dach da taki sam efekt, jak gdyby nie dotarła tam w ogóle.

W ciągu paru sekund wspięła się na górę i już sięgała dłonią ku szczytowi muru, gdy usłyszała cichutki dźwięk i zamarła.

Dźwięk nie powtórzył się, więc powoli odczepiła kolejną kotwiczkę i zaczęła ją tak daleko w lewo, jak zdołała sięgnąć, mając nadzieję, że cichy syk towarzyszący zespalaniam się ze ścianą nie zostanie usłyszany przez czekającego na dachu. Gdy syk ucichł, zablokowała przesuw linki w upręży – w ten sposób, jeśli zostanie ostrzelana podczas próby wysunięcia głowy nad mur, opadnie ruchem wahadła i znajdzie się dobre półtora metra z boku, kiedy spróbuje ponownie. Nie było to zbyt wiele, ale w strzelaniu mogło się okazać decydujące. Wyciągnęła miotacz z kabury, odbezpieczyła...

– Witaj, Shada – rozległo się bezpośrednio nad jej głową.

Spojrzała w górę – na krawędzi dachu stała postać otulona w płaszcz z kapturem, ale nawet w tych warunkach widoczny był wystarczający fragment twarzy, by ją rozpoznała.

– Karoly? – spytała cicho na wszelki wypadek.

– Miło, że pamiętasz mimo tylu lat – odparła Karoly D’ulin. – Połóż broń na dachu i wejdź.

Shada posłusznie położyła miotacz obok jej stóp, zwolniła przesuw linki i wspięła się na dach. Stała i rozejrzała się, usiłując nie zrobić tego zbyt ostentacyjnie – tu dach był płaski, ale

już o kilka metrów dalej wznosił się pod ostrym kątem na wysokość około dwóch metrów, po czym ponownie przechodził w płaską powierzchnię, od której odcinały się nieco wzniesione, długie i jasno oświetlone od dołu okna. To właśnie był jej cel – pod nim znajdowało się pomieszczenie, w którym miano dokonać wymiany.

– Jesteś chyba ostatnią osobą, którą spodziewałam się tu zastać – przyznała, przenosząc wzrok na Karoly.

– Ja myślę – Karoly podniosła miotacz i schowała go gdzieś w wewnętrznej kieszeni płaszcza. – Haki do wspinaczki też zdejmij: zejdziemy normalnymi schodami, więc nie będą ci potrzebne. Połóż je na dachu, jeśli łaska.

– Oczywiście – Shada odczepiła haki z przedramion i położyła na dachu: niespecjalnie mogły służyć jako broń, ale Karoly najwyraźniej wołała nie ryzykować.

– Zadowolona? – spytała, wstając z przykłęku po zdjęciu haków ze stóp.

– Zachowujesz się, jakbyśmy były wrogami – Karoly wydeła wargi. – Nie jesteście.

– Miło wiedzieć – mruknęła Shada, przyglądając się jej uważnie. Od ostatniego spotkania na Tatoonie, gdy udało im się zdobyć imperialny prototyp superlasera zwanego Hammertong, minęło prawie dwadzieścia lat.

Karoly była wówczas młoda, niedoświadczona i stosunkowo łatwo traciła głowę. Wspomnienia niezbyt pasowały do rzeczywistości – stojąca przed nią kobieta nabrała doświadczenia i pewności siebie, które emanowały zarówno z jej głosu, jak i ruchów.

– Skąd wiedziałaś, że będę próbowała z tej strony?

– Nie wiedziałam – Karoly wrzuciła ramionami. – Obserwaliśmy wszystkie możliwe drogi na dach. Ja wybrałam tę, bo wydawało mi się, że zauważyłam cię po drugiej stronie krateru. Ta niebieska kiecka jest dość charakterystyczna, choć przyznaję, że znacznie lepiej pasuje ci do fryzury niż kombinezon i uprząż. Te takie, co ci trzymają włosy na miejscu, to co?

– Spinki pokryte laką, nazywają się igły zenji – wyjaśniła Shada. – Mazzic lubi, kiedy wyglądam dekoracyjnie, jak to określa.

– Całkiem użyteczny kamuflaż dla osobistego ochroniarza – przyznała Karoly. – A skoro o kamuflażu mowa: któraś jest zamaskowanym komlingiem albo sygnalizatorem; bądź tak miła, wyjmij ją i rzuć na dach.

– Sporo się nauczyłaś – skrzywiła się Shada, ale wykonała polecenie i spinka zza prawego ucha wyładowała na stercie haków. – To miłe, że nie jesteście wrogami. A kim są ci „my”, o których wspomniałaś?

– Mam ze sobą klienta – Karoly skinęła głową w stronę podwyższonej części dachu. – Jest gdzieś tam.

– I co zamierza zrobić? – Shada знаła odpowiedź: czaił się ze snajperskim blasterem gdzieś w pobliżu okna.

– Nic, co by cię obchodziło. Od tej chwili skończyło się twoje zatrudnienie.

– O czym ty gadasz?! Jestem z Mazzikiem ponad dwanaście lat: nie kończy się tak długiej współpracy ot tak sobie, na gwizdnięcie.

– Kończy się, kiedy się dostaje rozkaz, a ty właśnie dostałaś. Stało się jasne, że Mazzic nie zdoła zorganizować grupy działającej w całej galaktyce, a taką miano nadzieję, przydzielając cię do jego organizacji. Skoro nawet sojusz przemytniczy zorganizowany przez Karrde’a właściwie przestał istnieć, Starsi zdecydowali, że się tu marnujesz i że czas przenieść cię gdzieś, gdzie się bardziej przydasz.

– Ich prawo – Shada odsunęła się o dwa kroki wzdłuż krawędzi dachu, próbując zlokalizować snajpera. – Powiem Mazzicowi, jak go tylko zobaczę, że rezygnuję. Rano możemy ruszać.

– Przykro mi, ale ruszamy zaraz.

Shada spojrzała na nią ze zdumieniem, równocześnie oceniając dzielącą je odległość – jakieś trzy metry, czyli akurat w sam raz.

– Dlaczego? Dlatego że twój klient chce go zamordować?

Widać było, że Karoly się skrzywiła, ale odparła spokojnie:

– Sugeruję, żebyś sobie przypomniała, kim jesteśmy. Mistrzyl wypełniają rozkazy.

– Kiedy ja zostałam Mistrzyl, liczyły się honor i obowiązek, nie tylko rozkazy. A ja nadal jestem osobistą ochroną Mazzica.

– Honor?! – parsknęła Karoly. – Najwyraźniej dawno się z nikim nie kontaktowałaś.

– Nie. Ale zawsze wierzyłam, że jako Mistrzyl stoję choćby o stopień wyżej niż zwykli najemnicy czy płatni zabójcy. Przepraszam za naiwność.

– Robimy wszystko, co niezbędne, żeby nasi przeżyli – warknęła Karoly. – Jeśli jakiś ośliszły Hutt chce wykończyć innego przemysłowca, to nie nasz problem.

– Poprawka: to nie twój problem, bo mój jak najbardziej. Teraz muszę dokończyć robotę, a ty masz dwa wyjścia: albo zejdziesz mi z drogi, albo spotka cię przykrość – Shada zablokowała przesuw liny.

Dłoń Karoly drgnęła i nagle znalazł się w niej niewielki blaster.

– Stój i odsuń dłonie od ciała – poleciła. – Puste.

Shada opuściła ręce, rozsuwając palce, by pokazać, że nic nimi nie trzyma.

– Musisz mnie zabić, żeby powstrzymać – ostrzegła.

– Mam nadzieję, że nie muszę. Odwróć się.

Shada posłusznie odwróciła się o dziewięćdziesiąt stopni i dała krok do tyłu, dzięki czemu spadła z dachu. Spodziewała się podświadomie, że Karoly odruchowo strzeli, ale nic takiego nie nastąpiło – tamta albo była zbyt zaskoczona, albo też zbyt dobrze nad sobą panowała. Na spekulacje, co było bardziej prawdopodobne, brakowało czasu – linka napięła się z szarpnięciem i Shada zaczęła zataczać łuk, zaczepiona o ostatnią, umieszczoną na murze kotwiczkę. Miała ze dwie sekundy, zanim zacznie unosić się ku krawędzi dachu, na którym czekała Karoly, tym razem gotowa do strzału. I ani sekundy więcej na znalezienie sposobu, jak ją pokonać...

Zaskoczony blufferavin nie zdążył nawet pisnąć, gdy został porwany z gniazda wraz z jednym jajkiem. Trzymając ptaka w jednej, a jajko w drugiej dłoni, Shada zaczęła drogę ku górze. I stwierdziła, że dwusekundowa przerwa dobiegła końca – na krawędzi dachu pojawiła się Karoly biegnąca ku miejscu, w którym ona zniknęła, i przeszukująca wzrokiem ścianę budynku. W ślad za wzrokiem podążała lufa blastera. Dostrzegła Shadę i przez moment próbowała równocześnie wycelować i zatrzymać się...

Shada – najsilniej jak potrafiła – cisnęła ptaka, celując w jej twarz.

Karoly nie miała czasu na myślenie – nie miała go nawet na ocenę sytuacji, gdy nagle ujrzała przed sobą wściekle machające skrzydłami coś, co głośno skrzeczało i gorączkowo próbowało odzyskać właściwości lotne. Zadziały odruchy wbite w pamięć podczas szkolenia – odskoczyła, wycelowała i strzeliła.

Wyładowanie trafiło ptaka prosto w pierś, zmieniając go w kłębowisko płonących piór szczątków i dymu. Karoly kucnęła, odwracając twarz od ognistej kuli, i dostała jajkiem dokładnie w nasadę nosa. Nim zdołała odruchowo wytrzeć oczy, Shada zwołniła przesuw liny i wyładowała na dachu, okrążając ją o parę metrów,

by nie znaleźć się na linii ognia dziko miotającego się blastera, i skoczyła do zwarcia.

Spotkały się w momencie, w którym Karoly zdołała oczyścić oczy – Shada wykopała jej broń z ręki, mierząc tak, by blaster zniknął poza krawędzią dachu, co jej się w pełni udało.

– Shassa! – zakłęła Karoly, odskakując w prawo i wyciągając skądś nóż. – Shada...

– Wykonuję swój obowiązek – przerwała jej Shada ustępując prawo. – Nadal możesz mi zejść z drogi.

Karoly zmęła przekleństwo i skoczyła ku niej. Kolejny unik Shady był także w prawo, potem udała atak: uskok o krok i zmianę kierunku w stronę okna, co Karoly przewidziała – długim susem znalazła się między nią a celem. Shada odskoczyła niebezpiecznie blisko krawędzi i spróbowała obejść przeciwniczkę od lewej. Karoly okręciła się na pięcie, trzymając nóż w pogotowiu.

– Nie zmuszaj mnie! – ostrzegła ponuro, ale w jej głosie słychać było też cień groźby.

– Dobra, nie będę cię zmuszać – zgodziła się Shada, blokując przesuw linki i odskakując wzdłuż krawędzi dachu.

Linka, którą starannie oplotła nie zdającą sobie z tego sprawy przeciwniczkę, napięła się, łapiąc ją tuż ponad cholewkami wysokich butów i Karoly wściekle, lecz bezużytecznie machając nożem runęła na dach. Wyładowała na plecach z głośnym łupnięciem, a w następnej sekundzie Shada znalazła się przy niej, przydeptując rękę trzymającą nóż i uderzając wyprostowanymi palcami tuż poniżej żeber. Karoly jęknęła i zwinęła się w kłębek. Odsłoniła przy tym głowę i następny cios – tym razem kantem dłoni – trafił ją za uchem. Rozluźniła się i znieruchomiała.

Shada odetchnęła z ulgą, sięgnęła po jej nóż i odcięła linkę tuż przy uprząży, zanim sama się w nią wplątała. Walka była krótka i raczej cicha, ale snajper miał prawo ją usłyszeć i mógł mieć ochotę sprawdzić, czym się skończyła: najlepiej byłoby go spotkać gdzieś tak w pół drogi.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch i rzuciła się w bok, padając płasko na dach. Wyładowanie z karabinu blasterowego przemknęło w miejscu, w którym przed chwilą stała. Po odtoczeniu się kawałek znieruchomiała w przykłęku i omiotła wzrokiem dach. Snajper nie był trudny do znalezienia – leżał co prawda, lecz zdradzał go kaptur i poruszająca się w ślad za nim lufa broni. Shada uśmiechnęła się i wprawnym ruchem cisnęła nóż Karoly.

Przeciwnik odtoczył się, błyskawicznie kryjąc głowę w ramionach i siejąc wokół ogniem z karabinu przełęczzonego na autośledzenie celu. Był to stary numer łowców nagród, który tym razem obrócił się przeciw niemu – nóż nie miał trafić w strzelca, tylko ściągnąć na siebie jego strzały, i tak też się stało: w odległości jakiegось metra od wylotu lufy został dosłownie rozstrzelany kolejnym wyładowaniem, zmieniając się w niewielką kulę ognia. I skutecznie na najbliższe sekundy oslepiając strzelającego.

A tego właśnie potrzebowała Shada – w dwóch długich susach przeskoczyła nad strzelającym na oślep blasterem, sięgając po ozdobną spinkę. Gdy jej stopy dotknęły ponownie dachu, kunsztowna fryzura rozsypała się, a igła zenji pomknęła do celu.

Nagle zapanowała cisza.

Shada dopadła nieruchomej postaci, wyszarpnęła z martwych rąk broń i rzuciła się w stronę okna – jeśli był tu trzeci napastnik, nadal wszystko mogło się nie udać. Wyhamowała przy podwyższeniu, przykucnęła i ostrożnie spojrzała w dół. Znajdowało się tam wysokie pomieszczenie, a bezpośrednio pod nią – może o trzy metry – rzeźbiony stół. Po jednej jego stronie stali Mazzic i Griv, po drugiej Kubaz i ponuro wyglądający mężczyzna. Kasety już wymieniono i właśnie sprawdzano zawartość – Kubaz jedynie spojrzał, zatrzaskał wieko i odstał od stołu, najwyraźniej na coś czekając. Mazzic jeszcze z minutę zapoznawał się z zawartością, zanim zadowolony zamknął kasetę. Skinął uprzejmie głową Kubazowi i zrobił krok do tyłu, mówiąc coś, czego na górze nie dało się usłyszeć. Kubaz nie poruszył się, ale gdy Mazzic i Griv zrobili jeszcze krok, jego oczekiwanie zaczęło się przeradzać w niemile zaskoczenie. Poruszył krótką trąbą niezdecydowany – z jednej strony chciał spojrzeć w górę, z drugiej wolałby nie zdradzać niespodzianki, na którą czekał.

Shada uśmiechnęła się złośliwie – jeśli chodziło o niespodziankę, to mogła mu ją załatwić. Wycelowała w nasadę trąby i zastukała lekko lufą w okno.

Wszyscy unieśli głowy.

Wyraz twarzy Kubaza był trudny do odczytania, za to jego towarzysza aż nadto wymowny – szczęka mu opadła i sięgnął po broń, Shada zmieniła zatem cel na jego czoło. Powoli i ostrożnie uniósł pustą dłoń na wysokość piersi i zamarł. Kątem oka dostrzegła pełen uznania salut Mazzica, po czym obaj z Grivem wyszli, zabierając kasetę.

Przez kolejne trzydzieści sekund nie poruszyła się, trzymając gospodarzy pod lufą, następnie posłała im odpowiednie pożegnanie wizualne i wycofała się.

– Już po wszystkim? – dobiegło ją z tyłu.

Karoly z nieodgadnioną miną stała nad martwym snajperem.

– Po wszystkim – zgodziła się Shada. – Twój klient jednak zdecydował się dobić targu.

– Starsi nie będą zachwyceni – oceniła Karoly, spoglądając na trupa.

– Jestem przyzwyczajona do niezadowolonych ze mnie ludzi – Shada odłożyła snajperkę. – Dam sobie radę.

– Tym razem to nie są żarty, Shada: nie wykonałaś rozkazu. Zostaniesz z Mazzikiem i zanim minie tydzień, będziesz miała na karku grupę likwidacyjną.

– Nie zostaję z nim. Jak już powiedziałam, rano dostanie moja rezygnację.

– I myślisz, że to załatwi sprawę z Jedenastoma?

– Kiedyś by załatwiło, ale po tym, co dziś usłyszałam, zależy od tego, czy ktokolwiek z nich jeszcze pamięta, kim jesteśmy – odparła ze smutkiem Shada: smutkiem, który wzbierał w niej od długiego czasu. – Mistryl, do których wstąpiłam dwadzieścia dwa lata temu, stanowiły klan honorowych wojowniczek walczących o ocalenie tego, co zostało z naszego społeczeństwa. Ludzie działający z honorem nie porzucają pracy, nie informując o tym pracodawcy i nie zajmują się zleconymi morderstwami. Mam nadzieję, że choć kilku spośród Jedenastu jeszcze o tym dobrze pamięta.

– Możesz się niemile rozczarować. Wiele się zmieniło przez te lata... nie wiem, kto bardziej: Starsi czy Mistryl.

– Możliwe. Ale ja się nie zmieniłam. Ty zresztą też nie.

– Tak? – zdziwiła się Karoly. – A można wiedzieć, skąd ci to przyszło do głowy?

– Stąd, że gdy ci wykopałam z ręki blaster, sięgnęłaś po nóż.

– I wyciągnięcie noża przekonało cię, że jestem po twojej stronie?!

– Owszem, bo nadal miałas mój miotacz.

– Fakt – Karoly odruchowo pomacała się po boku. – Sądzę, że chciałybyś go z powrotem?

– Jeśli nadal będziesz go miała, gdy wrócisz na Emberlene, trudniej ci będzie wyjaśnić, co tu zaszło.

– Racja – Karoly wyciągnęła broń i płaskim łukiem rzuciła ją wprost w oczekującą dłoń Shady. – A skoro już mowa o Emberlene, to na twoim miejscu trzymałabym się od niej z daleka. I od jakiegokolwiek Mistrzył również, przez co najmniej dziesięć lat. Jeśli zdołasz je przeżyć.

– Aż tyle nie będę musiała się ukrywać – Shada wsunęła broń do kabury. – Wygląda na to, że cała galaktyka zacznie wrzeć wokół tych rewelacji o Caamasi. Starsi będą wkrótce mieli znacznie poważniejsze zmartwienia.

– Caamas – splunęła pogardliwie Karoly. – Caamas i Alderaan, a nawet to zadupie Honoghr. Niedobrze mi się robi, jak o nich słyszę!

– Złość ci nie pomoże – zauważyła Shada.

– Więc co mi pomoże? Złość chociaż dowodzi, że nie jest się martwym.

– Jeśli to ci wystarczy...

– Ty, jak sądzę, znalazłaś lepsze rozwiązanie?

– Nie wiem, być może tak. To prostokątne na dachu, to wyjście?

– Jedno z wyjść. Jeśli naturalnie nie robi ci różnicy, że po drodze możesz się natknąć na Kubaza albo jego kumpla.

– Zrobią mi przejście – Shada uśmiechnęła się zimno.

– Jestem tego pewna – Karoly uśmiechnęła się nieco wbrew sobie. – Zrozum jedno, Shado: to co zrobiłam, zrobiłam z... no, powody są dość skomplikowane. Natomiast jeśli Starsi wyślą mnie za tobą ponownie...

– Rozumiem. Postaram się nie stawiać cię w podobnej sytuacji.

– O mnie to ty się nie martw! Uważaj na siebie. – Karoly przyjrzała się jej poważnie. – Wiesz, co chcesz ze sobą zrobić?

– Prawdę mówiąc, mam pewien pomysł – odparła Shada, spoglądając w niebo pełne gwiazd.

– Proszę się nie ruszać – polecił miłym barytonem droid medyczny Emdee, precyzyjnie operując końcówką odsysającą w uchu Luke'a. – To już naprawdę ostatni raz.

– Cieszę się – Luke wziął głęboki oddech i skupił się na dalszym trenowaniu cierpliwości. Trwało to już od pół godziny.

Przedmiot, którym Emdee obracał w jego uchu, wywoływał wrażenie pośrednie między swędzeniem a łaskotaniem i zmuszał

do podrapania się. W końcu jednak droid cofnął się, a końcówka z cichym młasknięciem wyskoczyła na zewnątrz.

– Dziękuję szanownemu panu – Emdee umieścił końcówkę w zacisku pojemnika z odessaną z różnych zakamarków pacjenta bactą. – I jeszcze raz przepraszam za niedogodność i stratę czasu.

– Nie ma o czym mówić – Luke zsunął się ze stołu i energicznie podrapał się w prawym uchu. – Łatwo powiedzieć, że już nigdy nie zabraknie bacty, ale trudniej w to uwierzyć, jeśli się pamięta, jak to wyglądało przed dwunastu laty.

– Byłem tu podczas tej wojny – przyznał ponuro Emdee. – Nie mogliśmy sobie pozwolić na czarnorynkową bactę, nawet gdyby można ją było kupić w tych okolicach. Widziałem śmierć wielu istnień, które dałoby się uratować.

Luke skinął głową i zaczął się ubierać – w efekcie Wojny o Bactę w wielu placówkach medycznych, zwłaszcza tych położonych z dala od centrum, przyjęto zasadę niemarnowania ani kropli tej substancji, nawet jeśli oznaczało to odsysanie jej z uszu pacjenta.

– Przyznaję, że końcówka nie była miła – dodał, kończąc się ubierać. – Ale zdecydowanie mniej miłe byłoby zjawienie się tu i stwierdzenie, że nie macie wystarczającej ilości bacty, żeby mnie wyleczyć.

– Może to po prostu siła przyzwyczajenia – zastanowił się droid. – Wielokrotnie mi jednak powtarzano, że mądrze jest pamiętać przeszłość.

– Bo to prawda. A jeszcze mądrzej jest uczyć się na popełnionych poprzednio błędach – przyznał Luke i wyszedł do wskazanego przez Emdee pokoju.

Czekał tu Artoo, podłączony do głównego komputera kompleksu medycznego i poćwierkujący sobie z cicha. Gdy Luke stanął w drzwiach, astromech obrócił lśniąca kopułę i zagwizdał radośnie.

– Cześć, Artoo – powitał go Luke. – Gawędzisz sobie z komputerem medycznym?

Artoo najpierw ćwierknął potwierdzająco, a potem dodał coś pytająco.

– Jestem zupełnie zdrow – zapewnił go Luke. – Niektóre odłamki tkwiły dość głęboko, ale wyciągnęli wszystkie. Potem wykapałem się w zbiorniku z bactą i jestem jak nowy. Podobno jeszcze przez godzinę nie powinienem siadać za sterami, jednak pewnie tyle czasu zajmie przygotowanie i wytoczenie myśliwca.

Artoo gwizdnął, obracając kopułę o trzysta sześćdziesiąt stopni.

– Widzę, że ciebie też naprawili. Poprosiłeś, żeby sprawdzili myśliwiec?

Rozległo się potwierdzające bipnięcie.

– W takim razie pozostaje tylko zastanowić się, gdzie polecimy teraz.

Artoo obrócił kopułę do normalnego położenia i pisnął podejrzliwie.

– Nie jesteśmy tu na wakacjach – przypomniał mu Luke, siadając tak, by widzieć wbudowany w stół ekran, na którym mógł odczytać wypowiedzi droida. – Musimy się dowiedzieć, skąd się biorą te klony, a nie dokonamy tego, wracając na Yavina czy Coruscant.

Spojrzał przez okno na wzgórze porośnięte złotaworudą trawą odbijającą promienie zachodzącego słońca. Patrząc na nie, Luke musiał przyznać, że choć zadanie wydawało się proste, to jego realizacja wyglądała wręcz przeciwnie – próba skrytej infiltracji bazy skończyła się kolejną kąpielą w zbiorniku z bactą. No i spotkaniem z Marą.

Wprawdzie spodziewał się, że się na nią natknie, już od momentu, gdy razem z Hanem zapobiegli temu pirackiemu atakowi w pobliżu Iphiginu i, prawdę mówiąc, nie był pewien, czy Han nie miał czegoś wspólnego z pojawieniem się Mary w systemie Kauron, ale nie cieszył się na myśl o kolejnym spotkaniu. Oceniając je jednak z pewnej perspektywy, musiał przyznać, że przebiegło znacznie lepiej, niż oczekiwał – Mara okazała się bardziej uprzejma i skłonna do współpracy niż dawniej, a co ważniejsze, nie wyczuwał w niej niechęci, która zawsze, a zwłaszcza ostatnio, towarzyszyła ich spotkaniom. Co prawda istniała możliwość, że tej niechęci nie odebrał z powodu świadomego ograniczenia wykorzystania Mocy, jakie sobie narzucił.

Nie ulegało wątpliwości, że coś się działo, i to niedobrego, tylko nie bardzo mógł odkryć, co jest przyczyną, a co skutkiem. Z dalszych rozmyślań wyrwało go pytające ćwierknięcie Artoo.

– Właśnie próbuję się zastanowić. Odpręż się i poczekaj, dobrze?

Droid bipnął i zamilkł wyczekująco.

Luke westchnął i ponownie przeniósł wzrok na wzgórze. Tak, Mara była swoistą zagadką, ale teraz musiała poczekać – chwilo-

wo najważniejsza pozostawała kwestia klonów. Przypomniało mu się pierwsze spotkanie z Yodą. Po raz pierwszy miał wtedy okazję zerknąć w przyszłość. Zerknięcie skończyło się szaleńczym lotem do Chmurnego Miasta, gdzie próbując uratować Hana i Leię omal nie spowodował śmierci zarówno ich, jak i swojej.

Od tego czasu wiele się nauczył i był w stanie wywołać wizje przyszłości nie kończące się kolejnymi nie przemyślanymi działaniami. Wprawdzie ostatnie próby były dziwnie mało odkrywcze, ale skoro przez godzinę miał odpoczywać, co mu szkodziło spróbować...

– Artoo, pomedytuję sobie przez jakiś czas – poinformował droida, przesiadając się na podłogę i krzyżując nogi. – Dopilnuj, żeby mi nikt nie przeszkadzał, dobrze?

Droid ówierknął potwierdzająco, zatem Luke wziął głęboki oddech, zamknął oczy i sięgnął po Moc. Myśli, uczucia i cała osobowość odsunęły się... i nagle wszechświat eksplodował wielobarwnym kalejdoskopem ruchu i barw.

Westchnął zaskoczony i obraz zafalował niczym fatamorgana na skutek jego braku koncentracji. Natychmiast to skorygował i wszystko wróciło do normy. A raczej do stanu nienormalności, bowiem tak wyraźnej wizji, obejmującej równocześnie setkę różnych scen z tysiącem rozmaitych możliwości, nigdy dotąd nie miał. Kolory, wyrazistość obrazu, dźwięki i uczucia mieszały się ze sobą niczym w burzy piaskowej szalejącej na Tatooine. Linie prawdopodobnych rozwojów wydarzeń oplatały się wzajemnie lub zdezystały w różnych miejscach, czasami łącząc się, a czasami gasnąc w wyniku takiego spotkania. Znajome i obce twarze, wydarzenia przewidywalne i nie, przemykały w tempie uniemożliwiającym koncentrację. Tu Wedge Antilles prowadził Eskadrę Rogue do bitwy, tam adepci Jedi opuszczali Yavin, rozlatując się po całej Nowej Republice, gdzie indziej on sam stał na balkonie i spoglądał na skalną ścianę, do której przyczepiony był balkon, a w dole pobłyskiwały tysiące światła, w jeszcze zaś innym miejscu Han i Leia mieli przeciwko sobie spory tłum...

Z wysiłkiem złapał ten ostatni obraz, próbując dostrzec coś więcej, i przez moment mu się udało. Leia stała w szerokim korytarzu z mieczem świetlnym w dłoniach, a przez wysokie odrzwia wlewał się tłum. Han znajdował się na balkonie, trzymając w dłoni miotacz patrzył na kłębiący się w dole tłum nieświadom, iż staje się celem ukrytego na pobliskim dachu snajpera...

I nagle wszystko zniknęło, zmieniając się w wirujący kłęb obrazów i dźwięków, z których Luke bezskutecznie próbował wyłapać coś konkretnego. Po chwili gdzieś z zewnątrz nadeszła świadomość, że to już wszystko i najwyższy czas wracać do własnego ciała i świadomości, więc powoli zaczął się wycofywać, nadal jednak obserwując blaknące i rzędzące obrazy.

I wtedy pojawiła się ostatnia, niezwykle wyraźna wizja – Mara unosząca się bezwładnie w nieruchomej wodzie otoczonej poszarpanymi skałami. Nim zdążył spróbować cokolwiek zrobić, obraz zniknął. A on sam stwierdził, że siedzi w szpitalnym pokoju i gapi się na widoczne za oknem wzgórze. Tyle że teraz były one ciemne, podobnie jak niebo, na którym lśniły gwiazdy.

– No, proszę – mruknął, przecierając oczy: mógłby przysiąc, że wizja trwała ledwie parę minut.

Z boku Artoo ćwierknął z ulgą.

– Wiem, że to długo trwało. Sam jestem zaskoczony – przyznał Luke. – Przepraszam, ale nic na to nie mogłem poradzić.

Droid ćwierknął pytająco, co Luke zignorował, zajęty wstawaniem i rozcieraniem zdrętwiałych kończyn. Dopiero po chwili spojrzął na ekran i przyznał:

– Nie wiem. Widziałem wiele rozmaitych rzeczy, ale wszystko raczej bez związku z naszymi poszukiwaniami – dopiero w tym momencie przyszło mu do głowy, iż powód może być prosty: nie powinien dłużej tracić czasu na uganianie się za klonami.

Tylko co w takim razie powinien zrobić? Odszukać Hana i Leię i ostrzec ich? Odszukać i ostrzec Marę?

Odetchnął głęboko – Yoda powiedział kiedyś, że przyszłość zawsze pozostaje w ruchu. Wtedy Luke nie zastanawiał się nad tym – obraz niebezpieczeństwa grożącego Leii i Hanowi w Chmurnym Mieście był wyraźny i jednoznaczny. Jeśli jednak Yoda miał na myśli wizje takie jak ta, to jego uwaga wydawała się jak najbardziej sensowna.

Z drugiej strony wizja była na tyle nietypowa, że mogła występować jako rzadkość, jedynie w specjalnych okolicznościach. Myśl tę ocenił jako intrygującą, ale chwilowo nieistotną. Istotne było, że znalazł pomoc, a raczej wskazówkę, której szukał i teraz należało działać. Pozostawało tylko domyślić się, co konkretnie było tą wskazówką.

Yoda twierdził, że wiedza zjawia się sama, kiedy jest się spokojnym, więc Luke podszedł do okna, oddychając zgodnie z uspokajającymi technikami Jedi. Zanim skończył, cierpliwość Artoo

dobiegła kresu, o czym nie omieszkął go poinformować dłuższym pochwierkiwaniem.

– No już dobrze, dobrze – Luke odwrócił się od okna. – Widziałem głęboki kanion o ścianach pełnych budynków i masie światła na dnie. Sprawdź w głównym komputerze, co to może być za planeta.

Artoo bipnął zadowolony i podłączył się do zainstalowanego w stole gniazdku. Po paru sekundach odezwał się ponownie – tym razem z triumfem. Luke podszedł do stołu i spojrzął na ekran.

– Nie, to nie Belsavis. Tam nie było żadnych lodowców, a kanionu nie przykrywała kopuła. Był za to znacznie przyjemniejszy klimat i krajobraz... Widziałem też mosty łączące ściany kanionu, i to na różnych poziomach. Naliczyłem dziewięć, tworzących kształt diamentu: jeden na pierwszym poziomie, dwa obok siebie z drugiego na trzeci, trzy na czwartym poziomie, a niżej dwa i jeszcze niżej jeden.

Artoo, pogwizdując, zabrał się do roboty i na ekranie zaczęły się kolejno wyświetlać nazwy i charakterystyki kilkunastu planet i systemów.

– Poczekaj – polecił w pewnym momencie Luke. – Cofnij do poprzedniego... układ Cejansij... sprawdź, czy w banku danych są jakieś obrazy powierzchni.

Ekran pociemniał, a po paru sekundach pojawiły się na nim zdjęcia – najpierw satelitarne, potem lotnicze, a na końcu z poziomu ziemi. Luke obserwował je uważnie i nim pokaz dobiegł końca, wiedział, że znalazł to, czego szukał.

– Canyonade na Cejansij – mruknął. – Tam właśnie wyruszamy.

Artoo ćwierknął niepewnie i pytająco zarazem.

– Nie wiem, dlaczego – odparł Luke, odczytując pytanie. – Po prostu jestem pewien, że powinienem się tam znaleźć.

Tym razem ćwierknięcie było zdecydowanie niedowierzające.

– Prawdę mówiąc, sam tego nie rozumiem – przyznał Luke. – Widziałem różne rzeczy, które mają się zdarzyć... widziałem moich studentów opuszczających akademię i nie mam pojęcia, dlaczego. Widziałem Hana i Leię w kłopotach...

Artoo przerwał mu zaniepokojonym piskiem, po którym na ekranie wyświetliło się pytanie.

– Nie. Threepia z nimi nie widziałem. Chodzi mi o to, że zobaczyłem masę miejsc, do których moglibyśmy się udać i w któ-

rych mógłbym spowodować zmiany w tym, co zajdzie. Zbyt wiele miejsc i w tym leży cały problem. Ale tylko tam, w Canyonade, widziałem siebie i był to jedyny moment w trakcie całej wizji, gdy czułem spokój. I właśnie dlatego tam polecimy.

Przez moment panowała cisza, którą przerwało zdecydowane ćwierknięcie Artoo.

– Masz rację – uśmiechnął się Luke. – Skoro mamy lecieć, to nie ma co zwlekać.

Tym bardziej że cały czas zastanawiał się, komu najbardziej przydałaby się jego pomoc. W końcu, już w hangarze, zdecydował, że Leia wystarczająco włada Mocą, by o siebie zadbać, na Hanie przewaga liczebna przeciwnika od dawna nie wywierała większego wrażenia, a Rogue tak się do niej przyzwyczaili, że traktowali ją jako stan normalny. Co się zaś tyczyło jego studentów, musieli zapewne mieć poważny powód do takiego postępowania. Krótko mówiąc, wszyscy byli w stanie poradzić sobie bez jego pomocy.

Czterdzieści minut później, wchodząc w nadświetlną, Luke nadal usiłował zapamiętać o tym fragmencie wizji, który dotyczył Mary Jade.

ROZDZIAŁ

13

Ceok Orou'cya, pierwszy sekretarz Przywódców Połączonych Klanów rasy Bothan, był uprzejmy i kulturalny, ale – przynajmniej na tyle, na ile Leia mogła to wyczuć – również całkowicie zaskoczony jej widokiem, choć panował nad sobą doskonale. Podejrzała, że oprócz zaskoczenia krył tam także i strach, lecz tego już nie była w stanie wysondować.

– Proszę zrozumieć moją sytuację, pani senator – powtórzył po raz trzeci, przeprowadzając ją, Hana i Threepio przez rejon przeznaczony dla petentów i wyprowadzając ich na olbrzymi korytarz zajmujący jedną trzecią budynku Połączonych Klanów i mający trzy piętra wysokości. – Ta nie zapowiedziana wizyta jest wysoce... niespotykana, a pani prośba jeszcze bardziej.

– Czytałeś list Gavrisoma? – spytał rzeczowo Han, nie bawiąc się w uprzejmości. – Czytałeś. List od Borska Fey'lya też czytałeś. To czego jeszcze chcesz?

Zapytany spojrział na niego niepewnie i Leia z najwyższym trudem powstrzymała uśmiech – Han zachowywał się, jakby właśnie wszedł do jakiejś meliny wydusić z kogoś dług, i to od dawna zaległy. Mina i ściskająca kolbę miotacza dłoń były aż nadto wymowne i, zgodnie z oczekiwaniem, należycie odebrane. Sama mu zresztą doradziła takie zachowanie. Obecność obu Noghri stanowiących jej bezpośrednią ochronę dodałaby kolorytu i siły przekonania, ale wolała z tego zrezygnować, wiedząc o niechęci, z jaką traktowali się przedstawiciele obu ras – sytuacja i tak była wystarczająco napięta. Barkhimkh i Sakhisakh znajdowali się zresz-

tą w pobliżu i wystarczyło wezwanie przez włączony komling, żeby się zjawili.

Nie spodziewała się zresztą, iż będą potrzebni – waga jej stanowiska z jednej strony, a groźba fizycznych konsekwencji w wydaniu Hana z drugiej powinny się okazać wystarczające, by wymusić dostęp do danych finansowych, zanim ktoś zdąży je ukryć lub zmienić.

– Ja osobiście absolutnie niczego nie chcę, generale Solo, ale wyłącznie jeden z przywódców Połączonych Klanów może autoryzować dostęp do danych, które chcecie zobaczyć, a akurat żadnego nie ma w tej części planety.

Han podszedł o krok bliżej:

– Dostałeś list od prezydenta Gavrisoma...

– Poczekaj – przerwała mu Leia. – Sekretarzu Orou’cya, rozumiem pańskie położenie i sądzę, że istnieje inne wyjście. Jak rozumiem, senator Fey’lya jest przedstawicielem Połączonych Klanów przy Nowej Republice i także ma dostęp do danych, o których mowa?

Futro sekretarza zafalowało – podejrzewał pułapkę, lecz nie bardzo wiedział jaką, więc nie mógł nic zrobić, by w nią nie wpaść.

– Sądzę, że ma prawo – odparł ostrożnie. – Musiałbym sprawdzić to w przepisach.

Leia spojrzała wymownie na Hana.

– Masz – Han podsunął mu pod nos datakartę. – Zaznaczyłem stosowny przepis.

Orou’cya wyciągnął rękę, zawahał się i opuścił ją.

– Wierzę na słowo – wykrztusił. – Tylko nie rozumiem, jakie to ma znaczenie, skoro senatora tu nie ma, a list nie może przenieść tego przywileju na inną osobę.

– Racja – przytaknęła Leia. – Ale przywilej ten obejmuje zarówno osobę senatora, jak i jego własność, prawda?

– Co konkretnie ma pani na myśli, senator Organa?

– Konkretnie mam na myśli jego osobiste komputery i droidy.

Orou’cya spojrzał na Threepio i jego futro przestało się w ogóle poruszać, przylegając do ciała jak przylizane.

– Jego... ale...

Han ponownie podetknął mu pod nos datakartę.

– To też zaznaczyłem – warknął.

– A tu jest umowa kupna tego oto droida przez senatora Borskę Fey’lyę – dodała Leia, podając mu drugą datakartę.

Orou'cy odruchowo wzięły obie, nie spuszczać przy tym wzroku z dumnie milczącego droida.

Bo Threepio sprawiał właśnie takie wrażenie. W rzeczywistości był za bardzo oburzony i zawstydzony, żeby się odezwać. Jak narzekał przez całą drogę, wystarczająco upokorzono go, gdy został prezentem dla Jabby podczas operacji ratunkowej, której celem było uwolnienie Hana na Tatooine. Obecną sprzedaż, i to bez żadnego powodu i uprzedzenia, bothańskiemu politykowi uznał za upokorzenie ostateczne. Fakt, że sprzedaż była fikcyjna i istniała jedynie w postaci elektronicznego zapisu na jednej, jedynej datakarcie, z jego punktu widzenia tylko pogarszał sprawę.

Ale o tym Orou'cy naturalnie nie wiedział.

– Rozumiem – wykrztusił głosem równie pozbawionym życia jak jego futro. – Ja...

– Archiwum jest na drugim piętrze, nie? – spytał rzeczowo Han, przerywając przeciągającą się ciszę.

– Nie musi nam pan towarzyszyć, znajdziemy drogę – dodała Leia.

– Nie – zaprotestował przybity sekretarz, nie poruszając nawet jednym włoskiem. – Muszę was zaprowadzić. Proszę iść za mną.

I poprowadził ich przez atrium, a potem po szerokich, ceremonialnych schodach prowadzących najpierw na piętro, potem na drugie. Schody nie miały poręczy, za to wyginały się w zgrabny półłuk zakończony balkonem, najwyraźniej przeznaczonym do celów reprezentacyjno-oficjalnych. Stanowiły też jedyne widoczne połączenie między parterem a pierwszym piętrzem. No i naturalnie dojścia do nich pilnowało dwóch uzbrojonych strażników, a filary stojące w pobliżu kryły emiterzy statycznego pola siłowego – Bothanie nie oszczędzali na środkach bezpieczeństwa. Idąc po szerokich stopniach, Leia zastanawiała się, ile z lustrzanych okien wychodzących na schody i ukrytych w artystycznie rozmieszczonych krzewach borsicii i pnączach kafuris kryło nie gabinety czy sale spotkań, lecz obserwujących schody wartowników. Znając Bothan zakładała, że co najmniej trzy.

Nikt jednak nie próbował przeszkodzić im w wejściu, toteż bardzo szybko i bez problemów dotarli na pierwsze piętro, a potem korytarzem ku normalnym schodom prowadzącym na drugie i dalej korytarzem aż do drzwi z tabliczką „Archiwum”. Przewodnik zatrzymał się przed nimi, ale nawet jeśli w czasie drogi zro-

dziły się w nim nowe wątpliwości, to wyartykułować ich nie zdążył – Han minął go, nie zwalniając kroku, otworzył drzwi i wszedł.

W pomieszczeniu siedziało przy rozmaitych konsolach czytnikowych pięciu Bothan. Wszyscy mieli miny albo zaskoczone, albo pełne winy, gdy Leia weszła w ślad za Hanem.

– Jest wolne miejsce – Leia wskazała najbliższą nie zajętą konsolę. – Threepio, weź się do roboty.

Milczący droid wykonał polecenie.

– Dziękuję, sekretarzu Orou'cy – dodała Leia. – Zawiadomi pana, jeśli będziemy czegoś potrzebować.

– Zjawię się natychmiast – zapewnił przybyty urzędnik i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– I pomyśleć, że Fay'lya napisał wyraźnie, iż jesteśmy po ich stronie – prychnął Han półgłosem.

– Bothańskiej natury nie da się zmienić: wszędzie widzą pułapki i ukryte groźby.

– Zwłaszcza w wykonaniu innych Bothan – w głosie Hana zabrzmiała pogarda.

– Na tym od wieków opiera się ich wewnętrzna polityka – przypomniała mu Leia. – Przestań grymasić i bierzmy się do pracy: im szybciej to zrobimy, tym krócej tu będziemy.

Rozkazy mówiły o dużym tłumie i Navett zapewnił majora Tierce'a, że będzie w stanie je wykonać. Teraz, spoglądając na tłum wypełniający cały Plac Kupców nie mógł dostrzec jego krańców – a siedział na dachu, skąd miał dobry widok. Musiał przyznać, że tym razem Klif przesadził.

– Navett? – w głośniczku w lewym uchu rozległ się głos Pensina. – Wygląda na to, że są gotowi.

– To ich ruszcie – polecił, przysuwając bliżej ust mikrofon połączony ze słuchawką cienkim drutem. – Jaki skład?

Posługiwał się wojskowym komlingiem, łatwym do zauważenia, ale dającym wolne ręce i lepsze kodowanie rozmów. A na dachu nie było nikogo, kto mógłby go zauważyć.

– Prawdziwa mieszanina: trochę personelu latającego różnych ras, kupa sklepikarzy i przechodniów, od ludzi zaczynając, a na Ishori kończąc. Jest nawet kilku Frofli: te ich stojące odnogi włosowe górują nad każdym tłumem.

– Doskonale. Idź na stanowisko, tylko uważaj, żeby nie znaleźć się na ich drodze, kiedy ruszą.

Rząd frofliński należał do tych niewielu, które już publicznie zażądały nałożenia sankcji na Bothan, a Frofli znani byli z mściwości i zaciekłości. To, że Bothanie przez ostatnie piętnaście lat systematycznie zmieniali ich przemysł lekki w ruinę, nie wpływało na złagodzenie wrodzonych cech.

– Nie ma strachu... ruszyli. Następny przystanek: siedziba Połączonych Klanów. Jesteś gotów?

– Wszystko jest gotowe – uśmiechnął się Navett, gładząc kolbę snajperskiego karabinu blasterowego typu Nightstinger. – Do dzieła!

– Słyszysz? – spytał niespodziewanie Han.

– Nic nie słyszę – Leia uniosła głowę znad ekranu.

– Coś jak odległa burza... nie, to odgłos tłumu albo...

– To tłum – przyznała, marszcząc brwi. – I to zbliżający się tłum.

Siedzący w pomieszczeniu Bothanie sprawiali wrażenie, jakby niczego nie słyszeli, ale Han zawsze miał słuch wyczulony na niebezpieczeństwo, a Leia, sądząc po wyrazie twarzy, wspomogła swój metodą Jedi.

– Musi być naprawdę duży, jeśli słyszymy go tutaj – dodała.

– Pewnie znowu jakaś demonstracja – Han ruszył ku drzwiom. – Poczekaj tu, sprawdzę, co się dzieje.

W przeciwieństwie do przebywających w archiwum, znajdujący się w innych częściach budynku Bothanie doskonale zdawali sobie sprawę, co się dzieje – korytarz i schody wypełniali spieszący się gdzieś przedstawiciele tej rasy – większość niosła rozmaite rzeczy i pędziła z parteru na górę. Zaledwie kilkunastu schodziło – i wszyscy uzbrojeni. Po pobieżnym rozejrzeniu się we wnętrzu Han zdecydował, że atrium nie jest najlepszym miejscem, bo nikt tu nic nie wie, a w dodatku nic nie widać, i skierował się ku balkonom. Zarówno pierwsze, jak i drugie piętro miało ich sporo, dość szybko więc znalazł wyposażony weń pokój, odsunął drzwi i wyszedł.

Było gorzej, niż się spodziewał – tłum był olbrzymi, wypełniał całą ulicę i zbliżał się do wejścia. Ktoś w dole krzyknął, wskazując na balkon, i Han odruchowo sięgnął po broń...

– Obywatele Nowej Republiki – rozległ się głęboki głos, z nim zdążył wyciągnąć miotacz. – Apeluję o spokój!

Z ulicy odpowiedziały gwizdy i wyzwiska. Han podszedł do balustrady i spojrzął w dół – na balkonie pierwszego piętra, prawie bezpośrednio pod nim, stał szacownie wyglądający Bothanin z pierścieniem i łańcuchem z pieczęcią stanowiącymi symbole przywódcy klanu. I to by na tyle jeśli chodzi o nieobecności żadnego z nich w okolicy... Han skrzywił się z niesmakiem i cofnął o krok – nie uważał się co prawda za fachowca, ale nie wydawało mu się prawdopodobne, by ten tłum poddał się czyjejkolwiek elokwencji. Nawet jeśli był to wygadany bothański dyplomata.

A to oznaczało, że nadszedł najwyższy czas, żeby rozpocząć ewakuację w bezpieczniejsze miejsce. Tak na wszelki wypadek. Spojrzął ostatni raz w dół i odwrócił się ku drzwiom.

Czoło tłumu dotarło do budynku i zatrzymało się, powoli wypełniając całą wolną przestrzeń. Navett wycelował starannie przez elektroniczny celownik stanowiący integralną część broni i czekał. Tak jak się spodziewał, Bothanie wysłali jednego z przywódców, by przemówił do tłumu. Stojąca na balkonie ozdobiona łańcuchem postać uniosła ręce, nawołując do spokoju, co tłum naturalnie zignorował i Navett już miał strzelić, gdy na balkonie piętro wyżej pojawił się jeszcze ktoś. Zaciekawiony przesunął broń w górę, chcąc się lepiej przyjrzeć nowo przybyłemu...

I omal nie wypuścił broni z rąk: był to bowiem bohater Rebelii, Han Solo we własnej osobie!

Navett zawsze uważał, że jest szczęściarzem, ale taka okazja zdawała się zbyt piękna, by mogła być prawdziwa.

– Navett? – w słuchawce rozległ się podniecony głos Pensi-na. – Zobacz, kto stoi na balkonie drugiego...

– Widzę – Navett zrobił, co mógł, aby jego głos brzmiał chłodno i obojętnie.

– To którego załatwiamy?

– Obu oczywiście – uśmiechnął się Navett. – Założyłeś zapasówkę, prawda?

– Naturalnie, tak jak kazałeś.

– No to bierz Bothanina, a ja zajmę się bohaterem. Zaczniij odliczać!

– Jasne, Navett. Pięć sekund... cztery... trzy...

W kilkanaście sekund po wyjściu Hana do archiwum wpadł Orou'cy.

– Senator Organa Solo! – wykrztusił, ciężko dysząc. – Potrzebujemy pani pomocy: przed budynkiem jest olbrzymi tłum!

– Wiem. I co mam w związku z tym zrobić?

– Bronić nas, naturalnie! – sekretarz wymownie wskazał na przypięty do jej pasa miecz świetlny. – Przecież jest pani Rycerzem Jedi?!

Leia westchnęła zrezygnowana – w galaktyce nadal za dużo istot wierzyło, że Rycerze Jedi istnieli wyłącznie po to, by za nich walczyć albo ich bronić.

– Spróbuję przemówić im do rozsądku – obiecała.

– Rayl'skar, głowa klanu Askor, właśnie to robi – futro Orou'cy zafalowało ze zniecierpliwienia. – Proszę się pospieszyć: w każdej chwili mogą się wdrzeć do środka.

– Niech już będzie... – Leia wstała, nie komentując zgoła cudownego objawienia się jednego z jeszcze kilkanaście minut temu nieobecnych w tej części planety przywódców; uznała, że nie jest to najważniejsza pora. – Threepio, lepiej chodź ze mną.

– Ja?! – przestraszył się swoim zwyczajem droid. – Ależ... Wasza Wysokość...

– Mogę potrzebować cię jako tłumacza – przerwała mu zdecydowanie. – Idziemy!

Musieli przepychać się pod prąd, ledwie znaleźli się na schodach – wszyscy bowiem spieszyli na górę.

– Wasza Wysokość – odezwał się Threepio. – Sądząc po zachowaniu gospodarzy, niebezpieczeństwo jest całkiem realne. Mogę zasugerować nieco inną strategię?

– Nie możesz. Poza tym nie ma żadnego niebezpieczeństwa – oświadczyła, łapiąc go za ramię, by Bothanie ich nie rozdzielili. – Najgorsze, czego można się spodziewać ze strony demonstrantów, to bombardowanie zgniłymi owocami i kamieniami. Jeśli zdołam ich przekonać, że Senat weźmie pod uwagę niepokoje, to być może zdołam skłonić tłum do rozejścia się nawet bez obrzucania budynku i nas.

Dotarli do podnóża schodów i przepchnęli się przez potrójną linię strażników – wszyscy byli Bothanami i wszyscy mieli broń.

– Nadal uważam, że powinniśmy przemyśleć naszą taktykę – szybkość wymowy droida zwiększała się wraz z jego zdenerwowaniem, które wzrastało z każdym krokiem przybliżającym go ku

drzwiom wejściowym. – Można do nich przemówić z balkonu, a pragnę zauważyć, że nawet nieświeże produkty organiczne odpowiednio umieszczone mogą okazać się groźne dla mechanizmów droida. Zwłaszcza jeśli jest ich duża ilość i...

– Cicho bądź! – poleciła Leia, zatrzymując się o parę metrów od drzwi.

Dopiero tu oprócz złości i poirytowania tłumy wyczuła coś jeszcze, co dotychczas maskowały tamte dwa uczucia – słabe, ale konkretne postanowienie doprowadzenia czegoś do finału. Postanowienie o całkowicie świadomym i złym charakterze. Skoncentrowała się, sięgając po Moc, by dokładniej zlokalizować źródło tego uczucia, gdy na zewnątrz rozległ się obrzydliwie znajomy, a mimo wszystko zaskakujący w tych warunkach dźwięk.

Był to strzał z karabinu blasterowego.

Han nie miał czasu na nic, gdy bez żadnego ostrzeżenia promień z blastera trafił w ścianę obok jego lewego ramienia – z odgłosem przypominającym wdepnięcie w błoto i bez zwykłej eksplozji. Odruchowo spojrzął w tamtą stronę, dostrzegł przylepioną do ściany grudę jakiejś szarej, kleistej substancji i wystającą z niej krótką rurkę połączoną z wielopłaszczyznowym kryształem... A w następnej sekundzie wszystko to eksplodowało niczym trafione promieniem z ciężkiego blastera.

Han odskoczył, odwracając twarz i poczuł, że coś wbija mu się w lewe ramię. Gdzieś z dołu dobiegł krzyk bólu i odgłos kolejnego strzału. Odruchowo przykucnął za osłoną balustrady, wyciągając miotacz i mrugając gorączkowo, żeby się pozbyć purpurowej plamy złośliwie pływającej przed oczyma. Gdy mu się to udało, próbował zobaczyć, skąd padły strzały, ale strzelec nie kontynuował ognia. Zresztą te dwa, które oddał, wyrządziły wystarczające zamieszanie – w tłumie o jakieś dziesięć metrów od balkonu utworzyło się puste koło wokół wijącego się z bólu Mishtaka; drugie, parę metrów dalej, otaczało nieruchomą postać należącą do rasy Leresai. Tłum zaś stał się dziwnie milczący...

Kątem oka zauważył ruch na przeciwnym dachu, Han wstał i uniósł broń...

– Tam jest! – krzyknął ktoś w dole.

Odruchowo spojrzął tam, skąd dochodził głos – ktoś w tłumie wskazywał go pozostałym.

– Zaraz, moment... – zaczął, ale ten na dole miał donośniej-
szy głos.

– Tam jest morderca! – ryknął.

Na ten okrzyk tłum ożył zmieniając się w motłoch i z dzikim rykiem, podobnym do setki wściekłych rancorów ruszył ku drzwiom. Podwójne odrzwia otwarły się z łoskotem, od którego zadrżał cały budynek.

– Han! – jęknęła Leia, gdy rozległ się drugi strzał.

W następnej sekundzie uspokoiła się, czując, że żyje i nie został ranny. Był zaskoczony i spięty, ale cały. Jednak ktoś został trafiony – ból był tak silny, że blokował większość innych uczuć. Nim zdołała znaleźć jego źródło, z zewnątrz dobiegł wściekły ryk, a w chwilę później oba skrzydła drzwi wejściowych, gwałtownie pchnięte, łomotnęły o ściany i do wnętrza wlała się żywa rzeka złożona z przedstawicieli kilkudziesięciu ras.

– A mówiłem! – jęknął Threepio. – Wasza Wysokość...

– Schowaj się za mnie! – warknęła, dając długi krok w bok i łapiąc rękojęść miecza.

Schody znajdowały się na tyle blisko, że przy sporym wysiłku zdążyłaby dotrzeć do nich przed tłumem, ale Threepio nie miał cienia szansy na osiągnięcie takiej szybkości. A zostawienie go na drodze wścieklej tłuszczy mogło skończyć się tylko w jeden sposób... uaktywniła więc ostrze miecza. Przybyła tu, żeby rozmawiać, ale najpierw należało wytrącić ich z ogłupiającej furii. Widok świetlistego ostrza powstrzymał najbliższych, a sądząc po ich minach, dopiero nagły blask spowodował, że ją w ogóle zauważyli.

– Obywatele Nowej Republiki! – krzyknęła, unosząc broń. – Ja, senator i Rycerz Jedi Leia Organa Solo, wzywam was, abyście się zatrzymali!

Na najbliższych to podziałało – zatrzymali się. A raczej próbowali się zatrzymać, bowiem następni, nie słyszący głosu Leii, pchali ich do przodu lub obchodzili, jeśli pchanie nie dawało rezultatu. Lecz udało jej się przynajmniej spowolnić ruch tłumu i uzyskać początki słuchającego jej słów audytorium. Znała technikę wzmacniania głosu, dzięki której Jedi mogli przemawiać do dużych zgromadzeń bez sprzętu nagłaśniającego i zamierzała ją zastosować; jeśli tylko znajdzie jeszcze właściwe słowa...

Wzięła głęboki oddech, sięgnęła po Moc i otworzyła usta...

I dokładnie w tym momencie któremuś z bothańskich strażników puściły nerwy – krzyknął coś niezrozumiale i strzelił. Natychmiast za jego przykładem poszli inni i zapanowało piekło. Krzyki trafionych zginęły w ogłuszającym ryku wściekłości i strachu, i choć przednie szeregi albo padły, albo rozbiegły się, szukając osłony za krzewami czy ucieczki w biurach znajdujących się w skrzydłach budynku, to reszta zamarała, nie wiedząc, co zrobić. Wartownicy strzelili ponownie – tym razem bardziej zgodnie i gęściej, i kolejne ciała zwały się na posadzkę, lecz z tłumu również odpowiadano ogniem i w ciągu paru sekund sześciu Bothan leżało martwych.

– Dalej! – krzyknął jakiś głos. – Brać ich!

– Stop! – wrzasnęła Leia, ale strzelanina zdekoncentrowała ją i nie był to potężny głos Jedi, tylko zwykły, kobiecy krzyk rozpacz.

Który na nic się nie zdał – tłum runął do przodu i rozpętała się chaotyczna kanonada, w wyniku której rykoszety, na szczęście rzadkie, zaczęły latać po całym atrium. Nawet ci, którzy zamierzali jej wysłuchać, teraz nie mieli wyjścia, pchani przez napierającą z tyłu masę. Uniosła broń, gdyż ktoś omal nie nadział się na ostrze, i usłyszała rozpaczliwe zawrodożenie Threepia. Kiedy się odwróciła, po droidzie nie było śladu: przykryła go żywa fala zalewająca podłogę. Jakiś Khil skoczył ku niej, gwizdząc przeraźliwie i wymachując blasterem, więc rozcięła mu broń i z ponurą świadomością przegranej wyłączyła miecz. Jeśli nie chciała wziąć udziału w masakrze głupich, ale w przeważającej większości niewinnych istot, nie miała innego wyjścia. Tych, którzy strzelali z tłumu, nie była w stanie osiągnąć, toteż nic nie mogła zrobić.

Jedyne, co jej pozostało, to odwrót. Przy użyciu Mocy odpychała najbliższych zagradzających drogę, próbując zablokować wrzaski rannych i umierających. Potrzebowała całej uwagi, by nie dać się stratować. Nic więc dziwnego, iż dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że wyczuwa jeszcze coś – kogoś, kto boi się o jej bezpieczeństwo i jest niedaleko...

Hana.

Rozejrzeć się nie miała jak, ponieważ bez świetlnego miecza tłum otoczył ją tak szczelnie, że widziała tylko to, co znajdowało się nad nią, a zbyt długo nie mogła tam spoglądać, nie chcąc ryzykować utraty równowagi. W żadnym z wychodzących na atrium okien nie dostrzegła nie tylko Hana, ale w ogóle żywej duszy. Na-

tomiast prawie nad swoją głową zauważyła coś innego – grube pnącze borscii rozpiętej na ścianie. Przepchnęła się pod nie, używając zarówno łokci, jak i Mocy, ugięła kolana i skoczyła, posiłkując się Mocą.

Pnącze znajdowało się o jakieś dwa metry nad nią, co dla Jedi nie było żadną wysokością – złapała za nie dobry metr wyżej i podciągnęła się do reszty rośliny, która meandrami porastała ścianę. Teraz mogła spokojnie się rozejrzeć i Hana dostrzegła natychmiast: na wpół klęczał, na wpół kuczał za balustradą balkonu na pierwszym piętrze. W dłoni trzymał miotacz i gorączkowo przepatrywał tłum, najwyraźniej szukając właśnie jej. Po obu stronach Hana czekali – gotowi do skoku – Barkhimkh i Sakhisakh, choć to, jak i kiedy zdołali dostać się do budynku i odnaleźć go, zakrawało na magię. Bothańscy strażnicy broniący dostępu do schodów wszyscy już byli martwi – zastrzeleni albo stratowani. Tłum powstrzymywało jedynie pole siłowe, ale sądząc po iskrzeniu w jednym z filarów, już nie na długo – nie obliczano go na taki tłum i lada chwila generator zostanie przeciążony i pole zniknie.

A to oznaczało początek końca – obojętne, czy ktoś jeszcze zaczęłby strzelać, czy nie, tłum był żądny krwi i jeśli dopadnie jakichś Bothan, rozszarpie ich na strzępy – liczba ofiar pójdzie nie w dziesiątki jak dotąd, lecz w setki.

Chyba że...

Jeden z Noghri dostrzegł ją i pokazał towarzyszom. Han uniósł się i coś krzyknął, ale w panującym zgiełku nic nie słyszała – widziała jedynie, jak porusza ustami. Desperacko próbowała wysłać mu uspokajającą myśl, lecz na wszelki wypadek także pomachała. Jeśli któryś z nich spróbuje po nią zejść, zostanie rozerwany na strzępy...

Nie próbowali – Han opadł za balustradę, rozumiejąc, czego Leia nie chce, ale jego mina wyraźnie świadczyła, że nie bardzo wiedział, czego ona chce. Demonstracyjnie odpięła od pasa miecz świetlny, wyplątała z pędów i uniosła, żeby go wyraźnie zobaczył. A potem, na ile mogła, wzięła zamach i cisnęła miecz w jego stronę, pomagając sobie Mocą, dzięki czemu broń wylądowała dokładnie w jego dłoni. Przez moment nie bardzo wiedział, co ma zrobić, po czym go olśniło – uaktywnił ostrze i zdecydowanymi cięciami zaczął odcinać schody.

Aby to zrobić, musiał wyjść zza osłony balustrady i jego poczynania prawie natychmiast zostały zauważone. Tłum ryknął dzi-

ko i z dwóch miejsc padły strzały. Wiązki energii minęły go o centymetry, lecz natychmiast pilnujący go Noghri odpowiedział również dwoma strzałami i kolejnych wystrzałów z dołu już nie było. Dopiero wówczas Leia zauważyła, że drugi Noghri zdołał gdzieś zniknąć.

Coś dotknęło jej karku. Odwróciła się odruchowo, pamiętając węże z Wayland... tym razem nie był to wąż, tylko lina zwisająca z jednego z okien nad jej głową. Z okna wyglądał wyczekująco Bar-khimkh.

Leia uśmiechnęła się, złapała linę i zaczęła wspinaczkę. Prawie dotarła do okna, gdy schody z łoskotem runęły na posadzkę.

– Panie admirale?

Pellaeon siadł prosto, gwałtownie przebudzony. Był w swej pogrążonej w mroku kabinie.

– Tak?

– Tu major Tschel, sir – głos oficera wachtowego z mostka rozlegał się z głośnika interkomu. – Odebraliśmy transmisję oznaczoną pańskim osobistym kodem szyfrującym.

– Rozumiem – Pellaeon wstał i podszedł do konsoly komputera. – Proszę ją przerzucić na mój komputer, majorze.

– Oczywiście, sir.

Ekran rozbłysł, potwierdzając połączenie, i Pellaeon wstukał na klawiaturze swój kod, klnąc w duchu, na czym świat stoi – latanie od bazy do bazy i wypraszenie lub wymuszanie zgody na zawarcie pokoju było wystarczająco męczące, ale nocne koszmary uważał za znacznie gorsze. Najnowsze wydanie miało w głównej roli wielkiego admirała Thrawna rugającego go spokojnie, ale za to ze smutkiem za zmarnowanie wszystkiego, co stworzył...

Komputer potwierdził przyjęcie kodu i nad biurkiem pojawiła się holoprojekcja wielkości jednej czwartej oryginału.

– Tu komandor Dreyf, sir – przedstawił się rozmówca. – Mam wstępny raport dotyczący lorda Graemona i jego finansów.

– Doskonale! – Pellaeon rozbudził się do reszty. – Słucham.

– Ujmując rzecz krótko: to wyjątkowo przebiegła glisda – Dreyf nawet nie próbował ukryć pogardy. – Ma lewe interesy w każdym większym przedsięwzięciu od Muunilinst do Coruscant. Na razie odkryliśmy piętnaście powiązań z Nową Republiką, każde niezależne od pozostałych. A to dopiero początek.

Pellaeon w milczeniu skinął głową – potwierdzało to jego podejrzenia.

– A odnośnie jego powiązań z piratami? – spytał.

– Jak dotąd nic konkretnego, za to mamy dowody na ścisły związek generała Kyte’a z łącznikiem Cavrillu. Skontaktował się z nim natychmiast po pańskim pobycie na Muunilinst, czyli jedenaście dni temu. Śledzimy to połączenie i na razie mamy trzech pośredników.

– Rozumiem – mimo podejrzeń wiadomość nie była miła: oficer sztabowy zdradzający Imperium. – Udało się panu prześledzić kontakty Graemona w drugą stronę?

– Jeszcze nie, ale jestem pewien, że to nie on wydaje rozkazy.

– Nie on – zgodził się Pellaeon, spodziewając się takiej odpowiedzi: kontakty Disry z Graemonem były dobrze ukryte, bo istnieć przecież musiały. Może ukryte zbyt dobrze jak na ograniczone możliwości Dreyfa. – Proszę kontynuować, potrzebuję jak najwięcej faktów i dowodów.

– Rozkaz, sir – Dreyf zawahał się. – Jeśli mogę coś zasugerować, sir... te wszystkie kontakty z Nową Republiką są do udowodnienia w każdej chwili. Wykończyłoby to Graemona bez cienia wątpliwości.

– Tylko że ja nie zamierzam go wykańczać. A na pewno nie w tej chwili. Handel z Nową Republiką jest nielegalny, ale obaj wiemy, że bez niego Imperium już dawno przestałoby istnieć – wyjaśnił Pellaeon, nie dodając, że jeśli jego inicjatywa pokojowa się powiedzie, handel zostanie oficjalnie usankcjonowany. – Chciałbym jedynie znaleźć i powstrzymać tych, którzy manipulują imperialnymi funduszami i personelem. Czy wyraziłem się jasno, komandorze?

– Jasno, sir. Proszę się nie obawiać: jak głęboko by się nie zakopali, znajdziemy ich.

– Jestem tego pewien. Jeszcze coś interesującego?

– Tak, panie admiralu: dostałem właśnie wiadomość od jednego z agentów, który śledził powiązania Graemona na Bothawui o najświeższych wydarzeniach. Nie mówiono jeszcze o nich w mediach. Otóż przed i w siedzibie Połączonych Klanów doszło do potężnej demonstracji dotyczącej Caamas i po obu stronach były ofiary śmiertelne. Podejrzewam, że dziennikarze także zostali tym zaskoczeni i trochę potrwa, zanim się połączą w faktycznym przebiegu zająć, a lepiej będzie, jeśli pan dowie się od razu, sir.

– Słusznie pan pomyślał, komandorze – pochwalił Pellaeon. – Coś jeszcze?

– Nie, sir.

– W takim razie proszę mnie informować na bieżąco – polecił i przerwał połączenie.

Przez kilka minut siedział nieruchomo, wpatrując się w pusty ekran i analizując najnowsze informacje.

W ciągu ostatnich trzech tygodni wszędzie słyszał, że Nowa Republika jest niestabilna i stoi na skraju samozniszczenia. Za każdym razem powtarzał te same argumenty, o których słuszności był przekonany – działo się to już tyle razy, że przytaczał je automatycznie.

A jednak...

Czytał raporty o zamieszkach, które wywołały nowiny o Caamasi, a także dane wywiadu o coraz ostrzejszych dyskusjach w Senacie Nowej Republiki i w lokalnych ciałach rządzących, oraz prognozy dotyczące coraz bardziej rozogniających się starych sporów i żalów. Czyżby się mylił? Czyżby Nowa Republika faktycznie zmierzała do samozniszczenia?

Bo jeśli tak, to zrobił najgorszą rzecz, jaką tylko mógł.

Wstał z westchnieniem i podszedł do łóżka. Nie wydawało mu się, aby ten scenariusz był możliwy, ale w nocy niewiele rzeczy wyglądało zgodnie z prawdą. Miał istotne powody, by postąpić tak, jak postąpił i pozostało jedynie żywić nadzieję, że te powody nadal pozostają aktualne. I tak przeanalizuje je ponownie rano, a jeśli kwestia Caamas okaże się groźna dla procesu pokojowego... przypomniały mu się słowa Thrawna: „Należy uważnie zbadać wszystkie przeszkody, przy odrobinie wyobraźni często da się je zamienić w atuty”.

Jeśli kwestia Caamas okaże się groźna dla Nowej Republiki, to w zamian za pomoc w jej wyjaśnieniu Imperium będzie w stanie uzyskać naprawdę dużo... Sprawdził listę najbliższych spotkań, jako że powrót na Bastion nie wchodził w grę. Poza faktem, że nie mógł sobie pozwolić na nagłą zmianę planów, wiedział, iż próba odzyskania pełnej wersji dokumentu natychmiast dotarłaby do wiadomości Disry, a nie miał najmniejszego zamiaru zdradzać mu swoich zamierzeń, jeśli tylko nie musiał.

W bazie na Yaga Minor znajdowało się kompletne imperialne archiwum, a to był cel jego czwartego z kolei spotkania.

Wyłączył czytnik i położył się zdecydowany, że tak właśnie postąpi: spróbuje uzyskać ten kontrowersyjny dokument i zapro-

ponuje go władzom Nowej Republiki w zamian za ustępstwa polityczne.

Zakładając naturalnie, że dojdzie do spotkania i rozmów pokojowych.

Przez moment miał ochotę sprawdzić, czy na mostku czekają na niego jakieś informacje od majora Vermela, ale opanował się. Oficer łączności i tak otrzymał wyraźny rozkaz, żeby zawiadomić go natychmiast, gdy taka wiadomość nadejdzie, a przypominanie mu o tym drugi raz w ciągu doby mogłoby jedynie wywołać niezdrowe komentarze i spekulacje. Poza tym Vermel najwyżej przed dziesięcioma dniami dotarł do systemu Morishim, a biorąc pod uwagę aktualną sytuację panującą w Nowej Republice, generał Bel Iblis mógł najzwyczajniej w świecie potrzebować znacznie więcej czasu, niż Pellaeon zakładał, na podjęcie decyzji lub na przekonanie Rady do idei spotkania.

Vermel w końcu się odezwie, a jego, Pellaeona, czekały w międzyczasie cztery spotkania z najprawdopodobniej przeciwnymi jego pomysłowi starszymi oficerami Floty Imperialnej, zanim jeszcze uda mu się dostać do archiwum. Najbliższe z nich miało się odbyć za sześć godzin, zatem za najrozsądniejsze teraz uznał zmuszenie się do snu.

– Nie – Han potrząsnął głową, krzywiąc się lekko, gdyż Leia opatrywała mu lewe ramię. – Nie strzelałem. Ani do tłumu, ani do jakiegokolwiek innego celu.

– Ci, z którymi rozmawialiśmy, twierdzą, że pan strzelał – upierał się Orou’cya. – Zgodnie zeznają, że strzał padł z balkonu, na którym się pan znajdował, generale Solo.

– W takim razie Rayl’skar także strzelał – oznajmił Sakhisakh. – Bo zgodnie z zeznaniami świadków z jego balkonu także strzelano.

– Mylą się – Orou’cya niechętnie i z obawą spojrzął na mówiącego. – Przywódca klanu Askor nie miał przy sobie żadnej broni.

– Ja miałem, ale jej nie użyłem – powtórzył Han. – Możecie sprawdzić poziom energii w zasilaczu.

– Zasilacz mógł zostać wymieniony – futro sekretarza zafalowało. – I nie w tym rzecz. Jeśli pan tak mówi, muszę uwierzyć, generale Solo. Zresztą to i tak niewiele zmienia.

Han zmuszony był przyznać mu rację – przy dwudziestu siedmiu demonstrantach martwych i ponad czterdziestu rannych, nie wspominając o strażnikach i zniszczeniach w siedzibie Połączonych Klanów, detalem technicznym stawało się wyjaśnienie, kto pierwszy strzelił. Naturalnie detalem dla wszystkich oprócz dziennikarzy, którzy z wyjątkową zgodnością obwiniali jego.

Drzwi otworzyły się, przerywając mu rozmyślenia, i do pokoju weszło dwóch bothańskich strażników niosących kilka fragmentów pogiętego złocistego metalu.

– To ostatnie fragmenty – powiedział jeden, wręczając je sekretarzowi. – Przeszukaliśmy cały parter i nic więcej nie znaleźliśmy.

Han skrzywił się, i tym razem nie z bólu – od ponad godziny znoszono elementy składowe Threepio, który wyglądał jeszcze gorzej niż przy pierwszym demontażu. A Han był świadkiem i tamtego wydarzenia w Chmurnym Mieście.

– Nic mu nie będzie – pocieszyła go Leia. – Główne komponenty nie wyglądają na uszkodzone, zniszczenia są czysto zewnętrzne i bez problemu powinno dać się go złożyć.

– Możemy to zrobić, jeśli sobie życzycie – wtrącił Orou'cya.

– W żadnym wypadku! – sprzeciwił się Han, żałując, że Chewbacca został na Coruscant z młodym pokoleniem rodu Solo. – Na Coruscant mamy fachowca, który już go składał.

Z drugiej strony, kiedy ostatnim razem Wookie złożył go do kupy, droid nie był tym specjalnie zachwycony.

– Naturalnie – Orou'cya zawahał się. – Pani senator, przywódca klanu Rayl'skar skontaktował się z rządem Nowej Republiki: prezydent Gavrisom chciałby z panią rozmawiać najszybciej, jak to tylko możliwe.

– Mam robić za ciężko zszokowanego? – spytał Han tak cicho, że tylko Leia mogła go usłyszeć. – Wiesz, takiego, który wymaga troskliwej opieki?

– Lepiej nie, kiedyś i tak będę musiała z nim porozmawiać – odparła równie cicho. – Im szybciej powiem mu, co się faktycznie stało i dlaczego, tym lepiej. Mogę skorzystać z waszego centrum łączności?

– Naturalnie, pani senator – Orou'cya skłonił się i wskazał drzwi. – Proszę za mną.

W ślad za nimi wyszli strażnicy, za którymi ostentacyjnie wymaszerował Sakhisakh. Korzystając z okazji, Han puścił kwiecistą

wiązankę. Jej echo jeszcze nie przebrzmiało do końca, gdy do po-
koju wszedł Barkhimkh.

– Leia jest w centrum łączności – poinformował go Han.

– Wiem – Noghri podszedł do niego i wyciągnął otwartą
dłoń. – Chciałem ci to pokazać bez świadków.

Zaskoczony Han wziął podane szczątki stopionego i skręco-
nego urządzenia.

– Co to takiego? – spytał po chwili.

– Pozostałości imperialnego oszustwa. Kryształ przekaźnikowy i rurka wypełniona tibanną połączone ze sobą i przymocowane
jakąś substancją do ściany. Umieszcza się to w pobliżu miejsca,
w którym powinien pojawić się ktoś, kogo chce się oskarżyć o mor-
derstwo. Gdy ten ktoś się zjawi, ukryty w pobliżu snajper strzela
w kryształ, który ogniskuje energię w rurce.

– A ona strzela niczym normalny karabin blasterowy – dokoń-
czył ponuro Han. – I mamy strzał na oślep w tłum, o który wszy-
scy obwiniają mnie.

– Tak – przytaknął poważnie Barkhimkh. – Ponownie obwi-
niono cię o coś, czego nie zrobiłeś. Najprawdopodobniej zresztą
nie planowali zrobić ciębie, tylko któregoś z Bothan. Nie mieli
pewności, na którym piętrze wyjdzie na balkon, więc umieścili dwa
takie urządzenia: po jednym na każdym. Miałeś po prostu pecha
znaleźć się w jego pobliżu.

– Tak, teraz faktycznie przyłożyli się do oszustwa – mruknął
Han. – Ale zaraz! Dlaczego nie widziałem strzału snajpera? Ani
ja, ani nikt inny?

– Bo najprawdopodobniej używał Nightstingera, to karabin
snajperski firmy Xerrol strzelający wiązkami niewidzialnej dla
większości istot energii.

– Żartujesz?! – zdziwił się Han. – Nigdy nie słyszałem o ka-
rabinie blasterowym o podobnych właściwościach.

– Imperium nie reklamowało jego istnienia – odparł rzeczowo
Noghri. – Poza tym to naprawdę rzadka broń, ponieważ jej wady
przewyższają zaletę. Zaletę bowiem ma tylko jedną, za to wymaga
specjalnego gazu, którego pojemnik kosztuje tysiąc kredytów i wy-
starcza za ledwie na trzy do pięciu strzałów. Na odległość powyżej
trzystu metrów staje się także bardzo niecelny. Nie jest to więc
broń nadająca się do powszechnego użytku.

– Faktycznie – zgodził się Han. – Ale też nie jest to broń, któ-
rą ktoś miałby ze sobą przypadkiem.

– Zgadza się. Obojętne, kto by nie zaczął tej demonstracji, nie ulega wątpliwości, że w masakrę zamienili ją agenci Imperium.

– Ty to wiesz i ja to wiem: problem w tym, jak to udowodnić. To – Han podrzucił resztki urzędnika na dłoni – nie wystarczy jako dowód.

– Urządzenie jest jednorazowe i po strzale ulega samozniszczeniu. Wiedziałem, czego szukam tylko dlatego, że miałem z nimi wcześniej do czynienia, a ty dokładnie opisałeś to, co zaszło – przyznał spokojnie Barkhimkh.

– Kto teraz dowodzi imperialnymi wojskami? – spytał niespodziewanie Han po chwili ciszy.

– Admirał Pellaeon. Z pokładu „Chimaery”, niszczyciela klasy Imperial.

– Jeden z ludzi Thrawna? – upewnił się Han.

– Służył bezpośrednio pod nim jako dowódca jego okrętu flagowego. Wielu uważało go za głównego protegowanego wielkiego admirała.

– Rzeczywiście sporo się nauczył – warknął Han, oddając mu znalezione. – Spróbuj zachować to w jednym kawałku, dopóki nie wrócimy na pokład. I ani słowa Bothanom, ma się rozumieć. A co do pana admirała, to znajdziemy sposób, żeby wyrównać rachunki.

– Jak sobie życzysz, Hanie z klanu Solo – Noghri skłonił się ceremonialnie i schował szczątki do torby. – Zdołasz w jakiś sposób wykorzystać te informacje?

– Wykorzystam je na pewno – obiecał mściwie Han, któremu perspektywa odpowiedzialności za sześćdziesiąt ofiar niespecjalnie odpowiadała. – Możesz być pewien, że wykorzystam!

– Jak? – zaciekawił się Noghri.

– Pojęcia nie mam – przyznał z rozbrajającą szczerością Han.

ROZDZIAŁ

14

Wyszli z nadprzestrzeni i wokół pojawiły się gwiazdy – dotarli na miejsce.

Gdziekolwiek by się to miejsce znajdowało.

– Trzy planety w systemie – oznajmiła Faughn, tłumiąc ziewnięcie: niezależnie od rozkładu wacht chciała być przytomna, gdy dotrą do układu Nirauan, więc była.

A przy okazji była też niewyspana.

Mara, spoglądając na czerwoną gwiazdę stanowiącą systemowe słońce, zastanawiała się, czy opłacało się lecieć taki szmat drogi.

– Druga planeta wygląda na nadającą się do zamieszkania – zameldował Torve. – Atmosfera i temperatura są odpowiednie dla ludzi i...

– Coś leci – przerwał mu Elkin. – Namiar pięćdziesiąt trzy na siedemnaście.

Mara spojrzała na odczyty. Zgodnie ze zdrowym rozsądkiem „Starry Ice” wyszedł z nadprzestrzeni z włączonymi wszystkimi systemami wygłuszającymi, więc powinien być niewidoczny dla sensorów. Mieli jednakże do czynienia z nieznaną techniką i mogło się to okazać całkowicie zbędnym zabezpieczeniem.

– Dokąd leci? – spytała.

– Na drugą planetę... zaraz zobaczę, czy uda mi się ustalić, gdzie wylądaje – odparł Elkin.

– To taka sama jednostka jak ta, która omal nie staranowała niszczyciela Terrika? – zainteresowała się Faughn.

– Sądzę, że taka sama – Torve nie był do końca przekonany. – Bez aktywnego ekranu nie dowiem się niczego więcej.

– Mam! – ucieszył się Elkin. – Na północnej półkuli... dokładnie w tym miejscu. Tu są współrzędne.

– Jest tam coś ciekawego w pobliżu? – spytała Faughn.

– Nic oczywistego, a przynajmniej nie o odczytywalnej emisji energetycznej – poinformował ją Torve.

– Nie podoba mi się tu! – warknął nagle Elkin, bębniąc palcami po konsolocie. – Dlaczego nie mamy nic o tym systemie w banku danych? Otrzymał nazwę, więc ktoś musiał tu kiedyś być. Choćby tylko raz, ale jednak.

– Ktoś kiedyś na pewno – zgodziła się Shirlee. – Prawdopodobnie przelotem. Był w czasach Starej Republiki taki okres, kiedy wystarczyło znaleźć jakiś nowy system, przeprowadzić krótki skan form żywych i wystąpić o prawo własności. Prawo to nazywano „nazwać i posiadać”. W ten sposób na Zewnętrznych Odległych Rubieżach odkryto i nazwano masę układów, które znajdują się na mapach i o których nic nie wiadomo.

– Gdzieś o tym czytałam – wtrąciła Mara. – Tego prawa nadużywały zwłaszcza władze Sektora Wspólnego, a jesteśmy całkiem blisko jego granic.

– Zgadza się – przyznała Faughn. – W tym przypadku podzielałam zdanie Elkina: jeśli to czyjaś baza wojskowa, gdzie są systemy obronne? A przede wszystkim, gdzie sama baza?

– Nikt nie mówił, że to musi być baza militarna – przypomniała Mara. – Wiemy jedynie tyle, że używają nieznannej, obcej techniki. A w ogóle to jak długo będziemy tu tkwić, niczego nie zauważymy i niczego się nie dowiemy.

– Nie wiem... – westchnęła Shirlee. – Potwierdziliśmy, że to ten system, może powinniśmy wrócić po wsparcie?

– Nie potwierdziliśmy niczego poza tym, że koordynaty na mapach pokrywają się z rzeczywistym położeniem układu! – zirytowała się lekko Mara. – Nie wiemy, czy tu się mieści ich baza. Może to być jedynie miejsce spotkań w tym miesiącu. Jeśli teraz odlecimy, możemy ich już nigdy nie znaleźć.

– W zasadzie... – kapitan najwyraźniej nie miała ochoty na dokładniejsze badania systemu. – Za kilka godzin lądowisko znajdzie się za horyzontem, wtedy zbliżymy się do planety.

– A jeśli mają system wczesnego ostrzegania rozsiany po powierzchni całej planety? – spytał Torve.

– Coś trzeba założyć – Faughn wzruszyła ramionami. – To się nazywa „skalkulowane ryzyko”.

– Którego nie musi ponosić cały statek – dodała Mara. – Dysponujemy dwoma promami i myśliwcem, mam nadzieję że z systemem wygłuszającym.

– Bez – poinformowała ją Shirlee. – I bez hipernapędu. Defender na dobrą sprawę nie potrzebuje systemu wygłuszania, bo sam z siebie jest trudno wykrywalny. Jeśli nie mają naprawdę dobrych sensorów, a ty nie będziesz szaleć, powinnaś pozostać nie zauważona podczas całego przelotu.

Defender był najnowszym modelem myśliwca Nowej Republiki, którego posiadanie było podobno nielegalne, a który Karrde gdzieś załatwił.

Maszynę przeznaczono do walk wewnątrzsystemowych, stąd nie wyposażono jej w hipernapęd. Być może dlatego jakiś dowcipniś ochrzcił ją tak, jak nazywano jedną z wersji rozwojowych imperialnego myśliwca TIE.

– Doskonale – Mara na wszelki wypadek sięgnęła po Moc, ale jej zmysł niebezpieczeństwa nie wyczuwał niczego. – Poczekamy, aż miejsce lądowania znajdzie się po przeciwnej stronie planety. Przez te parę godzin sprawdzę Defendera. A potem się rozejrzę.

Z oddali planeta wyglądała szaro, ponuro i bezludnie. Z bliska bynajmniej nie przedstawiała się lepiej.

Porastała ją co prawda roślinność – kępa drzew o szerokich, przypominających wachlarz liściach i jakieś niskopienne rośliny niemożliwe do dokładnego obejrzenia przy szybkości, z jaką leciała, ale zestaw barw występujących na większości planet, które Mara odwiedziła, a było ich sporo, tę jakoś ominął. Wszystko ograniczało się do odcieni brązu i szarości, naprawdę wyjątkowo ubarwionych plamą ciemnego fioletu lub krwistej czerwieni. Mógł to być wynik adaptacji do ciemnego światła czerwonego słońca i może w podczerwieni rośliny okazałyby się całkiem kolorowe. Tylko jakoś w to nie wierzyła.

– Wlatuję między wzgórza – powiedziała głośno: do tablicy kontrolnej przyczepione miała urządzenia nagrywające, tak na wszelki wypadek. – Wyglądają na poszarpane i skaliste... ziemia, jeśli na nich była, dawno zniknęła w wyniku erozji. Nadal żadnych

śladów emisji energetycznych czy sensorów. Nikt nie próbuje mnie skanować.

Między dwoma wyższymi niż pozostałe i urwistymi wzgórzami, bezpośrednio przed dziobem myśliwca znajdował się wylot parowu.

– Mam wrażenie, że przede mną znajduje się jakaś rozpadlina, żleb albo coś... Nie, to całkiem duży, normalny wąwóz! – zwiększyła na moment wysokość, żeby sprawdzić, czy się nie myli: wąwóz faktycznie biegł w kierunku lądowiska, którego szukała, i wyglądało na to, że doleci nim tam. – Chyba znalazłam osłoniętą drogą prowadzącą prosto do celu, zaraz podam koordynaty.

Zrzuciła je prosto z komputera nawigacyjnego i wleciała w wąwóz. Jeśli nieznani „tamci” nie umieścili w nim czujników, była nie do wykrycia. Jeśli zaś umieścili, leciała prosto w zasadzkę. Jedynie, co jej pozostało, to polegać na swym zmyśle zagrożenia, który jak dotąd udawał, że nie istnieje.

Wąwóz z bliska okazał się taki, na jaki wyglądał z oddali – w miarę prosty, o szerokości od pięćdziesięciu do stu metrów i głębokości około stu, choć zdarzały się miejsca, w których miał i trzysta metrów. Tego typu rozpadliny skalne przeważnie żłobiły wartkie rzeki, ale tu nie dostrzegła nawet śladu po niej – dno było całkowicie suche. Ściany stanowiły szare skały o ostrych, poszarpanych kształtach, porośnięte krzewami i jakimiś pnączami. Zwykła logika i znajomość podstaw taktyki nakazywała przeprowadzenie ataku na odcinku kilku pierwszych kilometrów, gdy pilot dopiero przyzwyczajał się do lotu między skalnymi ścianami, ale mimo iż skoncentrowała się jak potrafiła i użyła Mocy, nie była w stanie wyczuć żadnego zagrożenia. Leciała więc dalej, na wszelki wypadek obserwując także zielonkawie niebo.

Wąwóz rozszerzył się, zwęził, potem ponownie rozszerzył, tracąc jedną ze ścian, która zawałiła się i otworzyła drogę na porośniętą lasem okolicę. Po kilkunastu sekundach dolina zniknęła, a z lewej ponownie wyrosła skalna ściana, ale przybyło roślinności, ilościowo i gatunkowo – porastała prawie całe ściany. Pojawiło się też coś innego, czego dotąd nie było...

– W zboczach pojawiły się otwory, ale lecę zbyt szybko, a one są za głębokie, bym mogła w nie zajrzeć. Na pierwszy rzut oka nie wyglądają naturalnie. To może być kolonia jakichś istot latających lub potrafiących się wspinać albo część systemu wczesnego ostrzeżenia. Proponuję, żeby następna maszyna miała znacznie bardziej

czułe sensory niż... Moment... – zwołniała, przyglądając się temu, co wyłoniło się zza skalnego załomu. – Chyba znalazłam... wygląda na wylot jaskiń. Jest w prawej ścianie i wydaje się wystarczająco duży, by jednostki, które widzieliśmy, mogły spokojnie z niego korzystać. Teraz muszę zdecydować, czy lepiej tam wejść, czy wlecieć...

Zatrzymała maszynę, przełączając napęd na grawitacyjny, i zastanowiła się – jeśli wleci, będzie miała możliwość ucieczki i siłę ognia, ale z drugiej strony, jak dotąd nic nie wskazywało, by ktokolwiek się nią interesował. Albo jej nie zauważyli, albo nie uważali za zagrożenie. Poza tym na piechotę powinna znacznie dalej dotrzeć bez wywoływania alarmu niż w uzbrojonym myśliwcu.

– Wchodzę – zdecydowała głośno, łądując obok kępy krzaków. – Dotychczas nie było żadnych wrogich reakcji i chcę utrzymać ten stan rzeczy, jak długo się da. Ale na wszelki wypadek biorę oba miotacze i miecz. To powinno wystarczyć, jakby co.

Ze schowka w prawej burcie wyjęła miotacz BlasTech, który umieściła w kaburze na biodrze, i drugi, mały, wystarczający jedynie na kilka strzałów, który wsunęła do sprężynowej kabury na lewym przedramieniu. Całość zasłaniał rękaw i nie raz już broń nie została wykryta przy pobieżnej rewizji. Miecz świetlny przypięła do pasa, uśmiechając się smętnie – kiedyś należał do Luke'a, wykonany jeszcze przez Anakina Skywalkera, a przekazany Luke'owi przez Obi Wana Kenobiego na Tatooine. Luke dał go jej po zniszczeniu magazynu Imperatora wewnątrz góry Tantiss.

Wtedy byli sprzymierzeńcami. Teraz...

Teraz sama nie wiedziała, kim byli, a raczej jaki był Luke.

Bioskan pisnął, potwierdzając analizę atmosfery – nie odkrył w niej toksyn ani mikroorganizmów groźnych dla człowieka poddanego pełnoskalowemu uodpornieniu, jakie przeszła. No i nadała się do oddychania.

Przestała myśleć o Skywalkerze, wyłączyła napęd, przełączyła systemy myśliwca na czuwanie i sprawdziła, czy nagrywarka połączona jest z nadajnikiem, a całość ustawiona na transmisje impulsowe.

– Wokół panuje spokój – oceniła. – Zabieram komling sprzęgnięty z nadajnikiem.

Urządzenie przypięła do kołnierza, żeby mieć obie ręce wolne, i otworzyła osłonę kabiny. Powietrze było chłodne i świeże, o subtelnie egzotycznym zapachu trudnym do jednoznacznego okre-

ślenia. Odpięła pasy bezpieczeństwa, wstała i ze schowka za fotelem wyjęła plecak z żelaznymi racjami i wyposażeniem pozwalającym przeżyć w wypadku kraksy. Następnie zamknęła i zabezpieczyła przed otwarciem kabinę i zeskokczyła na ziemię. Trawopodobna roślinność miała krótkie, szerokie źdźbła, ale nie tamowała ruchu. Idąc nasłuchiwała, lecz poza szelestem liści na wietrze nie wychwyciła żadnego innego dźwięku. Wiedziała, że nie jest sama, pomimo braku dźwięków – w otworach, którymi usiane były zbocza, czaiły się jakieś zwierzęta: czuła ich obecność. I wiedziała, że jeśli nie wszystkie, to przynajmniej znaczna ich część ją obserwuje...

– Mogłam się pomylić – powiedziała, zakładając plecak i wyciągając broń z kabury. – To może być zwyczajna jaskinia. Zaraz się przekonamy...

Ostrożnie dotarła do wejścia i wyjrzała zza skalnej ściany. To faktycznie była zwykła jaskinia: brudna, naturalnego pochodzenia i duża, gdyż jej tylna część ginęła w ciemności. Podłogę przy wejściu pokrywała gruba warstwa liści, dalej zaś panował mrok. W samym wejściu wisiały pajęczynopodobne twory, poruszające się w podmuchach wiatru. W powietrzu panowała lekka wilgoć, typowa dla odległego zbiornika wodnego pozbawionego odpływu. Mara schowała broń, czując się nieco głupio i jakby trochę oszukana.

– Jestem przy wejściu. Jeśli to zamaskowane lądowisko, ktoś musiał tu odwalić niesamowity kawał roboty.

Cofnęła się o krok i osłaniając oczy spojrzała w górę zbocza. Poza skałami nie dostrzegła niczego, sam zaś wąwóz skręcał nieco w prawo. Bardziej z ciekawości niż z jakiegokolwiek innego powodu minęła wejście i wyjrzała za skalny nawis blokujący dalszy widok w głąb wąwozu.

I omal jej nie zatchnęło z wrażenia – wprost przed nią, o jakieś dziesięć kilometrów dalej, wąwóz kończył się stromą ścianą, na której szczycie znajdował się czarny budynek wyraźnie kontrastujący z bladym kolorem nieba.

A raczej nie budynek, tylko forteca.

Odetchnęła głęboko i powiedziała, siląc się na spokój, co było tym trudniejsze, że widok tej czarnej budowli wzbudzał w niej dreszcz.

– Znalazłam ich. Na końcu wąwozu jest ściana, na której stoi czarna forteca – wyjęła z pokrowca makrolornetkę i przyjrzała się budowli. – Wygląda na zbudowaną z czarnego kamienia i przypo-

mina mi opuszczoną fortecę na Hijarn, której czasami używamy jako miejsca spotkań. Widzę trzy wieże i coś, co mogłoby być czwartą, gdyby nie zostało zniszczone przy samej podstawie. Prawdę mówiąc... jeśli spojrzy się na budynek z innej strony i z góry... tak, nie ulega wątpliwości, że tam była wieża. Co więcej, strzał, który ją zniszczył, wyorał także ten wawóz! Prawdę mówiąc, nie znam broni, która mogłaby to zrobić: superlaser Gwiazdy Śmierci jest zbyt silną bronią, a niszczyciel dowolnej klasy ma wprawdzie wystarczającą siłę ognia, ale tu nie było salwy, ponieważ okolica jest nienaruszona, tu był tylko jeden strzał! Cóż... sądzę, że to będzie mój następny przystanek.

Schowała makrolornetkę, odwróciła się i ruszyła w stronę myśliwca. Przechodząc przed wejściem spojrzała w głąb jaskini i ledwie dotarła do przeciwległej ściany, zamarła. Coś spowodowało, że jej zmysł zagrożenia nagle ożył. Przytulona do skały czekała i nasłuchiwała.

Po dłuższej chwili usłyszała słaby, odległy dźwięk silnika charakterystycznego dla latającego pojazdu.

– Obawiam się, że mam towarzystwo – powiedziała cicho, rozglądając się po niebie. Nie dostrzegła niczego, ale dźwięk zbliżał się.

Ostrożnie cofnęła się w głąb jaskini, nie spuszczać wzroku z nieba, i nagle zmysł niebezpieczeństwa zawył pełną mocą. Odwróciła się na pięcie, jednocześnie opadając do przysiadu i sięgając po miotacz, ale wiedziała, że nie zdąży. Z prawej, z głębi jaskini wypadł jakiś ciemny kształt, przeleciał obok niej, owiewając jej twarz ciepłym oddechem, zakręcił i odleciał z powrotem w mrok. Na wszelki wypadek strzeliła i w blasku trafienia dostrzegła nie obrobione ściany i zwisające skalne iglice. I następny latający cień. Wycelowała w jego stronę, kiedy znad jej głowy opadł nagle drugi cień, zręcznie wyluskując jej miotacz z ręki. Zaklęła głośno, lewą ręką odczepiła od pasa miecz, uaktywniła ostrze i płynnym ruchem przerzuciła go do prawej dłoni.

Nagle cała jaskinia zamarła.

Może nie było to najładniejsze określenie, ale najtrafniejsze – kimkolwiek czy czymkolwiek były te latające stworzenia, teraz zaczęły ją obserwować w nowy sposób.

I przemawiać nowym głosem.

Bowiem w jaskini dał się słyszeć nowy dźwięk – cichy pomruk wielu głosów. W jaskini albo w jej umyśle...

Powoli cofnęła się do płytkiego zagłębienia w ścianie, oparła się o nie plecami i skoncentrowała się na Mocy. Głosy zabrzmiały wyraźniej, ale pozostały na denerwującym pograniczu – prawie je rozumiała, a jednak nadal pozostawały niezrozumiałe.

– Śliczne, żeby to nagła krew zalała! – warknęła. Zbliżał się obcy, prawdopodobnie wrogi pojazd latający, a ona tkwiła tu unieruchomiona przez nie wiadomo co, tyle że równie obce i wystarczająco inteligentne, by odebrać jej broń i próbować się komunikować. – Gdzie, do cholery, włóczy się Skywalker?! Jak go potrzeba razem z tymi wszystkimi sztuczkami, to nigdy nie ma go pod ręką!

Przez jaskinię przeszło coś, co można było określić jedynie jako emocjonalny wstrząs sejsmiczny. Głosy stały się wyraźniejsze, ale nadal pozostały jedynie prawie zrozumiałe.

– Znacie Skywalkera? – spytała zaskoczona.

Tym razem w głosach dało się wyczuć frustrację.

– Też mam tego dosyć! – parsknęła. – Dalej: gadać albo myśleć zrozumiale! Co Skywalker ma z wami wspólnego?

Jeśli padła odpowiedź, Mara nigdy jej nie usłyszała, ponieważ od strony wejścia dobiegł nowy dźwięk i odwróciła się, przyjmując klasyczną pozycję szermierczą i oburącz ujmując rękojeść miecza. A w następnej sekundzie zamarła, i to w dodatku z opuszczoną szczęką.

Do jaskini powoli i niezgrabnie ni to wlatywał, ni to wpełzał kłęb ciemności. Składały się nań dziesiątki nieco przypominających mynocki stworzeń szaleńczo machających skrzydłami oraz jej własny myśliwiec wsparty na plecach kolejnych kilkudziesięciu stworzeń. Te w powietrzu trzymały płatowiec pazurami wszędzie tam, gdzie mogły znaleźć uchwyt i całość powoli, lecz stale zmierzała w głąb jaskini.

– Co tu się, do cholery, wyprawia?! – warknęła, odzyskując zdolność mowy, i skoczyła w stronę myśliwca.

Jej stopa trafiła na stertę zeschniętych liści i pojechała jak po lodzie, a gwałtowna próba odzyskania równowagi przez nagły skręt ciała skończyła się aż za dużym sukcesem – poleciała w drugą stronę. Kątem oka dostrzegła zbliżający się błyskawicznie ostry fragment ściany i ktoś zgasił światło.

Mara budziła się stopniowo, boleśnie i nieprzyjemnie. Z jednej strony głowy włosy miała sklezione na podobieństwo pancerza,

jak podejrzewała swoją własną krewią, a w dodatku jej oczy za nic na świecie nie chciały się otworzyć. Dopiero po prawie półprzymotomnej minucie usłyszała sobie, że oczy ma otwarte, tylko wokół jest zbyt ciemno, by cokolwiek dostrzec.

– Uch... – jęknęła, zastanawiając się ocieżale, czy była nieprzytomna tyle czasu, że zapadła noc, czy też wciągnięto ją tak głęboko, że nie docierało tu już dzienne światło.

Plecak miała przy sobie, więc wyjęła z niego latarkę i zapaliła.

Faktycznie zaciągnięto ją w głąb jaskini, a na dodatek zapadła noc. Spojrzała z obawą na chronometr i zakłęła pod nosem – straciła przytomność na dłużej, niż się spodziewała: minęły prawie trzy godziny. Albo łupnęła w ścianę mocniej, niż sądziła, albo jej porywacze upuścili ją parę razy po drodze. Oświetliła ściany i sufit jaskini, porównując je z migawkowymi obrazami, które zapamiętała, gdy oświetliła ją strzałem z miotacza. Nic się nie zgadzało, więc musiała znaleźć się co najmniej trzydzieści do pięćdziesięciu metrów od wejścia. Niby niedaleko, ale pozostała kwestia odśledzenia myśliwca, którego w zasięgu światła nie dostrzegła. Zresztą to też nie rozwiązywało sprawy.

Nadajnik został ustawiony tak, by wysłał całą nagraną informację albo gdyby wyłączyła komling, albo w kwadrans po jej ostatnim słowie. Co oznaczało, że na „Starry Ice” odebrano cały pakiet już przed ponad dwiema godzinami. I to wraz z ostatnim, nie artykułowanym acz wymownym okrzykiem, gdy zrozumiała, że zaraz własnoręcznie pozbawi się przytomności. Pozostało pytanie, co zrobiła Faughn, na które istniała jedyna, logiczna odpowiedź: nie mając na pokładzie myśliwców, nie mogła zrobić nic poza ryzykowaniem całego statku w misji ratunkowej, co byłoby głupotą do niej niepodobną. Zwłaszcza że tylko tam mieli wiadomości z dotychczasowego przebiegu misji zwiadowczej. Zgodnie z logiką powinna zatem odlecieć po posiłki i znając Shirlee Mara wiedziała, że tak właśnie postąpiła. A ponieważ Defender nie miał hipernapędu, oznaczało to, że jest tu uziemiona.

– Pewnie mogłabym iść do fortecy i spytać, czy nie mają pokoju do wynajęcia – mruknęła, wiedząc, że jest to jeden z głupszych pomysłów, na jakie wpadła.

Ledwie to powiedziała, prawie zrozumiała głosy, które nadal słyszała, zabrzmiały ze zdecydowaną dezaprobatą.

– Spokojnie! – warknęła. – I tak nie nadaję się do dłuższego marszu!

W końcu to była ich wina, że rozbiła sobie głowę i znalazła się w takim położeniu. Choć z drugiej strony być może zawdzięczała im życie – skąd miała wiedzieć, kto leciał tym czymś, co słyszała, i jakie miałyby względem niej zamiary, gdyby ją znalazł? W sumie nie znajdowała się w najgorszej sytuacji, no i nie była to sytuacja permanentna – w ciągu jakichś dwóch tygodni Talon przyśle dobrze wyposażoną ekipę ratunkową i wyciągnie ją stąd. Ponieważ do jakichkolwiek pieszych wycieczek rzeczywiście się nie nadała, dopóki nie odzyska sił i nie zrobi czegoś z raną i skorupą z włosów na głowie, umieściła latarkę w zagłębieniu w ścianie, zdjęła plecak i zabrała się do przygotowywania miejsca do spania.

ROZDZIAŁ

15

Lando spojrział na siwiejącego mężczyznę siedzącego po drugiej stronie stolika i unoszącego właśnie kubek do ust.

– Żartujesz?! – spytał, nie podnosząc głosu. – Pięćdziesiąt tysięcy za miesiąc?

– Bierz albo nie, mnie nie robi – tamten wzruszył wymownie ramionami. – Ale jak się chce wynająć najlepszych, należy być przygotowanym na koszty.

– Nie wygłupiaj się! – warknął Lando. – Rozmawiasz ze mną, nie z jakimś wsiakiem z zadupia, Reggi. Obaj dobrze wiemy, że Soskińska Gwardia marzy, żeby znaleźć się w pobliżu najlepszych. Bezskutecznie.

– Może tak, a może nie, ale są najlepsi, jakich możesz mieć.

– Posłuchaj: chodzi mi o ochronę transportów rudy, nie o inwazję na Alion czy abordaż niszczyciela.

– Szkoda – Reggi otarł usta rękawem. – To byłoby zabawniejsze i mogliby ci dać specjalny upust.

– Chyba nie zrozumiałeś, więc powiem drukowanymi – westchnął Lando, mając to samo uczucie bezradności, co przez ostatnie dziesięć dni. – Nie mówimy o robocie wartej takie pieniądze! Mówimy o jednym transporcie rudy miesięcznie z Varnu i czterech do pięciu przewozach pasażerskich tam i z powrotem, konkretnie o gościach do i z kasyna. Wszystko razem jest warte jakieś pięć tysięcy miesięcznie.

– To ty nie rozumiesz – Reggi również westchnął i rozejrzał się po knajpie, w której siedzieli, po czym wskazał na stolik, przy

którym urzędowała naradzająca się grupa rogatych istot. – Widzisz tych Claterian? Mają tak coś z sześćsetletni spór z Nhorami, którego pięć pokoleń Jedi nie było w stanie zakończyć. Słyszałeś może o tym?

– Słyszałem.

– To dobrze. Widzisz, ostatni brak reakcji na rozmaite wydarzenia, jakim cechuje się postępowanie władz Nowej Republiki, uświadomił tak im, jak i wielu innym rasom, że nikt poza ich sektorem nie interesuje się już tym, co się w tym sektorze dzieje. Ergo, można spokojnie zacząć walczyć na nowo. Claterianie mieli całkiem dobre wojsko, ale przez lata siedzieli pod kuratelą Imperium, więc nie są na bieżąco z techniką i taktyką. Nhorowie mieli więcej szczęścia albo pecha: to zależy od punktu widzenia, ponieważ Imperium ich zignorowało, gdyż ostatnią wojnę przerznęli, i teraz w zasadzie w ogóle nie mają sił militarnych.

– Więc wynajęli najemników – dodał ciężko Lando.

– Dokładnie. Konkretnie Dhashaańskie Tarcze, i to ze starym Dharusem, którego przekonali, żeby zrezygnował z emerytury i zajął się logistyką i strategią. Mają zapewnioną obronę całego systemu za trzydzieści tysięcy. Dziennie. – Reggi potrząsała głową, jakby nadal nie wierząc w to, co się działo. – To raj dla najemników, Lando. Wszyscy chcą wyrównać stare porachunki i każdy, kto ma statki i ludzi obeznanych z walkami, może na tym zbić majątek. A kto w galaktyce nie ma jakiejś urazy, czy paru, obojętne: starych czy nowych? Teraz dla odmiany Claterianie czują się zagrożeni i werbują, jak to określają, „doradców technicznych”.

– Ale ty mówisz o regularnej wojnie – Lando spróbował jeszcze raz. – A ja o ochronie statków przed piratami.

– Niektóre bandy są gorsze od sił systemowych, a służba konwojowa jest znacznie bardziej męcząca.

– Słuchaj no, Reggi...

– Jeśli masz zamiar znowu wyciągnąć Taanab, to się nie wysilaj – przerwał mu niespodziewanie Reggi. – Wyciskasz tę dawno zapomnianą historię już ze dwadzieścia lat. Skończyły się dawne zobowiązania: odwdzięczyłem ci się już z nawiązką.

– Zawsze miło jest spotkać się z wdzięcznością – odpalił lodowato Lando, wstając. – Miłego dnia, Reggi, i dobrej zabawy z wojną, którą sobie wybierzesz.

Popołudniowe słońce było szczególnie jaskrawe po półmroku lokalu, toteż Lando dobrą minutę stał przy wejściu, czekając, aż

przed oczyma przestaną mu latać mrocзки i zastanawiając się, czy dalsze poszukiwania mają jakikolwiek sens. Wyszło mu, że nie mają: każda grupa warta wynajęcia albo już miała zajęcie, albo czekała na propozycję atrakcyjniejszą od konwojowania ładunków. No i naturalnie na wyższe zarobki, niż mógł zaoferować.

Po prawie dwóch dekadach wyniszczającej wojny w galaktyce wreszcie zapanował względny spokój... a jej mieszkańcy nie mieli nic lepszego do roboty, tylko wrócić do zadawnionych waśni o miedzę i wojenek o dawno zapomniane krzywdy, które Imperator im po chamsku, ale za to dokładnie przerwał. Paranoja!

Wniosek był tyle logiczny, co przygnębiający, ale prowadził do kolejnego – mianowicie, że nic tu po nim, więc Lando ruszył w stronę portu kosmicznego.

Zgiełk tłumu dotarł do uszu Lando Calrissiana na długo przedtem, nim dotarł do lądowisk. Tłum był całkiem pokaźny: liczył co najmniej trzysta sztuk z rozmaitych ras i kręcił się przed wejściem na Stanowisko Sześćdziesiąt Sześć. Był też lepiej zorganizowany niż zazwyczaj – miał transparenty z żądaniem sprawiedliwości za Caamas. Co, ma się rozumieć, nie przeszkadzało w skandowaniu podobnych haseł.

Lando był w takim humorze, że z przyjemnością przepchnąłby się przez demonstrację i popyskował z uczestnikami, co dobrze by wpłynęło na jego nerwy. Wszechświat okazał się jednak niesprawiedliwy i nie dał mu do tego okazji, gdyż „Lady Luck” zajmowała Stanowisko Sześćdziesiąte Ósme, do którego manifestanci w żaden sposób nie blokowali dojścia ani przejścia. Mrużąc pod nosem wyszukane inwektywy pod adresem darmozjadów nie mających nic lepszego do roboty, jak protestować przeciwko czemuś, co miało miejsce na długo przed ich narodzeniem, minął demonstrację i skierował się do wejścia oznaczonego numerem sześćdziesiąt osiem. Nie ulegało wątpliwości, że im szybciej opuści Cilpar, tym lepiej.

Znajdował się już już dobre dziesięć metrów za zbiegowiskiem, gdy dotarło doń coś tak oczywistego, że poprzednio nie zwrócił na to uwagi – demonstracje zawsze kierowano przeciwko Bothanom, obojętne: kupcom, dyplomatom czy turystom. A w Mos Tommo nie było Bothan, bowiem zwyczajowo używali innego portu kosmicznego na Cilpar.

To o co chodziło tym razem? A raczej o kogo?

Na wszelki wypadek obserwując spod oka manifestację, Lando cofnął się w pobliską alejkę i kiedy demonstranci zniknęli za zakrętem, wyciągnął z kieszeni komling. Przełączył go na system łączności pokładowej i wybrał kanał wieży kontrolnej.

– Tu Lando Calrissian, Stanowisko Sześćdziesiąt Osiem – podał identyfikację, gdy zgłosił się kontroler. – Chciałbym wiedzieć, kto zajmuje Stanowisko Sześćdziesiąte Szóste.

– To nie będzie potrzebne – odezwał się niespodziewanie ktoś za jego plecami.

Lando odwrócił się, odruchowo sięgając po broń, ale zamarł z dłonią na kolbie miotacza. O kilka metrów od niego stała para białowłosych Diamalan w oficjalnych strojach dyplomatycznych.

– Nie? – mruknął. – W czym mogę pomóc?

– Zaraz to wyjaśnię – odezwał się wyższy. – Najpierw proszę pozwolić, że się przedstawię: jestem Porolo Miatamia, senator Nowej Republiki. Jeżeli dobrze słyszałem, mam przyjemność z generałem Calrissianem.

– Byłem generałem – poprawił Lando, wyłączając komling i puszczając kolbę miotacza: demonstracja zaczynała mieć mimo wszystko sens. – Podejrzewam, że nie jest to przypadkowe spotkanie?

Miatamia uśmiechnął się chłodno, czyli w jedyny sposób, w jaki Lando widział uśmiechających się przedstawicieli jego rasy.

– To słuszne podejrzenie. Mój sekretarz zauważył pana pięć przecznic temu – oszczędnym ruchem wachlarzowatego ucha wskazał swego towarzysza. – Szliśmy równoległe, starając się znaleźć sposób na potwierdzenie pańskiej tożsamości.

– Potwierdziliście ją – przypomniał Lando, którego zawsze irytowało obchodzenie tematu i grzeczności, w czym specjalizowali się Diamalanie. – Co konkretnie mogę dla was zrobić?

– Mój statek znajduje się na Stanowisku Sześćdziesiątym Szóstym – senator zastrzygł uchem w stronę tłumu. – Jak widać są... osobnicy, którzy nie aprobują stanowiska mojego rządu w kwestii bothańskiej.

– Tak, słyszałem – przyznał Lando, zastanawiając się przelotnie, kiedy to „sprawa Caamas” stała się „kwestią bothańską”. – Wasz rząd chce wybaczyć i zapomnieć albo coś zbliżonego.

– Woli pan bezsensowną zemstę na niewinnych? – Miatamia spojrzął na niego uważnie.

– Spokojnie, to jest polityka, którą nie zajmuję się od dawna. Jestem zwykłym człowiekiem interesu próbującym zarobić na życie!

– Niech i tak będzie – zgodził się po chwili senator, strzygąc uchem. – W każdym razie protestujący uniemożliwiają nam dotarcie do naszego statku. Zwróciłem się więc do władz portu kosmicznego, by ich usunęto i umożliwiono nam odlot.

Lando przytaknął – po zeszlotygodniowych zamieszkach na Bothawui doskonale rozumiał niechęć rozmówcy do przepychania się przez tłum.

– Niech zgodnę: władze nie kiwną palcem – wtrącił.

– Nie warto zgadywać, mogę przytoczyć ich odpowiedź! Jej sens sprowadza się dokładnie do tego, co pan powiedział. Opuszczaliśmy ich biura, gdy zauważyliśmy pana.

– Rozumiem wasze położenie, ale nadal nie wiem, jak mogę wam pomóc.

– Chciałbym prosić, aby pan użył swego stanowiska i wpływów i przekonał lokalne władze do pomocy – Miatamia zastrzygł drugim uchem, a Lando z trudem opanował pusty śmiech.

– Chciałbym wam pomóc, ale tak się składa, że mój wpływ ograniczony jest do niewielkiej liczby przyjaciół i współpracowników, z których aktualnie nikogo nie ma na tej planecie. Stanowiska nie mam, jak powiedziałem na początku naszej rozmowy, więc nic nie poradzę na upartego urzędasza.

– Rozumiem – Miatamia milczał przez moment. – W takim razie być może zechce pan przemówić do zgromadzonych. Jako bohater Rebelii powinien pan wyrzucić na nich uspokajający wpływ.

Tym razem Lando nie zdołał się opanować i prychnął pogardliwie.

– Szczerze wątpię, aby moje dawne zajęcia miały jakikolwiek wpływ na tych tam. W ostatnich latach daje się zauważyć niezdrowa acz powszechna tendencja do zapominania, że Galaktyczna Wojna Domowa w ogóle miała miejsce.

– A zatem odmawia pan pomocy?

– Nie odmawiam – Lando zmusił się do cierpliwości: w rozmowach z Diamalanami cały problem leżał w języku, ponieważ mieli skłonności do używania normalnych słów w nienormalny sposób, co było jednym z powodów, dla których nie lubiano prowadzić z nimi interesów. – Po prostu tłumaczę, dlaczego nie mogę zrobić niczego z proponowanych przez pana rzeczy. Inaczej mó-

więc, nie jestem w stanie pomóc wam w dostaniu się do waszego statku. Natomiast jeśli zadowolili was dotarcie na Coruscant czy inną planetę, to zupełnie inna sprawa.

– Proszę wyjaśnić – senator z wrażenia zastrzygł obojgiem uszu.

– Mój statek jest na Stanowisku Sześćdziesiątym Ósmym i będą zaszczycony, mogąc was dostarczyć do dowolnie wybranego przez was miejsca, o ile znajduje się ono na terenie Nowej Republiki – odparł uroczyście Lando.

– Członkowie załogi również nie mogą przedostać się na nasz statek – po raz pierwszy odezwał się sekretarz. – Czy pańska propozycja ich także dotyczy?

– Myślałem raczej o was dwóch – przyznał Lando. – Mój statek ma dość ograniczoną ilość kabin i przestrzeni życiowej. W dodatku wydaje mi się, że tłum nie jest zainteresowany członkami załogi, lecz raczej zwróceniem uwagi senatora. Kiedy pan opuści planetę, przestaną protestować i rozejdą się, a wtedy załoga bez trudu dostanie się na wasz statek.

– Mówi pan rozsądnie – ocenił Miatamia. – Teraz proszę podać cenę.

– Proszę to potraktować jako uprzejmość, senatorze – Lando płynnym ruchem wskazał drogę do portu. – To dla mnie zaszczyt móc gościć tak szacowne osoby na pokładzie.

– Proszę podać cenę – Miatamia nawet nie drgnął. – Wszystko ma swoją cenę, uprzejmość także.

I to by było na tyle jeśli chodzi o subtelne podejście. Lando skrzywił się w duchu, zły na samego siebie: powinien wiedzieć, że do konkretnej rozmowy dojdzie tu i teraz, a nie po starcie na pokładzie „Lady Luck”.

– To jest uprzejmość – powtórzył. – Jednakże przyszła mi do głowy pewna myśl. Otóż moje podmorskie mają problem z wysyłaniem urobku poza planetę, z uwagi na rajdy pirackie. Przyszło mi na myśl, iż być może udałoby mi się osiągnąć obustronnie korzystne porozumienie z diamalańskimi siłami zbrojnymi dotyczące bezpieczeństwa moich transportów.

– Głównym celem diamalańskich sił zbrojnych jest ochrona diamalańskich interesów – oznajmił Miatamia. – Co jednakże nie wyklucza możliwości przedyskutowania pańskiego pomysłu.

– Dziękuję serdecznie. Uczciwa dyskusja to wszystko, o co proszę – ucieszył się Lando. – Czy możemy już ruszać?

Wędrówka była krótka i tylko nieco gorsza, niż Lando się spodziewał. Ponieważ obaj politycy odmówili pośpiechu, o bieganii nawet nie wspominając, gdyż uwłaczało to ich godności, byli w połowie drogi do drzwi, kiedy zauważył ich któryś z demonstrantów. Ponieważ zaś Lando od zawsze ponad godność stawiał instynkt samozachowawczy, gdy to nastąpiło, zdążył już otworzyć drzwi. W sumie Diamalanie dotarli do Stanowiska Sześćdziesiąt Osiem jedynie z paroma zaciekami od celniej rzuconych zgniłych upominków. Gnającym manifestantom Lando zamknął drzwi przed nosem i zablokował.

– Barbarzyńcy! – oznajmił lodowato sekretarz. – Żadna inteligentna istota nie powinna mieć prawa do takiego ponizania innej!

– Uspokój się – Miatamia odezwał się tym samym tonem, strzepując resztki jakiegoś owocu z rękawa. – Niewiele jest ras posiadających mądrość czy też zdolność właściwego analizowania charakteryzujące naszą rasę. Zamiast uznawać ich za barbarzyńców lub przestępców zasługujących na karę, potraktuj ich jako dzieci, które potrzebują po prostu wychowania, by zachowywać się cywilizowanie. Zgodzi się pan ze mną, panie Lando?

– Przede wszystkim sugeruję odłożenie tej dyskusji, dopóki nie znajdziemy się na pokładzie, a najlepiej dopóki nie opuścimy bezpiecznie tej planety.

– Rozsądnie pan mówi – senator zastrzygł uszami. – W takim razie proszę prowadzić.

Tierce uniósł głowę znad ekranu i już po jego minie Disra wiedział, że tamten znalazł to, czego szukał.

– Ma pan cel? – spytał na wszelki wypadek.

– Mam: senator Porolo Miatamia, Diamalanin. I nigdy się pan nie domyśli, z kim wybrał się na przejażdżkę – Tierce przekreślił ekran, żeby Disra mógł sam przeczytać.

– Wolne żarty! – zdziwił się moff. – Z Lando Calrissianem?!

– To nie żarty i nie błąd. Agent, który o tym zameldował, sprawdził najpierw wykaz startów w kapitanacie portu kosmicznego Mos Tommro. Calrissian, senator i jego sekretarz odlecieli na pokładzie jachtu Calrissiana „Lady Luck”.

– Aha – mruknął Disra, rozumiejąc samozadowolenie oficera: Diamalanie byli nawet głośniejszymi zwolennikami „przeba-

czyć i zapomnieć” niż Mon Calamari, toteż stanowili idealny wybór dla małego przedstawienia, a to, że weźmie w nim udział przyjaciel Hana Solo, zakrawało na dodatkową premię. – Dokąd się udają... aha, na Coruscant.

Tierce bez zwłoki wyświetlił mapę i zlecił komputerowi obliczenie.

– Zakładając, że lecą prosto na Coruscant i nie będą się nigdzie zatrzymywać, powinniśmy ich przechwycić bez kłopotów. Jedyne problemy tkwią w tym, czy Flim i ja zdążymy dotrzeć na pokład „Relentless”, zanim niszczyciel złapie jacht.

– Nie wyglądałoby dobrze, gdyby musieli czekać – ostrzegł Disra. – To ma przypominać każdy, niby to przypadkowy, a w rzeczywistości starannie zaplanowany chwyt, z jakich słynął Thrawn.

– Proszę łaskawie nie uczyć mnie, na czym polega mój własny plan – odpalił chłodno Tierce, nie przerywając obliczeń. – Jest... na styk co prawda, ale powinniśmy zdążyć.

– Faktycznie – zgodził się Disra, spoglądając na wynik. – Przyznaję raz jeszcze, iż nie jestem zachwycony pańskim pomysłem, majorze. Nie mam pojęcia, jaka może być reakcja władz Nowej Republiki.

– Ależ wiemy – Tierce starał się jak mógł nie okazywać zniecierpliwienia. – Tłumaczyłem już panu to wszystko, prawda?

– Przedstawił mi pan swoje przypuszczenia – poprawił go Disra.

– Jeśli boi się pan niewielkiego stosunkowo ryzyka, nie powinien się pan w ogóle brać za zrealizowanie tego pomysłu – ton Tierce’a wyraźnie ochłodził. – Jeszcze nie jest za późno, żeby się wycofać, skoro stracił pan nerwy, Disra.

– To nie jest kwestia moich nerwów, majorze – warknął Disra. – To kwestia niepodjęcia zbędnego ryzyka.

– A ono akurat jest niezbędne, może mi pan wierzyć – odparł spokojnie Tierce. – Teraz do roboty: potrzebujemy krążownika klasy Interdictor i chciałbym przypomnieć, że nie mamy zbyt wiele czasu.

Disra zmusił się do przemilczenia reszty argumentów – Tierce powiedział mu o swoim pomysle dopiero po powrocie z Yaga Minor i moff do tej pory nie miał pojęcia, jak dał się przekonać. Skoro jednak w końcu mieli to zrobić, należało zrobić to dobrze.

– Jasne. Jakby się pan tak wyniósł z mojego fotela, majorze, to mógłbym wydać odpowiednie rozkazy.

ROZDZIAŁ

16

– I cóż, generale Hestiv? – spytał Pellaeon, siadając wygodniej i biorąc od gospodarza pucharek kareasjańskiej brandy. – Jak się mają sprawy na Yaga Minor?

– Tak jak zawsze, sir – odparł zapytany, pokazując szerokim gestem odległą planetę za oknem i ujął swój pucharek brandy. – Cicho i spokojnie.

– Jak słyszałem, ostatnio były pewne niepokoje wśród mieszkańców.

– Drobnostka. Prawdę mówiąc, ponieważ przeważająca większość populacji jest całkowicie lojalna, dysydentami zajęli się sami, jak zawsze zresztą. Jeżeli musimy interweniować, to raczej po to, by bronić ich przed zbyt zapalczywymi zwolennikami Imperium.

– Co pozwala panu postępować moralnie i być z tego dumnym.

– W rzeczy samej – zgodził się Hestiv. – I stanowi miłą odmianę od standardowego wyobrażenia, jakie mają o nas inne rasy inteligentne.

– Szkoda, że Imperator zaniedbał takiego podejścia dwadzieścia lat temu – mruknął Pellaeon, upijając łyceczek.

– Szkoda, że ktoś, kto nie był zaślepiony władzą, nie obalił go, gdy to jeszcze było możliwe – dodał Hestiv z odcieniem smutku w głosie. – Mieliliśmy wtedy setki kompetentnych administratorów i zdolnych oficerów, którzy mogliby pokierować Imperium.

Pellaeon odchrząknął.

– Może nie setki – powiedział cicho. – Ale jednego na pewno.

– Wielkiego admirała Thrawna – przytaknął Hestiv. – Zawsze żałowałem, że nie miałem okazji go poznać.

Przez chwilę obaj siedzieli w milczeniu, które przerwał gospodarz.

– Rozważanie „cobybyłogdyby”, jak sądzę, nie doprowadzi nas do niczego. Przeszłość to zamknięta księga, a przypuszczam, że pan, admirałe, jest tu po to, by rozmawiać raczej o przyszłości.

Pellaeon upił kolejny dobry łyk brandy.

– Owszem – odparł, obserwując uważnie rozmówcę. – Ujmując sprawę krótko: wojna z Nową Republiką jest skończona i przegraliśmy. Według mojej zawodowej oceny nadszedł czas rozmów pokojowych.

Twarz Hestiva stężała.

– Czyli poddanie się – dodał cicho.

– Będę negocjował warunki. Jeśli zrobię to właściwie, powinniśmy utrzymać większość naszego stanu posiadania.

– Też mi pociecha! – prychnął generał.

– Nadal kontrolujemy ponad tysiąc zamieszkanym systemów – przypomniał mu spokojnie Pellaeon. – Wolałby pan, żeby Nowa Republika jeszcze zmniejszyła tę liczbę, zanim zaakceptujemy to co nieuchronne?

– Nowa Republika nie jest w stanie zmniejszyć czegokolwiek. Wszystko wskazuje na to, że jej członkowie są gotowi skoczyć sobie, nie nam, do gardeł.

– Faktycznie, mają problemy – zgodził się Pellaeon. – Ale jeśli spodziewa się pan regularnej wojny domowej o Caamas czy cokolwiek innego, to uważam, że nie jest pan realistą, generale.

– Proszę o wybaczenie, ale z całym szacunkiem, nie zgadzam się z pańską opinią, sir. Zwłaszcza jeśli pomogliśmy im we właściwym momencie.

Pellaeon stłumił westchnienie – nieustannie słyszał ten argument podczas swej podróży.

– A więc chce pan, abyśmy im pomogli w samozniszczeniu, opróżniając do tego celu stocznie i wykorzystując ostatnie rezerwy ludzkie i materiałowe, jakie nam zostały. Oznacza to między innymi także wyczyszczenie pańskiej bazy i pozostawienie waszego systemu całkowicie bezbronnego.

– Jeśli to konieczne – ponura wizja nie wywarła wrażenia na Hestivie. – To baza wojskowa, której możliwości i zapasy powinny być właśnie w ten sposób użyte, sir.

– Prawda. A jak pan sądzi, generale: co się stanie, gdy zorientują się, że dolewamy oliwy do ognia?

– Nie ma powodów, by mieli się zorientować: nie musimy korzystać z niszczycieli ani szturmowców. Nie musimy używać niczego, co kojarzy się z Imperium.

– Możemy przez jakiś czas tak postępować – zgodził się Pellaeon. – Może nawet przez długi czas, ale w końcu się zorientują. A jak się zorientują, natychmiast się zjednoczą, choćby tylko na okres potrzebny, żeby nas zniszczyć. I zniszczą nas.

Hestiv przez chwilę wpatrywał się w błękitno-zieloną kulę za oknem.

– Przynajmniej skończymy walcząc – powiedział w końcu. – Pański sposób, admirale... w kapitulacji nie ma honoru, sir.

– W bezsensownym marnowaniu życia także go nie ma.

– Wiem – Hestiv uśmiechnął się kwaśno. – Ale wtedy jest się martwym i nie trzeba żyć we wstydzie i upokorzeniu.

– Znam wielu oficerów, którzy pańską postawę nazwaliby godną wojownika – odezwał się po chwili Pellaeon. – Ja uważam, że jest głupia: jeśli zginiemy, to idee Nowego Ładu zginą wraz z nami. Jeśli się poddamy, będą nadal żywe. A gdyby Nowa Republika rzeczywiście uległa samozagładzie, będziemy gotowi, by przejąć władzę w galaktyce. I może wówczas ten sposób sprawowania rządów zostanie zaakceptowany.

– Możliwe – skrzywił się Hestiv.

– Wycofanie się z sytuacji grożącej klęską to stary manewr, w którym nie ma nic hańbiącego – dodał cicho Pellaeon. – Byłem świadkiem, jak wielki admirał Thrawn decydował się na takie posunięcia i może mi pan wierzyć, generale: robił to nie raz i bez wahania. Zawsze ważniejsi byli dla niego ludzie i okręty, bo bez nich nie da się wygrać żadnego konfliktu. Moja propozycja jest dokładnie takim samym manewrem, tylko na większą skalę i zaplanowanym na dłuższy okres.

– Sądzę, że przekonsultował już pan tę kwestię z moffami, sir?

– Tak. W końcu przyznali mi rację.

– Niechętnie i z oporami?

– Nikt nie jest entuzjastą tego rozwiązania, nawet ja, pomimo że to mój pomysł. Po prostu to jedyne sensowne wyjście, jakie nam pozostało.

Hestiv odetchnął głęboko, wychylił zawartość pucharka i oznajmił:

– Sądzę, że ma pan rację, sir, choć chciałbym, żeby tak nie było. Panie admiralu, nie będę się sprzeciwiał tej decyzji i wykonam wszystkie rozkazy związane z jej realizacją. Czy mogę jeszcze coś dla pana zrobić?

– Prawdę mówiąc, tak – Pellaeon wyjął datakartę i podał mu. – Po pierwsze, chciałbym, żeby pan sprawdził te nazwiska. Interesują mnie wszystkie informacje, zarówno z banku danych bazy, jak i z archiwum.

– Naturalnie, sir. – Hestiv wsunął datakartę do czytnika połączonego z komputerem i wystukał odpowiednie polecenia. – Mamy zwrócić na coś szczególną uwagę?

– Na próby zmian w pierwotnych zapisach. Są to osobnicy podejrzewani o współpracę i powiązania finansowe z moffem Disrą, do których oficjalnie się nie przyznają. Jak dotąd nie udało się wyśledzić tych powiązań.

– A Disra nie pozwolił panu skorzystać z archiwum na Bastionie, sir? – domyślił się Hestiv.

– Gdybym tego zażądał, musiałby pozwolić, ale tak się składa, że jakoś nie mam zaufania do danych, które mógłbym tam znaleźć.

– Naszym może pan zaufać – zapewnił Hestiv, kończąc wystukiwanie poleceń. – Nikt nie uzyska do nich dostępu bez odpowiedniej autoryzacji, i to potwierdzonej autoryzacji. Ostatnio przekonał się o tym ten major z „Obliteratora”, Tierce zdaje się mu było, gdy próbował...

– Major Tierce? – przerwał mu Pellaeon. – Major Grodin Tierce?

– Ten sam – Hestiv zmarszczył brwi. – Zjawił się z rozkazu kapitana Trazzena, ale ponieważ nie byliśmy w stanie skontaktować się z „Obliteratorem”, żeby to potwierdzić, nie zezwoliłem mu na wejście do systemu. Coś nie w porządku, sir?

– Owszem. Major Tierce nie ma nic wspólnego z niszczycielem „Obliterator”. Major Tierce jest adiutantem moffa Disry.

Twarz Hestiva stężała na maskę.

– Czy można w jakiś sposób sprawdzić, do których danych uzyskał dostęp? – spytał Pellaeon.

– Przecież powiedziałem panu, że nie uzyskał dostępu do żadnych danych, sir.

– Uzyskał, może pan być tego pewien, generale – westchnął ponuro Pellaeon. – Albo z terminalu, przy którym nikogo nie było,

albo z własnego, podłączonego do sieci. Nie odleciałby stąd bez informacji, skoro po nie przybył, jeśli naturalnie chodziło właśnie o uzyskanie, a nie o skasowanie czy zmianę danych.

– Naturalnie ma pan rację, sir – Hestiv wrócił do klawiatury. – Zaraz zarządzę kontrolę wszystkich danych i ponowne sprawdzenie jego rozkazów i dokumentów, którymi się posługiwał.

Trwało to ponad godzinę i dało efekt, którego Pellaeon równocześnie spodziewał się i obawiał.

Żaden.

– Przecież to bez sensu! – zdenerwował się Hestiv. – Wiemy, że tu był, i to nie dlatego, że chciał się przelecieć, a nie ma żadnego śladu, żeby próbował uzyskać dostęp do jakichkolwiek danych. Nie może być aż tak dobry, do tego potrzebny byłby slicer najwyższej klasy! Więc co on, do ciężkiej cholery, zrobił?!

– Sprawdzono wszystkie banki danych? – spytał Pellaeon, odwracając od siebie ekran, na którym widniał wykaz.

– Oczywiście, że wszystkie – obruszył się Hestiv. – Od czysto technicznych aż do...

– Nie – przerwał mu Pellaeon z nagłą pewnością w głosie. – Nie sprawdzono wszystkiego, bo pańscy ludzie nie do wszystkiego mają dostęp.

– Przepraszam, sir, lecz...

– Nawet pan nie do wszystkiego ma dostęp – przerwał mu ponownie Pellaeon. – Konkretnie do Sekcji Specjalnej.

– Pan żartuje?! Zwykły major znałby kody dostępu do prywatnych danych Imperatora?

– Zgadzam się, że brzmi to niewiarygodnie, ale nic innego nie ma sensu.

– Major?!

– Adiutant niezwykle sprytnego moffa. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby Disra znalazł sposób umożliwiający włamanie się do tych danych. Powiem więcej, biorąc pod uwagę jego ambicję i brak zasad etycznych, byłbym bardziej zaskoczony, gdybym się dowiedział, że tego nie zrobił.

– Nadal w to nie wierzę – Hestiv siadł ciężko. – Ale jak pan powiedział, admirałe, nic innego nie ma sensu. Może pan uzyskać do tych informacji i sprawdzić?

– Kody zostały utracone na długo przed tym, zanim osiągnąłem stanowisko umożliwiające mi oficjalne ich poznanie – stwierdził ze smutkiem Pellaeon.

– Szkoda. Jeśli nie uda się nam w nie wejść, nie będziemy też w stanie zorientować się, po co on to zrobił.

– A to jest właśnie najważniejsze pytanie – Pellaeon potarł w zamyśleniu podbródek. – Logika nakazuje wykluczyć możliwość, że szukał tu jakichś informacji, bo archiwum na Bastionie zawiera te same dane. Co oznacza, że chodziło mu o dodanie, usunięcie lub zmianę czegoś.

– A to z kolei oznacza, że osoby, którymi jest pan zainteresowany, mogą mieć większe znaczenie lub znacznie dłuższą historię, niż pan przypuszczał, sir.

– Całkiem możliwe, ale istnieje też inna ewentualność. Gdybym chciał poznać szczegóły ataku, który zniszczył Caamas, to gdzie powinienem ich szukać?

– Kopie wszystkich oficjalnych raportów i informacji podawanych przez media, zarówno z tego okresu, jak i z późniejszych, powinny być w normalnie dostępnej części archiwum – Hestiv wzruszył ramionami.

– A jeśli Palpatine zorganizował ten atak, jak sugerują plotki?

– Wszystko, co tego by dotyczyło, musiałoby się znajdować w osobistych plikach Imperatora. Sądzi pan, że o to właśnie chodziło Tierce'owi, sir?

– O to, albo i o to, i o sojuszników Disry. Skoro miał okazję, dlaczego by nie załatwić obu spraw?

– Faktycznie – Hestiv zabębnił palcami po blacie. – Pozostaje pytanie, po co Disra potrzebuje informacji o Caamasi?

– Jakikolwiek podałby powód, celem są prywatne korzyści, a nie dobro Imperium i dlatego należałoby wiedzieć, co tam było takiego interesującego. Sądzę, panie generale, że obaj powinniśmy rozpocząć ciche poszukiwania kogoś, kto mógłby umożliwić nam dostęp do tych danych.

– Zajmę się tym niezwłocznie, sir. Jak mam się z panem skontaktować, gdyby mi się powiodło?

– Przez pewien, stosunkowo krótki okres nie będę osiągalny – Pellaeon wstał. – Skontaktuję się z panem, generale, gdy wrócę. Dziękuję za pomoc.

– W każdej chwili może pan na mnie liczyć, sir. I powodzenia... we wszystkim.

Kierując się w stronę lądowiska i swojego promu, Pellaeon wiedział, że szczęście będzie mu potrzebne: Yaga Minor była ostatnim z miejsc, które postanowił odwiedzić. Instalacje obronne Imperium od dawna już nie prezentowały się zbyt imponująco. Uzyskał tyle poparcia, na ile mógł je wymusić i teraz nie pozostało mu nic innego, jak polecieć do systemu Pesitiin.

Major Vermel przed trzema tygodniami powinien się pojawić na Morishimie i od trzech tygodni nie dawał znaku życia. Zniknął bez śladu wraz z okrętem i całą załogą, należało więc założyć, że gdzieś po drodze został przechwycony. Pozostawało tylko pytanie: przez kogo? Mogli to zrobić piraci albo jakieś nadgorliwe jednostki Nowej Republiki, ale mogły też elementy sił imperialnych uważające pomysł rokowań pokojowych za zdradę.

Vermel był dobrym oficerem i przyjacielem, ale na żal po jego stracie przyjdzie odpowiedni czas. Teraz najistotniejsze było coś innego – czy zdołał dostarczyć wiadomość Bel Iblisowi? A istniał tylko jeden sposób, by się o tym przekonać: zjawić się w umówionym miejscu i czekać.

Jeśli Bel Iblis się tam nie pojawi... cóż, tym Pellaeon zdąży się zająć, jeśli się nie zjawi. Gdybanie nigdy do niczego rozsądnego nie prowadziło.

ROZDZIAŁ

17

Oficjalna jej nazwa brzmiała: Wielka Obrzeżna Promenada i nawet na planecie takiej jak Cejansij, słynącej z rozmaitych osiągnięć sztuki inżynierskiej, stanowiła osiągnięcie nie lada. W najszerszym miejscu liczyła trzydzieści metrów i prowadziła wzdłuż całej wschodniej ściany Canyonade mniej więcej na dwóch trzecich wysokości między podłożem a grzbietem skalnej ściany, co dawało długość ponad dziesięciu kilometrów. Przy ścianie tłoczyły się sklepiki, budki z jedzeniem, place rozmów oraz miniaturowe ogródki medytacyjne czy minigalerie rzeźb. W niektórych miejscach nic nie blokowało ściany, żeby wyeksponować ciekawe formacje roślinne lub niewielkie wodospady spływające łagodnie aż do dna rozpadliny. Druga natomiast krawędź wychodziła na kanion i zaopatrzona została w sięgającą piersi poręcz z kunsztownie kutego metalu. Stąd można było obserwować miasto rozciągające się na dnie i wspinające się miejscami na ściany, zwane Canyonade. W regularnych odstępach odchodziły od promenady łukowato wysklepione mosty prowadzące przez całą szerokość kanionu do znajdujących się przy przeciwległej ścianie pomostów o bardziej użytkowym zastosowaniu.

Mosty zaprojektowano w układzie diamentów po dziewięć sztuk – trzy łączyły się z promenadą, po dwa spinały pomosty o poziom wyżej i o poziom niżej od promenady i pojedyncze łączyły promenadę z pomostami dwa poziomy pod i nad nią.

Budowla liczyła sobie trzysta lat i była prawdziwym osiągnięciem inżynierii, ponieważ nie wykorzystano w niej żadnych urzą-

dzeń grawitacyjnych. Wędrując promenadą i spoglądając na wyraźnie widoczne w dole światła, jako że zaczynało zmierzchać, Luke zastanawiał się przelotnie, czy i dziś ktoś miałby wystarczającą pewność siebie i umiejętności, aby podjąć się takiego zadania. Rozmyślania przerwało mu pytające ćwierknięcie toczącego się obok Artoo.

– Spokojnie, przecież nie podchodzę do balustrady – uspokoił go Luke. – Poza tym w przewodniku napisali, że mają tu zamontowane emitory promieni ściągających łapiące każdego, kto spada.

Artoo przytaknął, ale bynajmniej nie czuł się do końca przekonany. Następnie okręcił kopułę o sto osiemdziesiąt stopni i gwizdnął pytająco.

– Zgadza się: nadal nas śledzi – potwierdził Luke.

Masywny obcy, którego rasy Luke nie potrafił zidentyfikować, siedł za nimi, zręcznie wykorzystując innych przechodniów, od chwili, w której zjawili się na promenadzie. Co prawda mógł ich śledzić i wcześniej – Luke nie zwrócił na to uwagi – a zresztą wcale nie musiało chodzić o to, kim byli: mógł to być lokalny złodziej mający ochotę uwolnić samotnego właściciela od towarzystwa droida astromechanicznego.

Jeśli miał ten ostatni zamiar, to czekała go spora niespodzianka.

Artoo ćwierknął ponownie.

– Cierpliwości – mruknął Luke, rozglądając się.

Minęli kolejne skupisko sklepików i zeszli na otwartą przestrzeń z wodospadem i parą pustych ławek. Był to najspokojniejszy i najbardziej równy teren, jaki Luke spotkał od wejścia na promenadę: wręcz idealny do prywatnej rozmowy.

Albo do zasadzki.

– Poczekamy tu – poinformował droida i podszedł do balustrady mniej więcej w połowie miniplacyku, za plecami mając wodospad.

Luke oparł się łokciami o balustradę i skoncentrował się, sięgając po Moc. Bez kłopotu wyczuł delikatną zmianę w emocjach obcego – najwyraźniej tamten podjął decyzję.

– Podchodzi – mruknął cicho do Artoo. – Myślę, że jest sam, ale na wszelki wypadek trzymaj się z tyłu, dobrze?

Odpowiedziało mu nieco nerwowe ćwierknięcie i Artoo odjechał może o metr. Luke nie odwrócił głowy, nawet gdy usłyszał ciche kroki. O ile był w stanie ocenić, znajdował się dokładnie w miejscu, w którym widział siebie w wizji...

Kroki umilkły.

– Przepraszam – spytał łagodny głos. – Mistrz Jedi Luke Skywalker?

Luke odwrócił się i pierwszy raz dokładnie przyjrzał się śledzącemu – wysoki, barczysty, pokryty ciemnymi płytami skorupy, na którą miał narzucony płaszcz obszyty futrem, faktycznie należał do nieznanego mu rasy. Obcy miał dużą głowę, bystre, czarne oczy i niewielkie narośle w miejscu, w którym u człowieka znajdowały się usta.

– Jestem Skywalker – przytaknął. – A ty?

– Moshene Tre, Un’Yala ze szczepu Cas’ta, z rasy Rellarin, z planety Rellnas Minor – przedstawił się rozmówca, odchylając potężną dłońią połę płaszcza, do którego wewnętrznej strony przypięta była filigranowa, złota odznaka. – Jestem też Obserwatorem Nowej Republiki i jestem zaszczycony, mogąc cię poznać.

– Ja także – Luke odprężył się: Obserwatorzy działali w ramach eksperymentu realizowanego oficjalnie przez administrację Nowej Republiki i zapoczątkowanego w czasie ostatniej reorganizacji rządów.

Każdy miał przydzielony sektor, po którym mógł swobodnie podróżować, obserwując i meldując bezpośrednio Senatowi i Radzie o wszystkim, co uznał za stosowne. Dotyczyło to zwłaszcza poczynań lokalnych władz planet czy układów, które owe władze wołały trzymać w tajemnicy. Istniała co prawda obawa, by korpus Obserwatorów nie przerodził się w tajną policję, pamiętną z czasów Imperium jako działająca z przerażającą skutecznością, ale starano się temu zapobiec i jak dotąd nic na to nie wskazywało. Obserwatorzy utrzymywani byli przez lokalne rządy i starannie wybierani spośród istot o silnej etyce i moralności. Zasady ich działania zostały ściśle określone, a żeby uniknąć pokus, przydzielano im sektory położone z dala od rodzinnych, co eliminowało stronniczość czy uprzedzenia kulturowe. Regułą stało się też sprawdzenie ich nieprzekupności przed podjęciem ostatecznej decyzji.

W czasach Starej Republiki podobnie działający system zatrudniał Rycerzy Jedi, ale obecnie zostało ich zbyt mało, a po doświadczeniach z adeptami Ciemnej Strony były takie rejony, w których utracili zaufanie mieszkańców, więc nie dało się wrócić do tamtej metody. Luke żywił cichą nadzieję, że pewnego dnia ta sytuacja ulegnie zmianie, lecz nie łudził się, iż nastąpi to szybko.

– Jak mogę ci pomóc? – spytał.

– Proszę o wybaczenie bezczelności, z którą cię śledziłem, lecz chciałem mieć pewność, że rozpoznałem cię właściwie, nim zacząłem rozmowę.

– Rozumiem i zapewniam, że nic się nie stało. Jak mogę ci pomóc?

Tre poszedł do barierki i wskazał szerokim gestem w dół, na rozświetloną panoramę miasta.

– Chciałbym, żebyś był świadkiem pewnego ceremoniału, który odbędzie się dziś w nocy – powiedział. – Żebyś zobaczył i zrozumiał.

Luke poszedł za jego przykładem i spojrzął w dół, ale niczego niezwykłego nie dostrzegł.

– Mam obserwować jakieś konkretne miejsce? – spytał po chwili.

– Tak – Tre wskazał spory, mający kształt diamentu obszar prawie na wprost miejsca, w którym stali.

Choć otaczające go ulice były normalnie oświetlone, ten rejon tonął w mroku, jeśli nie liczyć kilkunastu drobnych światełek skupionych w jego centrum.

– Wygląda na park... – Luke przypomniał sobie plan miasta przeglądany w porcie kosmicznym. – Tranquillity Common?

– Zgadza się – potwierdził Tre. – Widzisz te światła?

– Widzę, to... – Luke umilkł: przez parę sekund, jakie im zajęła rozmowa, ilość światełek podwoiła się, a chwilę później została otoczona przez nowy krąg świateł.

– To światła pokoju – wyjaśnił Tre. – Tej nocy mieszkańcy Cejansij zgromadzili się, by poprzeć sprawiedliwość.

– Aha – mruknął Luke, domyślając się, co za chwilę usłyszy. – Sprawiedliwość.

– Po tonie twego głosu poznaję, że jeszcze nie rozumiesz – ocenił Tre z lekką naganą. – Rada i Senat uważają takie demonstracje za efekt zamieszek wywołanych przez ignorantów, chuliganów lub agentów Imperium. Podczas gdy nie zawsze tak się sprawy mają.

– Wątpię, by Senat oceniał sytuację w takim uproszczeniu, choć w niektórych przypadkach może się tak zdarzyć. A zatem, jakie są powody demonstracji i kto ją wywołał?

– Już ci powiedziałem: poparcie sprawiedliwości. Białe światła to znak pamięci o mieszkańcach Caamas, a... o właśnie! Widzisz?

Luke skinął głową – wokół białych światełek pojawił się cieńki z początku, lecz stale rozszerzający się krąg niebieskich.

– To na cześć ofiar rzezi Vrasah – wyjaśnił Tre. – Ziemie, które w jej wyniku zagarnęli sprawcy, przyniosły im wielkie zyski, a ani rząd Pas'sic, ani władze Nowej Republiki nie zmusili ich do wypłacenia odszkodowań rodzinom ofiar, jak nakazują prawa i zwyczaje tej planety.

– Jeden z moich uczniów pochodził z tej planety – powiedział cicho Luke. – Zanim zaczął szkolenie, musiał sobie poradzić z naprawdę silnym gniewem.

– Ich złość jest jak najbardziej zrozumiała, natomiast wśród zebranych tam w dole nie ma gniewu. Przynajmniej nie w takim znaczeniu, jak rozumieją go ludzie. Oni zebrali się w ciszy i spokoju, nikomu nie grożąc, ale nie zapomną skrzywdzonych i nie pozwolą, by zapomnieli o nich władze.

– Są sprawy, które nigdy nie powinny zostać zapomniane – zgodził się Luke.

Przez kilka minut obserwowali w milczeniu rosnący krąg niebieskiego blasku, po czym zmianę białych świateł w niebieskie, a niebieskich w żółte, które z kolei zostały otoczone przez czerwone, potem jasnozielone, fioletowe i na końcu ponownie przez białe.

– Zebrali się już wszyscy – oświadczył w tym momencie Moshere. – Tej nocy poświęcili swój czas pamięci, w inne noce zrobią to następni, a wszyscy, którzy zobaczą te światła, także będą pamiętać. Mieszkańcy tej planety nie spoczną w przypominaniu dzierżącym władzę o niesprawiedliwościach, dopóki nie zostaną one naprawione.

– Problem w tym, że żadnej z tych niesprawiedliwości nie da się naprawić, Un'Yale Tre – westchnął Luke. – Ani Caamas, ani żadnej innej.

– Oni to rozumieją. Wiedzą, że nie da się wskrzesić zmarłych ani przywrócić życia spalonym na popiół planetom. Natomiast można zadośćuczynić sprawiedliwości w inny sposób, dostępny istotom śmiertelnym.

– A jak według nich miałyby wyglądać takie zadośćuczynienie za Caamas? Kara dla całej rasy Bothan za zbrodnię popełnioną przez paru?

– Wielu powiedziałoby, że nie byłaby to sprawiedliwość, wielu zaś powiedziałoby, że właśnie byłaby, i ich głosów też trzeba wysłuchać. – Tre ponownie wskazał w dół. – Patrz teraz uważnie:

pokazują, że sprawiedliwość nie może być ograniczona do konkretnych osób czy wydarzeń – ona musi istnieć dla wszystkich.

Współśrodkowe kręgi przestały istnieć, gdy różnokolorowe światelka zaczęły się mieszać, początkowo na ich brzegach, potem dokładniej, aż wymieszały się całkowicie, tworząc plamę różnobarwnego blasku. I wtedy Luke zrozumiał, co chcieli pokazać demonstranci – że protestują nie przeciwko tej czy tamtej zbrodni, lecz przeciwko niesprawiedliwości w ogóle: że jednoczy ich żądanie sprawiedliwości dla wszystkich Caamasi galaktyki.

– Część z obecnych jest przekonana, że całą rasę Bothan należałoby ukarać za Caamas – dodał cicho Tre. – Powinni przynajmniej materialnie odpowiadać wobec ofiar, które przeżyły. Inni tak nie uważają, ale panuje zgodna opinia, że zatajając tyle czasu prawdę, przywódcy bothańscy stali się współwinni, skazując także resztę swej rasy. Dziś, podobnie jak podczas innych nocy, byli tam nie tylko mieszkańcy planety; wielu turystów i gości przylatujących tu w interesach także bierze udział w tych zebraniach i ma równie podzielone opinie.

– Czyli tak samo jak wszędzie.

– Zgadza się. Ale chciałem ci uzmysłwić, Mistrzu Skywalkerze, że różnice w opinii nie pojawiają się wyłącznie jako rezultaty wrogich działań czy przekonań politycznych. Najczęściej są to uczciwe i prawdziwe różnice ocen przedstawicieli rozmaitych ras tworzących Nową Republikę. Odrzucanie ich jako bezmyślnych lub nieistotnych to obrażanie honoru i umysłów tych istot, jak też całych ich kultur.

– Wiem – przyznał Luke. – I sędzę, że Senat także zdaje sobie z tego sprawę. Problem polega właśnie na osiągnięciu unifikacji ocen, i to nie tylko sprawy Caamas, lecz wielu innych.

– Nie wiem, jak można to osiągnąć. Widzę tylko, że trzeba coś zrobić, i to szybko, bo już słychać głosy szczerzego oburzenia na brak reakcji Senatu. Pojawiły się gorsze nawet pogłoski: że Nowa Republika stała się obojętna na poczynania swych członków względem siebie i że nadszedł doskonały czas na wyrównanie starych krzywd. Są już czynione przygotowania do tego.

– Przyznaję, że to nowy zarzut. W ciągu ostatnich lat tylokrotnie słyszałem oskarżenia pod adresem rządu o prowadzenie dyktatorskiej polityki w czasie kryzysu, że wręcz straciłem rachubę. Teraz, kiedy dano większą władzę rządóm sektorów czy systemów, zaczynają się zarzuty dotyczące beczynności władz centralnych.

– I to cię zaskakuje? – zdziwił się Tre. – Prawda równie stara jak polityka głosi, że w demokratycznym systemie każda podjęta decyzja wywołuje głośny sprzeciw.

– Fakt – zgodził się Luke, spoglądając na zmniejszającą się ilość światełek w dole.

– Wielu uczestników dzisiejszej demonstracji zbierze się później w lokalu „Thoughts Ace Freedom”, znajdującym się po przeciwnej stronie parku, w zachodnim rogu diamentu. Jeśli zechcesz się z nimi spotkać, bardzo ich ucieszy możliwość szczerzej rozmowy z tobą.

– Tego jestem pewien – oparł Luke, dokładając starań, by zabrzmiało to neutralnie. – Dzięki za pokazanie mi tego zebrania.

– Moim zaprzysiężonym obowiązkiem jest dostarczanie informacji przywódcom Nowej Republiki – oświadczył poważnie Tre. – I traktuję tę przysięgę bardzo poważnie. Ja z kolei dziękuję za twój czas i uwagę, Mistrzu Skywalkerze, i zachęcam do pojawiania się później w „Thoughts Ace Freedom”. Zyskasz na tym sporo wiedzy.

Po czym złączył dłonie opuszkami palców, skłonił się i odszedł wzdłuż promenady.

Artoo gwizdnął cicho i gdy Luke się odwrócił, dostrzegł, że na ile mógł, na tyle „wspiął się na palce” i spoglądał w dół.

– Przyznaję, że robi wrażenie – zgodził się cicho. – I właśnie dlatego problem jest tak poważny. W znacznej mierze rzeczywiście wywołuje go szczerza różnica poglądów.

Artoo ćwierknął, przekręcając kopułę, aż wskazał holoprojektorem w lewo, czyli w kierunku, w którym powinni się udać, by trafić do rekomendowanego lokalu.

– Chyba powinniśmy tam zajrzeć – zgodził się niechętnie Luke. – Chociaż wątpię, żebyśmy się tam dowiedzieli czegoś ciekawego. Prawdziwe informacje uzyskuje się od takich jak Talon Karrde... może warto byłoby się z nim skontaktować.

Mówiąc to odszedł od barierki, a Artoo podążył za nim niczym dobrze wyszkolone zwierzątko. Jednak po wysłuchaniu ostatniego zdania ćwierknął pogardliwie.

– Jeśli masz na myśli to, jak się do niego odnoszą na Coruscant, masz rację. Jeżeli zaś miało to dotyczyć Talona, lepiej sprawdź sobie obwody logiczne – ostrzegł Luke. – On naprawdę duzo zrobił dla Nowej Republiki.

Artoo pisała nie przekonany i wyjątkowo dobrze udał dźwięk brzęczących monet.

– Każdy musi z czegoś żyć – przypomniał mu Luke. – I bądź uprzejmy pamiętać, że gotówka była istotnym powodem pierwszych kontaktów Hana z Rebelią. A jak się skończyło?

Dotarli na most i weszli na pokryty podobnym do parasola dachem kolejny dowód sztuki konstrukcyjnej. Most, jak wszystkie pozostałe, piął się eleganckim i łagodnym łukiem nad półkilometrową przepaścią bez jakichkolwiek filarów, wsporników czy odciągów. Prawa stronę powierzchni stanowił zwykły materiał antypoślizgowy, najwyraźniej przewidziany dla spokojnych przechadzek z podziwianiem widoków, natomiast lewą dwa ruchome chodniki dla tych, którym się spieszyło. Luke z pewnym żalem wpełchnął droida na bliższy z nich i podążył jego śladem – ostatnio notorycznie cierpiał na brak czasu.

– Wracając do Talona, należy pamiętać, że zawsze zjawiał się z potrzebnymi informacjami i zawsze zgłaszał się najpierw do nas. Obojętne, czy przyznaje się do tego głośno, czy nie, ale w rzeczywistości jest po naszej stronie.

Artoo przyjrzał mu się krytycznie, ćwierknął coś w stylu: „niech już będzie” i odwrócił kopułę. Luke zaś z zainteresowaniem przyjrzał się przyspieszającej pod nogami powierzchni. Nie cały chodnik przyspieszał, lecz ta jego część, która zbliżała się do środka mostu. Zbudowany był z jakiejś pseudopłynnej substancji wykorzystującej płyn laminarny do osiągania różnych prędkości w zależności od potrzeby. Kolejne cudeńko konstrukcyjne. Właśnie miał zamiar zlecić Artoo analizę tej substancji, gdy poczuł nagłe drgnienie Mocy. Nie było wielkie – było, prawdę mówiąc, bardzo małe. Ale zupełnie wystarczające.

Gdzieś blisko ktoś szykował się do morderstwa.

Bardziej zeskoczył niż zszedł z chodnika, łapiąc przez moment równowagę i słysząc zirytowany pisk droida, który nagle się urwał, gdy przy użyciu Mocy uniósł go i postawił obok siebie. Następnie rozejrzał się, skoncentrował i sięgnął głębiej w Moc. Zamiar morderstwa nadal był wyczuwalny, ale choć w zasięgu jego wzroku znajdowało się kilku przechodniów, żaden nie pasował do tego, co Luke czuł.

Przynajmniej żaden na tym moście.

Odwrócił się na pięcie i wyrzwał, kucając, by dostrzec pod krawędzią dachu wyżej położony most. I znalazł – może o dziesięć metrów od miejsca, w którym stał, zobaczył dwie postacie w pelerynach z kapturami. Większa opierała się plecami o balustradę,

mniejsza, wyglądająca na dziecko, tuliła się do niej. Dalej zauważył trzy postacie poruszające się wolno, ale pewnie. W dłoni jednej z nich błyszczało ostrze noża. Ponieważ nie miał czasu, mógł zrobić tylko jedno – skoczyć, co dla umiającego wykorzystać Moc nie przedstawiało trudności. Jedynym problemem mogły okazać się zabezpieczenia promenady – jeśli emiterzy promieni ściągniętych mają czułe sensory, to nim doskoczy, zostanie unieruchomiony i odtransportowany na stały grunt.

Istniał tylko jeden sposób, by to sprawdzić.

– Poczekaj tu, Artoo – polecił szeptem i koncentrując się mocniej wskoczył na barierkę mostu.

Balansował tam przez chwilę, oceniając raz jeszcze dystans, po czym skoczył, otulając się Mocą. Sensory nie były wcale tak czułe – dotarł do celu bez żadnych kłopotów, złapał dłońmi za balustradę i przerzucił nad nią nogi, lądując w lekkim przysiadzie na nieruchomej części nawierzchni.

I rozejrzał się.

Co omal nie sprowokowało go do ciężkiej wiaźanki przekleństw – para, którą widział, nie poruszyła się i miał ją teraz przed sobą z prawej strony, tyle że kaptur wyższej postaci nieco się odsunął, ukazując pomarszczoną twarz i siwe włosy starej kobiety. Twarz tulącego się do niej dzieciaka – sądząc po wzroście wnuczka – pozostawała w cieniu – ale całe jego zachowanie świadczyło o krańcowym przerażeniu. Do którego miał uzasadnione powody, bowiem napastników było nie trzech, ale dwunastu – dziewięciu stało dalej i tworzyło zewnętrzne półkole niewidoczne z dolnego mostu. Sądząc po gębach, było im obojętne, kogo zabijają, ważne było za ile, a po sposobie, w jaki trzymali blastery, poznał, że nie jest to ich debiut. Luke mógł się wyraźnie przyjrzeć wszystkim dziewięciu gębom i pięciu blasterom, bo tyle zwróciło się w jego stronę.

– Wystarczy! – oświadczył, prostując się. – Odłóżcie broń!

– Mam lepszy pomysł – warknął jeden tonem pasującym do wyglądu. – Odwróć się i zmiataj. Dopóki jeszcze możesz.

– Nie sądzę – odparł Luke, starając się brzmieć pewniej, niż się czuł: przy sześciu już wycelowanych blasterach nie miał pewności, czy zdąży sięgnąć i uaktywnić miecz, nim go trafią.

A strzelać zaczął, ledwie sięgnie po broń...

O dwa kroki w lewo miał ruchomy chodnik, którego każdy pas poruszał się w inną stronę, ale ze sporą prędkością.

– Tracimy czas! – ocenił ktoś. – Spalmy natręta i...

I dokładnie w tym momencie dzieciak ożył.

Ruch był tak miękki i płynny, że Luke w pierwszej chwili nie zrozumiał, co widzi. Dziecko bowiem obróciło się na pięcie ku najbliższemu nożownikowi i chlasnęło go otwartą dłonią przez pierś, nie dotykając jej jednak palcami. Jakby odrzucone nagłym ruchem odbiło się ku drugiemu, powtarzając chłasnęcie i poleciało ku trzeciemu... Zanim do niego dotarło, pierwszy zacharczał i zwałił się na nawierzchnię.

Ktoś zaklął, wycelowane w Luke'a blastery nagle zafalowały niepewnie w dłoniach zdumionych napastników, jeszcze przed dwiema sekundami przekonanych, że całkowicie panują nad sytuacją. Głowy zwróciły się ku dziecku i babci...

Drugi nożownik zwałił się jak kupa szmat, trzeci zacharczał, a dzieciak przerzucił wprawnym ruchem jego nóż do drugiej dłoni i cisnął, trafiając w serce kolejnego napastnika, tym razem z zewnętrznego półokręgu. Ruch ten zrzucił mu kaptur z głowy i ukazał jego twarz.

To nie był dzieciak. To był Noghri.

I to była ostatnia rzecz, jaką zobaczyła większość napastników. Luke zdążył odczepić od pasa miecz, gdy Noghri runął do ataku. Skok, cięcie, przewrót, pchnięcie, przysiad, symultaniczny atak oburącz na dwóch przeciwników, unik, wybicie i kolejny cios któregoś z zakrzywionych ostrzy, zmaterializowanych nagle w jego dłoniach – wszystko odbyło się w jednym płynnym, błyskawicznym ruchu, w którym atak przeplatał się z unikami laserowych wiązek wykonywanymi jakby od niechcenia. O nawierzchnię mostu stuknął granat, wytrącając Luke'a z osłupienia – nim doleciał do nóg kobiety, Luke złapał go Mocą i cisnął w górę między barierką a dachem.

Kiedy w górze przebrzmiała eksplozja, było po starciu – na nogach pozostała kobieta, Noghri i on.

– Mistrzu Skywalker, jestem zaszczycony pańską obecnością i wdzięczny za pomoc – Noghri skłonił się uroczyście, chowając noże.

– Jaka by nie była – mruknął Luke z podziwem. Widział już trenujących Noghri i sądził, że wie, na co ich stać. Okazało się, że nie miał nawet bladego pojęcia. – Coś mi się wydaje, że poradziłbyś sobie całkiem dobrze beze mnie.

– Proszę o wybaczenie, ale nie jest to prawda. Dzięki odwróceniu przez pana ich uwagi zyskałem prawie cztery sekundy, których w inny sposób nie miałbym do dyspozycji.

– Nie wspominając o granacie – dodała jego towarzyszka, zrećnie przetrząsająca kieszenie najbliższego z zabitych. – Gdybyś się nie pojawił, zginęlibyśmy oboje. Dziękuję.

– Nie ma za co – mruknął Luke, przyglądając się, jak z wprawą doświadczonego doliniarza zabiera się za drugiego trupa. Skacząc na ratunek miał nieco inny obraz przyszłych ofiar. – Mogę spytać, kim jesteście?

– Na pewno nie tymi, na kogo wyglądamy – kobieta przerwała poszukiwania i uśmiechnęła się. – Jestem Moranda Savich, a Plakhmirakh jest chwilowo moją strażą osobistą. Pracujemy dla starego znajomego, Talona Karrde’a.

– Doprawdy? Nie tak dawno zastanawiałam się, jak mogę się z nim skontaktować.

– Idąc z nami – Moranda wyprostowała się. – Właśnie przybył na Cejansij.

– Żartujesz? Czego on tu szuka?

– A o to najlepiej jego zapytać. Najprościej osobiście.

Luke spojrział w zamyśleniu na rozciągające się w dole miasto – znowu dzięki Mocy znalazł się we właściwym czasie we właściwym miejscu.

– Dzięki – odparł po namyśle. – Sądzę, że skorzystam z zaproszenia.

– Szefie?

Talon uniósł głowę znad biurka i spojrział ku drzwiom, zza których wystawała głowa Dankina.

– O co chodzi?

– Są Savich i jej ochrona. Mają te dane, po które ich wysłałeś.

– To miłe – Karrde przyjrzał mu się z namysłem: Dankin miał minę dziwnie podobną do tej, którą ukrywał tuż przed ostatnim wyjściem z nadprzestrzeni w pobliżu „Evrant Venture” Boostera. – I?

– I zjawili się z niespodzianką – dodał Dankin, uśmiechając się szeroko.

– Tak? – głos Talona wyraźnie ochłódł. – Mam nadzieję, że pamiętasz, jak bardzo lubię niespodzianki.

– Ta ci się spodoba – zapewnił radośnie Dankin, ustępując miejsca.

Do pomieszczenia weszli Plakhmirakh i Moranda, a za nimi...

– A niech mnie...! – Talon zerwał się na równe nogi. – Faktycznie niespodzianka. Witaj, Luke.

– Witaj – Luke skłonił się lekko. – Niespodzianka jest obustronna.

– Sam jesteś?

– Artoo spotkał w twoim hangarze jakiegoś G2-9T i właśnie sobie gawędzą.

– Więc ta kupa złomu chociaż raz do czegoś się przydała. To ostatni G2, jakiego kiedykolwiek kupiłem! – warknął Talon, odbierając od Morandy cylinder z danymi i sprawdzając oznaczenia. – Miałaś jakieś kłopoty?

– Dopiero w drodze powrotnej. Dwunastu ludzi, zawodowców bez żadnych wskazówek, kto ich wynajął.

– Pewnie któryś z Huttów – Karrde podrzucił cylinder w dłoni. – Nie byli zachwyceni stratą tego drobiazgu.

– Może masz rację. W każdym razie zleceniodawca ma tuzin pracowników mniej, Plakhmirakh się nimi zajął.

– Z pomocą Mistrza Skywalkera – dodał Noghri. – Zjawił się w najodpowiedniejszym momencie.

– Mistrzowie Jedi mają ten miły zwyczaj – przyznał Talon, oddając Morandzie przedmiot całego zamieszania. – Oddaj to Odonnłowi, a potem odpocznijcie, zanim nie sprawdzi zawartości i nie zapłaci wam. Interesowałoby cię następne zadanie?

– Tylko jeśli będzie zabawniejsze. Ta kurierska robota jest strasznie nudna, a przy nich dwóch nawet ostatni atak nie był niczym nadzwyczajnym.

– Postaram się coś wymyślić – obiecał Karrde. – Prawdę mówiąc, mam nawet pewien pomysł, gdzie mogłabyś w pełni wykorzystać swoje umiejętności. Przyjdź, jak dostaniesz pieniądze, to porozmawiamy.

– Zgoda – Moranda skinęła głową.

Noghri skłonił się oszczędnie acz uroczyście i wyszedł za nią.

– Dzięki za pomoc – uśmiechnął się Talon, spoglądając na Luke'a. – Teraz ja jestem twoim dłużnikiem.

– Nie masz za co: Plakhmirakh wyolbrzymił mój udział.

– Oni rzeczywiście rzadko potrzebują pomocy – zgodził się Talon. – Co cię sprowadziło na Cejansij, jeśli nie liczyć lekkiego przetrzeźwienia liczebności huttyjskich pomagierów?

– Moc – Luke wzruszył ramionami. – Próbowałem zobaczyć przyszłość i zobaczyłem siebie na promenadzie. Więc jestem.

– Przyznaję, że nie jest to metoda ustalania rozkładu zajęć, która by mi odpowiadała.

– Sam również rzadko ją stosuję, ale z drugiej strony chciałem się z tobą spotkać i proszę, więc jest skuteczna. A w ogóle to co tu porabiasz, jeśli wolno spytać?

– Żadna tajemnica, przynajmniej jeśli chodzi o ciebie. Sprawdzam, czy ktoś z zewnątrz nie wywołał poważniejszych zamieszek, które ostatnio tak się mnożą. Cejansij ma spore tradycje w pokojowych demonstracjach, toteż uznałem, że doskonale nadawałoby się do kolejnej manipulacji.

– To ma sens – przyznał Luke. – Tylko może się okazać zbyt doskonałym miejscem.

– Wszystko zależy od tego, na ile subtelni chcą być sprawcy. Nadal uważam, że warto to sprawdzić. A o czym chciałeś ze mną rozmawiać?

– O postępach w poszukiwaniu klonów.

– To nie ma o czym, bo nie ma żadnych postępów. Żadne z moich źródeł nie słyszało nawet śladu plotki na ten temat. Jeśli rzeczywiście ktoś zaczął produkcję, to działa naprawdę cicho.

– Hmm... A co z Cavrilhu?

– To samo: przywarowali gdzieś i nosa z tego gdzieś nie wystawiają. Temu akurat się nie dziwię: wygnanie z własnej bazy przez Mistrza Jedi nie wpływa dodatnio na pewność siebie przegonionego.

– Wielki admirał Thrawn przegonił cię z bazy na Myrkr i jakoś nie pamiętam, żebyś wpadł w panikę – przypomniał mu Luke.

– Może jestem z innej gliny – skrzywił się Karrde: nawet po tylu latach wspomnienia nie były miłe. – A może po prostu trudniej mnie przestraszyć.

Stojący na biurku interkom ćwierknął, więc Karrde włączył go i spytał:

– Tak?

Na ekranie pojawiła się wyjątkowo poważna twarz Dankina.

– Mamy połączenie ze „Starry Ice” – zameldował zwięźle. – Faughn twierdzi, że Mara została złapana.

Karrde ciężko opadł na fotel i polecił:

– Przełącz tutaj.

– Sygnał jest trochę rozmyty, bo za dużo przekaźników po drodze – uprzedził Dankin. – Kanał piąty.

Talon włączył odpowiedni kanał, a Luke obszedł biurko i stanął za nim.

– Tu Karrde, Faughn jesteś tam?

– Jestem – głos faktycznie miał wielokrotne echo, ale dało się zrozumieć. – Dotarliśmy do systemu Nirauan i zauważyliśmy nieznaną jednostkę lądującą na drugiej planecie. Mara poleciała tam Defenderem. Ostatnia wiadomość z jej nadajnika pulsacyjnego wskazuje, że znalazła się w tarapatach. Została złapana albo i gorzej.

– Dankin, mamy już to nagranie? – spytał Talon, czując przyspieszone bicie serca.

– Mamy.

– Puść je!

Z głośnika popłynął meldunek Mary dotyczący lotu, lądowania, odkrycia jaskini i fortecy – zakończony tępym łupnięciem.

– Powiedz H'sishi, żeby zaczęła eliminować zakłócenia – poleciał Karrde. – Chcę tak czyste nagranie, jak tylko można.

– Już się tym zajmujemy.

– Po drodze oczyściliśmy je na tyle, ile zdołaliśmy – odezwała się Faughn. – Po tym łubudu jest zarejestrowany oddech i bicie serca w normalnym dla człowieka tempie, co oznacza, że jeszcze żyła. W jaskini znajdowało się około pięćdziesięciu latających stworzeń, a przynajmniej tyle było w trakcie lotu, ale nie musiała właśnie do nich mówić. A z analizy szybkości rozchodzenia się dźwięku sądzimy, że uderzenie trafiło ją w głowę z przodu lub z boku.

– Atak – ocenił Karrde.

– Albo wypadek – sprzeciwiła się Shirlee. – Wiemy, że poruszała się we wnętrzu jaskini, mogła po prostu wpaść na coś albo potknąć się i uderzyć głową o skałę.

– Radziłbym spróbować przeanalizować echo – wtrącił Dankin. – Powinniśmy stwierdzić, jak blisko ściany była, gdy nastąpiło uderzenie.

– Spróbujcie – Talon spojrział badawczo na wpatzonego w ścianę Luke'a. – Wiesz coś na ten temat? Coś o samej planecie albo do kogo mówiła?

Luke potrząsnął głową ze smutkiem.

– Nie wiem. Natomiast wtedy, gdy widziałem siebie, miałem też wizję Mary. Miejsce, w którym się znajdowała... mogło być jaskinią.

– Nie chciałam jej zostawić – odezwała się Faughn – ale nie miałam prawa ryzykować, że wszyscy znikniemy bez żadnej wiadomości, zwłaszcza biorąc pod uwagę te myśliwce i fortecę.

– Postąpiłaś właściwie – zapewnił ją Talon. – Teraz pozostaje tylko pytanie, jak ją wydostaniemy. Albo raczej kogo wyślemy, żeby to zrobił.

Ostatnie zdanie adresowane było do Luke’a, który tak też je odebrał.

– Proponujesz moją kandydaturę? – spytał, przyglądając się z namysłem Talonowi.

– Ktoś tam cię zna, a przynajmniej Mara w to nie wątpiła. Możesz być jedynym, z którym ten ktoś czy te ktosie zechcą rozmawiać.

– Nie mogę lecieć, mam obowiązki – sądząc po tonie wypowiedzi, Luke nadal myślał o czymś innym.

– Masz także obowiązki wobec Mary – warknął Karrde. – Że nie wspomnę o obowiązkach względem Nowej Republiki. Widziałeś jeden z tych statków i wiesz, że mamy do czynienia z obcą cywilizacją. Jeśli ta forteca, o której mówiła Mara, jest z tego samego materiału co ta na Hijarnie, to mogą tam siedzieć, ile tylko zechcą i czekać, aż przestaniemy marnować energię. I...

– Dobrze – przerwał mu Luke. – Polecę.

Karrde zamrugał gwałtownie, zbity z pantofelku. Spodziewał się znacznie dłuższego przekonywania z wykorzystaniem cięższych argumentów, ale wykazał szybką orientację, gdy osiągnął cel prostym sposobem.

– Doskonale – podsumował. – Czego potrzebujemy z zapasów i wyposażenia? Aha, no i statek... Dankin, co mamy dostępnego?

– Na to akurat nie mamy czasu – oświadczył Luke, zanim Dankin zdążył się odezwać. – Polecę moim X-wingiem. Jest na lądowisku Szesnastym, więc wystarczy, jak załadujecie do pamięci Artoo dane nawigacyjne i uzupełnicie paliwo. Startuję natychmiast.

– Ale tam nie ma miejsca dla pasażera! – sprzeciwiła się Faughn. – Jeżeli jest ranna...

– To zostawię X-winga i polecę Defenderem. Tracimy czas.

– Daleko nie polecisz, bo nie ma hipernapędu – osadził go Talon i przyjrzał się liście wyświetlonej na ekranie. – Zrobimy tak: odlecieś stąd myśliwcem i na orbicie Duroon spotkasz się z „Dawn Beat” i przesiądziesz się na „Jade’s Fire”, który będzie na pokładzie hangarowym. Jego pilot nie zostanie uruchomiony, ale do spółki ze swym astromechem powinieneś pilotować statek bez problemów.

– Nie chcę ryzykować skrytego podejścia do planety czymś tak dużym. Przecież od razu mnie zauważą.

– To ukryjesz statek na obrzeżu systemu, a dalej polecisz myśliwcem – zaproponowała Faughn. – Śluza jest standardowa, więc nie będzie problemu.

– Zgoda – ocenił Luke po paru sekundach myślenia.

– Dobra – ucieszył się Karrde. – Dankin, łap kontrolę portu i załatw tankowanie tego X-winga. I to zaraz i nieważne, w jaki sposób. Potem skompletuj wszechstronny zestaw ratunkowy, tylko żeby nie ważył więcej niż sto dziesięć kilogramów i nie zajmował więcej niż dwa metry sześciennie. Tyle, zdaje się, mieści przedział bagażowy myśliwca Typu X.

– Jasne. Co wysyłamy jako wsparcie? – zainteresował się Dankin.

– Wszystko, co zdołamy zebrać na czas, daj mi wykaz.

Na ekranie pojawiła się imponująca lista jednostek, niestety, rozsznanych po całym obszarze Nowej Republiki i okolic. Wykluczało to zebranie w krótkim czasie jakiegokolwiek silnej eskadry.

– Nie chcę żadnego wsparcia! – oznajmił nagle Luke. – Użycie „Jade’s Fire” już jest wystarczająco ryzykowne. Im więcej jednostek pojawi się w obrębie systemu, tym większe szanse, że zostaną zauważone, a co wtedy nastąpi, nikt nie jest w stanie powiedzieć. Lepiej będzie dla Mary i dla mnie, jeśli spróbuję sam i po cichu.

– Sam jej nie wydostaniesz – oceniła Faughn.

– Wydostanę – odparł stanowczo Luke. – Bo muszę.

– Nie zdołasz! – upierała się Shirlee. – Karrde, przemów mu do rozsądku!

Talon przez długą chwilę przypatrywał się Luke’owi, przypominając sobie ich pierwsze spotkanie na pokładzie „Wild Karrde”. Nawet wtedy Luke był bardzo pewny siebie, choć nie pyszałkowały, teraz doszły do tego lata doświadczenia.

– Shirlee, to jego decyzja – powiedział cicho. – Jeśli mówi, że zdoła, to zdoła.

– Dzięki – Luke lekko skłonił głowę.

– Podziękowania należą się raczej w odwrotną stronę – uśmiechnął się z lekkim przymusem Karrde. – Paliwo, zapasy, namiary i „Jade’s Fire” na orbicie Duroona. Co jeszcze chcesz, żebyśmy zrobili?

– Tylko to, co teraz robicie. Sprawdźcie te zamieszki, a jeśli się czegoś dowiesz, przekaż to Leii.

– Załatwione. Coś jeszcze?

– Tak – przez twarz Luke’a przemknął cień. – Możesz jej przekazać informację, gdzie poleciałem? Jest na Coruscant.

– Powiem jej osobiście – obiecał Karrde wstając. – Wystartujemy zaraz po tobie.

– Dziękuję.

Luke odwrócił się i ruszył ku wyjściu.

– Powiedziałeś, że miałaś wizję Mary – odezwał się niespodziewanie Talon. – Co robiła?

Luke stanął prawie w progu.

– Była w jakimś miejscu o skalnych ścianach, w wodzie – powiedział nie odwracając się. – I wyglądała jak martwa.

– Rozumiem – mruknął Talon.

I przez długą chwilę po wyjściu Luke’a stał tak, wpatrując się w otwarte drzwi.

ROZDZIAŁ

18

Alarm ogłoszono, jak zwykle, w najmniej odpowiednim momencie – czyli w połowie deseru. Przez moment Wedge miał ochotę wtłoczyć ostatnie trzy kęsy naraz, ale doszedł do wniosku, że dowódca eskadry wpadający na pokład hangarowy z gębą pełną kremu cytrynowego będzie wyglądał głupio, więc z żalem osierocił je na talerzu i wybiegł z mesy.

– Eskadry myśliwskie, kontrola gotowości – rozległ się głos kontrolera lotów „Peregrine”, ledwie Wedge znalazł się w kabinie swojego myśliwca i założył hełm. – Eskadra Rogue?

– Jesteśmy, Perris – Wedge rozejrzał się, sprawdzając pozostałych pilotów; byli wszyscy. – Co się dzieje?

– Dokładnie nie wiem, właśnie odebraliśmy alarmowe wezwanie z systemu Sif’kric. Generał rozmawiał z nimi przez parę minut i kazał ogłosić alarm. Dobra, wszystkie systemy sprawne; możecie startować.

– Jasne. Panowie, tu Rogue Leader do wszystkich: startujemy!

Dwadzieścia sekund później byli już w przestrzeni, lecąc wzdłuż kadłuba okrętu na standardową pozycję na czele formacji.

– Coś mi się widzi, że to chyba nie ćwiczenia – odezwał się Szóstka na częstotliwości eskadry.

– Jeśli to są ćwiczenia, to generał jest mi winien deser – zagroził Rogue Dwanaście. – Ktoś ma pojęcie o lokalnej polityce?

– Ja mam – głos Dziewiątki daleki był od radości. – Mój teść prowadzi tu interesy. Założę się o każdą kwotę, że to Frezhlix:

kłóćą się o Sif'kriesami, odkąd żeśmy przegonili z okolicy Imperium.

– Może właśnie zdecydowali się skończyć kłótnie i załatwić sprawę – zasugerował Dwójka.

– Mając Bel Iblisa i grupę uderzeniową Nowej Republiki za miedzą? – zdziwił się Rogue Sześć. – Pogłupieli czy co?

– Do wszystkich jednostek, mówi generał Bel Iblis – znajomy głos rozległ się na częstotliwości dowodzenia, ucinając dalsze pogawędki. – Zostaliśmy właśnie poinformowani, że liczna flotylla frezhlixiańska kieruje się ku planecie Sif'krie leżącej zaledwie o parę minut drogi stąd. Ponieważ jest to macierzysta planeta Sif'krie, poproszono nas, byśmy się przyjrzeni sytuacji.

Wedge był doświadczonym pilotem, więc powstrzymał się od komentarza – bo i co można powiedzieć na pomysł powstrzymania floty zamierzającej przeprowadzić inwazję planetarną, mając do dyspozycji jednego Draednaughta, dwie fregaty eskortowe klasy Nebulon-B i trzy eskadry myśliwskie? Dla kogoś, kto walczył po stronie Rebelii jeszcze przed Bitwą o Endor, było to normalne, ponieważ jednak nie wszyscy wtedy zaczynali, Bel Iblis dodał:

– Naturalnie nie planujemy otwartego starcia, a wręcz przeciwnie: musimy uważać, żeby nie przekroczyć legalnych granic, w ramach których mamy prawo działać. To wszystko, co jestem w stanie powiedzieć, dopóki nie znajdziemy się na miejscu i nie ocenimy sytuacji. Komandorze Perris?

– Wszystkie jednostki, przygotować się do skoku w nadprzestrzeń na mój sygnał.

– O co mu chodziło z tymi legalnymi granicami? – spytał Szóstka.

– Pewnie o to, że ten, kto nas zawiadomił, nie mógł oficjalnie prosić o pomoc sił Nowej Republiki – zaryzykował Wedge. – Mógł to być kontroler lotów albo jakiś drobny urzędniczyna, a bez oficjalnej prośby o...

– Eskadra Rogue: skok – głos Perrisa wciął się w słowa Antillesa.

– Wykonuję! – Wedge sprawdził, czy koordynaty w komputerze nawigacyjnym są właściwe i przesunął dźwignię hipernapędu.

Gwiazdy zmieniły się w linie i zgasty.

Po dwunastu minutach lotu, które Wedge spędził na ostatecznym sprawdzeniu broni i zastanawianiu się, jak legendarny Garm Bel Iblis wyjdzie z kolejnej nieprawdopodobnej sytuacji, licznik na pulpicie pokazał zero. Wedge wyłączył hipernapęd i gwiazdy rozbłysły ponownie.

A Wedge zamrugał, nie wierząc własnym oczom.

– No nie!?! Jaja sobie robią? – parsknął Rogue Dwa. – To ma być flota inwazyjna?!

Patrząc na wyświetlające się dane taktyczne, Wedge skłonny był przyznać rację mówiącemu – flota zwana inwazyjną składała się bowiem z pary liczących pół wieku krążowników pancernopokładowych klasy Kruk, pięciu fregat klasy Lancer i około trzydzieści w miarę nowoczesnych patrolowców celnych typu Jomper.

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o poważne zagrożenie – ocenił pogardliwie Rogue Osiem. – Sami możemy ich pogonić, jak by co.

– Kogoś jednak poważnie nastraszyli – zastanowił się Jedemastka. – Popatrz na orbitę planetarną: ze dwadzieścia frachtowców pali rury, żeby im zwać.

– A co najmniej setka nie ma na to szans – dodał Siódemka. – Albo już są, albo za parę minut zostaną odcięte od planety.

– Mam! – ucieszył się nagle Dziewiątka. – Cwane skórkowańce! To musi być doroczny zbiór pommwommów.

– Flotylla frezhlixiańska, mówi generał Bel Iblis z Sił Zbrojnych Nowej Republiki – rozległ się głos Garma. – Proszę o sprycyzowanie waszych zamiarów.

– Tu Plarx – odpowiedział gardłowy głos z nieco dziwnym akcentem. – Mówię w imieniu Frezhlixian. Nasze zamiary nie powinny obchodzić Nowej Republiki, to prywatna sprawa między nami a Sif'kriesami.

– Obawiam się, że nie mogę przyjąć takiego stanowiska. Nową Republikę obchodzi każda agresja wymierzona przeciwko jej członkowi.

– To nie jest agresja, generale Bel Iblis. Przybyliśmy jako delegacja mająca przedyskutować sposób głosowania Sif'krie w kwestii Inicjatywy Drashtińskiej.

Nastąpiła chwila przerwy – najwyraźniej na flagowcu sprawdzano, co to właściwie była za Inicjatywa. Wedge wykorzystał ten czas:

– Corran, co to licho, te pommwommy?

– Gatunek roślin tropikalnych występujący na wewnętrznej planecie tego systemu. Z ich owoców można uzyskać z osiem lekarstw i ze dwa razy tyle przypraw, ale trzeba je przerobić w ciągu trzydziestu godzin od zebrania albo można wszystko wyrzucić.

– Czyli faktycznie nie muszą przeprowadzać inwazji ani długotrwałej blokady, chytrusy – warknął z pewnym uczuciem Rogue Siedem. – Wystarczy, że przez parę godzin przetrzymają te frachtowce z dala od planety i gospodarze solidnie oberwą po kieszeni.

– Jakież dwadzieścia procent rocznych dochodów – poprawił go Corran. – Wbrew pozorom mamy tu poważną wojnę ekonomiczną. Ktoś, kto nas wezwał, miał prawo do paniki.

– Mówco Plarx, mówi Bel Iblis – odezwały się słuchawki. – Sprawdziłem, o co chodziło w Inicjatywie Drashtińskiej i nadal nie widzę usprawiedliwienia dla takiej konfrontacji.

– Zatem nie sprawdził pan dokładnie – warknęło w odpowiedzi. – Głos rządu sif'krieńskiego był decydujący i uniemożliwił senatorowi reprezentującemu nasz sektor dodanie swojego głosu do rosnącej fali potępienia Bothan.

– Głosowanie było legalne i...

– Ale było złe! Jeśli pozwoli się Bothanom uniknąć stosownej kary, to po prostu zachęci się wszystkich im podobnych do popełniania w przyszłości takich zbrodni jak Caamas. Rząd sif'krieński musi to sobie uświadomić i mieć okazję do zmiany stanowiska.

– Całkiem zgrabna wymówka – mruknął Dwójka.

– I trudna do zakwestionowania – zgodził się Piątka.

– Rozumiem stanowisko pańskiego rządu w tej sprawie – odezwał się Bel Iblis. – Ale równocześnie nie możemy wam pozwolić na zakłócanie galaktycznego handlu.

– Nieprawda. Proszę łaskawie przejrzeć przepisy Nowej Republiki dotyczące handlu, generale Bel Iblis.

Nastąpiła kolejna pauza przerwana przez Dwunastkę:

– Ma rację: to kwestia wewnątrzsystemowa, a nie galaktyczna, czyli międzysystemowa. Nie możemy interweniować, dopóki nie zostaniemy oficjalnie o to poproszeni.

– Czyli kulka w dołku tutejszego rządu – podsumował Rogue Pięć. – Jak myślisz, Corran, zdążą czy nie?

– Nie wiem, ale założę się, że wybrali moment, kiedy kogoś ważnego nie ma na planecie albo nie można się z nim skontaktować. Inaczej nie próbowaliby takiego numeru.

W słuchawkach coś ćwierknęło i padło pytanie:

– Komandorze Horn, tu Bel Iblis, to kodowana transmisja. Słuchać mnie wyraźnie?

– Tak jest, sir.

– Podobno Booster Terrik prowadzi interesy w tym sektorze. To prawda?

– Prowadzi – odparł Corran po przerwie.

– A czy te interesy sporadycznie nie obejmują nielegalnych przewozów? Powiedzmy, w wyjątkowych przypadkach bardzo wysokich zysków, jak na przykład podczas dorocznych zbiorów pommwomm?

Tym razem pauza trwała dłużej.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, sir – przyznał Corran.

– Przypuszczam, że sensownym byłoby założyć, iż tak jest – Bel Iblis nie zrażał się łatwo. – A jeśli przyjmie się takie założenie, to czy nie jest prawdopodobne, że któryś z odciętych od planety statków może należeć do niego?

I Wedge nagle zrozumiał, że legenda Bel Iblisa jest jak najbardziej zasłużona.

– A czy mamy identyfikacje tych statków, sir? – spytał.

– Właśnie je wam wysyłam. Proszę im się przyjrzeć, komandorze Horn.

– Rozumiem i wykonuję, sir – sądząc po głosie, Corran istotnie zrozumiał, co planuje dowódca. – Frachtowiec wylistowany jako „Sycophant Jolly”, myślę że w rzeczywistości to „Hoopster’s Prank” Boostera.

– Rozumiem – w słuchawkach ponownie ćwierknęło i głos Iblisa stał się nagle oficjalny. – Komandorze, rozumiem, że łączą pana więzy rodzinne z kapitanem Terrikiem i wiem, że to bolesna decyzja dla pana osobiście, ale jesteśmy oficerami Sił Zbrojnych Nowej Republiki i nie możemy naginać prawa zwalczającego kontrabandę dla nikogo. Czy rozpoznaje pan wśród widocznych statków jednostkę mogącą posługiwać się sfałszowanym transponderem? Jeśli tak, proszę ją zidentyfikować.

– Wydaje mi się, sir, że frachtowiec używający nazwy „Sycophant Jolly” w rzeczywistości nazywa się „Hoopster’s Prank” i może przewozić kontrabandę – powtórzył stosownie ponuro Corran.

– Tu Rogue Leader, proszę o pozwolenie sprawdzenia podejrzanej jednostki, sir – włączył się również oficjalnie Wedge.

– Rogue Leader, udzielam zezwolenia, tylko uważajcie, że- byście przypadkiem nie zaatakowali jednostek frezhlixiańskich.

– Rozumiem, sir. Rogue Leader do wszystkich: szyk bojowy i za mną – polecił Wedge, dając pół ciągu i kładąc myśliwiec w ciasny skręt.

– Wygląda na to, że najkrótsza droga do „Sycophant Jolly” prowadzi przez flotyllę frezhlixiańską – skomentował Rogue Osiem, powtarzając manewr.

– A nie chcemy przecież dać im czasu na pozbycie się ewentualnej kontrabandy, oblatując pół systemu – dodał Corran.

– W takim razie musimy lecieć przez flotyllę blokującą – włączył się do zgodnego chóru Dwójka. – Tylko uważajcie, żeby ich przypadkiem nie ostrzelać.

– Bardzo uważajcie – podsumował Wedge. – Dowódca do wszystkich: pełen ciąg!

Znawali się w połowie drogi do frezhlixiańskiej zbieraliny, zanim jej dowódca zauważył, co się dzieje.

– Generale Bel Iblis, co wyprawiają pańskie myśliwce? – zawyło w słuchawkach. – Nie ma pan prawnego usprawiedliwienia do ataku na moje jednostki!

– Pańskie jednostki nie są atakowane, mówco Plarx – poinformował go spokojnie Bel Iblis. – Zidentyfikowaliśmy jeden z frachtowców czekających za waszą delegacją jako potencjalnego przemytnika posługującego się sfałszowanym transponderem, więc wysłałem eskadrę myśliwców typu X w celu dokonania aresztowania i sekwestru ładunku. Jest to nasze prawo i obowiązek, zgodnie z przepisami prawnymi Nowej Republiki.

Wedge nigdy nie zyskał całkowitej pewności, co właściwie przyszło do głowy dowódcy sił frezhlixiańskich. Może sądził, że Bel Iblis każe przenieść ładunki wszystkich frachtowców na pokład „Peregrine”, może uwierzył, że wszystkie ogłosi potencjalnymi przemytnikami i zarządzi, by zostały eskortowane na powierzchnię planety, gdzie można by je stosownie przeszukać, a może po prostu dotarło doń, że leci na niego znana z niesubordynacji Eskadra Rogue. Jednak, którąkolwiek z przesłanek brał pod uwagę, doszedł do błędnych wniosków i podjął najgorszą, jaką mógł, decyzję.

– Nie! – krzyknął rozpaczliwie. – Nie pozwalam! Myśliwce nie mają prawa lecieć dalej!

– Nie możecie nam rozkazywać! – dolał oliwy do ognia Wedge. – Lepiej proszę kazać swoim jednostkom odsunąć się z drogi.

– Nie! – zawyło, a potem rozbrzmiewał już tylko bełkot i gardłowe syki, po których łączność została przerwana.

Wedge odetchnął i uśmiechnął się – wszyscy jego piloci wiedzieli, co teraz nastąpi:

I zgodnie z oczekiwaniem frezhlixiańskie krążowniki otworzyły ogień.

– Unik! – polecił, kładąc maszynę w ciasny skręt.

Pole wokół lewego górnego silnika rozjarzyło się, trafione z działa laserowego, ale wytrzymało. Obok przemknęła kolejna salwa, tym razem bardziej z boku, zanim zdecydował, że starczy.

– Dowódca do wszystkich: natychmiast wrócić do floty – polecił, wykonując kolejny skręt i unik. – Powtarzam: Eskadra Rogue natychmiastowy powrót do floty!

Pogoniły za nimi ostatnie strzały, ale nie było ich wiele, ponieważ „Peregrine” wraz z resztą większych jednostek przeformowały szyk i pod osłoną pozostałych dwóch eskadr myśliwskich ruszyły ku przeciwnikowi. W słuchawkach rozległo się coś jakby skrzek bez tchu i przerażony głos:

– Generale Iblis, co pan wyprawia?! Nie macie prawa nas atakować!

– Wręcz przeciwnie, mówco Plarx – głos Bel Iblisa był chłodny i ostry. – Mam prawo zrobić z wami, co zechcę. Właśnie bez powodu ostrzelaliście jednostki Nowej Republiki. Poddajcie się natychmiast albo otworzymy ogień!

– Protestuję! Wasze myśliwce sprowokowały nas do obrony.

– Powtarzam po raz ostatni: poddajcie się albo zostanieie zniszczeni.

W słuchawkach znowu zawyło i gardłowo zasyczało, i kończąc manewr na pozycji osłonowej „Peregrine’a” Wedge zobaczył, jak okręty frezhlixiańskie opuszczają dotychczasowe pozycje, kierując się przeciwko nadlatującej flocie. Przez moment zastanawiał się, czy Bel Iblisowi wystarczy przełamanie blokady, czy też każe tamtym zapłacić za napaść, ale decyzję podjął Plarx: oba krążowniki nagle zaczęły strzelać, a Jompery ruszyły do ataku.

– Mówi generał Bel Iblis, do wszystkich jednostek Nowej Republiki – rozbrzmiało w słuchawkach. – Otworzyć ogień według uznania.

– Rząd frezhlixiański przed paroma godzinami przekazał mi dość ostry protest – oświadczył admirał Ackbar, ukazując kamienną twarz w polu holołączności. – Twierdzą, że zaatakowałeś delegację pokojową.

Wedge stojący wraz z Hornem za fotelem Garma Bel Iblisa skrzywił się z niesmakiem.

– Mają tupet – ocenił spokojnie generał. – Nie dość, że usiłowali zacząć wojnę ekonomiczną w systemie, to jeszcze pierwsi nas ostrzelali.

– Oni twierdzą, że przekroczyłeś swoje kompetencje.

– Zupełnie mnie to nie dziwi. A co ty twierdzisz?

– Że mam gdzieś, co oni twierdzą. I że zasłużyli na wszystko, co ich spotkało. Mówiłeś, zdaje się, coś o jakimś przemytniku wśród frachtowców w swoim raporcie?

Bel Iblis spojrział wymownie na Corrana, który przytaknął bez słowa.

– Jeden ze statków Boostera Terrika – poinformował Ackbara. – Władze Sif’krie aresztowały statek i sprawdzają ładunek.

– Mogę sobie wyobrazić rozmowę, która w niedalekiej przyszłości odbędzie się na pokładzie „Errant Venture” – sądząc po głosie, Ackbarowi bardzo się ta perspektywa podobała: jako Mon Calamari żywił zadawnioną niechęć do wszystkich przemytników. – Choć jeśli nic nie znajdą, twoja pozycja może stać się mniej wesoła.

– Przepisy nie precyzują, czy wymagane jest znalezienie kontrabandy – przypomniał mu spokojnie Iblis. – Chyba że prezydent Gavrisom będzie wołał rozumieć je inaczej. To sugerujesz?

– Prezydent zmuszony jest uwzględniać pewne dyplomatyczne i polityczne konieczności, ale wie też, co sądzić o postępowaniu doświadczonych dowódców. Zanim cokolwiek zdecyduje, z pewnością przeczyta twój raport, sugerowałbym jednak, żebyś nieco skrócił trasę patrolu i... – i nagle obraz wraz z dźwiękiem zniknęły.

– Oficer łączności, co się dzieje? – zirytował się lekko Bel Iblis.

– Nie wiem, sir. U nas wszystko działa. Wygląda na przerwanie HoloNetu.

– Na Coruscant? – spytał Bel Iblis, patrząc wymownie na Wedge’a.

– Jeszcze nie wiem, sir... sprawdzamy przekaźniki... nie, sir, to nie na Coruscant, nie działa przekaźnik Mengjini.

– Odbieramy ogólny alarm na sieci zapasowej, sir – włączył się nowy głos. – Przekaźnik Mengjini został ponoć zaatakowany przez cytuję: „niewielką grupę dysydentów”, koniec cytatu, sir.

– Proszę potwierdzić i wziąć kurs na Mengjini oraz zaalarmować wszystkie siły w tamtym rejonie. Proszę poinformować ich, że jesteśmy w drodze i prosimy o wsparcie – polecił Bel Iblis. Począł, aż oficer dyżurny potwierdził i dodał, spoglądając na Wedge’a i Corrana. – Wygląda na to, że raporty muszą nieco poczekać. Wracajcie do eskadry i bądźcie gotowi.

– Rozkaz, sir!

– Nie jest dobrze – ocenił Corran, gdy znaleźli się w korytarzu prowadzącym na pokład hangarowy. – Jeśli ktoś zaczyna niszczyć łączność dalekodystansową, znaczy, że przestał żartować.

– Nie wiemy, czy to ta cała „Zemsta” – zaproponował Wedge, omijając jakiegoś Dresselianina gmerającego w otwartej klapie w podłodze.

– Może i nie, ale ja o nich nie wspominałem, sam na to wpadłem.

– Tak? No, popatrz...

– Właśnie widzę. Widzę też, że ty uważasz, iż zamieszki z dużą liczbą ofiar, próby inwazji planetarnej czy niszczenie przekaźników HoloNetu mogą być wywołane przez wszystkich, tylko nie przez grupę narwańców próbujących ukarać Bothan za Caamas.

– A to się akurat zgadza – burknął ponuro Wedge. – Doczekać się wręcz nie mogę, co będzie dalej.

ROZDZIAŁ

19

– Liczyć i płakać – zaproponował Lando, kładąc karty na stół. – Dwadzieścia trzy... Czysty sabak.

– Interesujące – mruknął senator Miatamia, przyglądając się z kamienną twarzą własnym kartom. – Zakładam, że uwaga o płaczu nie jest dosłowną częścią gry. Czysty sabak, tak?

– Tak – potwierdził Lando i poczuł nieprzyjemne mrowienie na karku: podobne przerwy w grze miały już miejsce pięć razy w ciągu ośmiu rozgrywek, które zaliczyli od startu z Cilpor.

Wszystkie pięć Miatamia wygrał.

– Niestety – Miatamia prawie niechętnie położył karty na stół. – Mam zestaw Idioty, który, jak słyszałem, zawsze wygrywa.

– Zawsze – Lando potrząsnął głową z niesmakiem: nie pięć z ośmiu, ale sześć z dziewięciu. – Nie wierzę, że nie grywał pan zawodowo, senatorze.

– Chyba nie sądził pan, że Diamalanie zbudowali tak potężne imperium finansowe jedynie zdrowym rozsądkiem i ciężką pracą? – spytał senator, strzepując palcami.

Lando znieruchomiał w trakcie tasowania i przyjrzał się podejrzliwie politykowi.

– To miał być żart? – spytał niepewnie.

– Oczywiście – Diamalanin ponownie strzepnął palcami. – Zdrowy rozsądek i ciężka praca to wszystko, czego potrzebuje do osiągnięcia sukcesu istota inteligentna lub inteligentna rasa. Szczęście to iluzja, której ufają ignoranci, a szukają durnie.

Lando z trudem powstrzymał się od złośliwej uwagi – co prawda już nie był zawodowym graczem, ale na temat szczęścia miał własne zdanie.

– Czyli mówiąc krótko: jeżeli ktoś jest wystarczająco sprytny, nie przytrafi mu się nigdy nic niespodziewanego, zgadza się? – spytał zgryźliwie.

– Naturalnie, że niespodzianki się zdarzają, ale ci, którzy są na nie przygotowani, zawsze wyjdą z nich bez szwanku.

– Tak sami z siebie? Bez niczyjej pomocy?

– To także możliwe, ale przewidywanie konieczności czyjejś pomocy to część zdrowego rozsądku – Miatamia pozostał nieporuszony.

– Aha – ucieszył się Lando. – A więc to, że rozpoznaję konieczność dodatkowej ochrony moich transportów rudy, jest oznaką zdrowego rozsądku.

– Może nią być – zgodził się Miatamia. – Może także oznaczać...

Przerwał mu nagły trzask gwałtownie uwalnianej energii dobiegający od strony hipernapędu i widok smug gwiazdnych za oknami. Zanim zmieniły się one w gwiazdy, Lando był już na szczycie spiralnych schodów.

– Co się stało? – Miatamia niemal deptał mu po piętach.

– Awaria hipernapędu – rzucił Lando przez ramię, przeskakując po parę stopni i gorączkowo analizując sytuację.

Jeżeli poszedł któryś tłumik przepływowy, powinien zrobić obejście, zanim nie kontrolowany skok energii zniszczy cały układ.

A perspektywa poważnej naprawy gdzieś w środku gwiazdnejgo zadupia nie stanowiła milej perspektywy, zwłaszcza że miał zamiar wytargować konkretne ustępstwa od Miatamii. Perspektywa dodała mu skrzydeł, przemknął więc przez jadalnię i kabiny, i prawie z piskiem obcasów zahamował przed główną tablicą energetyczną. A tu ze zdumieniem stwierdził, że nie pali się żaden alarm sygnalizujący awarię. Wręcz przeciwnie – zgodnie z odczytami wyjście z nadprzestrzeni nastąpiło automatycznie, czyli jak zwykle po wykryciu cienia grawitacyjnego planety.

Tylko według komputera nawigacyjnego ani w pobliżu, ani w oddali nie powinno być żadnych planet...

– Tylko nie to! – jęknął Lando, rzucając się ku krótkiej schodni prowadzącej na mostek.

Otwartą dłonią trzasnął w taster drzwi, a gdy te się odsunęły, wpadł do wnętrza i zamarł – dokładnie przed dziobem miał aż nadto dobrze znany kształt niszczyciela klasy Imperial.

Klnąc pod nosem, dopadł sterów, włączając po drodze awaryjne dopalacze, wcisnął się w fotel i dał pełen ciąg, skręcając równocześnie ostro na lewo. A raczej próbując skręcić, bo nawet przy pełnej mocy silników „Lady Luck” nawet nie drgnęła.

Co nie było do końca prawdą – jacht poruszał się, tylko nie tam, gdzie Lando by sobie życzył.

– Jesteśmy w wiązce promienia ściąającego – rozległ się z tyłu spokojny głos.

– Zauważyłem – warknął Lando i podjął próby rozpaczliwych manewrów w pionie; jeśli operator promienia nie był zbyt doświadczony, mógł zbyt silnie skompensować ruchy ofiary i dać jej okazję do ucieczki w bok.

Ten miał wystarczające doświadczenie.

– Proszę się przypiąć do fotela – polecił Lando, przestając szarpać sterami i rozglądając się po okolicy.

Gdzieś tu musiał być jeszcze przynajmniej jeden imperialny okręt – krążownik klasy Interdictor... i rzeczywiście: charakterystyczny kształt wisiał nieruchomo po stronie prawej burty jachtu, naturalnie w sporej odległości, i celował dziobem w jednostkę, którą ściągnął z nadprzestrzeni. Choć – po dokładniejszym przyjrzeniu się – wcale nie celował tak dokładnie, jakby się to mogło wydawać, co oznaczało, że „Lady Luck” nie trafiła w centrum generowanych przezeń fal grawitacyjnych. A to z kolei znaczyło, że jeśli zdoła wyrwać się z promienia ściąającego, ma sporą szansę dotarcia do skrajów pola grawitacyjnego i wejścia w nadprzestrzeń, zanim niszczyciel ponownie złapie jacht w namiar.

– Proszę polecić sekretarzowi, żeby się przypiął – polecił Lando senatorowi i uruchomił zapasową wyrzutnię torped protonowych zainstalowaną na wszelki wypadek po pewnej przygodzie Luke’a.

Wybrał zestaw trzeci i odpalił. Torpeda wypadła spod dziobu, przyspieszając nagle, gdy znalazła się w wiązce promienia ściąającego, a na tablicy kontrolnej „Lady Luck” wyświetliła się informacja, że namierzają ją z baterii turbolaserów... wieża artyleryjska nie zdołała namierzyć pocisku, gdy torpeda już eksplodowała o jakieś dwadzieścia metrów od dziobu jachtu.

I to bynajmniej nie oślepiającą kulą ognia, lecz chmurą połykających, lustrzanych cząstek, które powinny zneutralizować wiąz-

kę promienia ściąającego, przejmując na siebie rolę celu. Przy-
najmniej w teorii.

W praktyce również – jachtem zatrzęsło i nagle niewidzialny
uchwyt puścił.

– Trzymać się! – wrzasnął Lando, kładąc pojazd w ciasny skręt.

Uwzględniając opowieści Luke’a, miał ledwie parę sekund,
zanim załoga niszczyciela ocknie się i zacznie strzelać, a jacht to
nie myśliwiec typu X. Okazało się, że zaczęli strzelać prawie na-
tychmiast – jacht był w połowie zwrotu, kiedy pierwszy strzał z tur-
bolaserów zmienił połyskliwą chmurę odbijających cząstek w ma-
towy obłok nie odbijających niczego drobin i w następnej sekundzie
kolejny wstrząs świadczył o ponownym uchwyceniu jednostki przez
promień ściąający.

– I co teraz? – spytał Miatamia.

– Poddajemy się – poinformował go ponuro Lando i wyłączył
silniki.

Pochód otwierały trzy pary szturmowców maszerujących w no-
gę niczym na paradzie, potem szli obaj Diamalanie, jakby specjal-
nie nie w nogę, a za nimi Lando, prawie niewidoczny zza ich ple-
ców. Była to całkowicie złudna niewidzialność – za nim tupało
równomiernie kolejnych sześciu szturmowców.

Jak dotąd, poza zwięzłym: „pójdziecie z nami”, ledwie opu-
ścili pokład „Lady Luck”, nikt się do nich nie odezwał, ale Lando
miał okazje gruntownie zwiedzić niejednego niszczyciel klasy Impe-
rial i wiedział, dokąd się kierują. A kierowali się albo do kajuty
kapitana, albo do sekcji wywiadu.

Co prawda nie znał nazwy tego konkretnego okrętu, ale pogłę-
biało to jedynie nieodparte wrażenie, że ktoś zupełnie bez sensu
wyciął mu dowcip na monstrualną skalę i że znajduje się na jed-
nym ze zdobycznych niszczycieli klasy Imperial wchodzących
w skład floty Nowej Republiki. Wrażenie to, niestety, słabło z każ-
dym krokiem i z każdym mijanym członkiem załogi – wszystko
wskazywało na to, iż jest to rzeczywiście jednostka imperialna.
Dalsze rozważania przerwało mu dotarcie do drzwi oznaczonych
jako ZAPASOWE STANOWISKO DOWODZENIA.

– Jesteście oczekiwani – oświadczył jeden z idących z tyłu
szturmowców, podczas gdy pierwsza szóstka ustawiła się w ochron-
ne półkole wokół drzwi. – Wejście.

– Dziękuję za zaproszenie – odparł niesamowicie opanowanym głosem Miatamia i ledwie drzwi się odsunęły, wszedł bez sekundy wahania.

Sekretarz podążył za nim równie pewnie, więc nie mający wyboru Lando zrobił to samo...

I prawie wpadł na obu Diamalan, którzy nagle wrośli w pokład. W ostatnim momencie złapał równowagę i zaintrygowany stanął na palcach, żeby sprawdzić, co ich tak zaskoczyło.

W pomieszczeniu, poza ścianą monitorów taktycznych i podwójnym kręgiem ekranów dublujących umieszczone na mostku, znajdował się tylko stojący w tym kręgu obrotowy fotel kapitański. Obok fotela stał wysportowany oficer w randze majora, o nie rzucających się w oczy rysach.

Z fotela zaś właśnie wstawał...

Lando poczuł lodowaty chłód w piersiach – to, co widział, było niemożliwe.

A jednak oczy go nie myliły.

– Dzień dobry panom – wielki admirał Thrawn wyprostował się niespiesznie. – Przepraszam za raczej nieformalny sposób, w jaki was tutaj zaprosiłem. Wejdźcie, proszę.

Lando miał wrażenie, że bierze udział w koszmarze, który stał się rzeczywistością. Wielki admirał Thrawn był martwy. Z pewnością był martwy, i to od tylu lat. Musiał być!

A przecież właśnie na niego patrzył, jak najbardziej żywego.

Jak dotąd nikt się nie poruszył.

– Wejdźcie, proszę – tym razem w głosie Thawna pojawił się stalowy ton rozkazu.

Pierwszy ocknął się Miatamia, a jego ruch wyrwał z osłupienia sekretarza, więc Lando, nie chcąc tkwić jak kołek w drzwiach, ruszył automatycznie za nimi, słysząc za plecami szurmowców.

– Wystarczy – polecił major, gdy Miatamia znalazł się ze trzy metry od zewnętrznego kręgu ekranów. – Zostali rozbrojeni?

– Żaden nie miał broni – zameldował dowodzący szurmowcami podoficer, który wraz z dwoma żołnierzami pozostał przy drzwiach, podczas gdy trzej pozostali rozstawili się wzdłuż prawej ściany: w ten sposób mieli pomieszczenie w krzyżowym ogniu, nie ryzykując wzajemnego rozstrzelania się.

Proste, skuteczne, fachowe.

– Na kogoś takiego jak pan, generale Calrissian, lepiej przesadnie uważać – stwierdził Thrawn. – Czy też woli pan stopień ka-

pitana? Po niespodziance koło Bilbringi podjąłem dodatkowe środki ostrożności, choć naturalnie za strony żadnego z panów nie spodziewam się kłopotów.

– Naturalnie – mruknął Lando, obserwując go i zastanawiając się, na czym polega cały numer, bo tego, że Thrawn należał do martwych, był pewien. – Może być kapitan.

A mimo to...

– Doskonale pan wygląda, admirale – odezwał się Miatamia. – Muszę przyznać, że pański widok poważnie mnie zaskoczył.

Thrawn uśmiechnął się lekko.

– Mój powrót zdziwił także wielu innych i zapewniam, że zdziwi jeszcze większą liczbę istot w nadchodzących dniach. Nie zaprosiłem was jednak na pokład, żeby pokazać, że jestem żywy i zdrowy, senatorze Miatamia. Prawdziwym powodem tego za...

– Jak pan przeżył Bilbringi? – wypalił Lando. – Imperialne komunikaty parokrotnie ogłaszały pańską śmierć.

– Nie przerywa się wielkiemu admirałowi! – warknął major, dając krok w stronę pytającego.

– Spokojnie, majorze – głos Thrawna był cichy, ale zatrzymał tamtego natychmiast. – W takich warunkach pewien stopień szoku jest całkowicie zrozumiały i wybaczalny.

– Jednak nadal nie odpowiedział pan na pytanie – zauważył Miatamia.

Lando miał wrażenie, że na niebieskiej twarzy pojawił się przez moment cień smutku.

– Przeżycie zawdzięczam unikalnej kombinacji kilku czynników, ale chwilowo jeszcze nie mogę podać szczegółów.

– A imperialne komunikaty? – powtórzył Lando.

– Imperialne komunikaty ogłaszały dokładnie to, co chciałem – odparł lekko zirytowany Thrawn. – Niezbędne było, aby podczas mej rekonwalescencji... chyba źle panów oceniłem. Założyłem bowiem, że gdy spotkacie kogoś, kto powrócił z martwych, będziecie bardziej zainteresowani tym, co ma do powiedzenia, niż detalami podróży. Mój błąd. Sierżancie, proszę odprowadzić gości do ich statku, a pan, majorze, będzie uprzejmy potwierdzić w wywiadzie aktualne miejsce pobytu senatora Dx'ona z rasy Ishori.

– Przepraszamy pana, wielki admirale – powiedział Miatamia, ledwie szturmowcy zdążyli się poruszyć. – Jak pan powiedział, w tych warunkach szok powinien być zrozumiały. Słuchamy pana z uwagą.

Thrawn uniósł dłoń i szturmowcy znieruchomieli.

– Doskonale. Moja wiadomość jest prosta i krótka, panie senatorze: dowiedzieliście się ostatnio, że w zniszczenie planety Camas zamieszana była grupa Bothan. Proponuję pomoc w postawieniu winnych przed obliczem sprawiedliwości.

Miatamia pochylił głowę, jakby nasłuchiwał odległego dźwięku.

– Przepraszam? – spytał zaskoczony.

– Słyszał pan właściwie – Thrawn ponownie leciutko się uśmiechnął. – Chcę pomóc.

Senator spojrział na Landa, przeniósł wzrok na Thrawna i spytał zwięźle:

– Jak?

– Identyfikując winnych, naturalnie. Jeśli prezydent Gavrisom naprawdę pragnie zakończenia kryzysu, wystarczy, że poprosi o moją pomoc. Jedna wizyta na Bothawui i krótka rozmowa z każdym z szefów klanów, a poznam prawdę.

Miatamia ponownie przekrzywił głowę.

– Bothańscy przywódcy twierdzą, że nie wiedzą, kto konkretnie był zamieszany w zbrodnię – przypomniał.

– Bądźmy dorośli! A spodziewał się pan innej reakcji z ich strony?

Miatamia przez moment trawił usłyszane rewelacje.

– A pan wierzy, że pozna prawdę jedynie rozmawiając z nimi? – spytał, gdy przetrawił.

– Tak – odparł krótko Thrawn z błyskiem w oczach.

Zapadła chwila ciszy, przerwana pytaniem polityka:

– Nie prościej byłoby po prostu odszukać właściwe dane w archiwum i przekazać je nam?

– Owszem i poszukiwania już trwają. Ale musi pan zdawać sobie sprawę z tego, jak obszerne jest imperialne archiwum na planecie Bastion, jak również z tego, że nie są to powszechnie dostępne informacje. Otrzymanie dostępu do nich i znalezienie konkretnych może zająć tygodnie, a nawet miesiące – Thrawn uniósł granatowo-czarną brew. – A nie sądzę, abyście mieli aż tyle czasu do zmarnowania.

– Sprawia pan wrażenie przekonanego, że Nowa Republika stoi w obliczu poważnego kryzysu – zauważył Miatamia. – Przetrawiliśmy już wiele poważnych kryzysów, panie admirałe.

– Pańska pewność jest godna podziwu, panie senatorze, doradzałbym jednak przekazać moją ofertę władzom, zamiast bezpodstawnie, pospiesznie ją odrzucać.

– Nie powiedziałem, że odrzucam pańską ofertę – sprzeciwił się senator.

– Naturalnie, że pan nie powiedział – Thrawn uśmiechnął się ze zrozumieniem, które Landa w dziwny sposób zdenerwowało. – Bardzo chciałbym kontynuować naszą pogawędkę... od dawna nie rozmawiałem z wyszkolonym diamalańskim umysłem, lecz niestety muszę zająć się innymi problemami, a pan ma wiadomość do przekazania. Sierżancie, proszę odprowadzić gości na ich statek. Do zobaczenia, panowie.

– Jedno pytanie, jeśli można – Lando skorzystał z okazji, że szturmowców dzieliło od niego parę ładnych metrów: jego umysł ocknął się z letargu i przez ostatnie kilkanaście sekund pracował na zwiększonych obrotach, toteż doszedł do całkiem słusznego wniosku, że może to być jedyna okazja zdemaskowania kantu. – Widziałem pana raz, z pewnej odległości, w towarzystwie niejakiego Talona Karrde. Mógłby mi pan powiedzieć, gdzie to było i po co się pan tam zjawił?

– Jeśli to test, temat wybrał pan niezbyt rozsądnie, kapitanie – twarz Thrawna stężała. – Sporo czasu spędziłem, zastanawiając się nad najwłaściwszą formą zapłaty Talonowi Karrde za jego wielokrotną zdradę. Nie lubię, gdy mi się o nim przypomina, chyba że w kontekście rozważań, jak niewiele życia mu jeszcze pozostało. Tę wiadomość może mu pan dostarczyć przy najbliższym spotkaniu.

– Aha – mruknął Lando: mina rozmówcy definitywnie zniechęcała do kolejnych pytań.

– Nie odpowiedział pan na pytanie, admirale – wtrącił się z niespodziewaną uwagą Miatamia.

Pałające oczy zwróciły się na Diamalanina i przez moment Lando miał wrażenie, że senator przeciągnął strunę. Z ulgą zauważył uśmiech na obliczu Thrawna.

– Szkolony, diamalański umysł – powtórzył spokojnie admirał. – Przepraszam, panie senatorze. Pan, kapitanie Calrissian, pytał o spotkanie na planecie Myrkr w bazie Talona Karrde, gdy szukałem Luke'a Skywalkera. Pan i generał Solo, jak się potem okazało, obserwowaliście nasze przybycie ukryci w lesie.

– Wiedział pan, że tam byliśmy? – Lando poczuł lód na kręgosłupie.

– Wiedziałem, że są tam dwaj ludzie – poprawił go Thrawn. – Jak pan z kolei wie, wyposażenie sensoryczne hełmów wojsk szturmowych znacznie różni się między sobą, choć zewnętrznie wyglą-

dają one tak samo. Jeden ze szturmowców, którzy mi towarzyszyli, zauważył błysk waszej makrolornetki.

– I nic pan nie zrobił? – zdziwił się Miatamia.

– Sądziłem, że to ludzie Karrde’a – Thrawn wzruszył lekko ramionami. – Odległość była spora, poszycie gęste, zapewne nawet ciężki karabin blasterowy okazałby się mało skuteczny w takich warunkach, więc poleciłem zostawić ich w spokoju. Rozwój wydarzeń pokazał, że nie była to właściwa decyzja, ale nikt nie jest doskonały. Czy ta odpowiedź zaspokaja pańską ciekawość, kapitanie Calrissian?

– W zupełności.

– To mnie cieszy. Dziękuję wam, panowie, za czas i uwagę, i przepraszam za niespodziewaną przerwę w podróży. Sierżancie, proszę odprowadzić gości – tym razem ton był czystym rozkazem.

Trzydzieści minut później, siedząc za sterami „Lady Luck”, Lando obserwował zsynchronizowane wejście w nadprzestrzeń obu okrętów imperialnych.

– Jak pan powiedział, senatorze: niespodzianki się zdarzają – mruknął. – Cieszę się, że ci, którzy są przygotowani, potrafią z tego wyjść bez szwanku.

Miatamia nie odezwał się – może dlatego, że pierwszy raz w życiu nie miał nic do powiedzenia.

Lando skrzywił się i wziął kurs z powrotem na Coruscant. Wiedział, że Gavrisom nie będzie zachwycony nowinami.

Bo nikt nie będzie nimi zachwycony.

Disra nie spodziewał się żadnych wiadomości, a mimo to jego prywatny holoprojektor wyświetlił migającą podobiznę Tierce’a jednej czwartej naturalnej wielkości. Zaskoczony Disra uaktywnił połączenie i postać przestała migać.

– Korzysta pan z transmisji kodowanej – stwierdził Disra, czując w żołądku lodowatą pięść. – Co się stało?

– Nic się nie stało. Cała akcja przebiegła idealnie. Można by rzec, podręcznikowo.

– Miło mi to słyszeć – warknął Disra. – Dlaczego więc pan niepotrzebnie ryzykuje?

– Wiedziałem, że będzie się pan denerwował – odparł bezczelnie Tierce. – Chciałem tylko pana uspokoić.

Disra uśmiechnął się ironicznie, choć wiedział, że wielkość holoprojektacji nie odda tak subtelnych zmian mimiki.

– Serdeczne dzięki za troskę, majorze. Doceniam pańską troskliwość. Więc mówi pan, że nasz pomocnik zachował się, jak należy?

– Powiedziałbym, że zachował się doskonale. Byli jego, od chwili, kiedy weszli, do momentu, w którym wyszli.

– I żadnych niespodzianek?

– Prawdę mówiąc, nie. Calrissian próbował sprawdzającego pytania dotyczącego planety Myrkr, ale nasz partner starannie przeczytał moje sprawozdanie o poczynaniach Thrawna i znał właściwą odpowiedź.

– Pięknie. Kiedy wracacie?

– I tu właśnie kryje się powód naszej niespodziewanej rozmowy. Skoro już tu jesteśmy, pomyślałem sobie, że dobrze byłoby pokreć się trochę po ich przestrzeni.

– A to w jakim celu? – Disra zmarszczył brwi.

– Chciałbym się rozejrzeć – Tierce machnął lekceważąco ręką. – Wysłać sygnały do tej części siatki, której jeszcze nie zdołaliśmy uaktywnić z uwagi na dużą odległość lub położenie. A przede wszystkim chcę zobaczyć, jaka będzie reakcja władz Nowej Republiki na powrót Thrawna.

– Pięćdziesiąt niszczycieli w pierwszej fali, a druga, liczniejsza, jak tylko ją zbiorą! – warknął Disra. – Zgłupiałeś pan?! Tego nie było w planie!

– Plany operacji wojskowych mają to do siebie, że zawsze się zmieniają.

– Ale to nie jest operacja wojskowa! I nie po to przygotowywałem Flima, o czym obaj doskonale wiemy!

– A pan powinien pamiętać, że gdy się przyłączyłem, powiedziałem, iż stać nas na znacznie więcej, niż pan zaplanował, Disra! – oświadczył ostro Tierce.

– Zrzuńcie wszystko! – Disra zgrzytnął zębami. – A przy okazji dacie się bez sensu zabić!

– Wręcz przeciwnie – nawet przy tym pomniejszeniu widać było pełen satysfakcji uśmiech oficera. – Mam zamiar zacząć odbudowę Imperium!

– Tierce...

– Muszę kończyć – przerwał mu Tierce. – Kodowanie kodowaniem, ale nie ma sensu niepotrzebnie przedłużać połączenia. Pro-

szyć się nie martwić: nie mam zamiaru samym „Relentless” podbić Coruscant ani wyczyniać podobnie głupich rzeczy. Po prostu coś mi mówi, że opłaci się nam tu zostać, proszę to nazwać przecuciem.

– Z moich doświadczeń wynika, iż poleganie na przecuciach jest najszybszą drogą do marnego końca – warknął Disra, wiedząc, że nic nie jest w stanie zrobić, poza wysłaniem w pościg reszty floty sektora Braxant, co było niewykonalne i wiedząc równocześnie, że Tierce także zdaje sobie z tego sprawę. – Jak długo zamierza pan tam zostać?

– Kilka tygodni – Tierce wzruszył ramionami. – Może dłużej. To zależy.

– Od czego?

– Od tego, czy nastąpi reakcja, której się spodziewam. Jak tylko to się stanie, dam panu znać.

– Ślicznie. A jak tylko flota Nowej Republiki pojawi się w tej okolicy, ja dam znać panu!

– Nie wątpię, ekscelencjo – Tierce uśmiechnął się szeroko. – Wiedziałem, że pan zrozumie. Do zobaczenia.

Obraz zamigotał i zniknął. Disra wyłączył holoprojektor i spojrział nań ze złością. Sytuacja zaczynała mu się wymykać spod kontroli, a to było niedopuszczalne. Tierce wystarczająco długo już hasał swobodnie, teraz należało wziąć go na krótką smycz i przypomnieć, kto tu rządzi.

Chwilowo co prawda nie miał błędnego pojęcia, jak tego dokonać, ale nie wątpił, że coś wymyśli.

ROZDZIAŁ

20

Miatamia skończył i usiadł na miejscu dla świadków obok Landa Calrissiana, a Leii wydało się, że w Wielkiej Sali Senatu zrobiło się nagle dziwnie zimno. Wydarzyło się niemożliwe – wielki admirał Thrawn wstał z martwych.

– Nie widzę, w czym problem – wysoki głos likashańskiej senator brzmiał nieprzyjemnie blisko pisku. – Nas jest wielu, Imperium jest nieliczne. Zgromadźmy siły i zniszczmy je wreszcie do końca.

– Ten, kto myśli, że nadal jest to możliwe, jest durniem – sprzeciwił się przedstawiciel rasy Sronk. – Widziałem, co ten wielki admirał Thrawn zrobił przed laty z systemami obronnymi mojej planety, mając do dyspozycji siedem pancerników klasy Dreadnaught! Nie ogłosiłby swego powrotu, gdyby nie był gotów na odparcie naszego ataku i przeprowadzenie własnego.

– Imperium pozostało około tysiąca systemów – odezwał się ktoś, kogo Leia nie potrafiła zidentyfikować. – I setka albo dwie setki niszczycieli, plus parę tysięcy myśliciów. Sugerujecie, że to wystarczająca siła, by powstrzymać zgodną szarżę naszych zjednoczonych kopyt?

– Jeśli ktoś nie słyszał o Thrawnie i...

– Proszę państwa! – zadudnił w głośnikach przewodniczący obradom prezydent Gavrisom. – Wszyscy rozumiemy wasze troski i obawy, zwłaszcza członkowie Rady. Jednakże zalecałbym rozpatrzenie nowin bez dochodzenia do przedwczesnych wniosków i proponowania nie przemyślanych akcji.

– Uderzenie uprzedzające nie wydaje mi się nie przemyślaną akcją – padło z sali. – Zgadzam się z panią senator, że należy natychmiast zaatakować i zniszczyć pozostałości Imperium, a wtedy problem przestanie istnieć.

– Właśnie! – pisnęła Likashanka. – Wielki admirał Thrawn już raz omal nas nie pokonał. Nie możemy dać mu czasu na przygotowanie ponownego ataku.

– Przecież on już dysponował całym czasem, jakiego potrzebował! – ryknął senator z rasy Sronk. – Może byście raz posłuchali tego, co mówicie?! Gdyby nie był gotów, nadal nic byśmy o nim nie wiedzieli.

– Natomiast faktem jest, że sytuacja wygląda zupełnie inaczej niż przed dziesięciu laty – odezwała się Leia, starając się zachować spokój i rozwagę. – Wówczas miał do dyspozycji ponad czwartą część Imperium, teraz, jak już powiedziano, jego zaplecze jest niewielkie.

– A więc pozbawmy go tego zaplecza i zniszczmy! – krzyknął ktoś.

– Nie możemy go zniszczyć, nawet gdybyśmy chcieli, a nie jestem przekonany, czy to akurat najwłaściwsza reakcja na jego propozycję – sprzeciwił się Gavisom.

– Dlaczego nie? – Likashanka nie ustępowała. – Nowa Republika ma znacznie więcej okrętów niż Imperium.

W odpowiedzi Maerdocianin ryknął coś w swoim stylu.

– Czyżbyście poważnie zamierzali pozwolić temu całemu Thrawnowi przesłuchiwać przedstawicieli władz Nowej Republiki? – zaszemrało w uchu Leii. – To bardzo prosta droga do szaleństwa!

– On nie chce przesłuchiwać nas, tylko Bothan – zauważył Kian'thorianin.

– Kto uwierzy, że tylko na nich się skończy?! – ryknął Maerdocianin. – Ten, kto wierzy, także zmierza do szaleństwa!

Gavisom wyłączył system nagłaśniający i ogłuszająca kłótnia zniknęła w lokalne pyskówki, a potem zapadła cisza. Prezydent włączył system i zaproponował spokojnie:

– Może skupilibyśmy się na temacie obrad? To oczywiste, że nie mamy najmniejszego zamiaru pozwolić przedstawicielowi Imperium na przesłuchiwanie reprezentantów władzy Nowej Republiki. Tak samo zresztą powinno być dla wszystkich oczywiste, że równie nierozsądne jest proponowanie ataku na Impe-

rium. Co prawda formalnie nadal jesteśmy w stanie wojny z Imperium, ale faktycznie działania wojenne skończyły się dość dawno, a jeśli ostatnio zdarzały się jakieś incydenty, to czysto lokalne i niezbyt często. Powód niewykonalności takiego ataku jest prosty: choć dysponujemy siłami rzeczywiście nieporównywalnie większymi, są one obecnie rozproszone po całym obszarze Nowej Republiki, próbując nie dopuścić do wybuchu setek lokalnych wojenek i bezsensownych waśni, które grożą destabilizacją całego systemu.

– Miły zbieg okoliczności – zagwizdał złośliwie przedstawiciel rasy Garooshi. – Przynajmniej dla Imperium.

– Które zapewne wznieca albo podsycza te waśnie – dodał ktoś z pogardą. – Dokładnie w stylu Thrawna. Rozdmuchać głupią nienawiść albo prymitywne spory o miedzę lub inne dawno zapomniane urazy...

– Tylko nie głupie, dobrze?! – zadudniła nagle senator rasy Forshul. – A co do zadawnionych sporów, to charakterystyczne wydaje się, że nasi oprawcy, Prosslee, należą do tych, którzy gotowi są wybaczyć Bothanom ich zbrodnię. Obowiązkiem wszystkich prawomyślnych istot jest rozpoznanie niebezpieczeństwa, jakie postawa taka niesie nie tylko dla mojej rasy, ale także dla wszystkich w sektorze Yminis...

Gavrisom ponownie wyłączył dźwięk, więc duża część przemowy zmieniła się w odległe porykiwanie.

– Dziękuję senator sektora Yminis za komentarz – oświadczył prezydent, uruchamiając głośniki, gdy ryki umilkły. – Chciałbym też przypomnieć i jej, i pozostałym obecnym, że nie jest to właściwy czas na takie przemowy.

– Chcę zabrać głos, panie prezydencie! – rozległ się nagle znajomy głos trzęsący się ze znajomej wściekłości i całkiem niezłe słyszalny mimo braku nagłośnienia, które Gavrisom odruchowo wyłączył.

Ghic Dx'ono z rasy Ishori trząśł się ze złości, co stanowiło typową oznakę głębokiego namysłu u przedstawicieli jego rasy.

– Ma pan głos, senatorze – Gavrisom uruchomił głośniki. – Ale chciałbym przestrzec, że zgromadzeni tu nie mają ochoty wysłuchiwać tyrad ani przeciwko Diamalanom, ani przeciwko Bothanom.

– Nie zamierzam wygłaszać żadnych tyrad – warknął Dx'ono. – Chciałem tylko uświadomić szanownej izbie fakt, iż po-

siadamy jedynie oświadczenie diamalańskiego senatora wskazujące na powrót rzeczonego Thrawna. Chciałbym także przypomnieć, że senator ten zakończył przed chwilą swoje oświadczenie apelem, abyśmy zostawili sprawę bothańską bez ukarania winnych po to, by skoncentrować się na tym hipotetycznym, nowym zagrożeniu.

– Powrót wielkiego admirała Thrawna nie jest żadną hipotezą, senatorze Dx’ono – skontrował spokojnie Miatamia. – To, że poprzednim razem został powstrzymany, zanim dotarł do waszych planet, nie gwarantuje tym razem bezpieczeństwa rasie Ishori, a istoty inteligentne wierzą także w istnienie tego, czego same nie widziały. Po prostu nie można mu pozwolić na swobodę działania, gdyż to właśnie jest najgroźniejsze.

– Będzie pan łaskaw nie oskarżać mnie o troszczenie się jedynie o bezpieczeństwo Ishori! – wrzasnął Dx’ono. – Mamy na celu bezpieczeństwo wszystkich obywateli Nowej Republiki, ale domagamy się także w ich imieniu sprawiedliwości.

– Diamalanie od dawna są zwolennikami wszelkich form sprawiedliwości, natomiast żadna inteligentna istota nie może uznać ślepej zemsty za którąkolwiek z nich – skontrował spokojnie Miatamia.

– Tylko ktoś ślepy mógłby uznać nasze żądania za zemstę, ale nie o tym teraz mowa – warknął pospiesznie Dx’ono, widząc ruch Gavrisoma ku guzikowi odcinającemu głośniki. – Mowa o pańskim oświadczeniu złożonym w tej izbie, a poważnie wzmacniającym pańskie stanowisko w sprawie Caamas, na które to oświadczenie nie ma dowodów z żadnego niezależnego źródła.

– W takim razie od kogo, pańskim zdaniem, zależny jest były generał Lando Calrissian?

– Przecież sam pan powiedział, że zgłosił się do was z prośbą o pomoc wojskową – prychnął Dx’ono. – To niby jak mam go uznać za niezależnego, zwłaszcza od Diamalan?!

– Radziłabym zastanowić się nad sensem tej wypowiedzi, senatorze – Leia wstała, czując, jak ogarnia ją gniew. – Generał Calrissian był przyjacielem i sojusznikiem Rebelii, a potem Nowej Republiki na długo przed tym, nim znaczna część tu obecnych w ogóle pomyślała, że można stawić opór Imperium. Jeżeli powiedział, że widział Thrawna, to znaczy, że go widział.

– Był przyjacielem i sojusznikiem, jak pani senator zauważyła – odciął się Dx’ono. – Był także przemytnikiem, zawodowym

graczem oraz oszustem używającym kłamstwa, by osiągnąć zamierzone cele. Teraz zarządza podmorską kopalnią, której zyski zależą od uzyskania ochrony dla transportów, konkretnie diamalańskiej ochrony. Proszę mi w takim razie powiedzieć, pani senator, na ile można ufać słowu kogoś z taką przeszłością?

– Można mu zaufać życie, co nieraz robiłam – odparła Leia, spoglądając na siedzącego z kamienną twarzą Landa. – A jeśli ocenia się czyjeś postępowanie wyłącznie na podstawie przeszłości, to znalazłoby się na tej sali sporo osób o znacznie gorszej i jakości nikt im tego nie wypomina. Osobiście ręczę za jego prawdomówność.

– To miłe. Ma pani zresztą do tego całkowite prawo – przyznał Dx'ono. – O reszcie chwilowo nie będę się wypowiadał, bo nie ma ona znaczenia w dyskusji. Nie widzę jednak rozwiązania problemu, który postawiłem: założmy, że obaj widzieli niebieskoskórego osobnika na pokładzie imperialnego niszczyciela. Tylko: czy to był Thrawn, czy tylko miał być Thrawn?

Leia spróbowała go wysondować, lecz przy mieszaninie emocji panujących w sali udało jej się wyczuć jedynie wściekłość zagłuszającą wszystko inne.

– Sugeruje pan, że spotkanie zostało ukartowane, a zamiast Thrawna brał w nim udział oszust podstawiony przez Imperium? – spytała.

– Dokładnie tak, choć niekoniecznie przez Imperium. Wszyscy wiemy, że sporo niszczycieli, zwłaszcza klasy Imperial, znajdujących się na terenie Nowej Republiki nie należy do floty tejże Nowej Republiki. Są własnością planet, układów planetarnych, a nawet podobno indywidualnych osób. Wiadomość przekazana przez tego tak zwanego Thrawna, jak już powiedziałem, dziwnie wspiera diamalańskie stanowisko w kwestii Caamas. Powstaje pytanie, czy jest to przypadek, czy staranna manipulacja?

– Zdolność manipulowania przeciwnikami to jedna z największych umiejętności Thrawna – zauważył Fey'lya.

– Lecz nie jest to umiejętność unikalna – parsknął Dx'ono. – Bothanie także są w tej dziedzinie utalentowani. Diamalanie również.

– Thrawn, którego teraz spotkałem, wiedział o mojej obecności na planecie Myrkr dziesięć lat temu – odezwał się Lando. – A jedyni, którzy wówczas tam byli oprócz mnie, to Thrawn i jego ochrona złożona ze szturmowców.

– Nieprawda! – prychnął Dx'ono. – Zgodnie z pańskim wcześniejszym oświadczeniem był tam również generał Solo.

– I co z tego? – warknęła Leia.

– A także przemytnik Talon Karrde – Dx'ono zignorował pytanie.

– Karrde nie wzięłyby udziału w czymś takim – zaprotestowała Leia.

– Czyżby? W przeciwieństwie do kapitana Calrissiana, on nigdy nie twierdził, że jest lojalny wobec Nowej Republiki. Od lat zajmuje się zarobkowo przemytem i handlem informacjami, i jest lojalny jedynie w stosunku do swych dochodów. – Dx'ono wyprostował się dumnie. – A co ciekawsze, człowiek ten utrzymuje stałe kontakty z przedstawicielami władz Nowej Republiki, takimi jak kapitan Calrissian czy pani, pani senator Organa Solo. Może w takim razie powiedziałaaby pani zebrany, jakie jest pani stanowisko w sprawie bothańskiej?

– O co konkretnie panu chodzi, senatorze? – zaskoczona Leia próbowała gorączkowo zyskać na czasie.

– Dobrze pani wie, o co mi chodzi. Proszę nam powiedzieć, czy uważa pani, że należy zażądać od Bothan pełnych odszkodowań, czy też, jak senator Miatamia, woli pani, by ich zbrodnia pozostała nie ukarana. A może posunie się pani jeszcze dalej, tworząc sytuację, w której zgromadzeni tu zostaną zmuszeni do podjęcia takiej decyzji?

– Dobrze wiemy, jakie zajmuje stanowisko – odezwał się ktoś z sali. – Jej partner, Han Solo, strzelał do pokojowej manifestacji na Bothawui.

– To nie zostało dowiedzione, senatorze Shibatthi – rozległ się spokojny głos Gavisoma. – A pan, senatorze Dx'ono, na przyszłość niech się lepiej zastanowi, pod czyim adresem wygłasza zarzuty. Za niektóre osoby świadczą czyny, nie słowa, szkoda, że jedynie za niektóre. Natomiast nie jest to ani właściwy czas, ani miejsce do kolejnej debaty na temat Caamas. Proszę usiąść i zabierać głos jedynie na temat.

Co i tak nie zmieniało sytuacji – jednym pociągnięciem Dx'ono nie tylko podał w wątpliwość relację Miatamii, lecz także podważył wiarygodność Leii i Landa, nie wspominając o Talonie czy Hanie. Jeśli spróbuje interweniować na ich korzyść, podsyci jedynie podejrzenia, o czym Leia doskonale wiedziała. Wewnętrzne spory, podejrzenia i marnowanie czasu na dywersje – to rzeczywiście był styl Thrawna.

– Wydaje mi się, iż jest to właściwy moment, by wysłuchać raportu Admiralicji o stanie floty i w ogóle sił zbrojnych Nowej Republiki – ogłosił Gavrisom. – Admirale Drayson?

Drayson wstąpił na podium obok prezydenta i zaczął mówić prawie równocześnie z dyskretnym mruganiem zielonej kontrolki łączności na poręczu fotela Leii. Rozejrzała się nieznacznie, acz podejrzliwie – częstotliwość tego kanału znała jedynie rodzina i najbliżsi przyjaciele, a wszyscy zostali uprzedzeni, żeby korzystali z niego jedynie w ostateczności. Powinni także używać serii trzech wywołań, po których następowała przerwa, a kontrolka mrugała ciągłym wezwaniem. Zaintrygowana uaktywniła prywatne pole i głos Draysona opadł do jednej dziesiątej normalnej siły, gdy wysunęła spod oparcia ramię ekranu i ustawiła je w odpowiedniej pozycji, obiecując sobie, że jeśli to Anakin z jakąś głupotą, konsekwencje będą opłakane.

– Leia Organa Solo – powiedziała, uruchamiając połączenie. To nie był Anakin.

– Witaj – Talon Karrde uklonił się lekko. – Mam nadzieję, że nie trafiłem w niestosowny moment.

Odruchowo przysunęła ekran i zakłęta w duchu.

– Prawdę mówiąc, udało ci się trafić maksymalnie źle – przyznała. – Jestem w sali Senatu w trakcie obrad.

– Wobec tego będę się streszczał – Talon lekko zmrużył oczy: zbyt dobrze się znali, by dał się zwieść, że to jedyny powód. – Mam dla ciebie wiadomość, której wolałbym nie przysyłać nawet najlepiej kodowanym kanałem. Niestety, jeden z szefów kontroli lotów Coruscant uważa, że nie powinienem otrzymać pozwolenia na lądowanie.

– Masz jego nazwisko? – Leia zmarszczyła brwi.

– Tylko numer KTR-44875, którego zresztą nie chciał mi podać, musiałem ściągnąć powiększeniem z jego identyfikatora. Jeśli to w czymś pomoże, należy do rasy Ishori.

– Pomoże – odparła, krzywiąc się z niesmakiem. – Ich senator właśnie skończył oskarżać ciebie i Landa o współudział w oszustwie, które wymyślili Diamalanie, żeby skończyć sprawę Caamas. Próbował, z pewnym powodzeniem, mnie w to wmieszać.

– Rozumiem – Karrde uśmiechnął się krzywo. – A ja się właśnie zjawiłem... ma się to wyczucie, nie? Przepraszam za niewłaściwą porę.

– Nie masz za co – zapewniła go Leia mająca dość tego, czego była świadkiem: nikt, a już zwłaszcza politycy, nie będzie jej

dyktować, z kim ma się znać czy przyjaźnić. – Powiedz temu dupkowi, że ja zezwalam na lądowanie. Przekażę polecenie, jak tylko skończymy rozmowę. Przyleciałeś na „Wild Karrde”?

– Tak, ale mogę wylądować promem, jeśli uważasz, że tak będzie polityczniej.

– Urażone ambicje to ostatnio moje najmniejsze zmartwienie. Wiesz, gdzie jest lądowisko West Championne? To jakieś dwieście kilometrów na południe od pałacu Imperatora, w pobliżu Gór Manawai.

– Znalazłem na mapie – Karrde przyjrzał się jej uważniej. – Wy-szło coś nowego czy sprawa Caamas zrobiła się wybitnie złośliwa?

– Jeszcze nie wiem: pasuje każda z możliwości, zależnie od tego, kogo się słucha. Dwadzieścia kilometrów na wschód od lądowiska znajduje się kompleks mieszkalny zwany Orowood Tower, mamy tam mieszkanie na trzynastym piętrze. Dam znać Noghri, żeby cię wpuścili, a my zjawimy się, gdy tylko uda mi się stąd wyrwać.

– Brzmi intrygująco – mruknął Karrde. – Żeby nie powiedzieć, iż kojarzy się z odosobnieniem.

– Bo takie jest – przyznała, wiedząc, że może mieć żal o wybór tego właśnie miejsca. – Dlaczego akurat tam się spotykamy, zrozumiesz, jak opowiem ci, co się stało.

– Naturalnie – Karrde był wyjątkowo zgodny. – Mogę użyć twojego komputera i zestawu łączności, żeby nie umrzeć z nudów do waszego przybycia?

– I sprawdzić, co dałoby się wyciągnąć za ich pomocą z archiwum?

– Człowiek cały czas się uczy – przyznał Karrde. – A nigdy nie wiadomo, kiedy znajdzie się coś ciekawego.

– Sądzę, że z wiekiem staje się to coraz trudniejsze, zwłaszcza dla ciebie. Możesz korzystać z obu, powiem Noghri, że cię upoważniłam.

– Dzięki i do zobaczenia.

– Na razie – Leia przerwała połączenie i wybrała numer kontroli lotów Coruscant, zastanawiając się, co jeszcze przygotował dla nich wielki admirał Thrawn.

W sumie był to dobry dzień – tak przynajmniej ocenił go Carib Devist, przyglądając się barwnym polom porośniętym tall-

grainem, które zajmowały całą dolinę Dorchess. Letnie słońce, zazwyczaj prażące powierzchnię Pakrik Minor, prawie cały czas kryło się za chmurami, które zniknęły dopiero, gdy ukazało się zza Pakrik Major, gęściej zaludnionej planety systemu. Do zmroku zostało półtorej godziny i ciepło było mile widziane. Co prawda na polach pojawiło się trochę problemów, ale takie już jest życie, a zresztą poradzieli sobie z nimi we dwóch z bratem. Dzień zaczęli od pozbycia się rodziny dżdżownic, które chciały zadomowić się wśród splątanych korzeni, a potem musieli usunąć ognisko białej rdzy, która w ciągu kilku dni unicestwiłaby całą uprawę, gdyby nie została zniszczona. Ale za to nie zepsuł się żaden z drogidów, a zboże rosło szybciej, niż zakładano. A więc był to dobry dzień.

Carib utwierdził się w tym, siadając wygodniej ze szklanką wody mineralnej R'alla i przyglądając się zachodowi słońca. Kontemplację przerwał mu ruch po prawej. Sabmin zbliżał się poobijanym landspeederem – najprawdopodobniej Lucy zaprosiła go wraz z rodziną na kolację: Carib był przyzwyczajony, że dowiadywał się o tym zawsze ostatni. Dopiero gdy pojazd dotarł bliżej, dostrzegł, że brat jest sam, a kiedy zobaczył jego minę, wiedział, że na pewno nie chodzi o kolację...

Czekał na dole, gdy Sabmin zahamował i wysiadł.

– Co się stało? – spytał bez żadnych wstępów.

– To się stało – odparł cicho Sabmin. – Byłem w jaskini, kiedy nadeszły rozkazy.

Carib zerknął na dom – przez kuchenne okno zobaczył, jak Lucy ostrożnie wyciąga mięso z piecyka.

– Przejdź się ze mną – polecił bratu i ruszył w stronę pola. – Sprawdź, czy rozkazy są autentyczne?

– Oczywiście. Mają wszystkie wymagane sygnatury i zostały zaszyfrowane imperialnym kodem.

Carib skrzywił się – od naprawdę dawna określenia „imperialne” nie używano w tej części Pakrik Minor.

– W takim razie faktycznie nadszedł czas – przyznał. – Po dziesięciu latach... poinformowałeś pozostałych?

– Nie. Najpierw postanowiłem skontaktować się z tobą. To nie wszystko: rozkaz został podpisany przez wielkiego admirała Thrawna!

Caribowi opadła szczeka.

– Niemożliwe – syknął, gdy ją pozbierał. – Thrawn nie żyje!

– Tak wszyscy mówią. Ja tam wiem tylko, że na rozkazach jest jego nazwisko.

– To może być kłamstwo – doszli do zboża i Carib odetchnął pełną piersią specyficznym, kwaskowatym aromatem gleby. – Albo oszusta.

– Jeżeli to kant, to ma bardzo krótkie nogi. Nawet holotranmisje da się sprawdzić, czy nie są montowane ze starych nagrań i komputera. Na dłuższą metę nikogo to nie przekona.

– Fakt – przyznał Carib, sprawdzając prawie dojrzałe ziarna i zamyślił się: Thrawn zmienił pięć lat porażek w prawie kompletne zwycięstwo... – Zdajesz sobie sprawę, że to może zmienić wszystko?

– Nie bardzo widzę, jak. Zostaliśmy tu umieszczeni, żeby na rozkaz spowodować określone zniszczenia i wywołać jak największe zamieszanie. To tak jak ze zbożem: sieje się je, czeka, aż wzrosnie... a potem są żniwa.

Carib opuścił dłoń – żniwa śmierci i zniszczenia, i to na Pakrik Major, gdzie właśnie zaczęła się coroczna konferencja ogólnosektorowa. Długo odwlekane uderzenie przeciwko zdradzieckiej Rebelii...

– Nie to miałem na myśli – poprawił brata. – Chodzi mi o to, że jeśli Thrawn rzeczywiście znowu dowodzi, to wykonując rozkazy nie popełnimy jedynie efektownego samobójstwa. Jeżeli on wrócił, Imperium może wygrać.

– Masz rację – mruknął Sabmin po chwili. – Nie pomyślałem o tym.

– Więc zacznij. I lepiej postarajmy się, żeby pozostali też zaczęli. Bo jednak co innego bezsensownie dać się zabić na rozkaz jakiegoś przygłupa, a zupełnie co innego wykonywać rozkazy doświadczonego dowódcy, który może zwyciężyć. Kiedy był ostatni przegląd myśliwców?

– Nie dalej jak miesiąc temu. Wydaje mi się, że nadzorował go Dobrow. Chcesz z nim wieczorem pomówić?

– Chcę się spotkać wieczorem ze wszystkimi – Carib zawrócił w stronę domu. – Za dwie godziny u mnie.

– Może być problem z Tabricem i Hovarbem: trzy ich gornety mają wieczorem mieć młode.

– To będą miały, publiczności do tego nie potrzebują, a spotkanie jest ważniejsze.

– Nie presadasz? Otrzymałszy rozkaz gotowości, nie ataku.

– Jeżeli Thrawn dowodzi, to rozkaz i plan ataku nadejdą szybciej, niż sądzisz. Obojętnie, cokolwiek by planował, będzie to wymagało szybkości, więc lepiej być przygotowanym.

Resztę drogi do landspeedera przeszli w milczeniu.

– Zgoda, poinformuję ich – Sabmin wsiadł. – Przyjdą wszyscy.

– Więc może lepiej do ciebie – westchnął Carib. – To trzy minuty drogi od ich gospodarstw, jakby coś poszło nie tak, zdążą na czas.

– Dzięki, Carib – Sabmin uśmiechnął się lekko. – Do zobaczenia u mnie.

ROZDZIAŁ

21

– Jest Lando – ucieszyła się Leia, gdy Han osadzał Incoma T-81 na lądowisku airtspeederów usytuowanym na trzecim poziomie Orowood Tower. – Przy wejściu, obok tego czerwonego Chmurnego Wozu.

– Widzę go – Han wyłączył silniki i dodał: – Nadal nie podoba mi się ten pomysł.

– Wiem – Leia rozejrzała się po obsadzonym krzewami lądowisku: ani wzrokiem, ani przy użyciu Mocy nie wykryła niczyjej obecności. – I nie powiem, że się z tobą całkowicie nie zgadzam, ale nalegał, żeby wziąć udział w tym spotkaniu.

– W takim razie należy mieć nadzieję, że nikt go nie śledził albo że zgubił ogon – mruknął Han, otwierającabinę. – Bo jeśli nie, to jutro powitają cię oskarżenia o spiski i tajne spotkania.

– Zdaję sobie z tego sprawę – wysiadła i rozejrzała się ponownie.

W górze dostrzegła światła pozycyjne paru pojazdów, a po drogach krzyżujących się w pobliżu budynku przemykały inne, ale żaden nie zmierzał w ich kierunku. Z drugiej strony okna jednej z pięciu kawiarenek znajdujących się w Orowood Tower – tej na czwartym poziomie – były ciemne, nie wspominając o sporej części okien mieszkań. Jeśli w którymkolwiek siedział ktoś ciekawski z makrolornetką...

– Lepiej wejdźmy do środka – Han musiał pomyśleć o tym samym. – Rusz się, Threepio!

– Już idę – złocisty droid wysiadł nieco nieporadnie z tylnego przedziału pojazdu i kolebiąc się powędrował za nimi.

Leia nagle uprzytomniła sobie, że od chwili startu były to pierwsze wypowiedziane przez droida słowa – albo wreszcie nauczył się nie denerwować Hana, albo, co bardziej prawdopodobne, przypominał sobie własne perypetie towarzyszące ostatniej kontrofensywie Thrawna.

– Witajcie – Lando wyłonił się z ukrycia, kiedy dochodzili do drzwi, ale bez zwyczajowego radosnego uśmiechu. – Gdzie Karrde?

– Wewnątrz – poinformowała go Leia, podczas gdy Han wybierał kombinację otwierającą drzwi. – Powiadomiłam Noghri i wpuścili go.

– To dobrze – ocenił Lando, rzucił szybkie spojrzenie przez ramię i wszedł za Leią i Hanem do budynku.

Licząca trzydzieści osiem pięter Orowood Tower została zaprojektowana jako centrum starannie zaplanowanego osiedla dla wszystkich mieszkańców Alderaan, którzy przeżyli zniszczenie swej planety. Jednak pomimo starań architektów i budowniczych, którzy pieczołowicie odtworzyli alderański styl, tłumy przelewające się przez całkowicie zabudowany Coruscant były zbyt męczące dla większości ocalałych z masakry, więc zarzucono projekt osiedla. Liczono natomiast, że sam budynek przyciągnie tych, którzy zdecydowali się zostać i stworzą tu minikolonję. Tym bardziej że roztaczał się z niego doskonały widok na to, co pozostało z Gór Manarai. Ostateczny cios zadała owym marzeniom blokada Coruscant podczas kontruderzenia wielkiego admirała Thrawna – po niej wszyscy dawni mieszkańcy Alderaan opuścili Coruscant albo przenosząc się na Nowy Alderaan, albo rozpraszając po galaktyce. Wyszli z założenia, że skoro mieli tyle szczęścia, by ująć z zagłady rodzimej planety, nie należy go nadużywać, osiedlając się na jeszcze bardziej kuszącym celu, jakim było Coruscant. O tym, że mieli rację, świadczyły wydarzenia następnego roku, kiedy Coruscant został dwa razy odbity – pierwszy raz przez Imperium, drugi przez Nową Republikę.

W ten sposób wielki w zamierzeniach eksperyment stał się wspomnieniem, a budynek zmienił się w jeden z wielu używanych jako podmiejskie czy wakacyjne przez osoby, które nie mogły opuszczać na co dzień kompleksu administracyjno-rządowego. Większość stanowili przedstawiciele rozmaitych ras inteligentnych i przybysze z dalszych części galaktyki, a bardzo wielu z nich nawet nie słyszało o sławnych lasach oro porastających Alderaan, które użyczyły nazwy budynkowi.

Wiele lat minęło, zanim Leię prawie przestała irytować ta ironia losu.

Prawie.

Winda działała z typowo alderaafińską, bezgłówną skutecznością, więc cicho i szybko znaleźli się w przypominającym ogród korytarzu trzynastego poziomu, łącznie z miniaturowymi sadzawkami i strumykami. Nikogo tu nie było widać, ale też nikogo nie powinno być widać.

– Barkhimkh? – spytała cicho Leia.

– Tu jestem, lady Vader – głos dobiegł spod przeciwnej ściany; zaszeleściły liście i obok łukowatego wejścia prowadzącego do korytarza, na którego końcu znajdowało się wejście do ich apartamentu, pojawił się Noghri. – Cisza i spokój.

– Dziękuję – oświadczyła krótko Leia.

– Dopilnuj, aby tak zostało – dodał Han.

– Będzie, jak sobie życzysz, Hanie z klanu Solo – skłonił się Barkhimkh.

Talon siedział w samokształtującym się fotelu ustawionym w kręgu konwersacyjnym, z notesem w jednej, a szklanką bursztynowego płynu w drugiej ręce.

– Jesteście nareszcie – uśmiechnął się, wstając i zamykając notes, gdy Han wszedł do pomieszczenia. – Właśnie się zbierałem, żeby poprosić Sakhisakha o skontaktowanie się z wami.

– Wystartowaliśmy znacznie później, niż się spodziewałam – westchnęła Leia. – Przepraszam.

– Nie ma za co – Karrde wzruszył ramionami. – A dzieciaki gdzie?

– Rano odlecieli z Chewiem do jego rodziny na Kashyyyk – odparła Leia. – Uznałam, że w tym całym zamieszaniu tam im będzie najlepiej.

– Na pewno najbezpieczniej – zgodził się Talon. – Przy kontynencji Noghri i planecie pełnej Wookiech tylko samobójca mógłby czegoś spróbować. Witaj, Calrissian, miło cię znowu widzieć.

– Mnie też, choć możesz zmienić zdanie, kiedy ci powiemy, dlaczego akurat tu się spotykamy.

– Doprawdy? – uśmiechnął się Karrde. – To skończmy z uprzejmościami i przejdźmy do rzeczy. Powiedzcie mi, co się dzieje.

– Przykro mi, ale komunikacja z rezydencją, o którą pani chodzi, jest zastrzeżona i nie mogę połączyć pani bez stosownego kodu autoryzacyjnego – poinformował rozwścieczająco uprzejmy głos autoskreenuingu.

– Proszę powiedzieć senator Organie Solo, że jest to sytuacja wyjątkowa – oświadczyła Shada oficjalnym tonem, spoglądając przez okno na Incoma T-81 rodziny Solo lądującego na trzecim poziomie Orowood Tower. – Dzwonię z polecenia admirała Draysona z wywiadu Nowej Republiki.

– Przykro mi, lecz nie mogę pani połączyć bez stosownego kodu autoryzacyjnego – na autoskreenuingu nie wywarło to najmniejszego wrażenia.

Shada skrzywiła się i przerwała połączenie – to była ostatnia próba słownego kontaktu i, podobnie jak wszystkie poprzednie, zakończyła się spławieniem. Miała już tego naprawdę dość. Zaczęła od uprzejmych, oficjalnych sposobów: najpierw biuro senator Organy Solo w pałacu, potem, gdy systemy nie łączyły jej dalej, spróbowała kontaktu osobistego. Nie mając stanowisk, koneksji ani żadnego haka na urzędasów, natykała się wszędzie na niewidzialną, ale niezwykle skuteczną zaporę niemożności. Potem usiłowała skontaktować się z nią w domu, z takim samym rezultatem. Teraz właśnie skończyła dobijać się do apartamentu wypoczynkowego.

Z każdą próbą jej wyidealizowana wizja Nowej Republiki blakła i coraz bardziej się rozsypywała. Sądziła, że tu będzie lepiej niż u Mistryl, a okazywało się, że jest tak samo, jeśli nie gorzej. Co i tak nie zmieniało prostej prawdy, że musiała za wszelką cenę dokończyć to, co zaczęła, i to z prostego powodu: nie miała dokąd pójść. Skoro więc zawiodły grzeczne, oficjalne metody, spróbuje na swój sposób.

Kompleks sklepów ulokowany na drugim poziomie budynku był duży i dobrze zaopatrzony, więc nie straciła nawet pięciu minut na znalezienie trzech rzeczy, których potrzebowała. Minutę później była już w windzie wraz z brokatową, białą wstążką, tanim datapadem i butelką równie taniej, ale za to mocnej whisky marki Dobolvi.

Wiedziała, że jazda nie potrwa długo, zatem nie traciła czasu. Połała alkoholem kołnierz nieco nieświeżej, ale jeszcze eleganckiej sukni sięgającej kostek, wypłukała nim usta, krzywiąc się przy okazji, bo jechał samogonem, i to podłej jakości, i wlała

większość pozostałego płynu do ozdobnych skrzynek z kwiatami zdobiących górną część kabiny. Z ulgą wypluła alkohol z powrotem do butelki i zajęła się wstążką. Tradycyjna ślubna kokarda stosowana na Coruscant była kunsztowna i pracochłonna, istniała jednak jej uproszczona wersja, która dla niedoświadczonego obserwatora wyglądała nader podobnie. Toteż gdy winda stanęła i drzwi się otworzyły, wychodząc na dach Shada gotowa była do przedstawienia.

Z butelką w jednej, a datapadem w drugiej dłoni wyszła i rozejrzała się, jakby nieco nieprzytomna. Wśród stolików, krzeseł i dekoracyjnych krzewów nie dostrzegła nikogo. Ale z tego, co zauważyła, ochrona osobista Organy Solo miała niezwykły talent do wtapiania się w otoczenie. Ujęła silniej butelkę i ruszyła chwiejnym krokiem na skraj dachu otoczony ozdobnym, lecz solidnym ogrodzeniem sięgającym prawie do brody i umocowanym do solidnej podstawy na wysokości kolan.

– Jak tam se chcesz, Ravis – wymamrotała pod nosem z pijackim uporem i upuściła butelkę i datapad na dach. – Nie chcesz? To nie i pies z tobą tańcował. Pewnie, że se moge iść, jak chcesz to wszystko moge... iść z twego życia też moge... na zawsze moge...

Chlipnęła i przytuliła się do ażurowego płotu, przekręcając głowę w ten sposób, by rzucić okiem w dół. Gdzieś z tyłu dał się słyszeć ślad dźwięku i nic. A więc musi się bardziej postarać, zanim ich sprowokuje. Proszę bardzo...

Puściła ogrodzenie, szlochając cicho, podniosła datapad i starannie ustawiła go na najbliższym krześle tak, by był z daleka widoczny. Potem nieco niewprawnie odczepiła z włosów wstążkę, ucałowała teatralnie i umieściła przed datapadem. Przyglądała się obu przez chwilę, poprawiła wstążkę i wzięła głęboki oddech. Unosząc głowę, podeszła do ogrodzenia, złapała za nie i weszła na podstawę, po czym przerzuciła jedną nogę przez płot.

Albo raczej spróbowała przerzucić, gdyż unosząc ją, usłyszała kolejny ślad dźwięku i nagle za szeroki pas złapała ją niewielka, ale silna dłoń, zmuszając do opuszczenia nogi, jeśli chciała utrzymać równowagę.

– Nie rób tego – odezwał się z tyłu poważny, nieco miaukliwy głos.

– Puszczaj! – zażądała płaczliwie, uwalniając lewą rękę i oganiając się na osłep. – Puść mię. Jak go nie obchodze, to nie. Nie chce mie już, to nie... Puszczaj, mówie!

– To nie jest sposób – miauknęło z tyłu, a trzymająca ją dłoń ciągnęła łagodnie, lecz mocno. – Chodź do środka, porozmawiamy.

– Skończyłam z rozmawianiem – wymamrotała, odwracając się nieco i spoglądając w dół, a przy okazji upewniając się, że Noghri miał okazję wyraźnie poczuć jej oddech. – Proszę, puść mnie...

Ponieważ dach był pusty, nie licząc ich dwojga, złapała drugą ręką za ogrodzenie i zaczęła się podciągać.

– Puszczaj, mówie!

– Nie! – Noghri pociągnął ją w dół z siłą, o którą by go nie podejrzewała, więc przez sekundę utrzymywała się na wczepionych w metal palcach, a potem bez żadnego ostrzeżenia puściła płot, obracając się równocześnie, i padła prosto na niego.

Musiała przyznać, że był szybki – zanim skończyła obrót, zdążył dać krok w bok, by zejść z jej linii upadku. Puścił jej pasek i uniósł ramiona, zamierzając złapać ją i złagodzić upadek. Padając w jego objęcia, uderzyła go krótkim ruchem – wyprostowanymi palcami w nasadę szyi. Bez żadnego dźwięku kolana niewczesnego ratownika ugięły się i oboje padli na dach niczym para bezwładnych lalek. Przez długą chwilę pozostała tam, pochlipując i rozglądając się nieznacznie, ale wyglądało na to, że Noghri był sam.

Co naturalnie nie znaczyło, że nie odmeldował się przed rozpoczęciem misji ratunkowej mającej uchronić ubogą pijaczkę przed samozagładą. Jeśli to zrobił, miała niewiele czasu. Jeżeli tego nie zrobił, miała go niewiele więcej, zatem nie marnowała ani sekundy – ściągnęła suknię, pod którą ukryła kombinezon z uprzężą i pełnym wyposażeniem, i uważając na drzwi windy, zabrała się do roboty.

Karrde okręcił szklanekę i wpatrzył się w smętne pozostałości bursztynowego napoju.

– Jesteś pewien? – spytał po chwili.

– Jestem – potwierdził Lando. – Sprawdziłem wszystko, co mamy o Thrawn, sprawdziłem też imperialne archiwa i obejrzałem każde ujęcie z nim i każdy hologram. Przyznaję, że jest tego niewiele, ale to, co znalazłem, wygląda, mówi i zachowuje się tak jak ten, którego widziałem.

– Co i tak nie wyklucza ostatecznie kantu – podsumował Han, spoglądając ukradkiem na Leię.

Jeśli Talon brał udział w oszustwie lub też o nim wiedział, do tej pory powinna była to wysondować, ale Leia siedziała z równie ponurą miną od początku relacji Calrissiana, a widząc spojrzenie męża, zaprzeczyła delikatnym ruchem głowy. Jeśli małżonkowie Solo mieli nadzieję, że ich poczynania pozostaną ich słodką tajemnicą, to nie docenili Talona.

– Wychodzi na to, że nie tylko Ishori mnie tu podejrzewają – odezwał się Karrde, nie odrywając wzroku od naczynia. – Przeszedłem próbę?

– Przepraszam – Leia przygryzła wargę. – Ja nie miałam wątpliwości, ale to i tak niczego nie zmienia.

– Dzięki – Talon uśmiechnął się ironicznie i spojrzał na pozostałych. – Was dwóch nie będę zmuszał do kłamstwa niepotrzebnymi pytaniami.

– Nie robisz w ciemno niczego poza grą w karty – odezwał się pojednawczo Han. – Znamy się długo, ale niezbyt dokładnie i wydaje mi się, że jesteś po naszej stronie, lecz nigdy tego wyraźnie nie powiedziałeś, a w tak poważnej sprawie musiałem mieć pewność.

– Masz rację: nigdy tego nie powiedziałem. – Talon przeniósł spojrzenie na Landa. – Dobrze, zacznijmy od założenia, które pasowałoby nam wszystkim najbardziej, a zatem od tego, że stałeś się ofiarą kantu, czyli oszustwa. Pytanie pierwsze: w jaki sposób tego dokonano?

– Wbrew pozorom to nie jest aż takie trudne – ocenił Han. – Znaleźć kogoś podobnego, zrobić mu drobne zabiegi kosmetyczne, zmienić barwę skóry, włosów i oczu, i mamy Thrawna.

– To już byłaby kosmetyka chirurgiczna, a ona pozostawia charakterystyczne ślady. Miałem z tym kiedyś do czynienia i wiem, czego szukać. On nie miał takich śladów – sprzeciwił się Lando. – A poza tym twoja teoria nie wyjaśnia głosu.

– Głosy można podrobić jeszcze łatwiej – Han wzruszył ramionami. – Sami to robiliśmy, praktycznie na poczekaniu, przy pomocy Threepio, pamiętasz?

– Jeśli głos i wygląd zgadzały się idealnie, mógł to być replikant – podsunął Karrde. – Jak choćby Guri księcia Xizora z Czarnego Słońca.

– Owszem, ale nie chodzi jedynie o głos czy wygląd... – Lando potrząsnął z zakłopotaniem głową. – Może to głupio zabrzmie, ale całe jego zachowanie... nie wiem, jak to opisać... cechowały

je obecność, świadomość ukrytej siły i pewność siebie, których replikant raczej nie byłby w stanie oddać. Wszystko idealnie pasuje do wybitnego stratega i dowódcy. To musiał być on.

– Więc może w takim razie klon? – zasugerował Karrde. – Bez żadnego problemu mógł zabrać jeden czy parę cylindrów Spaarti z góry Tantiss i ukryć je, gdzie miał ochotę.

– Też się nad tym zastanawiałam – przyznała Leia. – Przy okazji wyjaśniłaby się kwestia klonów, których obecność wyczuł Luke w pobliżu Iphiginu.

– To rzeczywiście mógł być klon... – Lando podrapał się z uchem. – Zaraz, zaczekajcie, a gdyby wszystko odwrócić... przecież właśnie klon mógł siedzieć na mostku „Chimaery” w czasie Bitwy o Bilbringi. A jeżeli Thrawn przewidział to, co miało nastąpić... wszystko przewidział i poczynił odpowiednie przygotowania?

Talon przyjrzał mu się z mieszaniną podziwu i politowania.

– To gdzie siedział i na co czekał przez cały ten czas, gdy wokół Imperium sypało się w gruzy? – spytał po chwili. – Gdyby nadal dowodził, miał naprawdę dużą szansę odtworzyć je, czekając jedynie tracił. Pomysł, przynajmniej oryginalny, ale to on był wtedy na mostku i jego dorwał Noghri, inaczej reszta w ogóle nie ma sensu. Mógł natomiast zostać poważnie ranny i zniknąć gdzieś, żeby się wyleczyć, choć nie bardzo wiem, z jakich ran leczy się dziesięć lat.

– To samo wynikało z jego wypowiedzi do Miatamii – dodał Lando. – Że potrzebował tego czasu na rekonwalescencję.

– Chyba że to jest oficjalna wersja – wtrąciła niespodziewanie Leia. – Chce ją wszystkim wmówić, a w rzeczywistości był zupełnie gdzie indziej i zajmował się czymś innym, czymś ważniejszym...

– Ważniejszym niż Imperium? – sprzeciwił się Han. – To dopiero nie ma sensu.

Karrde nagle odstawił naczynie na niski stolik i zaproponował:

– W takim razie zajmijmy się najgorszą możliwością: to jest autentyczny Thrawn, który wrócił dokończyć dzieła. Dlaczego wybrał na pojawienie się właśnie ten moment i tylko was dwóch zamiast, dajmy na to, połowy Senatu czy całego Coruscant?

– Pewnie dlatego, że chciał stworzyć sytuację, w której się znajdujemy – podsunęła Leia. – Napięcie w Senacie skoczyło pod sufit, a Diamalanie stali się obiektem podejrzeń, podobnie jak wszyscy, którzy mają podobne do nich zdanie w kwestii Caamas.

– Wraz z podejrzeniem, iż Gavisom może nie chcieć rozwiązania tej kwestii na dokładkę – dodał Lando. – Słyszałem utyskiwania, że odwleka jak może sprawę odszkodowań dla żyjących jeszcze mieszkańców Caamas.

Han skrzywił się na wspomnienie Bothan i ich kryzysu finansowego, ale powiedział uspokajająco:

– Robi najlepszą rzecz, jaką może.

– Poza tym myślę sobie, że gdyby Thrawn chciał jedynie zamieszkać w rządzie, znalazłby całą masę innych sposobów – mruknął Lando.

– A o co innego może mu chodzić? – spytał Talon. – Nie jest idiotą i wie, że nie ma szans pokonać Nowej Republiki, mając do dyspozycji osiem sektorów.

– Może znalazł jakąś nową broń, którą Imperator gdzieś ukrył – podsunął ponuro Lando. – Pałętało się tego po galaktyce tyle, że coś się mogło uchować. Ja wiem, co... Kompletna Gwiazda Śmierci albo odmiana Pogromcy Słońce czy inne Eye of Palpatine. Albo i coś groźniejszego.

– Bardzo mało prawdopodobne – Karrde potrząsnął przecząco głową. – Ktoś powinien by o tym usłyszeć przez tyle lat.

– Należy wziąć poprawkę na jeszcze jedno – dodała Leia. – Prawdą jest, że nie może marzyć o pokonaniu Nowej Republiki, ale jedynie w sytuacji, w której zdołalibyśmy skłonić całą Nową Republikę do walki. Kwestia Caamas podzieliła nas silniej, niż można by sądzić, a ponieważ Imperium od dość dawna jest słabe, niewielu traktuje je jako poważnego przeciwnika.

– Niewielu je tak traktowało od początku – przypomniał Han. – Zawsze z Imperium walczyła zaledwie niewielka część galaktyki.

– I zawsze mieliśmy przeciwko sobie tylko niewielką część sił Imperium – dodał Lando, przyglądając się uważnie Talonowi. – Nie sądzę, żebyśmy wtedy rozumieli, jak wiele energii i sił potrzebował Imperator na niedopuszczenie do tych wszystkich lokalnych wojenek i zemst, których pełno, jak galaktyka długa i szeroka. Teraz jesteśmy w tej samej sytuacji i według mnie po prostu nie mamy sił, żeby spokojnie czekać na to, czym dysponuje Thrawn.

– Zwłaszcza że nie wiemy ani dokładnie, czym dysponuje, ani nawet ogólnie, co zamierza – Karrde przyglądał się również uważnie Calrissianowi, jak tamten jemu. – W takim razie co proponujesz jako następny ruch?

– Rozwiązać ten cholerny problem Caamas, żebyśmy mogli skupić się na Thrawn. A to oznacza, że musimy się dowiedzieć, który z Bothan jest winien.

– I tu pojawia się problem – stwierdził z wystudiowanym spokojem Karrde. – Z tego, co wiem, Imperium pozostały tylko dwa kompletne archiwa: jedno w bazie wywiadu na planecie Yaga Minor, drugie w stolicy zwanej Bastion.

– Nie sądzę, żebyś wiedział, gdzie leży Bastion? – spytała Leia.

– Obawiam się, że nie wiem – Karrde nie spuszczał wzroku z Landa. – Astronomiczna nazwa planety to jeden z niewielu sekretów, jaki Imperium udało się skutecznie utrzymać.

– Nie mówiłem tylko o archiwach znajdujących się w rękach Imperium – powiedział spokojnie Lando. – Wydaje mi się, że ktoś jeszcze może mieć informacje, których szukamy.

Han zamrugał ze zrozumieniem – nagle stało się jasne, dlaczego Lando chciał być obecny przy rozmowie z Talonem, choć jeszcze nie do końca.

– Chcesz powiedzieć, że on...

– Nie mam tych informacji – przerwał mu Karrde. – Gdybym miał, już dawno byście nimi dysponowali.

– Wiem – odparł spokojnie Lando. – Myślałem o kimś zupełnie innym.

– Kto najprawdopodobniej też ich nie ma – odpalił Karrde.

– Ale może mieć – podsumował z kamienną twarzą Lando.

Przez parę następnych sekund obaj przyglądali się sobie w zupełnym milczeniu. Han spojrzął na Leię i uniósł brwi, odpowiedziała mu tym samym, więc spytał ostrożnie:

– Czy może o czymś powinniśmy wiedzieć?

– Nie – stwierdził Lando. – A raczej może powinienem powiedzieć: jeszcze nie.

– Leia – Talon wstał niespodziewanie. – Lando i ja musimy chwilę porozmawiać na osobności. Gdzie byłoby najwygodniej?

– W sypialni chłopców – odpowiedziała bez wahania. – Ostatnie drzwi po lewej.

– Dziękuję – Karrde wskazał drzwi. – Bądź łaskaw przodem, Calrissian.

Shada na wszelki wypadek przyczepiła do ściany drugą kotwicę o dwa metry powyżej okna. A raczej nie na wszelki, tylko na

wypadek, gdyby Noghri doszli do wniosku, że lepiej odciąć linę z intruzem niż wciągać go na górę i przesłuchiwać. Perspektywa nie była miła, jeśli wisiało się dobre sto metrów od ziemi. Mając ten problem z głowy, nasunęła na oczy noktowizor i zajrzała ostrożnie do wnętrza ciemnego pokoju, przy którego oknie się znajdowała.

Był to pokój dziecienny, wyposażony w dwa tapczany, a ponieważ nikogo w nim nie dostrzegła i nie widziała, by którekolwiek z trójki dzieciaków przyleciało z rodzicami, mogła spokojnie założyć, że pokój nadal pozostanie nieużywany.

Zdjęła noktowizor, wsunęła go do kieszeni i wyjęła jeden z trzech posiadanych sztyletów molekularnych Zana M6W-9. Podobnie jak miecz świetlny, ostrze molekularne mogło przeciąć prawie wszystko – istniały tylko dwie różnice: ostrze sztyletu było niemal niewidoczne i w przeciwieństwie do miecza nadzwyczaj delikatne. Pchnięcie kończyło się przeważnie śmiercią trafionego i złamaniem ostrza, a nawet najdelikatniejsze cięcie czegokolwiek najprawdopodobniej oznaczało zniszczenie broni. Na szczęście tym razem mogło być inaczej gdyż w przeciwieństwie do większości budynków na planecie, które miały okna zespolone ze ścianą, tu zastosowano rozwiązanie alderańskie, o uchylnych skrzydłach. Dzięki temu, by dostać się do środka, nie musiała wycinać dziury w szkłe, lecz jedynie rozciąć zamek.

No i naturalnie odnaleźć i unieszkodliwić alarmy zainstalowane przez ochronę.

To ostatnie okazało się prostsze, niż sądziła – na oknie umieszczono tylko jeden alarm przeznaczony do wykrywania zbyt blisko podlatujących airspeederów. Najwyraźniej nikomu nie przyszło do głowy, że napastnik może być szaleńcem ryzykującym zjazd z dachu na linie. Choć z drugiej strony na dachu czuwał wartownik, więc nie pozostawili otwartej drogi ataku.

Dwie minuty później stała już w pokoju, i to z prawie zamkniętym oknem, i nasłuchiwała. Oprócz cichych, mechanicznych hałasów typowych dla współczesnych budynków uchwyciła także stłumioną rozmowę, ale słowa były zbyt ciche, aby dało się je zrozumieć przez zamknięte drzwi. Zdołała jedynie rozróżnić, że w rozmowie biorą udział cztery osoby, co ją zaskoczyło i powstrzymało przed wejściem w głąb mieszkania. Airspeederem przylecieli małżonkowie Solo wraz z droidem, czekał na nich Calrissian, ale do kogo należał czwarty głos, bo przecież nie do droida protokolarnego?

Ktoś wpadł z wizytą? Mało prawdopodobne. Znacznie prawdopodobniejsze wydawało się, że to wspólnik Calrissiana, ale przecież Calrissian krył się po kątach samotnie, kiedy czekał na gospodarzy...

Nagle wyteżyła słuch i przestała snuć rozważania – głosy umilkły, za to rozległ się nowy dźwięk – kroki. I to coraz bliższe.

W czterech długich krokach znalazła się przy tapczanie stojącym pod przeciwległą ścianą. Było to posłanie z rodzaju używanych na statkach kosmicznych, w których powierzchnię pod materacem zajmowały szuflady i szafki. Nie zamierzała tam się kryć, ale aby się schować, musiała odsunąć mebel od ściany. Złapała za uchwyt i pociągnęła.

Nie miała pojęcia, co młode pokolenie rodziny Solo trzymało pod łóżkiem, ale zgromadziło tego dużo i okazało się to niewiarygodnie wręcz ciężkie – mimo wytrenowanych mięśni udało jej się przesunąć całość zaledwie o jakieś ćwierć metra. Musiało to wystarczyć, ponieważ kroki zatrzymały się przed drzwiami, więc na wpół skoczyła z przysiadu, na wpół przetoczyła się po materacu i wśliznęła się w wąską szczelinę między posłaniem a ścianą.

Zdażyła opaść na posadzkę ramieniem i biodrem, gdy drzwi się otworzyły i do pokoju weszły dwie osoby.

Zapłonęło światło, drzwi się zamknęły i usłyszała znajomy głos, którego jednak nie potrafiła zidentyfikować:

– Mieliśmy umowę, Lando...

– Której nie złamałem – przerwał głos Calrissiana.

– Doprawdy? Brakowało tylko, żebyś dał ogłoszenie, że coś przed nimi ukrywamy. Leia i Han nie są głupi: nawet jeśli nic więcej nie powiesz, zaczną szukać i w końcu dowiedzą się, o co chodzi.

Shadę nagle olśniło – głos należał do przemytnika Talona Karrde.

– Prawdę mówiąc, uważam, że mają większe zmartwienia – prychnął Lando. – A szczerze mówiąc, nigdy nie mogłem zrozumieć twojej obsesji na punkcie utrzymania całej sprawy w tajemnicy. W porządku, Jorj Car'das był kiedyś twoim konkurentem i co z...

– Ciszey, jeśli łaska! – warknął Karrde. – Nie chcę, żeby inni usłyszeli to nazwisko. Poza tym nie konkurentem, ale wręcz przeciwnie.

– Też pięknie. Ale teraz chodzi tylko o to, że nie stać nas już na luksus głupich gier, skoro pojawił się...

– Głupich gierek? – przerwał mu Talon. – Chłopie, nie masz zielonego pojęcia, o czym mówisz!

– Dokładnie wiem, o czym mówię. A raczej o kim. Mówię o genialnym strategu i doskonałym dowódcy, któremu tyle... o tyle brakowało dziesięć lat temu do pokonania Nowej Republiki. Cokolwiek by Thrawn nie wymyślił, musi to zawierać podział wywołany sprawą Caamas. Być może na tym opiera się cały jego plan.

Shada omal się nie udusiła z wrażenia: jaki znowu Thrawn?! Thrawn był martwy! Prawda?

– Dzięki za przegląd historyczny – sarknął Karrde. – Byłem przy tym obecny, jakbyś zapomniał. Ale może przestańmy zachowywać się, jakby cała Nowa Republika desperacko balansowała nad krawędzią przepaści, dobrze?

– A jesteś pewien, że nie balansuje? Uważasz, że Thrawn pokazałby się po tak długim czasie, gdyby nie przygotowywał się w pełni do ataku?

– O ile zamierza atakować – zwrócił mu uwagę Karrde. – Istnieje wiele innych możliwości jego dalszego postępowania, oprócz otwartego ataku.

– A to rzeczywiście cholernie pocieszające! Tym bardziej trzeba jak najszybciej rozwiązać sprawę Caamas, skoro zaś istnieje choćby cień szansy, że Cor'das może nam pomóc, ktoś musi się z nim spotkać.

– I sugerujesz, że ja mam być tym ktosiem?

– Jesteś jedynym, który go zna.

– To akurat nie musi nam pomóc – mruknął Talon ponuro. – Prawdę mówiąc, może się okazać nawet szkodliwe.

Lando westchnął z rezygnacją i odezwał się dopiero po chwili:

– Posłuchaj: nie wiem, co między wami zaszło, wiem za to, że mamy do czynienia z wielkim admirałem Thrawnem. I nie tylko my: ty też. Nie zapominaj, co nam powiedział na twój temat.

– Straszanie.

– Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek używał gróźb bez pokrycia – przypomniał mu Lando. – Wszystko, co publicznie zapowiedział, potem realizował. Ale skoro poruszyłeś kwestię strachu: czego ty się tak boisz?

Karrde podszedł do okna i Shada zamarła.

– Nigdy go nie spotkałeś, Lando – powiedział cicho. – Gdybyś spotkał, wiedziałbyś, że na swój sposób jest bardziej bezwzględny, niż Jabba był kiedykolwiek. Albo Xizor.

– A mimo to prosiłeś Marę i mnie, żebyśmy go wytropili.
– O nic takiego cię nie prosiłem – zaprotestował Talon. – Jeśli sobie dobrze przypomnisz, chciałem tylko odkupić od ciebie ten przywoływacz.

– Wmawiając mi, że to bezużyteczny złom pochodzący jeszcze sprzed Wojen Klonów – przypomniał mu cierpko Lando. – Doskonale wiedziałeś, że nie uwierzę i zacznę się nim interesować. Nie o to zresztą chodzi. Wyśledziliśmy go w końcu i wróciliśmy cali i zdrowi.

– Wyśledziliście jedynie system, w którym prawdopodobnie przebywa – poprawił go Karrde. – A chcesz, żebym wszedł do wybudowanej tam fortecy i stanął z nim twarzą w twarz. To dwie zupełnie różne sprawy.

– Jeśli nie powstrzymamy Thrawna, w końcu sam zapuka do drzwi Car'dasa, więc jeśli ma on choć szczyptę rozumu, podziękuję ci za ostrzeżenie.

– Car'das w życiu nikomu za nic nie podziękował. I na pewno nie przeszedł na emeryturę: jak zawsze coś planuje i knuje, bo taką już ma naturę. I nie chce zostać znaleziony, a już na pewno nie przeze mnie.

– Ślicznie – syknął Lando przez zaciśnięte zęby. – Chcesz się zagrzebać w dziurze i czekać, aż cię Thrawn z niej wyciągnie, to się zagrzeb. Daj mi kopię trasy do systemu Exocron i sam go odnajdę.

– Zidiociałeś?! Ty i „Lady Luck” nie wytrzymacie nawet dwóch dni w Bezdrożach Kathol.

– A kto ci powiedział, że zamierzam lecieć tam sam i tylko swoim jachtem? Zaproszę do towarzystwa generała Bel Iblisa na „Peregrine”.

– Gorszego pomysłu dawno nie słyszałem! – jęknął Karrde. – Car'das albo spróbuje go zniszczyć, albo, co bardziej prawdopodobne, tak się schowa, że nikt go nie znajdzie. Nie znasz go tak jak ja.

– Fakt – zgodził się cicho Lando. – Nie znam.

Zapadła długa, wyczekująca cisza.

– Nie powinieneś nigdy rezygnować z fachu kanciarza, Calrissian – odezwał się w końcu Karrde. – Jesteś do tego urodzony. Zgoda, polecę go poszukać.

– Dziękuję. Nie będziesz żałował.

– Nie obiecuj czegoś, czego nie będziesz mógł dotrzymać, a poza tym już żałuję – prychnął Karrde. – Teraz zaś chyba pora podzielić się z pozostałymi radosną nowiną.

Rozległ się szelest otwieranych drzwi, światła zgasły, a Shada wydostała się z ukrycia, przetoczyła się przez tapczan i przebiegła przez pokój tak szybko, że zdążyła przemknąć się przez zasuwające się drzwi. Calrissian, a za nim Karrde szli korytarzem ku kręgowi konwersacyjnemu, stanowiącemu zgodnie z alderańską modą centrum mieszkania, więc lekko przyspieszyła kroku i podążyła za nimi, z czego żaden nie zdawał sobie sprawy.

– Poddaję się – oznajmił oszołomiony Han. – O co tu chodzi?

– Nie wiem – przyznała Leia, odtwarzając w pamięci wymianę zdań, po której Talon i Lando wyszli. – O jakiś sekret, o którym nie chcę, żebyśmy wiedzieli.

– Tyle sam zgadłem, ciekaw jestem, jaki to sekret.

Leia posłała mu pełne cierpienia spojrzenie – jedno z tych, w których stosowaniu dyplomaci są dobrzy, a matki z co najmniej dziesięcioletnim stażem i trójką dzieci wręcz doskonałe.

– Wiesz, że nie mogę im tego wyciągnąć z głów – przypomniawszy. – To postępowanie nieetyczne w stosunku do wrogów, a co dopiero wobec przyjaciół.

– Nie umiesz się bawić – sarknął Han, ale widać było, że zrobił to odruchowo: sytuację traktował jak najbardziej poważnie. – Wy, Jedi, nie macie poczucia humoru.

– Okoliczności są mało zabawne.

– A nie możesz tak od niechcienia wyczuć, o czym gadają? – zaproponował niewinnie.

– Wolałabym, żebyś tego nie robił – uśmiechnęła się cierpko.

– Czego? – spytał z miną wcielonej niewinności.

– Sugerował, żebym zrobiła coś nieetycznego właśnie wtedy, kiedy usiłuję sama siebie przekonać, że to nikomu nie wyrządzi krzywdy. To trochę niepokojące.

– Zwłaszcza jeśli mówi to ktoś, kto nie powinien mieć aż tak czułego sumienia jak ty? – dokończył niewinnie.

– Gdybym cię nie znała, podejrzewałabym cię o ukryte talenty Jedi – westchnęła. – Jak ty czytasz w moich myślach?

– Tajemnica zawodowa. Jeden z sekretów, których człowiek uczy się, zostając łachudrą.

– Faktycznie – przyznała i zerknęła w głąb korytarza. – zastanawiam się, jak nieetyczne byłoby posłanie im do pomocy Threepio, bo coś długo nie mogą się dogadać...

– Lady Vader – przerwał jej poważny głos.

Leia podskoczyła z wrażenia – jak zwykle ani nie słyszała, ani nie wyczuła zbliżania się któregoś z Noghri.

– O co chodzi, Gharakh?

– Może o kłopoty. Wartownik na dachu się nie zgłasza.

Kątem oka dostrzegła lekką zmianę pozycji Hana – przesunął się tak, by mieć pod ręką miotacz.

– Wysłałeś kogoś, żeby to sprawdził?

– Zespół jest w drodze, ale dopóki nie zyskamy pewności, należy założyć, że ktoś próbuje się tu dostać. Gdzie są pozostali?

– W pokoju chłopców – odparła Leia, czując równocześnie delikatną zmianę ciśnienia towarzyszącą otwarciu odległych drzwi. – Właśnie tu idą, jak sądzę.

Odgłos przybliżających się kroków potwierdził jej słowa.

– Chciałbym prosić o czasowe pozostanie w tym pomieszczeniu – powiedział Gharakh, ledwie Lando wyłonił się zza narożnika korytarza. – Jeśli rzeczywiście mamy intruza, będziemy potrzebowali chwili spokoju, by go odnaleźć.

Za Calrissianem wyłonił się Karrde, a za nimi wysoka, szczupła kobieta w ciemnoszarym kombinezonie.

– Nie musicie szukać – powiedziała cicho. – Jestem tutaj.

ROZDZIAŁ

22

Wszyscy zareagowali natychmiast i w sposób urozmaicony, a Shada musiała przyznać, że z jej punktu widzenia raczej komiczny.

Dźwięk obcego głosu za plecami spowodował, że Calrissian najpierw nieźle podskoczył, potem sięgnął po broń, ale przy okazji zaplątał się w pojęcie peleryny, więc o szybkim jej wyciągnięciu nawet mowy nie było. Noghri mierzył do niej, zanim skończyła mówić, a Solo okazał się prawie równie szybki. Karde podskoczył znacznie niżej niż Lando i zamiast sięgnąć po broń dał długi krok w bok, odsłaniając pole ostrzału tym, którzy już wydobyli broń. Wybrał najrozsądniejsze z możliwych w jego sytuacji posunięć, co Shady nie zdziwiło – Talon Karde cieszył się zasłużoną opinią.

Senator Organa Solo w przeciwieństwie do pozostałych nie poruszyła się wcale.

Shada zresztą także nie. Zastanowiła się tylko przelotnie, czy Noghri zdoła zapanować nad wytrenowanymi odruchami, czy też zastrzeli ją na miejscu. Prawie miała nadzieję na to drugie – w sumie byłoby to najprostsze rozwiązanie.

Ale Noghri zapanował nad odruchami i nie strzelił. Podobnie jak Han i Lando, i z lekkim żalem Shada stwierdziła, że nie wykreśli się w najłatwiejszy sposób.

– Kim jesteś? – poważny głos Leii Organy Solo przerwał ciszę.

– Nazywam się Shada D’ukal i nie przybyłam, by wyrządzić komukolwiek z was krzywdę.

– Wiem – przyznała Leia.

– Skąd? – zaciekawiał się Han, spoglądając na nią z ukosa.
– Gdyby było inaczej, wyczułabym niebezpieczeństwo, i to zanim ona zjawiła się w tym pokoju. Mam dobrze rozwinięty zmysł zagrożenia, jak to nazywa Luke.

– Co zrobiłaś z wartownikiem na dachu? – warknął Noghri.
– Oduczyłam go beztroskiego współczucia. Jedyne, na co może cierpieć, to urażona duma.

Z komlinga przypiętego do kołnierza pytającego dobiegły ciche pomrukiwania.

– Gharakh? – spytała Leia.
– Rzeczywiście nic mu nie jest – miotacz nie zmienił położenia, ale z oczu Gkarakha zniknęła nienawiść. – Właśnie go uwalniają z fachowo założonych więzów.

W korytarzu rozległ się znajomy cień dźwięku i Shada odruchowo zaczęła obracać głowę...

– Nie ruszaj się! – polecił Noghri za jej plecami. – Unieś ręce!
Wykonała polecenie i poddała się rewizji. Próbowwała odgadnąć, gdzie kryli się ci, którzy właśnie zaszli ją od tyłu. Korytarz był prosty i pusty... nagle uśmiechnęła się: oczywiście – zjechali tak jak ona z dachu i weszli przez okno sypialni, i to z szybkością i w ciszy, z którymi niewiele Mistryl mogło się równać. Może Noghri nie byli jednak tak przereklamowani, jak dotąd sądziła...

Minutę później rewizja osobista została ukończona, przy okazji rozebrano ją z uprzęży i pasa z torbą.

– Siadaj – polecił Gharakh, który w międzyczasie schował miotacz i wskazał jej jedno z siedzisk. – Ręce trzymaj na widoku.

– Nie ufasz swoim podwładnym? – spytała, siadając, Shada. – Ani swojej pani? Senator Organa Solo potwierdziła, że nie mam złych zamiarów.

Oczy Gharakha błysnęły, lecz zanim zdążył się odezwać, zrobiła to Leia:

– Dlaczego się tu zjawiłaś?
– Bo chciałam z tobą porozmawiać – Shada położyła ręce na oparciach fotela. – A to był jedyny sposób.

Spodziewała się zaprzeczenia, może oburzonego, a co najmniej pogardliwego prychnięcia, ale Leia tylko uniosła pytająco brwi. Han za to nie sprawił jej zawodu:

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał twardo.

Nie mierzył już do niej, jednak nie schował miotacza, tylko położył go na kolanach.

– Chcę powiedzieć, że jeżeli nie ma się władzy lub pieniędzy ani nie jest się starym znajomym, to fizyczną niemożliwością jest skontaktowanie się z którymkolwiek z was dwojga – stwierdziła rzeczowo. – Przez ostatnie trzy dni próbowałam nawiązać kontakt z senator Organą Solo, w biurze i w domu, zarówno osobiście, jak holograficznie i nie udało mi się przebić przez mur automatów i pomocników. I to byłoby na tyle, jeżeli chodzi o wielką i wspaniałą Nową Republikę, przyjaciela zwykłych obywateli.

– Nigdy nie słyszałaś o pozostawieniu wiadomości? – zdziwił się Han.

– Która zawierałaby co? – spytała Shada. – Że zwykły nikt, bez żadnych kontaktów czy pozycji, chce rozmawiać z wielką i wspaniałą osobistością? Pierwsze czyszczenie pamięci i taka wiadomość natychmiast wylatuje.

– Rozmawiasz jednak ze mną – zauważyła spokojnie Leia. – Co chciałaś mi powiedzieć?

Shada przyjrzała się jej uważnie i nagle to, co starannie sobie przygotowała, ugrzęzło jej w gardle. Wygłoszenie jednego zdania oznaczało przecięcie ostatnich więzów łączących ją z Mistryl i z dotychczasowym życiem. Odchrząknęła jednak i powiedziała, choć własny głos brzmiał w jej uszach pusto i głucho:

– Chcę się przyłączyć do Nowej Republiki.

Przez długą chwilę w pokoju panowała cisza, którą zgodnie z oczekiwaniem Shady przerwał Han:

– Ty co?!

– Chcę się przyłączyć do Nowej Republiki – teraz poszło jej łatwiej niż za pierwszym razem. – Mam sporo użytecznych umiejętności: potrafię walczyć, ochraniać, zabezpieczać teren, śledzić...

– Dlaczego zwróciłaś się z tym do nas? – Han wyglądał na całkiem zdezorientowanego. – Siły zbrojne mają kupę biur rekrutacyjnych na całym Coruscant.

– Podejrzewam, że nie zdajesz sobie sprawy z pewnego małego acz istotnego drobiazgu, Han – powiedział Talon, nim Shada zdążyła się odezwać. – Konkretnie z tego, z kim masz do czynienia. Ona nie jest pierwszą lepszą z ulicy, a raczej z dachu. Shada to szef bezpieczeństwa i ochrony naszego przyjaciela-przemysłowca znanego jako Mazzic.

To wywołało właściwą reakcję.

– Byłam szefem – poprawiła go Shada. – Zrezygnowałam przed trzema tygodniami.

- Twój pomysł? – Karrde uniósł pytająco brew.
- Nie całkiem.
- Dobrze, w takim razie wywiad albo siły specjalne – ocenił Han – ale nadal nie rozumiem, dlaczego my?! Od nie wiem jak dawna żadne z nas nie zajmowało się naborem ochotników!
- Han ma rację – dodała Leia, przyglądając się jej uważnie, aż za uważnie jak na gust Shady. – Możemy skierować cię do właściwych osób zajmujących się właściwym naborem do wywiadu lub oddziałów specjalnych, ale to wszystko, w czym możemy ci pomóc.
- Nie przyszedłem po łaskę ani po jałmużnę – parsknęła Shada. – Szczerze mówiąc, bardziej wy potrzebujecie mnie niż ja was, zwłaszcza teraz, kiedy Thrawn znowu wrócił...
- Co wiesz o Thrawnie? – przerwał jej Han.
- Byłam w pokoju, w którym rozmawiali – odparła i stwierdziła, że rysy Karrde’ a nagle tężeją. – Calrissian powiedział, że Thrawn wrócił. Słyszałam także o Caamasi i wiem, że jedynym sposobem pozwalającym wam wyjść z tego bagna jest uzyskanie pełnej wersji dokumentu, który miał Imperator.
- Kątem oka dostrzegła spojrzenie, jakie Lando posłał Talonowi, a które ten ostatni starannie zignorował.
- To by faktycznie pomogło – przyznała Leia. – Ale co ma wspólnego z tobą?
- Potrzebujecie pomocy. Mogę nią być.
- Tak zupełnie sama? – mruknął Karrde.
- Zupełnie – odparła spokojnie. – Widziałeś mnie w akcji i wiesz, co potrafię. Wasi ludzie zresztą też, choć możecie o tym nie wiedzieć. Dziewiętnaście lat temu na planecie Tatooine pomogłam wam uzyskać plany i dane techniczne prototypowego komponentu superdziała laserowego Drugiej Gwiazdy Śmierci.
- To ostatnie skierowane było pod adresem Hana i Leii, i wywołało kolejną falę zaskoczenia w pokoju. Falę, która ku zdumieniu Shady ominęła zupełnie Hana Solo.
- Tak? – spytał spokojnie. – Opowiedz nam, jak.
- Razem z przyjaciółką ukradliśmy komponent z imperialnego ośrodka badawczego – powiedziała, przyglądając mu się z rosnącym zaskoczeniem: nagle Han z głównego przeciwnika zdawał się stawać sprzymierzeńcem. – Urządzenie miało kryptonim „Hammerington”. Przeleciałyśmy jednostką, w której przewożono je na Tatooine...

– Co to była za jednostka? – przerwał jej Han.
– Krążownik uderzeniowy klasy Loronar, ale po poważnej modyfikacji: miał wyprutą większość wyposażenia i pokładów, żeby pomieścić ten komponent. Wkopaliśmy go częściowo w wydmy i pojechaliśmy do Mos Eisley szukać statku i pilota, który przewiózłby nas i część z tego komponentu tam, gdzie będziemy bezpieczni. Obie siedziałyśmy w knajpie, kiedy odstrzeliłeś Greedo. Chciałyśmy cię wynająć, ale zanim zdążyliśmy złożyć ci propozycję, zgarnęła nas policja.

– Za co? – spytał Han, do którego adresowane były dwa ostatnie zdania.

– Obie z Karoly przebrałyśmy się za Breę i Senni Tonnika, bo uznałyśmy to za najlepszy kam... sposób, ponieważ łączyło nas fizyczne podobieństwo – Shada poprawiła się błyskawicznie: teraz nie należało wdawać się w historię Mistryli i ich archiwów. – Nie wiedziałyśmy, że siostry Tonnika obrobiły jakiegoś moffa, który wysłał za nimi ludzi i załatwił nakaz aresztowania w paru sąsiednich sektorach. Z więzienia uwolnił nas rebeliancki agent, a potem załatwił też frachtowiec, którym odleciałyśmy z segmentem superlasera. On dostał droida z planami i danymi technicznymi.

– Jak się nazywał ten agent? – spytał Han.

Shada przypominała sobie ze zmarszczonymi brwiami...

– Winward – powiedziała po chwili. – Rijj Winward.

– A więc to byłeś ty – Han pokiwał głową. – Moje gratulacje.

– Wiedziałaś o tym? – zdziwiła się Leia.

– Czytałem raport Winwarda, był w materiałach, które Madi-ne dał nam w czasie odprawy przed startem na Endor.

– Musiałam go przeoczyć.

– Jest tylko parę drobiazgów, które się nie zgadzają – Han uśmiechnął się nieco złośliwie. – Według Winwarda za pomoc obiecały mu inny segment superlasera.

– Zbliżała się burza piaskowa – zaprotestowała Shada. – Nie miałyśmy czasu na demontaż i załadunek drugiego segmentu, gdybyśmy próbowały, nikt z nas by stamtąd nie odleciał.

– I nie dały mu droida z planami – dodał Han. – Można powiedzieć, że go sobie pożyczył.

Shada zaczerwieniła się.

– Masz rację – przyznała cicho. – Zapomniałam.

– Urocze – Lando uśmiechnął się szeroko.

– Rijj nie wiedział o jednym – warknęła rozeźlona. – Moje towarzyski chciały go zabić, żeby nikt nie wiedział, co się stało. Powstrzymałam je i mam gdzieś, czy mi uwierzycie, czy nie.

Zapadła kolejna cisza – ciężka, długa i niewygodna. Shada nie spuszczała wzroku z Leii. Próbowwała przeniknąć jej myśli, nie ulegało bowiem kwestii, że to Leia podejmie ostateczną decyzję.

– Mam pomysł – odezwał się nagle Lando. – Powiedziała, że Talon wie, na co ją stać. Może byśmy wysłali ich razem?

Shada spojrzała na Talona i w ostatnim momencie stłumiła odruchową odmowę. Straciła dwanaście lat, pracując w organizacji przemytniczej i nie po to przybyła na Coruscant, by przyłączyć się do innej. Powstrzymało ją coś w wyrazie twarzy Talona...

– A dokąd właściwie Karrde się wybiera? – spytał Han.

– Z misją specjalną – odparł Talon, nadal z tą samą dziwną miną przyglądający się Shadzie. – To coś, o co usilnie prosił mnie Lando. Ma chłop dar przekonywania.

– A można wiedzieć odrobinę więcej? – Leia uśmiechnęła się leciutko.

Karrde nie odwzajemnił uśmiechu.

– Jest pewna szansa, że istnieje pełna wersja dokumentu nie znajdująca się w rękach Imperium. Spróbuję ją zdobyć.

Leia i Han wymienili zaskoczone spojrzenia.

– Dlaczego wcześniej nam nie powiedziałaś? – z tonu i twarzy Leii zniknęły wszelkie ślady rozbawienia.

– Bo do tej pory to nie była moja sprawa – odparł spokojnie Karrde. – Polityczne dyskusje obchodzą mnie jedynie w skali planetarnej, a i to wyłącznie wtedy, gdy przeszkadzają w zbieraniu informacji albo wpływają na wzrost ich ceny. Teraz Lando przekonał mnie o pewnym nowym aspekcie wydarzeń i o tym, że nie mogę go dłużej ignorować.

– Thrawn – mruknęła Leia ponuro.

– Thrawn – potwierdził Karrde i przeniósł wzrok na Shadę. – Będę bardzo zadowolony, mogąc liczyć na twoją pomoc. O ile naturalnie masz na to ochotę.

Shada skrzywiła się, świadoma ironii sytuacji – o dziewiętnaście lat za późno podjęła wreszcie właściwą decyzję, by lojalność wobec rodaków zmienić na lojalność wobec Nowej Republiki, tylko po to, by dowiedzieć się, że Nowa Republika jej nie chce. A jedyny, który chce, to taki sam wyrzutek z tego nowego i wspaniałego społeczeństwa jak i ona.

– Jasne – powiedziała zrezygnowana. – Czemu nie?
– Możesz mi wierzyć albo nie, ale on w ten sposób zyskał najlepszych ludzi – skomentował bez cienia ironii Lando. – Kiedy się znajdziesz na pokładzie „Wild Karre”, spytaj Marę Jade, jak wyglądały początki jej współpracy z Talonem.

– Mary nie ma na pokładzie – coś przemknęło przez twarz Talona. – To jeden z powodów, dla których chciałem osobiście rozmawiać z Leią. Mara miała... wypadek.

Cała trójka wyprostowała się, jakby ich ktoś podłączył do prądu.

– Jaki wypadek? – spytała Leia niespokojnie.

– Dziwny, to najlepsze określenie. „Starry Ice” śledził jedną z niezidentyfikowanych jednostek, które Luke widział w układzie Kauron...

– Zaraz, moment – przerwał mu Han. – Jakich niezidentyfikowanych jednostek?

– On i Mara widzieli niewielką jednostkę dziwnej, nieznanej konstrukcji w pobliżu bazy piratów Cavrilhu – wyjaśnił Talon. – Nie przesłał wam żadnej wiadomości?!

– Przesłał, ale bardzo ogólnikową – wyjaśniła Leia. – Sprowadzała się do tego, że nie dowiedział się niczego od piratów, a szczegóły poda, gdy wrócimy na Coruscant. O żadnych niezidentyfikowanych jednostkach nie pisał słowa.

– Widocznie nie chciał ryzykować, używając niekodowanego kanału – domyślił się Karrde. – Zostawię wam kopię zapisów sensorów jego i Mary, które zdjeliśmy, kiedy podobna jednostka pojawiła się w pobliżu „Errant Venture”.

– Pies trącał te statki – zirytował się Lando. – Co z Marą?

– „Starry Ice” dotarł do planety w sektorze Gradilis, Mara poleciała dalej myśliwcem, zauważyła fortecę i weszła do jaskini, gdzie mówiła do jakichś istot. Wspomniała nazwisko Skywalkera w odpowiedzi na coś, co powiedziały lub zrobiły, a potem umilkła.

– Chcesz powiedzieć, że ona... – zaczął Lando.

– Żyje – przerwał mu Karrde. – Przynajmniej wtedy żyła, w nagraniu wyraźnie słychać jej oddech, a zostało przesłane na „Starry Ice” po paru minutach, nie natychmiast.

– I te istoty znały Luke’a? – Leia zmarszczyła brwi.

– Znały nazwisko Skywalker. Ponieważ ich wypowiedzi nie zostały zarejestrowane, nie ma kontekstu, z którego dałoby się

wywnioskować, czy o niego chodzi ani czy znają go, czy tylko sły-
szały o jego istnieniu.

– Musimy natychmiast skontaktować się z Lukiem – zdecydował Han. – I sprawdzić, co on wie na ten temat.

Karrde odchrząknął i przyznał:

– Już z nim rozmawiałem, był tak samo zaskoczony jak wy.

– I? – Leia przyjrzała mu się podejrzliwie.

– To właśnie jest druga rzecz, o której chciałem ci powiedzieć – opanowanie Talona zaczynało się nieco kruszyć. – Polecał jej szukać.

Wyraz twarzy Leii nie zmienił się, ale nagle temperatura w pokoju opadła o kilka stopni.

– Co zrobił? – spytała podejrzanie spokojnie.

– Polecał ratować kogoś, kogo zna i lubi, a kto znalazł się w niebezpieczeństwie – wyjaśnił powoli Talon. – Był jedynym, który mógł tam szybko dotrzeć i przede wszystkim tylko on ma szansę dogadać się z istotami, na które natknęła się Mara. A być może również z tym, co lub kto znajduje się w tej fortecy. To nie jest wyłącznie sprawa osobista istotna dla Mary, ale kwestia dotycząca całej Nowej Republiki.

– A problem bothański nie? – zirytował się Han. – Mamy z setkę lokalnych wojenek, które lada moment mogą wybuchnąć. Połowa uczestników tych głupich konfliktów używa Caamas jako wymówki do załatwienia starych porachunków. Opróżniliśmy akademię Jedi i korpus dyplomatyczny, wysyłając kogo tylko się dało, a i tak mamy za mało negocjatorów. Potrzebujemy Luke’a, Talon.

– Czego się na mnie wydzierasza? – spytał uprzejmie Karrde. – Nie zmuszałem go, żeby tam leciał. Znał sytuację i podjął decyzję, którą uznał za najlepszą. Jeśli ci się to nie podoba, powiedz mu, jak wróci.

– Tyle że podejmując tę decyzję, nie wiedział o powrocie Thrawna, prawda? – spytał jadowicie Han.

– Daj spokój – wtrąciła się Leia. – Wtedy wiedzieli o tym tylko Lando i Miatamia. Tego, co się stało, nic nie zmieni, a Talon ma rację: Luke podjął decyzję i teraz musimy radzić sobie sami aż do jego powrotu.

– Jeśli to coś pomoże, możecie uznać moje usługi za rekompensatę – dodał kwaśno Talon. – Przykro mi, że przyniosłem złe nowiny, choć przyznaję, sądziłem, iż spotkają się z większym zrozumieniem.

– Rozumieć to ja rozumiem – przyznał Han. – Tylko inaczej się na pewne sprawy patrzy, gdy wszystko wokół rozłazi się i wali. Kiedy odlatujesz?

– Zaraz – Talon podszedł do Shady i eleganckim gestem wyciągnął ku niej dłoń. – O ile naturalnie moja asystentka nie ma jakichś spraw do załatwienia.

– Jestem gotowa do drogi – Shada zignorowała zaoferowaną dłoń i wstała samodzielnie. – O ile ochrona senator Organy Solo skończyła przetrząsać moje rzeczy.

– Czekają przy drzwiach – oświadczył Gharakh.

– Doskonale – Karrde skinął Leii głową i dodał: – Dzięki za gościnę, skontaktuję się, jeśli coś znajdę albo gdy wrócę z pustymi rękoma.

– Poczekaj, przyszły mi do głowy dwie sprawy – powstrzymała go Leia. – A właściwie trzy... Pierwsza: nie będziesz potrzebował tłumacza?

– Trafne pytanie – przyznał Talon. – Owszem, a choć mam kilka takich droidów, żadnego na „Wild Karrde”. Będę musiał tak to zorganizować, żeby zabrać któregoś po drodze.

– Stracisz czas, a nie ma takiej konieczności: jeśli chcesz, mogę ci pożyczyć Threepio – zaproponowała.

Han omal się nie udławił.

– Chyba po jego rozmontowaniu – mruknął.

– Wspaniałomyślna oferta – Talon uśmiechnął się złośliwie i spytał niewinnie: – Naturalnie nie ma to nic wspólnego z możliwością otrzymania od niego pełnej relacji z całej podróży, gdy tylko wrócimy, prawda?

– Naturalnie – odparła tym samym tonem Leia. – Jestem zaskoczona, że w ogóle coś takiego przyszło ci do głowy.

– Stokrotne przeprosiny. W takim razie naturalnie biorę go.

– Tylko najpierw muszę z nim porozmawiać, bo Han ma rację: jak nic zaczniesz desperować – przyznała Leia. – Przywieziemy go do portu i równocześnie odbierzemy te zapisy, o których wspomniałeś. Po drugie, jest coś, czego dotąd nie mogłam ci powiedzieć, a co w tych warunkach powinieneś wiedzieć. Jedna z datakart, które znalazł ten Devaronianin w pobliżu Tantiss, była zatytułowana „Ręka Thrawna”.

– Słyszałem – stwierdził spokojnie Talon.

– Skąd...? – Leia opanowała się. – Nieważne, nie chcę wiedzieć.

– Dziękuję za dyskrecję. Jest też coś, co ty powinnaś wiedzieć: przejęliśmy transmisję skierowaną z obcej jednostki do „Errant Venture”, w nieznanym języku. Dotąd nie potrafiliśmy jej rozszyfrować. Udało się nam natomiast stwierdzić, że zawiera ona nazwisko Thrawna, i to pełne nazwisko, a nie jedynie centralny jego człon, jakim jest „Thrawn”.

– Nie wiedziałam, że on ma jakieś inne nazwisko – zdumiała się Leia.

– Mało kto o tym wiedział, Mara należała do tych nielicznych – wyjaśnił Karrde. – Ten, kto pilotował ową jednostkę, także.

– Jak sądzisz, co to może oznaczać? – spytała Leia po chwili namysłu.

– Nie wiem, a zgadywanie nie ma sensu. Może dowiemy się czegoś konkretnego po powrocie Mary i Luke’a. W każdym razie dam wam kopię tej wiadomości razem z odczytami. Mówiłaś coś o trzech sprawach?

Leia uśmiechnęła się – było w tym uśmiechu napięcie, ale była także i radość.

– Niech Moc będzie z tobą – powiedziała cicho.

Talon uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Z tobą także – odparł i dodał, spoglądając na Hana i Landa. – Z wami wszystkimi. Do zobaczenia.

– Ładna przemowa – przerwała ciszę Shada, gdy wystartowali z lądowiska Orowood Tower i skierowali się w stronę portu kosmicznego, w którym parkował „Wild Karrde”. – Może trochę za bardzo wyćwiczona, lecz ogólnie niezła.

– Jesteś zbyt uprzejma – zerknął na nią kątem oka, ale wpatrywała się w noc rozświetloną światłem Coruscant z nieodgadnionym wyrazem twarzy. – Mogę spytać, która część konwersacji brzmiała jak przemowa?

– Wyjaśnienie, dlaczego Skywalker musiał pognać jej na ratunek. Nie spodziewałaś się chyba, że powitają te wiadomości okrzykami zachwyty?

– Nie spodziewałem się także, że aż tak ich to zdenerwuje – Talon wzruszył ramionami. – Choć z drugiej strony pojawienie się Thrawna dość radykalnie zmienia sytuację, a o tym nie wiedziałem, aż do tej rozmowy.

– Trudno uwierzyć, że przeżył.

– Fakt, ale z drugiej strony równie trudno uwierzyć, żeby Imperium ważyło się na taki kant bez bardzo konkretnego powodu. Albo rzeczywiście wrócił, albo ktoś ma w zanadru prawdziwą petardę.

– Załóżmy, że on jest klonem – odezwała się po chwili. – Czy byłby równie uzdolniony, jak oryginał?

– Sądzę, że wszystko zależy od tego, jaka część jego taktycznych zdolności jest wrodzona, a jaka nabyta i czy użyli imprintu uczącego w czasie jego dorastania. No i jak dobry był ten imprint zdjęty z umysłu Thrawna. Prawdę mówiąc, nie wiem.

– No bo skoro Imperium dysponowałoby jednym klonem Thrawna, to dlaczego nie pięćdziesięcioma? – zastanawiała się na głos. – A skoro mieliby pół setki Thrawnów, to dlaczego by nie setkę zwariowanych Joruuś C’baothów?

Karrde skrzywił się boleśnie – ta ostatnia możliwość nawet nie przysłała mu do głowy.

– Rzeczywiście: dlaczego nie? – mruknął retorycznie.

W kabinie zapanowała cisza – Talon prowadził, nie zwracając uwagi na rozświetloną panoramę Coruscant rozciągającą się jak okiem sięgnąć. A raczej zastanawiając się, jak by ona wyglądała po zdobyciu planety przez Thrawna – za pierwszym razem groził, że to zrobi, lecz zabrakło mu czasu, teraz mógł dotrzymać słowa. Na takich radosnych rozmyśleniach czas mija szybko, toteż zanim się obejrzał, podchodził do lądowania obok znajomego kształtu „Wild Karrde”.

– Więc kto to jest ten cały Jorj Car’das, którego mamy znaleźć? – Shada niespodziewanie przerwała milczenie.

Talon wyrwany z zamyślenia wstrząsnął się mimo woli i wrócił do rzeczywistości.

– Ktoś, kto zajmował się tym, czym ja się zajmuję. Prawdopodobnie zresztą nadal się tym zajmuję.

– Ale nie konkurent?

– Rzeczywiście słuchałaś uważnie – pochwalił. – Tak na marginesie i z czystej ciekawości: gdzie się schowałaś? Nie zauważyłem żadnej kryjówki, w której mógłby się zmieścić ktoś większy niż Noghri.

– Na podłodze między postaniem a ścianą. Taka przestrzeń zawsze wygląda na mniejszą, niż jest w rzeczywistości. Jeśli ten Car’das nie był konkurentem, to kim był?

– Uparta jesteś – uśmiechnął się Karrde. – Lubię to u współpracowników.

– Czuje się zaszczycona. Jeśli nie był konkurentem, to kim?
Drzwi pokładu hangarowego przed dziobem airspeedera zaczęły się otwierać.

– Zapytaj mnie o to, gdy będziemy dolatywali do układu Exocron – odparł Talon. – Zakładając, że dotrzemy tak daleko.

– I chcesz, żebym ryzykowała życie z taką dawką informacji? – parsknęła.

– Nie musisz ze mną lecieć – powiedział rzeczowo Talon. – Jeśli chcesz zaraz wysiąść, to jesteś wolna.

– Dzięki za pozwolenie. Zostaję.

Wlecieli do hangaru, pojazd z lekkim szcękaniem znieruchomiał w zaciskach i Talon wyłączył silniki.

– Jak chcesz. Tak z ciekawości: dlaczego rozstałaś się z Mazzikiem?

Shada rozpięła pasy.

– Spytaj mnie o to, gdy będziemy odlatywali z układu Exocron – odparła. – Zakładając jak wyżej.

I nie czekając na odpowiedź, wysiadła.

– Jestem pewien, że komuś z nas się uda – mruknął Karrde, kiedy szła do wyjścia.

Pytanie tylko, komu.

ROZDZIAŁ

23

Tym razem alarm ogłoszono nie w połowie deseru, ale w połowie nocy.

Wedge poderwał się, odruchowo szukając wyłącznika, który złośliwie gdzieś się schował, huknął o coś kolaniem i pod wpływem bólu rozbudził się. Wyłącznika nie znalazł, ponieważ nocował w kabinie swojego myśliwca, a kolano bolało go od bezpośredniego spotkania z deską rozdzielczą. Zgodnie z rozkazem Bel Iblisa, opartym zresztą na przecuciu, Eskadra Rogue spała w myśliwcach. Sądząc po wyciu alarmów, przecucie okazało się słuszne.

Wyłączył alarm i włączył moduł łączności.

– Antilles – warknął.

– Start alarmowy – odwarknął komandor Perris. – Dostaliśmy wezwanie z Bothawui. Oficjalne i pełne przerażenia.

– Pięknie – mruknął Wedge i odpalił rozruszniki silników: można było mieć zaufanie do Bothan, że schrzanią człowiekowi, co tylko się da. – Dobra, panowie. Wszyscy słyszeli, więc nie zamierzam powtarzać. Start według numerków.

Odpowiedział mu nieskładny chór potwierdzeń i wizg startorów. A potem myśliwce zaczęły kolejno startować z Dyplomatycznego Lądowiska D'tai, gdzie parkowały. Jakiś mechanik – w półmroku Wedge zaklasyfikował go jako należącego do rasy Trintie, choć nie był tego pewien – gnał przez lądowisko i zawzięcie gestykulował, najwyraźniej obrażony nieautoryzowanym hałasem. Wedge zignorował go i uniósł maszynę na grawitatorach, zaczynając start.

– Co to niby ma być? – spytał. – Kolejny szturm na Siedzibę Połączonych Klanów?

– Żadne takie – rozległ się ponury głos Perrisa. – Według Bothan do planety zbliża się leresaińska grupa uderzeniowa.

– Co się zbliża?!

– Leresaińska grupa uderzeniowa zbliżona składem do sporej floty. I nie pytaj mnie, o co konkretnie im chodzi.

– Mało ważne – mruknął Trójka. – Namnożyło się tyle pretensji do Bothan, że każdy może sobie jakąś wybrać.

– To się nazywa nieuzasadniony optymizm – ocenił Wedge, czekając, aż eskadra ustawi się w szyku przelotowym. – Perris, gdzie stary?

– W drodze. C'taunmar i jej myśliwce typu A eskortują na wszelki wypadek jego prom. Startujemy kilka minut po was, a wy macie lecieć natychmiast. Tak powiedział.

– A jak dolecimy, to co mamy zrobić? – zaciekawiał się Rogue Pięć. – Tylko przegonić czy od razu zestrzelić?

– Przegonić. Chyba że wasza reputacja tak ich przestraszy, że sami sobie pójda.

– Pewnie – sarknął Piątka. – Sami zobaczcie, czy to nie prawdziwe szczęście dla Bothan, że my i nasza reputacja jesteśmy zaledwie o dwa głupie systemy od Bothawui?

Wedge zmarszczył brwi – nie pomyślał o tym, ale jakby się tak zastanović, był to podejrzenie szczęśliwy zbieg okoliczności.

– Perris, możesz sprawdzić w oryginalnym rozkazie, kto właściwie nas tu ściągnął? – spytał.

– Już sprawdziłem. Rząd Di'tai'ni poprosił, aby generał Bel Iblis został mediatorem w ich sporze z przebywającymi na planecie pracownikami nie Tai'ni mającymi status rezydentów.

– A wie ktoś, czy przypadkiem tutejszy rząd nie jest winien jakichś grubszych sum rządowi bothańskiemu? – spytał Rogue Dziewięć.

– Dobrze pytanie – powiedział wolno Perris. – Bardzo dobre pytanie.

– Stare nawyki z CorSecu – przyznał Dziewiątka. – Uczyli nas, żeby zawsze szukać pieniędzy, to przeważnie wiele wyjaśnia.

– Chwilowo gotówka akurat jest mało ważna – wtrącił się Wedge i skierował maszynę w przestrzeń pozaukładową. – Zostaliśmy oficjalnie wezwani do obrony planety członkowskiej Nowej Republiki i na tym należy się skupić.

– Powodzenia – pożegnał się Perris. – Przylecimy, jak tylko będziemy mogli.

Komputer nawigacyjny pisnął – osiągnęli granicę przyciągania planety, co przy przekazanych przez Perrisa obliczeniach umożliwiało wejście w nadprzestrzeń.

– Dowódca Rogue do wszystkich: wchodzimy w nadprzestrzeń na mój sygnał. Trzy... dwa... jeden... Już!

Lot w nadprzestrzeni trwał nieco dłużej niż sprzed tygodnia, kiedy ratowali zbiory pommwommów, ale wydał się Wedge'owi znacznie krótszy – być może dlatego, że miał sporo tematów do przemyślenia: od ataku leresaińskiego zaczynając, przez bothańskie cwaniactwo, na ogólnej sytuacji w galaktyce kończąc. Przede wszystkim zaś zastanawiał się, co jego eskadra robi w samym środku tego zamieszania.

A potem byli już na miejscu.

– Dowódca do wszystkich: szyk bojowy – polecił. – Włączyć sensory dalekiego zasięgu.

– To raczej nie będzie potrzebne – sprzeciwił się Dwójka.

– Rzeczywiście – przyznał Wedge. – Nie włączać, nie ma po co.

Tym razem Bothanie nie przesadzili – to rzeczywiście był leresaiński zespół uderzeniowy złożony z sześciu okrętów liniowych obcej konstrukcji, ale wielkością zbliżonych do fregat uderzeniowych, dwudziestu mniejszych okrętów i co najmniej pięciu eskadr myśliwskich tworzących gęstą osłonę wokół większych jednostek. No i jednostki te znajdowały się między Eskadrą Rogue a Bothawui, rozwinięte przeciwko nadlatującym myśliwcom.

– Lepiej, żeby nasza reputacja nie sprawiła nam dzisiaj zawodu – mruknął Dwunastka.

– Skończyć pogawędki – rozkazał Wedge, przyglądając się formacji przeciwnika.

Flotylla ustawiła się poza planetarnym polem Bothawui, jak również poza zasięgiem jakiegokolwiek broni umiejscowionej na jej powierzchni. Nie pamiętał, czy Bothanie dysponowali orbitalnymi stacjami bojowymi, ale jeśli takowe mieli, to najwyraźniej nie po tej stronie planety. Co oznaczało, że Eskadra Rogue zdana jest wyłącznie na siebie.

I na swoją reputację.

Odchrząknął i przełączył się na ogólny, szerokopasmowy kanał:

– Tu generał Wedge Antilles z Sił Zbrojnych Nowej Republiki dowodzący Eskadrą Rogue. Chcę rozmawiać z dowódcą leresaińskiej grupy uderzeniowej znajdującej się w przestrzeni bothańskiej. Podajcie, jakie są wasze zamiary.

– Nasze zamiary nie dotyczą was, generale Antilles – odpowiedział zaskakująco melodyjny głos. – To prywatna dysputa między rządami leresaińskim i bothańskim.

Wedge zerknął na odczyty sensorów – jak dotąd nie widział śladu Bel Iblisa czy któregośkolwiek z okrętów, którymi dowodził.

– A można wiedzieć, czego dotyczy ta dysputa? – spytał.

– Śmierci i zamiany – odparł melodyjny głos. – Śmierci dwóch Leresai z rąk Bothan i bothańskiej odmowy zamiany.

Wedge skrzywił się i przełączył się na prywatną częstotliwość eskadry: najwyraźniej natknął się na problem terminologiczny, z którym przekład z leresaińskiego na wspólny nie bardzo sobie mógł poradzić.

– Ma któryś pojęcie, o czym oni mówią? – spytał.

– Moment... muszę coś sprawdzić – odezwał się Jedenastka. – Coś mi świta... mam. W trakcie zamieszek związanych ze szturmem Siedziby Połączonych Klanów zginęło dwóch Leresai. Obaj zostali zastrzeleni: jeden przed budynkiem, drugi wewnątrz.

– Dzięki – Wedge zmienił częstotliwość na ogólną. – Generał Antilles do dowódcy leresaińskiego. Rozumiem wasz gniew z powodu zabitych. Czego żądacie od Bothan tytułem zadośćuczynienia?

– Nasze prawo jest bardzo precyzyjne: pazur za pazur, róg za róg, życie za życie. Winny za ofiarę albo dziesięciu niewinnych z jego plemienia.

Wedge poczuł, że coś zimnego maszeruje mu po kręgosłupie.

– Co masz na myśli przez dziesięciu niewinnych? – spytał ostrożnie.

– Bothanie odmówili wydania nam zabójców dwóch nieuzbrojonych Leresai – oświadczył spokojnie melodyjny głos. – A więc za dwa życia zapłacą dwudziestoma.

Wedge musiał przyznać, że na swój sposób było to logiczne, natomiast nie potrafił zrozumieć, jak zamierzają to osiągnąć – Bothanie znajdowali się pod osłoną planetarnego pola siłowego...

– Aha... – odezwał się cicho Czwórka. – Wektor trzy-sześć na cztery-jeden.

Wedge spojrział we wskazanym kierunku – zza horyzontu planety wyłaniała się właśnie niewielka stacja kosmiczna.

– Zakład produkujący kryształy w nieważkości, krążący po niskiej orbicie – dodał ponuro Czwórka. – Projektu Mon Calamari, załoga między piętnaście a dwadzieścia dwie osoby, jeśli dobrze pamiętam.

Wedge stłumił przekleństwo i przeszedł na prywatny kanał eskadry.

– Kurs przechwytyjący – polecił. – Chcę ustawić eskadrę między stacją a Leresai.

Przełączył się na kanał ogólny i oznajmił:

– Tu generał Antilles, rozumiem wasz gniew i rozczarowanie postawą rządu bothańskiego, ale wy musicie zrozumieć, że nie możemy beczynnie patrzeć, jak zabijacie dwadzieścia niewinnych istot. Generał Bel Iblis będzie tu wkrótce i zapewne podejmie się negocjacji...

– Nie przewidujemy negocjacji – przerwał mu stanowczo melodyjny głos. – Prawo jest prawem i musi zostać wyegzekwowane. Nikt nas przed tym nie powstrzyma: ani wy, ani on.

W głośniku szczęknęło i zapanowała cisza.

– Może i nic – mruknął Wedge, wracając na częstotliwość eskadry. – Ale na pewno można próbować. Dobra, panowie: żarty się skończyły, zaczęły się schody. Dowódca do wszystkich: płaty w pozycje bojowe!

– Nie! – sprzeciwił się Dziewiątka. – Nie ruszać płatów!

– Dlaczego... – Wedge znieruchomiał z palcem na przełączniku.

– Nie wiem... – powiedział zduszonym głosem Corran. – Coś jest nie tak, ale nie wiem dokładnie, co...

– Dowódca? – spytał Rogue Osiem.

– Czekać! – warknął Wedge, przechodząc na prywatną częstotliwość Dziewiątki. – Co się dzieje, Corran?

– Nie mam pojęcia! Wiem tylko, że kiedy powiedziałeś o płatach, wyczułem niebezpieczeństwo. Sprawdzam teraz cały układ, ale jeszcze niczego nie znalazłem.

– Czy to efekt twoich...? – Wedge zamilkł, nie chcąc poruszać tematu Mocy i Jedi nawet na kodowanym kanale.

– Tak sądzę – potwierdził Corran.

Wedge spojrział na flotyllę leresaińską – nie zmienili pozycji i cierpliwie czekali, aż cel sam do nich przyleci. Najwyraźniej nie spodziewali się żadnych kłopotów ze strony jego myśliwców...

Zmienił kanał na częstotliwość jednostki i polecił:

– Dowódca Rogue do wszystkich: formacja bojowa, utrzymać kurs i nie ruszać płatów. Dziewiątka, podlatuję do ciebie.

Moment później lecieli w ciasnej, paradnej formacji tak blisko siebie, że wyloty prawoburtowych laserów maszyny Wedge'a prawie dotykały spodu kadłuba myśliwca Corrana.

– Corran, obejrzyj moją prawą burtę, ja sprawdzę twoją lewą. Jeśli nie zauważysz niczego, czego nie powinno tam być, zmienimy burty.

– Nie musimy – warknął Corran. – Cienki srebrzysty walec umieszczony pionowo między płatami, tuż przed linią przesyłową energii do działek.

– Ty też go masz – potwierdził Wedge. – Założę się o każdą sumę, że wszystkie myśliwce zostały tak załatwione.

– No dobrze, bez rozłożonych płatów tracimy na zwrotności, ale strzelać przecież nadal możemy – ni to spytał, ni to oświadczył Dwójka.

– Nie byłbym taki pewien – Wedge przyjrzał się uważnie cylindrowi, całkiem łatwemu do zauważenia, gdy wiedziało się, czego szukać. – Corran, przechył się o parę stopni na prawą burtę, dobrze?

Horn wykonał polecenie.

– Cholera! Miałem rację – wzruszył się Wedge. – Na górze są dwa odgałęzienia: jedno dochodzi do serwa poruszającego płatami, drugie do linii przesyłowej zaopatrującej działka w energię. Poruszenie płatów albo próba strzału w najlepszym wypadku wyłączy działko, w najgorszym urwie kawał skrzydła.

– To ta sakramencka para mechaników na Dai'tai'ni – warknął Dwunastka. – Oba dranie byli Leresai. Co robimy, próbujemy ich nastraszyć?

Wedge spojrział na leresaińską flotyllę – właśnie zmieniała kurs, koncentrując się na stacji kosmicznej.

– Nie ma sensu – ocenił cicho. – Wiedzą, że wypadliśmy z walki.

Istotnie, mogli jedynie bezsilnie obserwować szybkie, systematyczne i skuteczne przerabianie stacji we wrak i kłacz. Słuchając nader wyszukanych wiązanek i obserwując masakrę dwudziestu

niewinnych istot, Wedge miał tylko jedno na pocieszenie: znał swoich pilotów i wiedział coś, z czego rząd leresaiński nie zdawał sobie sprawy. Albo ją sobie zdawał, ale to zlekceważył. Zarówno rząd planety, jak i wszyscy Leresai zyskali sobie właśnie śmiertelnego wroga w Eskadrze Rogue. Wroga, który nie zapomni i nie wybaczy, obojętnie, ile czasu upłynie, zanim zaczną wyrównywać rachunki. A reputacja Eskadry Rogue nie opierała się na przechwałkach ani na plotkach.

Zanim zjawił się „Peregrine” z resztą okrętów, wszystko się skończyło.

Albo raczej właśnie się zaczęło.

– Zaczęło się – oznajmiła Leia, zamykając za sobą drzwi i opadając na fotel obok Hana. – Zaczęli do siebie strzelać.

– Słyszałem – przyznał ponuro i objął ją na pocieszenie. – A co Senat zamierza z tym zrobić?

– Na razie tylko próbują się dowiedzieć, co mogą zrobić.

– Nie rozumiem – przyznał Han. – Leresai zamordowali dwudziestu jeden Bothan, że nie wspomnę o zniszczeniu zupełnie dobrej stacji kosmicznej. Przecież można ich o to oskarżyć, świadków mamy aż nadto.

– Chciałabym, żeby to było takie proste – westchnęła. – Ale już trzech członków Rady oświadczyło, że będą głosowali przeciw takiej rezolucji, ponieważ nie wystosowaliśmy podobnej do rządu bothańskiego w sprawie o Caamas.

– Przecież to nie to samo, a nawet wręcz przeciwnie. Leresai zabili niewinnych, a cały problem z Caamas polega na tym, żeby nie karać niewinnych.

– Nie żądaliśmy też od Bothan ukarania wartowników po zamieszkach – dodała cicho.

– Przeze mnie – mruknął speszony.

– Nie tylko przez ciebie – poklepała go po kolanie dla dodania otuchy. – Rada zdecydowała, że wartownicy działali w samoobronie. Niestety, nie wszyscy są tego zdania.

– Klanowe myślenie – prychnął.

– Dla mnie to też jest niezrozumiałe i bezsensowne, jak można krewnego lub kogoś z tego samego klanu uważać za współodpowiedzialnego za coś, o czym nawet nie wiedział. Ale takie podejście stanowi podstawę systemów prawnych wielu kultur.

– Może, ale Leresai i tak należy się nauczka. Jeśli jej nie dostaną, zachęci to wszystkich, którzy mają coś do Bothan.

– Już zachęciło – Leia zdrygnęła się. – Przynajmniej dziesięć rządów poinformowało Senat, że przedstawią swoje listy żądań w stosunku do rządu bothańskiego.

– Albo?

– O tym byli uprzejmi nie wspomnieć.

– Wiesz, jak lubię Bothan, ale to zaczyna być absurdalne. Fey'lya pewnie już zażądał od Gavrisoma ochrony.

– Nie musiał: Diamalanie i Mon Calamari oznajmili, że wysyłają okręty do ochrony Bothawui przed wszelkim atakiem.

Han gwizdnął cicho.

– Żartujesz! Jakie okręty?

– Duże: krążowniki Mon Calamari i jednostki klasy Nebulon-B oraz Endurance z floty diamalańskiej. Ogłosili, że mają prawo bronić niewinnych, ale już podniosły się głosy, iż padli ofiarą najnowszych bothańskich manipulacji.

– Też tak uważam. Garm mógłby udowodnić, że to Bothanie spowodowali ściągnięcie go na Di'tai'ni?

– Owszem, jak również sabotaż myśliwców Eskadry Rogue...

– Leresai przyznali się do tego?

– Nie tylko się przyznali; szczycą się tym. Uważają za punkt honoru powstrzymanie wszystkich z zewnątrz przed udziałem w ich sporach, podczas których ktoś mógłby zostać ranny.

– Wedge raczej nie rozplywa się z wdzięczności – uśmiechnął się krzywo Han.

– On i Garm o mało nie zaczęli wojny z Leresai na własną rękę. Garm oświadczył Gavrisomowi, że Nowa Republika nie będzie się dawała wrabiać w niczyje polityczne gierki.

– Wygląda na cytat – ocenił Han. – Obróć się trochę.

I zaczął masować jej plecy.

– Bo to jest cytat – Leia odczuła pierwsze efekty jego poczyznań. – O, to było dobre.

– Powinno być. Wiesz, denerwowanie kogoś takiego jak Wedge czy Bel Iblis nie świadczy o rozsądku. Uważałem Bothan za mądrzejszych.

– Nie wątpię, że zdawali sobie sprawę, czym to grozi. To najlepszy dowód, jak są zdesperowani.

– Czy oni do reszty powariowali? – Han potrząsnął głową. – Nie obchodzi ich, że Thrawn wrócił?

– Oczywiście, że nie! Połowa w ogóle nie wierzy w jego powrót, są przekonani, że to kant wymyślony przez Diamalan, żeby przestraszyć przeciwników. Druga połowa dopuszcza taką ewentualność, ale nie widzi sposobu, w jaki Imperium mogłoby im zagrozić.

– Więc obie połowy są durne. Jestem gotów założyć się o „Sokoła”, że Thrawn szykuje wszystkim niespodziankę, i to dużą.

– Zgadzam się – westchnęła – choć z drugiej strony chwilowo nie musi absolutnie nic robić, a i tak Nowa Republika gwałtownie rozpada się na setki uzbrojonych grup o spolaryzowanych przez sprawę Caamas stanowiskach.

– A czy ci, którzy przeżyli zagładę Caamas, nie mogą czegoś z tym zrobić? Przecież nie chcą wojny.

– Pewnie, że nie chcą, ale zrozum, przecież Caamas to tylko pretekst. Wszyscy krzyczą, że chodzi im o sprawiedliwość, a jest to jedynie wygodny okrzyk wojenny maskujący regulowanie starych długów.

– To co robimy?

– Wyjście jest tylko jedno: musimy pozbawić ich tej wymówki, co oznacza konieczność zdobycia nazwisk winowajców i postawienie ich przed sądem.

– Ano... – mruknął Han. – Karrde próbuje.

– Rozmawiałeś z nim dzisiaj? – zdziwiła się. – Myślałam, że już odleciał.

– Nie rozmawiałem, bo odleciał. Puściłem przez starych znajomych wieść, że chciałbym pogadać z Mazzikiem.

– O czym?

– O tym, czy Shada D’ukal rzeczywiście dla niego pracowała i dlaczego odeszła.

– Martwisz się o Talona – uśmiechnęła się Leia.

– A skąd – obruszył się. – Już nie miałbym o kogo, nie mówiąc o tym, że doskonale potrafi się o siebie troszczyć.

– Przestań udawać, mój drogi. Ja też go lubię.

– Ja nie mówię, że go nie lubię, tylko czasami potrafi być niesamowicie upierdliwy.

– Ty też – pocieszyła go Leia. – Niekiedy wydaje mi się, że byłbyś taki jak on, gdybyś nie przyłączył się do Rebelii.

– Może. Ale na pewno nie nosiłbym koziej bródki.

– Całe szczęście. A poza pogawędką z przemysłnikami co jeszcze robisz?

– Myślałem. I wymyśliłem, że najwyższy czas, żebyśmy się gdzieś urwali na wakacje.

– Pomyśl jest doskonały, tylko Gavrisom by się wściekł, gdybym spróbowała teraz wziąć wolne.

– To czyni propozycję jeszcze ciekawszą – ocenił Han. – W życiu nie widziałem wścieklej Purchawy.

– Doceniam twoją troskę – uśmiechnęła się Leia. – Ale wiesz, że to niemożliwe.

– Zbyt łatwo się poddajesz. Założę się, że gdybyś naprawdę chciała, udałoby ci się coś zorganizować.

Leia odwróciła się ku niemu zaskoczona – właśnie wyczuła dziwną zmianę w jego emocjach...

– Załóżmy, że się założymy, powiesz mi wtedy, co jeszcze dziś robiłeś? – spytała podejrzliwie.

– Ja? – zdziwił się niewinnie Han. – Nic specjalnego. To co: zakładasz się czy nie?

– Wykrztuś wreszcie. Dokąd mamy lecieć?

– Tak sobie pomyślałem, że można by odwiedzić sektor Kan-chen, a konkretnie Pakrik Major.

Leia wyteżyła pamięć – słyszała o tym sektorze i coś jej się kojarzyło, że Pakrik Major jest jego stolicą, ale to było wszystko, co zdołała sobie przypomnieć.

– Co tam jest takiego ciekawego? – spytała.

– Absolutnie nic – zapewnił ją Han. – Jeżeli naturalnie nie liczyć dorocznej konferencji przedstawicieli sektora, w której powinien wziąć udział reprezentant władz Senatu Nowej Republiki. Wiesz: dyplomatyczne uprzejmości i takie tam duperele.

– A więc jaki kryzys wymaga mediacji? – westchnęła zrezygnowana.

– I to właśnie jest najpiękniejsze, żaden – uśmiechnął się szeroko. – Tam naprawdę jest spokojnie. Przesiedzimy parę nudnych spotkań, a potem już tylko cisza i odpoczynek.

– Niby gdzie się spodziewasz tej ciszy i odpoczynku, na planecie będącej stolicą sektora?

– Nie na niej. Układ ma podwójną planetę Pakrik Major i Minor, a na Pakrik Minor są tylko tereny rolnicze, parę ośrodków wypoczynkowych i masa dziewiczego krajobrazu.

Zaczynało to brzmieć atrakcyjnie.

– Rolnicze, powiadasz?

– Głównie owoce i tallgrin. Poza tym lasy, góry, cisza i spokój. I nikt tu nie musi wiedzieć, gdzie jesteśmy.

– Poza Gavisomem – westchnęła Leia z żalem. – A on się na to nigdy nie zgodzi.

– Zgodzi się, zgodzi – zapewnił ją podejrzanie radosny mąż. – Prawdę mówiąc, już się zgodził. Rozmawiałem z nim w ciągu dnia. Był zachwycony.

– On co?!

– No, może „zachwycony” nie jest najwłaściwszym słowem – sprostował Han. – Ale pozwala ci polecieć, a to jest najważniejsze, no nie?

– Najważniejsze – Leia nadal przyglądała mu się podejrzliwie. – Co Gavisom właściwie ci powiedział?

– Niewiele – przyznał Han. – Nie mówił tego wprost, ale jestem pewien, że nie ma nic przeciwko temu, żebyśmy oboje na krótko zniknęli.

– Pomimo powrotu Thrawna?

– Raczej z powodu powrotu – skrzywił się Han.

Leia westchnęła, obejmując go za szyję – powinna się domyślić, że coś takiego nastąpi. Za Hanem ciągnęła się strzelanina na Bothawui, a po jej wystąpieniu w obronie Landa Calrissiana część senatorów uważała ją za zwolenniczkę określonego stanowiska w sprawie Caamas. Nic dziwnego, że skoro oboje stali się chwilowo politycznie kłopotliwi, Gavisom skorzystał z pierwszej okazji, by usunąć ich na jakiś czas z widoku. Zwłaszcza iż okazję zaproponował mu Han.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Zawsze zadaję o jedno pytanie za dużo, prawda?

– Żaden problem – zapewnił ją Han. – To nasz pomysł i nasze wakacje, obojętne, co kto o tym pomyśli.

– Nie możesz mnie zwolnić: rezygnuję – uśmiechnęła się bez śladu wesołości, cytując stare powiedzenie.

– Coś w tym guście. Z Chewiem już rozmawiałem: dzieciaki mogą zostać na Kashyyyk, jak długo zechcą, więc będziemy mieli trochę czasu tylko dla siebie.

Leia przytuliła się do niego mocniej.

– Wiesz, prawie to samo sobie pomyślałam, kiedy Gavisom wysłał nas na Bothawui – powiedziała cicho. – Sam widziałeś, jak się to skończyło.

– Teraz się tak nie skończy. Żadnych Bothan, zamieszek czy strzelanin. Gwarantuję.

– Trzymam cię za słowo – ostrzegła i przypiecztowała to krótkim całusem. – Kiedy odlatujemy?

– Jak tylko się spakujesz. I pospiesz się: ja już dawno to zrobiłem.

– Tak jest, proszę pana! – oświadczyła na pół poważnie i skierowała się do sypialni.

Cisza i spokój z dala od kłopotów i kłótni – to było dokładnie to, czego potrzebowała. I rolnicza planeta, taka jak Pakrik Minor... Prawie nie mogła się doczekać.

ROZDZIAŁ

24

Jednostki zwiadowcze wróciły po dwudziestu ośmiu godzinach przeczesywania systemu z meldunkiem, jakiego Pelleaon się spodziewał – tylko „Chimaera” pojawiła się w układzie Pestiin, który poza tym był tak pusty, jak pusta potrafi być jedynie przestrzeń.

– Powiedziałbym, że odrzucił pańską ofertę – skomentował kapitan Ardifff, podchodząc do stojącego na mostku admirała.

– Być może – Pelleaon nie przestał wpatrywać się w gwiazdy. – Ale możliwe jest też, że proponowany termin był zbyt optymistyczny, a generał Bel Iblis miał większe niż sądziłem trudności w przekonaniu władz Nowej Republiki.

– Albo w zgromadzeniu wystarczająco silnej eskadry, by mieć pewność, że sobie z nami poradzi, sir. Wydaje mi się, że znaleźliśmy się w gigantycznej pajęczynie i spokojnie czekamy na jej twórcę.

– Proszę się odprężyć, kapitanie – uspokoił go Pelleaon. Ardifff miał skłonności do gadulstwa, kiedy się denerwował. – Bel Iblis to człowiek honoru, nie wykorzystałby mojego zaproszenia w ten sposób, może pan być spokojny.

– Przepraszam, panie admirałe, ale jeśli dobrze pamiętam, generał jest również człowiekiem ambitnym, a obecnie tylko jednym z wielu generałów i admirałów, od jakich się roi w Siłach Zbrojnych Nowej Republiki. Komuś ambitnemu mogłoby przyjść do głowy, że pojmanie pana dramatycznie wręcz zwróci na niego powszechną uwagę.

– Miło byłoby wierzyć, że po tylu latach nadal stanowią tak cenne trofeum – uśmiechnął się Pelleaon – jednak obawiam się, że przecenia moją wartość, panie kapitanie.

– Może pan być skromny, sir, lecz obecnie jest pan jedynym, który utrzymuje Imperium w całości.

– Albo jedynym, który daje mu nadzieję przetrwania – dodał cicho Pellaeon.

– Cokolwiek by pan o tym nie sądził, sir, faktem jest, że pułkownik Vermel nigdy nie wrócił – zauważył nieco szorstko Ardiff. – Powstaje pytanie: dlaczego?

– Nie wiem – przyznał Pellaeon. – Ale sądzę, że ma pan jakąś teorię, kapitanie?

– Tę samą, co gdy opuszczaliśmy Yaga Minor, sir. Sądzę, że pułkownik Vermel dowiedział się podczas spotkania albo od Bel Iblisa, albo od kogoś innego czegoś, co zmusiło Bel Iblisa do zamknięcia go, żeby nie mógł się z panem skontaktować. Czyli że w najlepszym wypadku tracimy czas, w najgorszym zaś jesteśmy w pułapce.

– Mimo to nadal uważam, że opłaca się zaryzykować. Damy Bel Iblisowi parę dni, a potem...

– Panie admirale, nadlatuje osiem jednostek – zameldował oficer wachtowy. – Wektor jeden-sześć-cztery na pięć-trzy, sir.

– Jakie to jednostki? – spytał Pellaeon, próbując za wszelką cenę mówić normalnym głosem.

– Cztery to corelliańskie monitory zwane też kanonierkami, jeden to krążownik liniowy klasy Kaloth wyglądający na poważnie zmodyfikowany, a trzy to jednostki uderzeniowe klasy Pacific. Identyfikacja... niekonkretna, sir.

– Co to znaczy „niekonkretna”? – zdziwił się Ardiff.

– Ich dane nie pokrywają się z niczym, co mamy w pamięci, sir. Sprawdzam ponownie, ale wątpię, żeby to coś zmieniło, sir.

– Specjalnie przerobione transpondery – mruknął ponuro Ardiff. – Wielowarstwowe zapisy utrudniające odczyt.

– Używane najczęściej przez przemytników, piratów i najemników – dodał Pellaeon.

– Wiem, sir. Podobnie jak to, że w tym systemie nie ma nic, czego mogliby chcieć przedstawiciele którejkolwiek z wymienionych grup. Poza nami, naturalnie.

– Zgadza się. Proszę polecić wysłanie naszych kodów identyfikacyjnych i prośbę, żeby podali swoje – polecił Pellaeon.

– Rozkaz, sir – Ardiff wyprężył się i wydał niezbędne polecenia.

– Sygnał wysłany, odpowiedzi brak, sir – zameldował po parunastu sekundach oficer wachtowy. – Nadlatujące jednostki zmieniły kurs i kierują się prosto na nas, sir.

Ardiff wciągnął z sykiem powietrze.

– Spokojnie, kapitanie – doradził mu Pellaeon i zwrócił się do oficera wachtowego. – Panie poruczniku, proszę przeprowadzić pełnozakresowy skan tych jednostek. Proszę zwłaszcza zwrócić uwagę na rodzaje uzbrojenia i oznaczenia na kadłubach.

– Tak, sir! – wyprężył się porucznik i prawie natychmiast zameldował: – Nadlatujące jednostki zmieniały szyk na bojowy, sir.

– Sądzę, że mamy odpowiedź Bel Iblisa – odezwał się cicho Ardiff.

– Jakie oznaczenia mają te jednostki? – powtórzył głośno Pellaeon i zacisnął lewą dłoń w pięść.

– Już, panie admirale... kanonierki mają insygnia układowych sił corelliańskich, sir... pozostałe... tak samo.

– Dziękuję – mruknął Pellaeon, czując na sobie pełen złości i żalu wzrok Ardiffera. – Kapitanie, zechce pan przygotować okręt do boju.

– Rozkaz, sir – Ardiff zwrócił się ku stanowiskom prawoburtowym. – Panie poruczniku proszę zarządzić obsadzenie wszystkich myśliwców. Start na mój rozkaz. Uruchomić wszystkie generatory pól i wszystkie turbolasy.

– I generatory promieni ściągających – dodał cicho Pellaeon.

– Sir?!

– Możemy chcieć złapać którąś z tych jednostek albo to, co z niej zostanie po bitwie – wyjaśnił admirał.

– Tak jest, sir! Uruchomić wszystkie generatory promieni ściągających.

Pellaeon podszedł do przedniego okna, zastanawiając się, czy rzeczywiście nadlatywały okręty podległe Bel Iblisowi. Co prawda nigdy się nie spotkali, ale wszystko, co słyszał i czytał o generale, łącznie z raportami wywiadu, wskazywało na osobę o niezwykle silnym poczuciu honoru i własnej godności. Ktoś taki nie atakowałby zdradziecko w odpowiedzi na uczciwą propozycję negocjacji. Garm Bel Iblis nawet przegrywając z wielkim admirałem Thrawnem nie złamał swoich zasad...

Z Thrawnem...

Pellaeon uśmiechnął się lekko – tak, znalazł najwłaściwszy sposób na sprawdzenie, czy to Bel Iblis dowodził zbliżającymi się okrętami.

– Możliwe, że jest jedynie ostrożny, sir – powiedział jakby wbrew sobie Ardiff, podchodząc do niego. – Częściowe pokrycie

się pól, jakie daje taka formacja, przydaje się także w obronie. Może po prostu nie chce zdradzić swojej tożsamości, dopóki nie znajdzie się bliżej, sir.

Pellaeon przyjrzał mu się z uznaniem.

– Zaskoczył mnie pan, kapitanie – pochwalił go. – Jednym z najważniejszych atrybutów dobrego dowódcy jest zdolność wykraczania myślami poza sytuację, której się spodziewa.

– Chcę być uczciwy, sir, ale nie kosztem wystawiania na ryzyko okrętu. Mam nakazać start TIE lub Preybirdów?

– Na razie nie ma pan nakazywać startu niczego – nadlatujące jednostki stały się wreszcie widoczne gołym okiem. – Cokolwiek się wydarzy, chcę, żeby nikt nie miał wątpliwości, że my nie zrobiliśmy niczego, co mogłoby sprowokować walkę.

Przez długą minutę obaj w milczeniu obserwowali rosnące w oczach jednostki... które nagle znalazły się tuż obok i przemieknęły wzdłuż górnej powierzchni kadłuba niszczyciela, ostrzeliwując ją, z czego tylko mogły. W następnej chwili zwiększyły wysokość, po czym skierowały się na mostek i ktoś z tyłu krzyknął... a w następnym momencie napastnicy zniknęli, oblatując nadbudówkę z obu stron i kończąc manewr daleko za rufą.

Ardiff wypuścił z sykiem powietrze.

– Sądzę, że to wystarczająco udowadnia ich intencję, sir – oceenił już z zawodowym spokojem. – Proszę o pozwolenie podjęcia walki, sir.

– Udzielam zezwolenia, ale tylko przy użyciu turbolaserów.

– Myśliwce nie mogą wystartować, sir? – zdziwił się Ardiff.

– Jeszcze nie. Preybirdy znajdują nieco inne zastosowanie.

– Z całym szacunkiem, sir, ale prosiłbym, aby pan ponownie przeanalizował sytuację – Ardiff najpierw rozejrzał się, a potem powiedział tak cicho, że Pellaeon ledwie go słyszał: – Ten krążownik jest całkiem nieźle uzbrojony. Tym razem przeleciał zbyt szybko, by wyrządzić nam jakiegokolwiek poważne szkody, ale jeśli nie spróbujemy utrzymać go z daleka za pomocą myśliwców, to po prostu sami prosimy się o kłopoty, panie admirale.

– Rozumiem pańską troskę, kapitanie – uspokoił go Pellaeon, obserwując, jak napastnicy po zatoczeniu łuku ponownie pojawiają się w polu widzenia. – Proszę mi wierzyć, mam swoje powody. Tylko turbolaser i proszę mi zaufać.

Pellaeon zrobił co mógł, żeby się nie uśmiechnąć, gdy przypomniała mu się niemal identyczna sytuacja sprzed dziesięciu lat –

wtedy to on stał na tym samym mostku i próbował w najbardziej dyplomatyczny sposób, w jaki potrafił, przekonać głównodowodzącego, że nie ma racji, i to w samym środku bitwy. Fakt, miał znacznie więcej doświadczenia niż Ardif, ale to powodowało tylko znacznie większą frustrację, gdy bezsilnie obserwował, jak „Chimaera” zmierza prosto ku pewnemu nieszczęściu. A przecież Thrawn nigdy nie zganił go za impertynencję czy głupotę, jedynie spokojnie realizował swoje plany, pozwalając, by rezultaty mówiły same za siebie. Pellaeonowi pozostało tylko mieć nadzieję, że efekty jego własnego planu będą równie wymowne.

Napastnicy zakończyli manewr i ponownie skierowali się ku niszczycielowi.

– Nadlatują, sir – zameldował oficer wachtowy. – Wygląda na to, że tym razem atakują prostopadle do burty.

– Boją się wpaść w nadbudówkę – skomentował Pellaeon. – A to oznacza, że jedna albo więcej jednostek prawie się z nami zderzyła poprzednim razem.

– Albo że nie chcą się powtarzać – warknął sfrustrowany Ardif.

Pellaeon ponownie omal nie uśmiechnął się do wspomnień – czego jak czego, ale uśmiechu Ardif nie byłby w stanie teraz zrozumieć.

– Proszę wydać rozkaz dowódcom baterii, żeby strzelali według własnego uznania, kapitanie – polecił.

Napastnicy zaczęli kolejny atak, artyleria niszczyciela odpowiedziała ogniem i przez parę sekund na zewnątrz widać było jedynie krzyżujące się czerwone i żółte smugi spolaryzowanego światła.

A po chwili napastnicy przemknęli już na przeciwległą burtę, a działa niszczyciela zamilkły.

– Jakie zniszczenia? – spytał Pellaeon.

– Niewielkie: trzy stacje naprowadzania ognia turbolaserów w Kwadracie Pierwszym wyłączone z walki i parę trafień w kadłub w części dziobowej bez utraty hermetyczności, sir – zameldował oficer wachtowy.

– Próbują unieszkodliwić turbolasery w Kwadracie Pierwszym – domyślił się Ardif. – Kiedy to osiągną, krążownik ustawi się przed naszym dziobem i bezkarnie rozpruje nam kadłub.

– Na to wygląda – zgodził się Pellaeon. – Jakie uszkodzenia odniósł przeciwnik?

– Nieznane, ale najprawdopodobniej niewielkie, sir – zameldował oficer wachtowy. – Te nakładające się pola są silniejsze, niż można byłoby się spodziewać. Dość trudno przebić się przez nie przy tak krótkim ostrzale.

– Ale to normalne pole siłowe? – upewnił się Pellaeon.

– Normalne, sir. Jedyne monitory emitują słabe pole cząsteczkowe, sir.

– Mimo to mamy niewielką szansę trafić je torpedami protonowymi, sir – ostrzegł Ardifff. – Jeśli wystrzelimy je, gdy będą daleko, zdążą je namierzyć i zniszczyć, a jeśli zrobimy to, kiedy podejną bliżej, to przy ich szybkości torpedy nie zdążą złapać namiaru, panie admirale.

– Rozumiem wymogi taktyczne – zwrócił mu uwagę Pellaeon. – Zobaczymy, czy czegoś na nie nie znajdziemy... Pułkowniku Bas, proszę nakazać start eskadry Preybirdów na mój rozkaz. Mają lecieć kursem...

Przerwał, przyglądając się napastnikom, którzy właśnie rozpoczęli dołot do kolejnego ataku.

– Kursem dwa-trzy na siedem – zdecydował. – Mają lecieć w ciasnej formacji paradnej aż do otrzymania innych rozkazów.

– Szyk paradny, sir? – powtórzył oglupiały Ardifff.

– Nakładające się pola wzmocnią ich potencjał obronny, kapitanie.

– W niewystarczający sposób, sir. Nie wobec jednostki klasy Kaloth na krótki dystans.

– Przy odrobinie szczęścia nie będą musieli podlatywać aż tak blisko – odparł Pellaeon z zadowoleniem, widząc, że napastnicy, podobnie jak w poprzednich atakach, nadlatują bez uników i manewrów. – Pułkowniku Bas, proszę nakazać start myśliwców!

– Tak, sir... Myśliwce wystartowały, sir.

Parę sekund później eskadra Preybirdów wyłoniła się spod kadłuba i pomknęła ku nadlatującym okrętom.

– Proszę przygotować do strzału Ósmą Grupę Wyrzutni – polecił Pellaeon. – Mają wystrzelić piętnaście torped w pięciu salwach po trzy i nastawić je na kurs dwa-trzy na siedem.

Na mostku nagle zapadła cisza.

– Sir, to ten sam kurs... – wykrztusił oficer ogniowy.

– Którym lecą Preybirdy – dokończył Pellaeon. – Wiem o tym poruczniku. Proszę wykonać rozkaz.

– Tak jest, sir!

– Torpedy mają zostać wystrzelone jedynie na mój rozkaz – dodał admirał, przyglądając się Preybirdom i napastnikom. – Pułkowniku Bas, proszę przekazać pilotom, że na mój rozkaz mają wykonać rozejście ze zwrotem kończącym atak i wrócić w pobliże niszczyciela. Oficer ogniowy: odpalić torpedy!

– Torpedy poszły, sir – potwierdził porucznik równocześnie z pojawieniem się przed dziobem pięciu grup ogni wylotowych, skupionych blisko siebie, które pognały śladem Preybirdów.

– Aha! – ucieszył się nagle Ardifff. – Naturalnie!

– Właśnie – mruknął Pellaeon, obserwując odlatujące torpedy i starannie oceniając upływ czasu. – Pułkowniku Bas... teraz!

Przez sekundę nic się nie działo, po czym formacja myśliwców rozprysnęła się na wszystkie strony niby rozkwitający kwiat. Każdy myśliwiec zakończył manewr zwrotem o sto osiemdziesiąt stopni i skierował się ku niszczycielowi. W odpowiedzi ostrzał nieprzyjacielski, który zaczął się przed parunastoma sekundami i jak dotąd odbijał się od pól siłowych, także się rozdzielił, gdy obsługi poszczególnych dział próbowały namierzyć pojedyncze odlatujące maszyny...

Przez nie bronioną lukę, w której jeszcze przed chwilą znajdowały się myśliwce, przemknęła pierwsza trójka torped fotonowych, przeleciała między parą prowadzących atak monitorów corelliańskich i eksplodowała na dziobowym polu siłowym krążownika, przeładowując je. Nawet z mostka „Chimaery” widać było rozpaczliwe próby okrętów przeciwnika gorączkowo próbujących wyjść spod ostrzału. Próby skazane na niepowodzenie, gdyż śladem pierwszej trójki przeleciała druga. Eksplodowała na dziobie i natychmiast zdehermetyzowała kadłub, w którym pojawiła się olbrzymia wyrwa. A za nimi leciały jeszcze trzy grupy...

Wprawdzie trzecia salwa musiała natrafić na szczątki wyrwanej eksplozją, bo wszystkie torpedy wybuchły za wcześnie, by wyrządzić krzywdę krążownikowi – ale za to wystarczająco blisko jednego z monitorów, żeby zdehermetyzować jego kadłub i kręcącego zwariowany korkociąg posłać w mrok. Salwy czwarta i piąta dotarły do celu i zmieniły krążownik liniowy w targany eksplozjami wrak. Bitwa była skończona – pozostałe jednostki napastników gnały pełnym ciągiem ku przestrzeni pozaukładowej, byle dalej od niszczyciela.

– Doskonały manewr, panie admirale – w głosie Ardifffa słychać było podziw i wstyd. – Przepraszam za to, co...

– To całkowicie rozumiałe, kapitanie – przerwał mu Pellaeon. – Może mi pan wierzyć lub nie, lecz kiedyś zachowałem się identycznie.

– Dziękuję, sir. Mam wysłać ludzi, żeby przeszukali szczątki? Może dzięki nim zidentyfikujemy napastników.

– Proszę wysłać. Ale już teraz mogę panu powiedzieć, że to na pewno nie był generał Bel Iblis.

– Doprawdy? – spytał szczerze zaskoczony Ardiff po wydaniu stosownych poleceń. – Skąd ta pewność, sir?

– Wszystko w swoim czasie. Proszę przepuścić nagranie bitwy przez Predictorą. Jest nadal sprawny, prawda?

– Jest sprawny, sir – Ardiff uśmiechnął się ze zrozumieniem. – To dlatego pozwolił im pan na przeprowadzenie drugiego ataku? Żeby Predictor miał dość danych?

– Właśnie – przyznał Pellaeon. – Nie bardzo się sprawdził w przewidywaniu taktyki, ale może okaże się lepszy w identyfikacji przeciwnika na podstawie analizy zastosowanej taktyki. Jeśli będziemy mieli szczęście, to powinien nam podać listę wszystkich, którzy lubią używać tej właśnie taktyki.

– A pan jest pewien, że nie należy do nich Bel Iblis?

– Słyszał pan kiedyś o „ciosie A-winga”, kapitanie? – spytał Pellaeon, przyglądając się dryfującym w powietrzu szczątkom.

– Nie sądzę, sir.

– To taktyka wynaleziona przez Nową Republikę. Wymaga dobrego zgrania czasowego, dlatego jest rzadko używana. Polega na tym, że grupa myśliwców, przeważnie typu X, leci prosto ku osłonięciu okrętu liniowego, a gdy znajdzie się pod ostrzałem, w określonym momencie robią rozejście ze zwrotem do okrętu macierzystego.

– To tak jak nasze Preybirdy.

– Dokładnie tak, jak nasze Preybirdy. Naturalną reakcją artylerzystów jest ostrzał wielu celów, a dowódcy oczekiwanie, że myśliwce przegrupowują się do ataku z flanki. Ale nie wiedzą i nie spodziewają się tego, że za formacją X-wingów, dokładnie tym samym kursem i w niewielkiej odległości, leci grupa myśliwców Typu A. Są niewidoczne dla sensorów, ponieważ maskują je poprzednicy i emisja ich silników. Zanim artylerzyści zauważą drugą falę, A-wingi dają pełen ciąg i już są przy okręcie stanowiącym cel ataku.

– Sprytne, ale wymagające doskonale wyszkolonych pilotów. Zmodyfikował ją pan, używając torped zamiast myśliwców Typu A. Ale co to ma wspólnego z Bel Iblisem, sir?

– To on wymyślił ten manewr – uśmiechnął się Pellaeon.
Ardiff przez sekundę mrugał nerwowo i nagle także się uśmiechnął.

– Jasne: na pewno nie dałby się oszukać swoim własnym pomysłem – stwierdził.

– W żadnych okolicznościach. Biorąc jednak pod uwagę co-relliańskie znaki, ktoś zadał sobie sporo trudu, żeby nas przekonać, że to był właśnie on.

– Ktoś z Imperium? – spytał, poważniejąc, Ardiff.

– Lub ktoś z Nowej Republiki. Wiemy, że nie wszystkim w Imperium podoba się pomysł pokoju. Trudno się spodziewać, by podobna sytuacja nie miała miejsca w Nowej Republice.

– To dość prawdopodobne – zgodził się Ardiff. – Co w takim razie robimy, sir?

– Kto by nie zlecił tego ataku, chciał nas przekonać, że krył się za tym Bel Iblis. Niewielka liczba okrętów i błyskawiczna ucieczka przy pierwszej poważniejszej reakcji z naszej strony wskazują, że celem ataku nie były zniszczenia, a zatem chodziło o przegonienie nas. Najprawdopodobniej przed spodziewanym przybyciem Bel Iblisa.

– Czyli zostajemy, sir?

– Czyli zostajemy – potwierdził Pellaeon. – Przynajmniej na razie.

– Zdaje pan sobie naturalnie sprawę, panie admirale, że nasz nieznany przeciwnik może tak łatwo nie zrezygnować i ponowić atak? – spytał po namyśle Ardiff.

Pellaeon spojrzął na stygnące szczątki:

– Niech spróbuje!

KONIEC TOMU I